

Digitized by the Internet Archive
in 2025

<https://archive.org/details/regina0000vari>

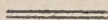
REGINKA

CZĘŚĆ I

13
BRONISŁAWA PORAWSKA



REGINKA



PRAWDZIWE BOGACTWO

DWIE POWIEŚCI

OFIAROWANE DORASTAJĄCYM PANIENKOM

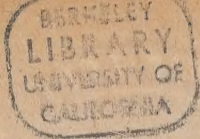
WYDANIE TRZECIE

1921

WARSZAWA

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

Printed in Poland



U.C. BERKELEY LIBRARIES



C095896874

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Ostatnia prośba umierającej matki.

— Reginko, czy ja nie pójdę dziś do szkoły? — mówił mały chłopczyzna do dziewczynki, mogącej mieć lat czternaście, która, pochylona nad robotą, siedziała przy oknie.

— Nie pójdziesz, Adasiu — odrzekła smutnie — dziś tak zimno, a trzewiczki twoje zupełnie się podarły.

— To kup mi drugie, siostrzyczko; od czasu, jak mama leży chora, jeszcze nowych bucików nie miałem. Czy mama długo jeszcze chorować będzie? — dodał po chwili.

Dziewczynce lzy zakręciły się w błękitnych oczach i ciężkie westchnienie uleciało z jej piersi.

— Reginko, ja chcę iść do szkoły, ja koniecznie chcę nowych trzewików — mówił głośniejszemu Adaś — przecież ja uczyć się muszę.

— Cicho, braciszku, cicho, bo mama usłyszy, a to byłoby jej bardzo przykro. Widzisz, Adalku, pieniędzy niema na trzewiczki, gdyż wszystko idzie na lekarstwa dla mamy. Uwaga, mój drogi, masz lat siedm skończonych, powinieneś rozumieć, że zdrowie mamy ważniejsze, niż twoje trzewiki.

— To prawda — odrzekł chłopczyk po chwili zastanowienia — ale ja mogę iść do szkoły choć w podartych trzewikach.

— Zimno, braciszku, nie można, ale weź książeczkę, będę cię uczyła, póki śpi mama i Zosia.

— Mój Boże, jaki ten Edzio szczęśliwy, że może się uczyć — westchnął chłopczyk, wyjmując książkę z szuflady. — Ale co tam, zdrowie mamy pierwsze — dodał, pocieszając się — a jak będę taki duży, jak Edzio, to i ja będę się uczył, wszak prawda, Reginko?

— Prawda, lecz mów ciszej, bo mamę obudzisz. Przyśnij się bliżej i czytaj.

Chłopczyk położył książkę na oknie i zaczął czytać uważnie i dość płynnie.

Reginka nie odrywała się od swej pracy, od czasu do czasu rzucając spojrzenie na książkę, to znów na kolebkę, stojącą bliżej pieca, to nasłuchując, czy z drugiego pokoju nie wzywa matka.

Reginka była dziewczynką nad wiek swój rozsądną i poważną, niedoła w czternastym roku życia uczyniła ją kobietą dojrzałą. Niegdyś rodzice jej byli bardzo zamożni, ojciec wysokie w urzędzie zajmował stanowisko, lecz przez różne nieszczęsne koleje losu wszystko się zmieniło i dziś, pracując u adwokata, temi tylko dochodami utrzymywał dość liczną rodzinę. Matka rok już przeszło nie opuszczała łóżka, biedna kobieta na piersiową dogorywała chorobę.

Rodzeństwa było ich pięcioro. Najstarszy Edmund w szóstej już był klasie; wielkimi obdarzony zdolnościami, bystrego umysłu, piękne na przyszłość rokował nadzieje. Ujmująca powierzchowność miłe na każdym czyniła wrażenie. Serce jednak rodziców tajemnym nieraz ścisnęło się bólem, bo widzieli w swym synie usposobienie samolubne, widzieli, że ten ich syn pierworodny był obojętnym na wszystko, co nie było w związku z jego osobą. Siedmnastoletni chłopak od dwóch lat pracował sam na zaspokojenie swych wszystkich potrzeb i opłaty szkolnej, mając od rodziców tylko stół i mieszkanie.

Drugą z kolei była Reginka. Miała rok piętnasty, śliczne błękitne oczy i ciemne włosy. Nie była piękną, ale dziwnym urokiem jaśniała jej blada, ściągła twarzyczka. Od czasu choroby matki, Reginka o całym myślała domu, i o wygodzie

dla chorej, i o bieliźnie ojca i rodzeństwa, i o wszystkich potrzebach domowych. Musiała więc biedna dziewczynka niemal ciężar dźwigać na swojej głowie, lecz z podziwieniem wszystkich znajomych dawała sobie radę wybornie. Po Regince były jeszcze dwie dziewczynki, które jednego dnia zmarły na szkarlatynę i od tej pory rozpoczęła się choroba nieszczęśliwej matki.

Następnie Adaś, o złotem sercu chłopczyna, z wielką do nauk ochotą, jak to widzieliśmy przy zaczęciu niniejszej powiastki. Czwarta, pięcioletnia Kamilka i najmłodsza, drugi rok mająca, Zosia, dziecina słaba i wątła, którą Reginka prawie sama pielęgnowała i wychowywała z miłością i troskliwością wielką. Do rodziny niemal zaliczyć trzeba starą służącą Maciejową, piastunkę samej jeszcze pani.

Dzień, od którego zaczyna się nasza powiastka, był chmurnym i dżdżystym dniem październikowym. Była godzina dziewiąta rano. Pan Wiłtecki oddawna poszedł już do pracy, chora, po niespokojnie spędzonej nocy, zasnęła mocniej i dłużej, niż zwykle. Reginka szyła, Adaś się uczył coraz pilniej i głośniej, gdy Zosia zapłakała w kolebce.

— Dość tej nauki, Adalku, złóż książkę i zajmij się, czem ci się spodoba, byle cicho i spokojnie — rzekła Reginka, składając robotę i pośpieszyła do siostrzyczki.

Wzięła na ręce dziecko, które na jej widok uspokoiło się i, z za łez uśmiechając się, drobnymi rączkami otoczyło jej szyję.

— Jeść chcesz, maleńka — mówiła Reginka, tuląc do siebie dziecinę — zaraz, zaraz, aniołku.

Wtem z drugiego pokoju dał się słyszeć kaszel i chora cichym głosem zawołała:

— Reginko!

— W tej chwili, mateczko, tylko Zochnę oddam Maciejowej.

— Maciejowej niema — rzekł Adaś — widziałem jak poszła po wodę.

— Więc ty ją zastąp, braciszku — i Reginka, posadziwszy małą na sofie pod opieką Adasia, pośpieszyła do pokoju chorej.

— Jestem, mateczko — rzekła, całując jej ręce i poprawiając poduszki — spałaś, matuchno, przeszło trzy godziny cicho i spokojnie, a taki sen pokrzepia siły.

— Reginko, mnie gorzej dzisiaj, gdzie ojciec?

Dziewczynka wylęknięta spojrzała na matkę i teraz dopiero spostrzegła, że twarz jej była bledsza niż zwykle, a oczy, głęboko zapadłe, sina podkrężyła obwódka.

— Ojciec już dawno poszedł do swej pracy — szepnęła boleścią złamanym głosem.

— A dzieci?

— Edzio w klasie, Adaś bawi Zochnę, a Kamilka śpi jeszcze.

— Biedaki wy moje, biedaki — rzekła chora z westchnieniem, załamując ręce rozpacznie — teraz, kiedy najwięcej matki wam potrzeba, mieć jej nie będziecie!

— Mateczko! — krzyknęła Reginka, klękając przy łóżku i tuląc do piersi zimne ręce matki — o! nie mów tego, to niepodobna, aby nam Bóg zabrał ciebie. aby nas zostawił sierotami!

Chora z boleścią spojrzała na klęczącą i kładąc rękę na jej głowie, rzekła słabym głosem:

— Dziecko ty moje ukochane... przygotować ci się do tego trzeba... bądź mężną, córko moja, bo dla trojga małych sierotek... ty matką być musisz, Reginko... nie płacz... bo nie mam odwagi mówić do ciebie... a tak wiele... tak wiele chciałabym ci powiedzieć!...

Lecz któż byłby w stanie wstrzymać łzy córki przy łożu umierającej matki? Biedaczka skryła więc twarz w poduszkach i nie mogła stłumić łkania, które rozrywało jej piersi.

— Córko moja — mówiła chora — Reginko... posłuchaj mnie. O Boże! gdybyż jeszcze choć trzy lata życia, ażeby ta moja dziecina... wzrosła w męstwo i siły. Ale nie... czuję...

że się zbliża moja ostatnia godzina. Niezbadane wyroki Twe, Panie... niech się stanie wola Twoja... powołujesz mię do siebie... Ty bądź z dziećmi mojemi. Reginko, mnie już lepiej... daj mi pić, kochanko...

Dziewczę powstało i, kryjąc łzy, wyszło z pokoju, aby przynieść ciepłe ziółka, których zwykle chora używała za napój. Przechodząc przez pokój, gdy spojrzała na troje drobnego rodzeństwa, na nowo wybuchnęła płaczem a, chcąc ukryć swą boleść przed dziećmi, wybiegła do kuchni.

— O! Maciejowo kochana! — zawołała z głośnym płaczem do starej kobiety, która wchodziła właśnie z wodą — moja matka! moja droga matka chce nas opuścić!

— Chryste Panie! co też ty, jagódko, mówisz! — wykrzyknęła z przerażeniem pocziwa kobieta, stawiając konew z wodą — czy to podobna, aby ta ukochana pani moja umrzeć mogła? No, no — uspakajająco dodała — nie martw się, panienko, naopróżno, bo do tego nieszczęścia nie przyjdzie; ot chodźmy do matuchny.

— Zaraz, moja Maciejowo, zaraz, niech mi tylko oczy z łez oschną i uspokoję się trochę, bo matka chce, abym męzną była.

I Reginka, zebrawszy wszystkie siły, zapanowała nad żalem, który rozdzierał jej serce a, wzięwszy filiżankę z ziółkami, wraz z Maciejową wróciła do pokoju matki.

Chora leżała z zamkniętymi oczami, ręce złożyła na piersiach, zdawało się, iż życie uleciało już z tej bladej, wychudłej postaci. Była to kobieta młoda jeszcze, miała dopiero lat trzydzieści sześć, lecz zdawała się być o wiele starszą. Na szelest wchodzących, otworzyła duże, czarne oczy, których blask powiększała silna gorączka i blady uśmiech rozjaśnił na chwilę jej lica.

— Dzień dobry, moja Maciejowo — słabym wyrzekła głosem — spałam dziś długo.

— Bóg z tobą, kochana pani moja, a jakże tam zdrowie?

— Tak, tak, nie najgorzej, daj mi pić, Reginko — zwróciła się do córki — coś mi w gardle zasycha.

Raz tylko przelknęła i, oddawszy filiżankę Maciejowej, która klęczała przy łóżku, rzekła do córki, przytrzymując jej rękę.

— Siądź przy mnie, dziecko moje i nie płacz, o, nie płacz... bo ty nie wiesz, czym są dla mnie w tej okropnej chwili łzy twoje... Słuchaj... ja umieram... życia we mnie już tylko tyle... aby się z Bogiem pojednać... was pobłogosławić... i... słów kilka zostawić wam w spuściźnie...

Kaszel gwałtowny przerwał dalsze słowa, chora śpiesznie schwyciła filiżankę z rąk Maciejowej i chciwie pić zaczęła, jak gdyby napojem tym chciała przedłużyć kilka chwil życia lub zaczerpnąć w nim siły do wypowiedzenia swych myśli.

— Nie mów, mateczko — prosiła Reginka — to ci widocznie szkodzi.

— Milczenie zdrowia mi nie wróci, a mam ci powiedzieć słów kilka... dziewczeczko moja kochana... mam prośbę do ciebie...

— Matko! — wykrzyknęła Reginka, klękając u nóg jej — alboż prosić mnie potrzebujesz? Rozkazuj, a na miłość moją dla ciebie klnę się, wszystko uczynię.

— Daj mi rękę, Reginko — mówiła chora mocniejszym głosem — ot tak... teraz słuchaj...

Dziewczynka, całą siłą powstrzymując łzy, gwałtem cisnące się jej z pod powiek, patrzyła z rozpaczą na matkę, jak gdyby obawiała się utracić najljżejszy odcień jej głosu. Chora milczała chwilę, mając wzrok utkwiony w krzyżyk, wiszący nad łóżkiem, a potem zwróciła się do córki, mówiąc:

— Muszę umrzeć, Reginko... lecz was zupełnie nie opuszczę, dzieci moje drogie, bo chociaż ciało moje ziemia pokryje... duch mój z wami przebywać będzie. Nie mówię ci, abyś była dobrą dla rodzeństwa... pewną jestem twego serca... widziałam przez cały czas mej choroby, że jesteś dobrą, łagodną i cierpliwą... niech ta pochwała z ust umierającej matki będzie ci

nagrodą... błogosławieństwem... i umocnieniem na dalsze życie, w tych tak trudnych dla ciebie obowiązkach... Pamiętaj o ojcu, niech on tego nie uczuje za bardzo, że dzieci jego matki nie mają... ty zastąpisz mnie przy nich... ciężar to może nad wiek i siły twoje, ale, córko moja... nie upadaj... nawet gdy ja zamknę oczy, niech cię boleść nie obezwładnia...

Kaszel znów przerwał mowę nieszczęśliwej kobiety. Maciejowa, głośno szlochając, podtrzymywała jej głowę, Reginka oniemiała z bólu spoglądała na matkę z rozpaczą i trwogą. Po długiej chwili, chora uspokoiła się nieco, oddychała jednak ciężko, a na prośbę córki, aby mówić przestała, przecząco wstrząsnęła głową i cicho wyrzekła:

— Maciejowo, idźcie po pana i wracajcie śpiesznie — a po wyjściu starej sługi wzięła znów rękę córki i, patrząc w jej oczy z nieograniczoną miłością i zaufaniem, słabym głosem mówiła:

— Reginko, oto prośba moja do ciebie, może nad siły twoje, może niebacznie obciążam cię wielkim ciężarem... ale przyrzeknij mi, że Kamilkę sama wychowasz, że się z nią nie rozłączysz... aż do lat, w których przestanie być dzieckiem... Największy mój niepokój w ostatniej godzinie mego życia, to o nią... nie ażeby mi była najdroższą... nie, lecz wiem, że przy nieumiejętnym kierunku... z Kamilki mogłaby wyrosnąć kobieta zła i przewrotna... a ty, Reginko, umiesz zawsze pokonać jej upór i krnąbrność. Kto cię nauczył, córko, kierować umysłem i sercem dzieci, kiedy w twoim wieku dziewczęta... tak bardzo potrzebują czuwającej nad sobą opieki? Ach! to Bóg wlał w twe serce te skarby... abyś się stała pociechą nieszczęśliwej matki... w godzinę jej śmierci... Błogosławieństwo Boga niech będzie z tobą na wieki... córko ukochana... może kajdany kładę na twe ręce, ale umrę spokojnie, poleciwszy tobie, sierocie... sieroty...

Chora umilkła, zmęczona tak długą mową. Reginka uklękła przy łóżku i, tuląc do piersi zimną rękę matki, gło-

śnym wybuchła płaczem. Chora drgnęła i niespokojnie spojrzała na córkę, a biedna dziewczeczka, widząc, iż matka wyczekuje jej odpowiedzi, stłumiła łzy i pewnym rzekła głosem:

— Matko! przysięgam ci, że stanie się zadość twej woli; Kamilka droższą mi dziś, niż moje szczęście i przyszłość.

Matka zrobiła znak krzyża nad głową klęczącej córki i cichą odmawiała modlitwę.

Nie będę wam opisywać ostatnich chwil nieszczęśliwej kobiety, która pięcioro pozostawiała sierot, zbyt to rozdzierająca serce scena. O! dzieci szczęśliwe, które cieszyście się troskliwą opieką i miłością waszych rodziców, jakąż serdeczną i wdzięczną modlitwą powinniście dziękować Bogu za to dobro, którego tylu waszym rówieśnikom odmówił! Oj, smutna to dola sieroca, gdy zabraknie miłości matki, opiekuńczej ręki ojca...

W trzy dni potem, przy martwych zwłokach matki, która, złożona już w trumnie, nieziemskim jaśniała pokojem, klęczała blada, z nabrzmiałymi od łez oczami Reginka, na jednej ręce trzymała Zosię, która z nieświadomością właściwą swemu wiekowi śmiała się, wyciągając do matki rączki i wołała: „Mama śpi“, a drugą objęła Kamilkę, której wielkie, prześliczne czarne oczy co chwila zachodziły łzami. Nie płakała jednak głośno, z trwogą tylko spoglądała, to na matkę, to na ojca, który opodal siedział z ukrytą w dłoniach twarzą. Adasia płaczącego tuliła do piersi Maciejowa, sama zalewając się łzami. Edmund wpatrzył się w twarz zmarłej, jakby pragnął drogie jej rysy głęboko wryć sobie w serce i pamięć.

Była to straszna, ostatnia chwila pożegnania z matką, bo oto przyszli zamknąć trumnę, już zapalają światła, już księża czarne wdziewają kapy, i już ją wezmą, wezmą na wieki! I wzięli, pomimo rozpaczyny osieroconej rodziny, i spoczęła w grobie, zda się głucha na łzy i jęki pozostałych. Jakiż bolesny był powrót sierot do domu, skąd wyniesiono ukochaną ich matkę, która już nigdy wrócić nie miała!

II.

Sieroty.

Lat dwa upłynęło od śmierci pani Witeckiej, długie dwa lata dla zostających w niedoli, i jeszcze oswoić się nie mogły sieroty z myślą, że na wieki utraciły matkę, gdy oto po kilkodniowej chorobie Bóg zabrał im ojca. Był to cios straszny, okropny, co pocznie biedna Reginka z trojgiem małych dzieci?

I znów był dzień październikowy, tylko nie chmurny, jak w dzień śmierci matki, ale jasny i ciepły. W znanym nam pokoju, wieczorem, siedziały wszystkie dzieci, było to w tydzień po pogrzebie ojca. Reginka, zawsze błaża i wiotka, z wyrazem dziwnej powagi i smutku na twarzy, wsparta na rękę, patrzyła w płomień lampy, głęboko zamyślona, Edmund uczył się półgłosem, Adaś rysował, Kamilka, naśladując siostrę, podparła główkę na rączce. Zochna spała na kolanach Maciejowej, która siedziała przy piecu i szeptała pacierze, ocierając od czasu do czasu łzy, płynące po zmarszczonej twarzy. Cicho i smutno było w pokoju. Zegar zaczął bić siódmą, dźwięk ten wyrwał Reginkę z zadumy, potarła ręką czoło, spojrzała po rodzeństwie i, tłumiąc westchnienie, rzekła:

— Maciejowo, połóżcie Zosię do łóżeczka i podajcie nam herbatę, bo Kamilka niezadługo spać będzie chciała.

— O nie, Reginko — rzekła mała — spać mi się jeszcze nie chce, patrz, jakie mam duże oczy.

— Za godzinę zmniejszą się z pewnością. Edziu — rzekła Reginka, zwracając się do brata — trzeba nam pomówić wreszcie, co robić teraz będziemy, Ach! straszna dola nasza, nikogo już nie mamy na świecie, nikogo.

Edmund powoli podniósł głowę od książki i, przegarniając ręką gęstą czuprynę, odrzekł obojętnie:

— Już pomyślałem nad tem; jutro przenoszę się do mecenasa Z., mam u niego stół i stancję za dwie godziny korepetycji z jego malcem. U prezesa N. mam godzinę dziennie,

dostanę 15 rubli miesięcznie, to mi wystarczy na ubranie i różne potrzeby. Tak więc dam sobie radę, dopóki nie skończę uniwersytetu.

— Ale my? — szepnęła Reginka złamanym bołością głosem — cóż my poczniemy?

— A, wy, prawda... wiesz co, moja Reginko, dotąd nie pomyślałem, że i dla was wszystko się zmieniło. Zdawało mi się, że pozostaniecie tak nadal, jak jesteście.

Samolubstwo brata głęboko zraniło Reginkę, nie okazała jednak tego i rzekła łagodnie:

— Tak, trudno bo uwierzyć w sieroctwo nasze. A jednak musimy sobie radzić sami. Ty, Edmundzie, masz lat dziewiętnaście, jesteś mężczyzną, radź więc, co począć, aby wychować nasze sieroty.

Edmund wzruszył ramionami.

— Cóż ja poradzę? gdybym miał majątek, dałbym wam utrzymanie, gdybym zresztą miał już jakie stałe zajęcie, los zapewniony, to prędeż; ale dziś, gdy sam jeszcze uczyć się muszę i chleba dobijać, trudno, abym wam był jaką pomocą.

— Jednak pomyśleć coś możesz, poradzić.

— Co ja mogę poradzić przy swoich zajęciach? ty, Reginko, masz swobodną głowę i czas po temu, to ci łatwiej i myśl dobra przyjdzie. Już ja cię proszę, nie spuszczać się na mnie. Zresztą — dodał po chwili, gdy Reginka milczała — możeby oddać Adasia do jakiego rzemiosła, Zosię posyłać co rano do ochronki, a Kamilkę... najgorsza rzecz z Kamilką; podać ogłoszenie do dzienników, możeby ją wziął kto na wychowanie; a wówczas ty mogłabyś sobie prędeż poradzić. Doprawdy, nie wiem, co tu innego obmyśleć; rób, jak chcesz.

Reginka nie rzekła i słowa. Tak więc ona, siedemnastoletnia dziewczyna, miała myśleć o trzech sierotach. Spojrzała na Adasia, chłopczyk położył głowę na rękach, zdawało się, że drzemał. Biedny a szczęśliwy! pomyślała i zwróciła wzrok na Kamilkę. Dziewczynka patrzyła na Edmunda, w oczach jej

ły błyszczały, policzki gorzały mocnym rumieńcem, maleńką rączkę w pięść zacisnęła.

— Kamilko — rzekła Reginka łagodnym i cichym głosem — Kamilko.

— Szkaradny, niedobry Edzio! — krzyknęła mała z oburzeniem — niecierpię go, niecierpię!

— Dziecko, samo nie wiesz, co mówisz — mówiła Reginka — chodź do mnie, przysuń się. Czyż możesz tak brzydkie słowa wymawiać? Myśmy się wszyscy kochać powinni, tembardziej teraz, gdyśmy sami na świecie.

Dziewczynka gwałtownym ruchem zsunęła się z krzesła i z płaczem przybiegła do siostry. Reginka przytuliła ją do siebie a, całując jej czoło, rzekła:

— Przykro mi, żeś niegrzeczna dla Edzia, powinnaś go przeprosić.

— Nie chcę, nie przeproszę — szlochając mówiła mała — on mnie chce oddać do gazet; nie, nie kocham go, Boże, Boże, Reginko, nie daj mnie tym ludziom!

— Uspokój się, Kamilko, nie zrozumiałaś słów Edzia i gniewasz się niepotrzebnie. Nie lękaj się, dziecko, my się nie rozłączymy. Nigdy, nigdy — mówiła, przyciskając namiętnie dziewczynkę do serca — dopóki tylko będziesz potrzebowała mej opieki.

— O! ja ciebie kocham — mówiło dziecko, całując ręce Reginki — ciebie kocham, i Adasia, i Zosię, ale jego nie — dodała z uporem, potrząsając główką — i nie każ ty mi go kochać, bo nie będę.

— Ależ mniejsza o to, mała grymaśnico — rzekł Edmund niedbale — zupełnie mi to wszystko jedno, czy taka figa kocha mnie lub nienawidzi.

— Nie mów tak, Edmundzie — rzekła poważnie Reginka — z takich małych rzeczy na pozór wyradza się obojętność w rodzinie. Kamilka mówi, jak rozgrymaszone dziecko, ale nie można jej zostawić w tem usposobieniu i...

— E, co tam, niema o czem mówić — przerwał Edmund

niecierpliwie — o! pomyśl lepiej, Reginko, co masz począć z tą drobną dziatwą.

— Nic jeszcze nie wiem — rzekła Reginka z westchnieniem. — Do Nowego Roku mieszkanie zapłacone, mam 220 rubli gotowych pieniędzy, jest więc przeszło dwa miesiące czasu na to, aby coś postanowić; a muszę głęboko wszystko rozważyć, bo widzę, że tylko na mnie samej polega los całej rodziny.

— Z wyjątkiem mnie — przerwał Edmund, dumnie podnosząc głowę — i ażeby wam nie być ciężarem i darmo nie jeść chleba, mogę jutro wynieść się do mecenasa.

— Bracie — rzekła Reginka z wyrzutem — jak możesz tak mówić? ja myślę, że pozostaniesz z nami, dopóki mamy jeszcze mieszkanie własne. O! bo czyż kiedy w życiu zgromadzimy się tak przy jednym stole?

Edmund wzruszył ramionami, widocznie rozmowa ta nie sprawiała mu żadnej przyjemności.

— Przenieść się jutro muszę — rzekł po chwili — dałem słowo, rzecz niecofniona.

Spuścił głowę nad książką i znów półgłosem uczyć się zaczął.

Maciejowa położyła śpiącą dziecinę w kolebce i podała herbatę.

— Adasiu — rzekła Reginka — nie śpij, herbata na stole.

— O, ja nie śpię, siostrzyczko, myślę tylko, że dobrzeby było, żebym i ja poszedł za mamą.

— Nie mów tak, Adasiu, — rzekła upominająco Reginka — słowa takie zawsze są grzeszne.

— Ach! czemuż nie jestem tak duży, jak Edmund? ja bym, Reginko, zapracował i na ciebie, i na te moje małe siostrzyczki, a tak, to tylko biedę masz ze mną.

— Cicho, Adasiu, Bóg mi dopomoże i natchnie, co mam zrobić.

— Oddaj mnie do stolarza.

— A szkoły? . . . wszakżeś mówił nieraz, że pójdziesz do uniwersytetu.

Chłopczyk spuścił głowę i szepnął nieśmiało:

— Tak, dawniej, ale teraz wolałbym iść do stolarza, aby ci ująć kłopotu, siostrzyczko, — rzekł chłopczyk ze łzami w oczach.

— Dobrze, pocziwe dziecko — rzekła Reginka, tuląc go w objęciu. — O Boże, nie opuszczaj nas i pomóż mi, abym mogła wychować te biedne, drogie sieroty moje.

O dziewiętej dzieci już spały w swych łóżeczkach, lecz sen ich był niespokojny. Czasem Adaś wołał:

— Reginko, oddaj mnie do stolarza, tyś biedna, nie masz mnie za co posyłać do szkoły.

To znów Kamilka rzucała się na łóżeczku i, odpychając coś rączkami, mówiła:

— Nie kocham Edmunda, niedobry . . . do gazet mnie odda . . . Reginko, nie daj mnie . . .

Reginka ze łzami w oczach całowała i otulała biedne sieroty i szeptała im śpiącym do uszka:

O! ja was nie opuszczę, ja was wychowam, ptaszyny moje drogie.

Potem uklękła przed obrazem Matki Zbawiciela i długo się modliła, czasem rozpacznie zaciskała dłonie, to znów schylała ze świętą pokorą głowę, i wtenczas niebiańska ufność rozlewała się po jej bladej twarzyczce, na której widniała energia i silna wola. Wstała nareszcie, umocniona na duchu, bo szczerza modlitwa prawdziwym cudem uspokaja serca boleścią przepełnione i daje nam potrzebne siły do zniesienia cierpliwie wszelkich przykrości życia.

Dzień następny był znów smutnym i pełnym bóleści dla biednej Reginki. Edmund wyprowadzał się z domu, zbierał swe rzeczy i książki z jakimś gorączkowym niepokojem, widocznie był wzruszony. Pragnął zapewne uniknąć pożegnania, bo od czasu do czasu spoglądał z pod oka na Reginkę, która, trzymając Zosię na kolanach, wzrok miała utkwiony w portret

matki, wiszący naprzeciwko. Adaś był w szkole. Kamilka, z właściwą dzieciom ciekawością, chodziła zdala za bratem, podnosząc z ziemi porozrzucane papiery, okładki od kajetów, znosząc je troskliwie do kącika, w którym przechowywała lalki i wszystkie zabawki.

Nareszcie wszystko już było gotowe, już przybył i do-
rożkarz, mający przewieźć rzeczy Edmunda, ale ten jeszcze
chodził po pokoju, to wkładał rękawiczki, to je znów zdejmowa-
wał, stawał przed lustrem i poprawiał kołnierzyk, to włosy
przyglądał. Wkońcu zbrakło już przyczyn do odwlekania
stanowczej chwili pożegnania, i Edmund zbliżył się do Re-
ginki.

— Do widzenia kochana siostrzyczko — rzekł trochę
niepewnym głosem — jutro będę u was wieczorem.

Reginka ocknęła się z zamyślenia, podniosła się z miej-
sca i rękę wyciągnęła do brata.

— Edmundzie — rzekła, patrząc mu w oczy — wychod-
zisz z domu, w którym wzrosłeś i wychowałeś się, gdzie by-
łeś szczęśliwym pod opieką dobrych i zacnych rodziców, któ-
rych tu także straciłeś na wieki. Idziesz w świat o własnych
już siłach, oby te siły nie zawiodły cię nigdy! Ale, bracie, czy
nie czujesz potrzeby klęknąć przed wizerunkiem matki i ojca
i błagać ich, aby ci u Boga wyprosili błogosławieństwo na tę
nową drogę twojego życia?

— Dziecko jesteś, Reginko; duch rodziców moich jest
wszędzie, i na każdym miejscu modlić się za nich mogę. A te-
raz, żegnaj mi, siostrzyczko.

Dziewczę ze łzami rzuciło się w objęcia brata i gorącym
uściskiem przyłgnęło do jego piersi. W oczach Edmunda błę-
snęło coś, jak łza, opanował śpiesznie to wzruszenie, czulszym
jednak rzekł głosem:

— Reginko kochana, przecież nie rozstajemy się na za-
wsze, codzień widywać się będziemy. Na herbatę zapraszam
się do ciebie każdego wieczora. No, bądź zdrowa, siostró —
ucałował ją serdecznie i rękę jej do ust przycisnął. — Daj

buzi, mała — zwrócił się do Kamilki — a pamiętaj, bądź grzeczna, żeby Reginka biedy z tobą nie miała.

Dziewczyna założyła w tył rączki i wspięła się na paluszki, a Edmund pocałował różowy buziak; zwrócił się potem do Zosi, ale ta spała, minął więc kolebkę i śpiesznie wybiegł, nie oglądając się poza siebie. Bał się widać pokazać, że był cośkolwiek wzruszony; biedak, wstydził się tej trochę serdecznego ciepła, co tlało jeszcze w jego piersi. Reginka pozostała na środku pokoju i chwilę tak stała w milczeniu. Kamilka przystąpiła nieśmiało i, sięgnąwszy po jej rękę, do ust ją przycisnęła z czułością.

— Nie płacz, Reginko — prosiła — ja będę grzeczna, bardzo grzeczna, zobaczysz. Ale nie dlatego — dodała, potrząsając główką — że Edzio kazał, o! nie, jabym go nie słuchała, ale dlatego, że cię kocham i nie chcę, żebyś płakała.

Reginka wzięła dziecko na kolana i usiadła z niem przy kołysce Zosi.

— Obiecujesz mi być grzeczną a mówisz, że nie posłuchałabyś Edzia. Grzeczne dziecko słucha chętnie starszych, a Edzio starszy od ciebie i odemnie nawet.

Mała uważnie patrzyła na siostrę:

— A kiedy ja go nie kocham, to po co mam słuchać?

— Jeżeli nie kochasz Edzia, to nie kochasz i mnie, bo przecież Edzio jest bratem naszym.

— O! ciebie kocham — zawołała Kamilka, zarzucając rączki na szyję siostry — kocham bardzo, boś ty dobra, tak dobra, jak mama była. Ja i mamę kocham.

— Nie kochasz mamy, skoro nie kochasz Edzia.

Kamilka zamyśliła się, po chwili rzekła:

— Jak ja mam go kochać, kiedy nie mogę. Ach nie mogę Reginko, on taki niedobry, chciał mnie oddać gazetom. Ale ty mnie nie dasz, Reginko, prawda? — pytała mała, patrząc z trwogą w oczy siostry — niech sobie Edzio idzie do gazet, kiedy taki.

Reginka wytłomaczyła jej prawdziwe znaczenie słów Edmunda.

— To wszystko jedno — odrzekła — zawsze chciałam gdzieś oddać, a ja nie pójdę od ciebie nigdzie. Czy prawda, Reginko? Już będę kochać i Edzia, tylko mnie nie daj nikomu.

Reginka ucałowała dziewczynkę i przyrzekła, że się z nią nigdy nie rozłączy.

III.

Nieznajoma sąsiadka.

Na pierwszym piętrze w tejże kamienicy, gdzie mieszkały nasze sieroty, zajmowała trzy pokoje i kuchnię pani R., osoba sędziwa, około sześćdziesięciu lat mająca, o miłych i łagodnych rysach twarzy. Włosy jej białe zupełnie, gładko przyczesane do twarzy, pokryte były zawsze czarnym krepowym czepeczkiem, suknia czarna jedwabna zimą i latem, w dni powszednie i święta, białe webowy kołnierzyk, świeży i niezmięty nigdy, stanowiły jej ubranie. Od lat dwunastu, jak zamieszkała w tym domu, nikt jej nigdy inaczej ubranej nie widział. Pani R. żyła samotnie, nie bywała nigdzie, oprócz w kościele, wychodziła codziennie na godzin parę do Saskiego ogrodu, gdzie w bocznych ulicach używała swobodnej przechadzki, i potem, jak wyszła sama, tak i powracała do samotnego swego mieszkania. Jedna służąca, niemłoda już kobieta, po wiejsku ubrana i z mazurską mową, była w domu kucharką i pokojówką, praczką i panną służącą, słowem wszystkim. Pani R. nazywała ją zawsze zdrobniałem imieniem „Rózi“, widząc wzrosły i wychowały się razem. Mieszkanie pani R. urządzone było skromnie, ale z gustem i wszelką wygodą. W najdrobniejszej rzeczy znać było rękę kobiety, miłującej porządek i piękno.

W chwili, w której się z nią zapoznaliśmy, pani R. siedziała w środkowym pokoiku na wygodnym fotelu, wpatrzona

smutnie w portret kobiety młodej i pięknej, z rocznem może dziecięciem na kolanach. Główka dziecka pokryta była złotymi pierścieniami włosów, niebieskie, wielkie oczy śmiało patrzyły przed siebie. Był to portret jedynej córki pani R. wraz z synkiem; córka ta zmarła w trzy lata po ślubie, w dwudziestym roku życia, na grasującą wówczas ospę, trzy dni tylko przeżyła swoje dziecię, zgasła na tę samą chorobę.

Dwanaście lat upłynęło od tej bolesnej chwili, i pani R., opuściwszy wieś i gospodarstwo, przeniosła się do Warszawy. Wdowa od lat dwudziestu, blizkich krewnych nie miała, żyła więc samotna ze swemi wspomnieniami. Długą już chwilę siedziała, wpatrując się zażawionemi oczami w rysy ukochanej córki i ślicznego chłopczyka, gdy Różia weszła do pokoju a, założywszy ręce, stanęła obok krzesła pani i, patrząc na portret, żałośnie kiwała głową. Pani R. ocknęła się z zadumy i wzięła porzuconą wełnianą pończochę, którą robiła dla sierot do zakładu dobroczynnego.

— At, moja kochana pani — rzekła wreszcie Różia po chwili milczenia, fartuchem ocierając sobie oczy — co to już pomoże i myśleć, i płakać, woli Bożej nie cofnie.

— Czy myślisz, Róziu, że jest jedna chwila w mem życiu, w którejbym nie myślała o tych ukochanych moich? Ciężko dotknąłeś mnie Twą ręką, Panie, jednakże, bądź wola Twoja . . .

— Oj, oj, ciężko to na świecie, ciężko, i więcej podobno biedy i sieroctwa, niż szczęścia, moja złota pani. I tu w tym domu na drugiem piętrze zostało pięcioro sierot bez ojca i matki bez krewnych i opiekunów.

— Ach, to ten pan, co to tydzień temu, jak go chowali?

— A tak, matka im biedakom umarła jakoś dwa lata będzie rychtyg w tym miesiącu.

— Dziwna rzecz, że nie mogłam być na ich pogrzebie, i tym razem leżałam chora, i wtenczas, zdaje mi się, że także chorowałam.

— A jużci, toć to w on czas miała pani gorączkę gaty... gastr... niech ją tam — i Rózia machnęła ręką.

Pani R. siedziała zamyślona.

— Więc mówisz, że nie mają nikogo z rodziny, krewnych? Jakże oni sobie radzą biedaki?

— Ta, pogrzebem zajmował się ten siwy radca, co to mieszka na rogu Marszałkowskiej (Rózia wszystko wiedziała), a przez pierwszych parę dni była tam z nimi pani mecenasowa L., co to oni mieszkają na Miodowej, na pierwszym piętrze z balkonem. Ale teraz to jakoś i sami, a mówiła mi dziś Maciejowa, że ich i najstarszy panicz opuścił, i wyprowadził się het do mecenasu Z., co to na Nowym Świecie ma taką piękną kamienicę. Ot teraz wszystko polega na głowie panienki, ślicznej, jak aniołek, i bodaj — mówiła wahająco, patrząc na portret młodej kobiety — ej, że ja to się pierw tego nie domyśliłam, ale ona doprawdy dycht podobna do naszej kochanej Anielki. No — dodała, uderzając się w czoło — jak to człowiek patrzy i patrzy, a nie widzi. Ale mnie się zawsze zdawało, że ja tę panienkę gdzieś widziałam już dawno.

Pani R. poruszyła się na krześle, spojrzała z westchnieniem na ukochaną postać i rzekła:

— No mów, Róziu, mów mi o nich, co wiesz.

Rózia przysiadła u nóg swej pani.

— Ot, zostało ich pięcioro nieboraków, najstarszy Edzio, to już jest na uniwersytecie i poszedł, jak mówił, na swój chleb, bo będzie pracował na siebie. Druga córka Regina, oj, ta to istny aniołek, jak powiada Maciejowa, a i ja, jak na nią spojrzę, to aż mi serce zadygoce, takie to miłe, a przejrzyste, jak lilijka. Potem jest chłopczyk Adaś, nieładny, ale mu strasznie pocziwie z oczu patrzy, chodzi do szkoły, a jak się podobno uczy, to Maciejowa aż płacze z radości. I jest po Adasiu Kamilka, oj śliczna bo śliczna, ale pono okrutnie harda, i nie mało z nią wszyscy mają biedy. Najmłodsza Zosia, takie jakieś chuderlawe, ni ładne, ni brzydkie, ino bledziutkie takie zawsze, jak chusta, iście pono do nieboszczki matki podobna.

Co oni robić będą, to Bogu tylko wiadomo; mówiła mi Maciejowa, że panienka w nocy nie sypia, ino wzdycha i wzdycha, aż się serce kraje.

— Okropne położenie — szepnęła pani R. — no, i powiadasz, że nie mają nikogo?

— A toć nikogutko, bo kto to nad biedą się ulituje? jedno, dwoje, to i łatwiej, ale pięcioro, toć każdy boi się ręki przyłożyć, bo nie łatwo dać temu radę.

— Trzeba iść do nich — rzekła pani R., podnosząc się z miejsca — chociaż radą doświadczonej kobiety pomódz im może potrafię. A może... możeby wziąć z jedno, jak myślisz, Róziu, czy takie dwie stare kobiety potrafią wychować dziecko?

Pocziwa Rózia aż w ręce klasnęła z radości.

— O moja złota pani, a toż człowiek odżyje, jak taki aniołek szczebiotać będzie w naszych pokoikach. Oj, weźmy, weźmy, a może dwoje — rzekła, patrząc w oczy swej pani — tożby to się i pożywiło, zawsze u nas tego jedzenia zostaje, i aż do stróża zanoszę codzien w garnuszkach.

— Nie, moja Róziu, dwoje to niepodobna, bo nie o samo jedzenie chodzi; trzeba dziecię wychować i zabezpieczyć mu byt, dać chleb w rękę. No, ale zobaczymy, co czynić wypadnie, daj mi szal czarny i chodź, prowadź mnie.

Pani R. spojrzała, jakby na pożegnanie, na portret młodej matki i wyszła.

IV.

Adaś znajduje opiekunkę.

— Panienko — zawołała Maciejowa, wbiegając do pokoju — idzie tu ta pani z pierwszego piętra.

Pani R.? u której to jest ta Rózia, co to ją Maciejowa tak kocha? — zapytała Reginka cokolwiek zmieszana wizytą nieznaną osobą. Lecz nie było czasu na dłuższe obja-

śnienia, bo w tej samej chwili pani R. stanęła w progu. Reginka posunęła się ku niej.

— Witam cię, moje dziecko — rzekła przybyła ze słodyczą — jestem twoją najbliższą sąsiadką, chociaż nie znałyśmy się do tej pory. — Wymówiła swoje nazwisko.

Reginka zaprosiła ją do saloniku.

— Dziękuję ci, moje dziecko, przebaczone, że tak cię nazywam — i wyciągnęła do niej rękę którą dziewczę serdecznie do ust przycisnęło, ujęte miłym wyrazem jej twarzy i dźwiękiem głosu łagodnym i słodkim. — Dziękuję ci, wolę tu pozostać i proszę, uważaj mnie za dobrą znajomą, wszak mieszkamy pod jednym dachem.

— O pani — rzekła wzruszona panienka — tyle dobroci niczem niezasłużonej.

— Dziś dopiero dowiedziałam się o waszem nieszczęściu i przychodzę podzielić z wami boleść waszą, a może radą i doświadczeniem przydatną ci być potrafię. Bądź śmiałą i zupełnie otwartą względem mnie, bo widzisz przed sobą kobietę, której los w życiu nie oszczędzał. Wiem, żeście pozostali sami, bez krewnych i przyjaciół, narzucam ci więc przyjaźń moją i pomoc, w czym będę mogła.

Regince łzy drżały pod powiekami, przycisnęła mocno bijące serce, jakiś dziwny pociąg uczuła do białowłosej starsuszki, miała chęć osunąć się do jej kolan i wylać wszystkie łzy, wezbrane w sercu. Nie mogła słowa wymówić, milczała. Pani R. ze współczuciem spoglądała na nią, dziewczę miłe wrażenie uczyniło na zacnej kobiecie, kochała je już prawie. Istotnie, myślała sobie w duchu, Różia ma słuszość, ta dziewczynka podobna do mojej drogiej Anielki.

— Zapoznajże mnie, kochanko, z rodzeństwem.

— Adasiu, zbliż się — rzekła Reginka i poszła sama po Kamilkę, która wzrok miała utkwiony w przybyłą. Wzięła ją za rączkę i bez oporu małej przyprowadziła ją do pani R.

— To mój młodszy braciszek, uczeń klasy I — rzekła, wskazując Adasia, który skromnie i nieśmiało stanął na boku.

Pani R. wpatrzyła się w chłopczyka i wyciągnęła do niego rękę, którą on pocałował z uszanowaniem.

— A to moja siostrzyczka, Kamilka. — Dziewczynka przytuliła się do ręki Reginki.

— Chodź, maleńka, pocałuj mnie — rzekła zacna pani, przyciągając do siebie Kamilkę, — Czy będziesz mnie kochała?

— Tak, jeżeli pani jesteś tak dobra, jak Reginka.

— Więc bardzo, kochasz siostrę?

— Bardzo, bo ona dobra, jak moja mama była dobrą dla mnie.

— A czy i ty, kochanko, jesteś dobrą posłuszną i grzeczną, czy siostrzyczka nie ma z tobą zmartwienia?

Mała spuściła oczy, i mocny rumieniec wystąpił na jej policzki, po chwili jednak spojrzała śmiało na panią R. i rzekła gniewnym głosem:

— A dlaczego pani pyta się o to? czy pani moja mama albo tata?

Reginka zarumieniła się na te słowa Kamilki i znacząco na nią spojrzała.

— O, niech pani raczy przebaczyć Kamilce jej niegrzeczność — rzekła zmieszana do pani R. — niewymowna to dla mnie przykreść, że muszę się wstydić za siostrzyczkę.

Pani R. ze smutkiem spojrzała na młodą dziewczynę a, chcąc odwrócić rozmowę, zapytała:

— Ale masz jeszcze jedną siostrzyczkę?

— Tak, pani, śpi mała, lecz pójdę i zobaczę, może się już przebudziła — i Reginka szybko wyszła z pokoju.

— Zrobiłaś przykreść siostrze — rzekła pani R. do Kamilki — chodź, uściskaj mnie na przeprosiny.

Kamilka nie ruszyła się z miejsca.

— Jakto? nie chcesz?

— Nie chcę — odpowiedziała dziewczynka — przez panią Reginkę gniewa się na mnie.

— Jakto przezemnie?

— A tak, bo po co się pani pytała, czy ja jestem grzeczna?

— Czy nie wolno się o to pytać? a to ja cię przeproszam, maleńka; no cóż, zgoda? — pani R. wyciągnęła rękę. Dziewczynka znów się zarumieniła.

— Nie trzeba mnie przepraszać — rzekła już łagodniejszym głosem — bo ja jestem mała.

— A jakże będzie? ty mnie nie chcesz przeprosić, chociaż zawiniłaś; tak się nie możemy rozstać po pierwszym poznaniu, to byłoby bardzo przykro Regince.

Kamilka obejrzała się na drzwi, któremi wyszła siostra, i przysunęła się ku pani R. Zaczyna pani z uśmiechem spoglądała na zakłopotanie malej, w której sercu toczyła się walka miłości dla siostry z wrodzonym uporem i samowolą. Czarna, łukowato zgięta brewka, ściągnęła się chmurnie, karminowe usteczka zacisnęły się silnie, a drobne paluszki mięły niemilościwie końce fartuszka. Pani R. westchnęła smutnie, pomyślawszy, ile to pracy, cierpliwości i dobroci potrzeba będzie, aby wychować tę małą kapryśnicę, aby sprostować ten charakter, wydobyć co dobrego znajdzie się w tem serduszkach, podnieść je i uszlachetnić. W myśli swej już się zrzekła opieki nad Kamilką, czuła, że zanadto jest skolatana cierpieniem, aby miała siłę podolać takiemu zadaniu.

Wtem klamka poruszyła się u drzwi, mała drgnęła, mocny rumieniec wystąpił na jej bladą twarzyczkę i zanim drzwi się otworzyły, Kamilka rękę pani R. do ust swych przyciskała. Nie darmo umierająca matka mówiła, że tylko Reginka potrafi wychować to dziecko, bo tylko dla niej mała miała przywiązanie bez granic. Na ten widok, uśmiech radości opromienił twarz Reginki, która wracała z Zosią na ręku. Dziecina miała mocne rumieńce, a senną jeszcze główkę wsparła na ramieniu siostry.

— Oto moja najmłodsza siostrzyczka Zosia — rzekła Reginka, zbliżając się do pani R. — biedaczka nie będzie pamiętała rodziców — dodała z westchnieniem.

Pani R. wzięła małą na kolana, Zosia nie broniła się i,

po chwili pilnego przypatrywania się, z uśmiechem wymówiła: „Babcia“ Pani R. serdecznie przytuliła dziecko do piersi.

— Czy gniewasz się na mnie? — szepnęła Kamilka, zbliżając się do Reginki — ja przeprosiłam już tę panią.

— Nie, nie gniewam się — odpowiedziała jej poważnie siostra — ale była to dla mnie przykreść wielka bardzo.

— Już przeprosiłam, to dosyć.

— Tak, jeżeli ci przebaczone; ale czy myślisz, że ta pani zapomni tę niemiłą chwilę?

— Pozwól się pocałować, Reginko, już nigdy tego nie zrobię — i Kamilka obie rączki zarzuciła na szyję siostry.

Przez ten czas pani R. pieściła Zosię, a mała rozbawiła się serdecznie. Przyszła wreszcie Maciejowa i zabrała dzieci do drugiego pokoju, a pani R. pozostała sama z Reginką. Wzięła dziewczę za rękę i posadziła przy sobie na kanapie.

— Usiądź, moje dziecko, jesteśmy już jakby stare znajome, mów ze mną otwarcie. Powiedz mi zatem, kochanko, co myślisz robić nadal, aby wychować rodzinę? Widzę, że te wielkie i ciężkie obowiązki dźwigasz sama, ale czy im podołasz?

Regince łzy w oczach stanęły, i smutnie pochyliła głowę.

— Czy masz już jakie postanowienie, jakie projekta? — badała pani R., która coraz większy pociąg czuła do biednej sieroty. — A może jestem natrętną? — dodała niespokojnie, patrząc na milczącą dziewczynkę, i dłoń swą wychudłą położyła na jej rączkach. Łzy strumieniem spłynęły z oczu Reginki, przyciskając do ust rękę staruszki, wzruszonym wyrzekła głosem:

— O! pani, za tak wielkie dobrodziejstwa, jak współczucie i pomoc twą, którą dobrowolnie ofiarujesz, czyż mogłabym być niewdzięczną? Nie mam słów na wyrażenie uczucia, które napęłnia ma serce. Ach! sieroctwa takiego trudno bo i pojąć; sami, zupełnie sami pozostaliśmy na świecie, bez rady ludzi doświadczonych i dobrych. Żyliśmy zawsze samotnie, bo kilkoletnia choroba mej drogiej matki nie pozwalała utrzymywać żadnych stosunków. Po jej śmierci, pozostawszy najstarszą

w rodzinie, miałam zawsze za dużo pracy i zajęcia w domu, abym mogła myśleć o zawieraniu znajomości. Były tu dwie życzliwe nam rodziny, ale te od lat kilku wyprowadziły się z Warszawy, tak więc nie nam dziś nikogo.

— A krewnych nie macie, kochanko? — zapytała pani R.

— Z blizkich nikogo — odpowiedziała smutnie Reginka — dalszych nie znamy i nie wiemy o nich.

— Cóż więc poczniesz sama z trojgiem dzieci? to nad siły twoje.

— Nie wiem, ach nic jeszcze nie wiem — i Reginka rozpaczliwie zacisnęła dłonie.

Pani R. namyślała się, już powzięła niezmiennie postanowienie zabrania jednego z dzieci na wychowanie, chodziło jej tylko o to, które: Adasia czy Zosię? Kamilki się obawiała. A gdyby Adasia i Zosię? szepotało jej szlachetne serce, może Różia ma słuszość, że obojeby się jakoś wychowało, ale zacne te chęci przygłuszała myśl, iż zadanie jest nad siły dwóch starych kobiet, a i fundusze pani R. nie były zbyt wielkie.

— Więc jedno tylko — szepnęła smutnie — tak, nie mogę zabrać obojga.

Reginka po chwili milczenia mówiła dalej:

— Całego majątku zbierałam przez czas mego gospodarstwa dwieście dwadzieścia rubli, i to jest wszystko, co posiadamy. Te trochę rzeczy, co pozostało, niewielką ma wartość, wszystko, co lepsze, wyprzedało się w czasie choroby matki. Ja do niczego specjalnie nie jestem uzdolnioną; w piętnastym roku mego życia skończyłam pensję, później pracowałam nademną mój drogi ojciec i całe me umysłowe wykształcenie jemu winnam, ale z tej strony nie widzę środka utrzymania rodzeństwa i siebie. Myślałam już o kupieniu maszyny do szycia, ale jeżeli cały dzień siedzieć będę nad szyciem, co musiałabym czynić bezwątpienia, chcąc coś zapracować, to cóż się z dziećmi stanie? Zresztą taka początkująca i nieznana nikomu robotnica, czyż miałaby zarobek taki, aby mogła utrzymać rodzinę?

— Ha, moje dziecko, trzeba się nad tem głębiej zastanowić, bo kto wie, czy toby jednak nie było i dobrze. Maszyny dopiero wchodzą w użycie, warto pomyśleć. A teraz posłuchaj mnie, Reginko — i pani R. zawahała się, trudno jej było wypowiedzieć myśl swoją. — Widzisz, kochanko, ja bo także jestem sierotą. Może wyraz ten nie przystoi osiwiałej kobiecie, o! ale i w starości są straszne sieroctwa, od których włosy bieleją, jak moje oto. Opowiem ci nieszczęścia swoje aby serce twe zrozumiało dobrze i pojęło, co chcę uczynić. W ośmnastym roku mego życia wyszłam za mąż za bardzo zacnego i bogatego obywatela, lecz szczęście moje było zbyt krótkie, mąż mój żył ze mną tylko lat dziesięć, umarł na tyfus. W pół roku potem pochowałam pięcioletniego synka, i została mi jedyna tylko dziewięcioletnia córeczka. Czem było dla mnie to dziecię, ty pojmiesz, dziewczeczko, bo choć tak młodziutka laty, ale sama wychowujesz sercem matki pozostałe sierotki. Ale też i Anielka moja była aniołem, nie sercem i miłością matki ją oceniam, lecz tak było rzeczywiście. Wydałam ją za mąż, a w trzy lata potem straciłam na grasującą ospę, o trzy dni wcześniej poszedł roczny jej synek. Odtąd żyję samotnie i tęsknię za godziną śmierci, która mnie połączy z ukochanymi. Lecz teraz mogłoby życie moje mieć powab jakiś, dopomóż mi do tego, Reginko, daj mi jedno z twych dziattek. Nie mam wielkiego majątku, ale co będzie w mej możności, wszystko uczynię i nic nie zaniedbam, aby dziecieniu zapewnić byt niezależny. Daj mi Adasia — wyrzekła po chwili namysłu — może w nim znajdę pociechę, jakiej się spodziewałam po moim synku, a potem wnuku. Bóg mi ich zabrał, niech się spełni święta wola Jego. I cóż ty na to, dziewczeczko? Lękasz się mi zaufać? Tak, nieznanomej kobiecie trudno oddać dziecko; więc ja ci dam czas do namysłu, odpowiesz mi za dni kilka, namyśl się, kochanko — i pani R. ukryła twarz w dłoniach, a łzy płynęły po zmarszczonem jej licu.

Reginka z wzrokiem wlepionym w portret matki siedziała milcząca i nieruchoma. Wszystko to, co usłyszała, snem jej

się wydało. Adaś, o którego najbardziej się teraz martwiła, będzie mógł się uczyć, kończyć szkoły, opieka zacnej i kochającej kobiety czuwać nad nim będzie; ależ to w ich położeniu szczęście, o jakim i marzyć nie śmiała. Ach! to jej święta matka uprosiła u Boga dla swojej biednej sieroty tę łaskę. O! teraz ona da sobie radę z małemi siostrzyczkami. Otucha wstąpiła do jej serca, oni nie zginą w nędzy. I Reginka snuje w swej myśli różne projekta, a wszystko idzie już łatwo, tyle, ile potrzeba dla nich bez Adasia, to ona zapracuje. I zapomniała, że pani R. siedzi przy niej i czeka niespokojna na odpowiedź, zacna staryszka już całą duszą przylgnęła do chłopczyka.

Wtem drzwi się otworzyły i Adaś wszedł nieśmiało. Reginka drgnęła, spojrzała na panią R. i widziała jej wzrok, zwrócony na chłopczyka. Więc to nie sen, szepnęła i przesunęła ręką po czole. Ale w chwili, kiedy się miała schylić do kolan białowłosej staruszki, stanęło jej w myśli, że rozłączyć się musi z dobrym i kochanym bracińskim, ból jakiś ścisnął jej serce, i z głośnym płaczem schwyciła dziecko w objęcia.

— Ach! już my wszyscy rozpraszamy się po świecie; Boże, gdzież się szukać będziemy?

Adaś nie wiedział, co to ma znaczyć, wystraszony wybuchem żalu tak zwykle panującej nad sobą Reginki, rozplakał się rzewnie i tulił ręce siostry do ust swoich. Ale po chwili dziewczeczka oprzytomniała. Wzięła brata za rękę i przyprowadziła go do pani R.

— Ach, daruj pani — rzekła drżącym od wzruszenia głosem — daruj ten wybuch boleści na myśl, że rozłączyć się z nim muszę; nie mogłam zapanować nad sobą, zapomniałam, że przykróść tem sprawię twemu szlachetnemu sercu.

Pani R. podniosła się i utuliła w objęciu Reginkę.

— Więc jakże, moje dziecko? — zapytała.

— Cóż mogę podwieść więcej nad to, aby ci Bóg, droga pani, stokrotnem błogosławieństwem nagrodził ten uczynek.

Adasiu — zwróciła się do chłopczyka, ale łzy znów jej głos zatamowały, lecz teraz ukryła głowę na piersiach nowej opiekunki i cicho łkała.

— Uspokój się, kochanko — mówiła dobra staruszka, niezrażona żalem dzwiewczęcia — uspokój się. Adaś pozostanie u ciebie tak długo, póki nie opuścisz tego mieszkania; na przyszłość zaś musisz w bliskości gdzie zamieszkać, bo i mnie trudnoby było długo cię nie widzieć, a ja stąd już się nie ruszę.

Adaś zdziwiony o niczem nie wiedział, spoglądał niespokojnie, i nie mógł odgadnąć, co zaszło pomiędzy siostrą a panią z pierwszego piętra. Ale i on, tak samo jak Kamilka, gotów już był okazać swój żal nowej znajomej za łzy Reginki. Dziewczę uspokoiło się w tkliwym uścisku zacnej kobiety i, przycisnąwszy do ust jej rękę^{*}szepnęło:

— Ach, dobrą pani jesteś, nad wszelki wyraz dobrą i Adaś będzie szczęśliwy pod twą opieką. Ale i on zasłuży, droga pani, abyś go kochała, ręczę ci za niego. — I wzięwszy chłopczyka za rękę, opowiedziała mu, co zaszło.

Dziecko milczało, łzy połykając. Lecz był to chłopczyk nad wiek swój roztropny i rozwinięty. Pojął odrazu świadczone dobrodziejstwo, i myśl pocziwa, że on kiedyś da pomoc i opiekę siostrze, że się będzie mógł uczyć, czego tak gorąco pragnął, osłodziła mu konieczność rozstania z ukochaną siostrzyczką. Bolały go tylko łzy Reginki, a jej smutek ciążył mu na sercu, zapomniał o sobie i, uśmiechając się przez łzy do siostry, zawołał:

— O dzięki Bogu, będę się mógł uczyć, a ty, Reginko, nie będziesz się o mnie martwiła; jak urosnę, to już zobaczysz, jak nam wszystkim dobrze będzie. Nie płacz, siostrzyczko, moja opiekunka pozwoli mi cię odwiedzać, a ja będę się starał zasłużyć na tę nagrodę jak najczęściej.

Chłopczyzna serdecznie zaczął całować ręce pani R., a gdy ta z rozczeniem przycisnęła głowę jego do piersi, Adaś zsunął się do jej kolan i tłumiąc łkanie powiedział:

— O będę bardzo, bardzo panią kochał.

— Dobrze, moje dziecię, tego tylko pragnę od ciebie, a może choć przy schyłku rozjaśni się dni mego życia. No, cieszcie się jeszcze razem, moje dzieci drogie, ja już pójdę do siebie, a tak mi jakoś miło i lekko na sercu, jak od lat wielu nie było. Pójdę przez kuchnię — rzekła do Reginki, chcącej ją wyprowadzić przez salkę — bo muszę zabrać swoją Rózię, dopiero to się ucieszy pocziwe kobiecisko, gdy się dowie o skutku mych odwiedzin.

— Ja bo już wiem, droga pani moja — odezwał się głos z za uchylonych drzwi, i zapłakana twarz Rózi, która gwałtem uśmiechać się chciała, ukazała się, zaglądając do pokoju. — Tak, tak, nie płacz, kochana panienko, u nas będzie dobrze twemu braciszкови, my go wychowamy na porządnego i dobrego człowieka, a już ja o wszystkich jego wygodach myśleć będę,

Pocziwej Rózi ani przez myśl nie przeszło, aby ona drugorzędną w tem miała grać rolę. Pani R. uśmiechnęła się przyjaźnie do starej sługi i, kładąc rękę na jej ramieniu, wyrzekła:

— Tak, moja Róziu, będziemy się ubiegały o to, aby naszemu Adasiowi dobrze u nas było.

— Szkoda tylko — szepnęła Różia po cichu — że i tej małej dziewczynki nie weźmiemy; zawsze co dwoje, to dwoje — i, westchnąwszy smutnie, pokiwała głową, poprawiając czepek, który miał tę specjalność, że zawsze na oczy się zsuwał.

— Do widzenia, droga Reginko, jutro może znów uradzimy co dobrego. Bądź spokojna, kochanko, Bóg nie opuszcza tych, co Mu ufają i pracować pragną.

Pani R., odprowadzona przez wszystkich aż do drzwi sieni, powróciła do siebie. Różia przez całą drogę, idąc za swą panią, kiwała głową i szeptała:

— Zawsze jednak szkoda, że nie dwoje, i coby to taka mała dziecinka, jak ta Zosia, kosztowała? bo to ani zje dużo, ani ubrania wielkiego nie potrzebuje. Boże mój drogi, toć to temu i z fartucha sukienkę by uszył. No, jak raz mam oto ten szafirowy merynosowy, co go nie miałam ani razu, a jesz-

cze mi go kupiła kochana Anielka, świeć Pani nad jej duszą, A ot z tego czarnego materjalnego rychtyg byłby kaftaniczek.

Pocziwa Różia wystawiała sobie, że Zosia zawsze będzie czteroletniem dzieckiem.

V.

Na nowem mieszkaniu.

Po odejściu pani R., Reginka usiadła na sofie i, wzięwszy Zosię na kolana, mając po jednej stronie Adasia a po drugiej Kamilkę, rzekła do Maciejowej, która krzątała się z podaniem herbaty:

— Ach, Maciejowo kochana, czy to sen? Czyż mogliśmy przypuścić, aby ta pani, o której zawsze lubiliście opowiadać, stała się takim aniołem dla naszej rodziny? I jakie to szczęście, że właśnie Adasia wybrała. Nie chciałam nic mówić, ale to był największy mój kłopot. Bo czyż mogłabym mu dać wychowanie, o jakim zawsze marzy chłopczyna?

— Bo to, moja jagódko, nie darmo ludzie mówią: nad sierotą Bóg z kaletą. Oj, prawda, święta prawda...

I Maciejowa lzy fartuchem otarła.

W tej chwili dało się słyszeć szybkie drzwi otwarcie w kuchni i Edmund wbiegł do pokoju.

— Słowny jestem, Reginko, przychodzę na herbatę, a widzę, że dobrze trafiłem, bo oto Maciejowa jakoś się zaczyna krzątać.

I Edmund, uściskawszy rękę Reginki, na młodsze rodzeństwo ledwo że spojrział.

— Dobrą nowinę mam ci powiedzieć, Edziu; ledwie kilka godzin, jak nas opuściłeś, a już zmiany nie do uwierzenia.

— No i cóż takiego? — rzekł Edmund niedbale, siadając na krześle i przegarniając gęstą czuprynę — musi to być nielada nowina, skoro najpierw mówisz o niej, nie pytając nawet,

jak mnie się na nowem mieszkaniu podobało. Słucham więc, mów proszę — i założył nogę jedną na drugą.

Po licu Reginki lekki przemknął rumieniec, ale spokojnym głosem odpowiedziała:

— Nie miej mi za złe, iż najpierw o to nie spytałam, ale sam powiedziałeś, że o ciebie kłopotać się nie potrzebuję, niemniej przeto los twój więcej mnie obchodzi, niż mój własny. W tej chwili jednak myśl moja cała była przy Adasiu, a gdy ci opowiem wszystko, nie będziesz się dziwił memu roztargnieniu.

— A więc cóż tego malca spotkało? — i Edmund zwrócił się obojętnie w stronę chłopczyka, który przytulił się do ramienia Reginki.

Reginka opowiedziała rzecz całą, Edmund słuchał, od czasu do czasu odgarniając włosy z czoła.

— Ha — zawołał, uśmiechając się wesoło — to prawda, że szczęście nielada. Żeby jeszcze kto chciał się zmiłować nad Kamilką i Zosią, byłabyś zupełnie swobodną i spokojną. Mogłabyś iść gdzie za pannę do towarzystwa, jesteś na to dość wykształconą i ot po kłopotcie. A tak, ani wiem, co poczniesz z malcami.

Reginka smutnie spojrzała na brata, a Kamilka rozplakała się i, zwracając się do Reginki rzekła:

— Czy to naprawdę taka bieda z nami? ach! moja Reginko, już ja zawsze będę grzeczna, tylko mnie nie daj nikomu i Zosi nie daj. Niech sobie Edzio idzie, gdzie chce, on taki niedobry, ja go nie kocham.

— Widzisz, znów jesteś niegrzeczna, już zapomniałaś o przyrzeczeniu.

Mała otarła szybko oczy i chmurnie spojrzała na brata.

— Tak — szepnęła sama do siebie — jak mam go kochać, kiedy nie mogę, o, nie mogę, nie mogę! — i zacisnęła rączki na piersiach.

Edmund podniósł się z miejsca.

— No i cóż myślisz zrobić? — zapytał Reginki.

— O, nic jeszcze nie wiem, ale mam ufność w Bogu, że mi dopomoże zapracować na utrzymanie i wychowanie siostrzyczek. Proszę cię tylko, Edmundzie, nie wspominaj mi nigdy o oddaniu Komilki komukolwiek, bo z tego nic nie będzie, póki ja żyję. I Zosi nie oddam, miałam tylko kłopot o Adasia, ale skoro on znalazł tak złą opiekunkę i o los jego jestem spokojną, już teraz dam sobie radę.

— Ale jak? — rzekł niecierpliwie Edmund — bo na mnie nie rachuj, ja dziś sam sobie ledwie wystarczyć mogę.

— Bądź spokojny, mój drogi — i Reginka boleśnie się uśmiechnęła — pojmuję to dobrze, że ucząc się i tak masz wiele trudu, aby zapracować na siebie, ja nic a nic nie rachuję na twoją pomoc. Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że mamy gotowych pieniędzy dwieście dwadzieścia rubli, o których już wspominałam; czy chcesz wziąć część jakąś! może ci potrzeba na co, nim odbierzesz pensję swoją?

Edmund zarumienił się na te słowa siostry, zawahał się jednak chwilę, nim odpowiedział.

— Nic, nic mi nie potrzeba i zrzekam się wszelkich pozostałości po rodzicach, sam sobie wystarczę — dodał z przy-ciskiem.

— Maciejowa, podajcie herbatę — rzekł, zwracając się do starej kobiety, która wchodziła właśnie z samowarem — czasu mam niewiele, muszę śpieszyć na korepetycje.

Reginka zajęła się herbatą, a w godzinę później Edmund zbiegł ze schodów.

Reginka już od kilku tygodni na nowe przeniosła nie mieszkanie. Adaś oddawna był u pani R. Staruszka sercem całem przylgnęła do chłopczyny, a poczciwa Różia pielegnowała go i pieściła, jak małe dzieciątko. Chłopczyk odwzajemniał się za świadczone dobrodziejstwa posłuszeństwem bez granic i pilnością w naukach, którym się oddawał z zapalem. Pani R. musiała go nieraz gwałtem od książki odciągać, bojąc się, aby zbyt ciężka praca nie zaszkodziła wychowankowi. Prawdziwie macierzyńską troskliwością otoczony, Adaś gorąco

dziękował Bogu, że mu dał możliwość kształcenia się, że nie był ciężarem Regince, że ukochana siostrzyczka kłopotać się o niego nie potrzebowała. Bywał też u niej codziennie i serdeczną pieśszcztą starał się wynagrodzić jej przykrą rozłąkę. Reginka miała jednak w tem pociechę, że chłopczyk był zdrow, wesół, zawsze dobry i miły, pracowity i wytrwały, najpiękniejze na przyszłość rokował nadzieje.

U Reginki dotąd wszystko szło dobrze. Po naradzie z panią R. nic na teraz nie można było wymyśleć lepszego, coby dawało możliwość utrzymania, jak kupienie maszyny do szycia; maszyny te w owym czasie dopiero w użycie wchodzić zaczynały. Reginka wielką miała zręczność do robót i wielką wprawę, bo przy słabowitej zawsze matce i małych funduszach ojca, sama zajmować się musiała szyciem bielizny i sukien dla wszystkich w domu. Nie mogła myśleć o korzystniejszej i mniej mozolnej pracy, bo na naukę czasu nie było. Dzień każdy przyczyniał wydatków, maleńki kapitał, przy największej nawet oszczędności, wyczerpywał się, było więc rzeczą konieczną jak najśpieszniej coś przedsięwziąć. Kupiła maszynę i, zapłaciwszy za naukę szycia, szybko się w tej pracy wydoskonaliła.

Z początku o robotę było bardzo trudno, ale za staraniem stróżki, wielkiej przyjaciółki Maciejowej, jakoś coraz przybywało zamówień i wkrótce już Reginka wydążyć nie mogła w wykończaniu obstalowanej roboty. Przyjęła więc do pomocy młodą dziewczynkę, córkę wdowy po urzędniku, która za małym wynagrodzeniem, bo głównie dla wprawy i nabycia zręczności, przychodziła na dni całe. Wkrótce i drugą pomocnicę przyjąć musiała, tak wiele miała roboty.

W domu wszystko szło porządnie i składnie, bo chociaż Reginka cały dzień była zajęta pracą, potrafiła jednak Maciejowej tak wszystko rozporządzić, że nigdy w niczem najmniejszego nie było zamieszania. Kamilka pod okiem siostry zajęta była szyciem i krajaniem dla swoich lalek lub układała wyrazy z ruchomego abecadła, w czem jej Reginka pomagać mogła, nie przerywając sobie.

Edmund coraz rzadszym bywał u nich gościem, wymawiał się zawsze mnóstwem pracy i korepetycji, dla których, jak mówił, snu się musiał pozbawić, pracując w nocy nad własną nauką. Pomimo jednak tej pracy, bywał bardzo często w teatrze i na koncertach. Małoduszny chłopiec uważał to za należną sobie rozrywkę. Wprawdzie czasem wśród najweselszego przedstawienia jawiła mu się w myśli blada i smutna twarz Reginki i widział ją pochyloną nad maszyną, z zaparciem siebie pracującą nad utrzymaniem sierotek, nie myślącą nigdy o sobie, ale obraz ten oddalał śpiesznie, bo to mu trochę psuło humor, a przecież za swoje pieniądze powinien był swobodnie używać przyjemności.

Był to chłopiec prawdziwie do szczęścia stworzony, tak łatwo dotąd snuła się nić jego życia. U mecenasa miał wszelkie wygody za dwie godziny korepetycji z jego synkiem, a za lekcje, dawane na mieście dostawał dwadzieścia pięć rubli na miesiąc. Gdyby Edmund nie był samolubem, mógłby być Regince chociaż w części jakiej przyjść w pomoc, ale brzydki egoista myślał tylko o sobie.

Reginka też nigdy się przed nim na żaden brak nie skarżyła, nigdy mu o swoich kłopotach nie wspominała. Łagodnym uśmiechem witała wchodzącego, odchodzącego żegnała serdecznym uściskiem i smutnem spojrzeniem. Edmund nie pytał jej też o nic, rad widocznie, że siostra unikała wszelkich zwierzeń. Biedna Reginka poznała już duszę brata, z boleścią wielką powiedziała sobie: „Ach! już on nie nasz”. Ileż to razy po jego wyjściu ze łzami w oczach stawiała przed wizerunkiem matki, modląc się gorąco do Boga, aby ten brat ukochany nie zaginął jej w świecie, aby nie zobojętniał zupełnie.

Tak więc Regince w pracy i poświęceniu dla małych sierotek upływały dni i tygodnie. W niedziele i każde święto szli wszyscy na obiad do pani R., która zdawało się, że odżyła na nowo. Smutek jej złagodził, a oczy nie tak często zachodziły łzami. Miała cel życia, widziała się potrzebną na świecie

i dziwiła się tylko, dlaczego wpięrow nie wpadła na tę myśl, aby dziecię ubogie przyjąć za swoje.

— Lecz dobrze się stało — dodawała zaraz — bo nie mogłabym była wziąć Adasia, a takiego dziecka pocziwego niema chyba drugiego na świecie. A Reginka? — szeptało jej serce. — O! Reginka, to znów co innego. To nie dziecko, ale kobieta dojrzała sercem i umysłem, to ideał wszelkich cnót i poświęceń, to uosobienie tego wszystkiego, co dobrem i pięknem jest w kobiecie. Być dobrą w łatwych warunkach życia, to tysiące kobiet i dzieci potrafi, lecz zaprzeć się siebie, nie opuścić rąk rozpacznie w nieszczęściu, ale dzwigać ciężar pracy, jedynie przez miłość dla rodziny i głębokie poczucie obowiązków, jakie spadają po śmierci rodziców na najstarsze z rodzeństwa, to cnota wielkiej duszy i bohaterskiego charakteru.

Takiemi właśnie myślami zajęta była pani R. jednego dnia po południu, robiąc pończoszkę z pięknej kolorowej wełny dla małej Zosi, gdy drzwi się otworzyły i weszła Reginka, zarumieniona lekko od mrozu, prowadząc za rączkę Kamilkę, ciepło i starannie ubraną.

— A witajże mi, witaj, kochanko — zawołała uradowana staruszka, podnosząc się ze swego wygodnego krzesła i ścisnąc przybyłą — cóż się to stało, że dnia powszedniego tak niezmordowaną pracownicę widzę u siebie?

— Dzień dziś taki prześliczny — odrzekła Reginka, całując ręce sędziwej przyjaciółki — taki słoneczny i ciepły, zdaje mi się więc, że dla zdrowia Kamilki trzeba było użyć choć chwilowej przechadzki. Wyszedłszy z domu, nie mogłam oprzeć się sercu, aby drogiej pani nie odwiedzić.

— Bóg ci zapłać, dziewczeczko, siadajże, ale się rozbierz z kaftanika. Pogawędzimy sobie, tak cię już dawno nie widziałam.

— O bo my, babciulku, mamy bardzo dużo roboty — wtrąciła Kamilka, zrzucając z siebie salopkę i kapturek — bardzo dużo mamy roboty.

— Moja ty robotnico kochana, chodźże, niech się uści-
skam i różowego buziaka ucałuje. Powiedzże mi — dodała tu-
ląc dziewczynkę w objęciu, cóż teraz porabiacie?

Mała poważną przybrała minkę i rzekła:

— Szyjemy całą wyprawę dla panny Marji B. i dla p.
Cecylji O. Ażeby babcia wiedziała, jakie prześliczne czepeczki
i kaftaniki! zaraz takie same posyłam dla mojej laluni.

— To już wierzę, że muszą być ładne — a, zwracając się
do Reginki, która z uśmiechem zadowolenia i miłości spoglą-
dała na siostrzyczkę, dodała:

— I kiedyż to, kochanko, oddano ci tę robotę?

— W poniedziałek, droga pani, jest to robota przysłana
mi ze wsi, polecila mię tym osobom pani H., dla której szy-
łam bardzo dużo bielizny. Musiałam przybrać dwie pomocnice,
bo robota pilna.

— Chwała Bogu, dziecko kochane, że ci nie zbywa na
obstalnunkach, tylko mi się za bardzo nie oddawaj pracy. Ale,
przepraszam cię, że wyjdę, muszę Rózi powiedzieć, aby nam
kawki zrobiła.

W tej chwili uśmiechnięta twarz Rózi ukazała się we
drzwiach.

— E, proszę pani, co to, żeby mi mówić trzeba, ja ino
posłyszałam głos Kamilki na schodach, chuciuchno ogień roz-
paliłam, i, nie mówiąc długo, kawa już prawie gorąca.

— No to dobrze, moja Róziu, wiem ja, że ty jesteś do-
myślna, ale sądziłam, że nie słyszałaś wejścia gości.

Rózia poprawiła czepka na głowie, co widocznie było jej
przyzwyczajeniem, i wzruszyła ramionami, że można było po-
wątpiewać tak o niej.

— Ot przyszłam po pieniądze na rogalki, bo nie mówiąc
długo, trzeba po nie skoczyć.

Reginka uśmiechnęła się przyjaźnie do pocziwej kobiety
i powitała ją uprzejmymi słowami.

— A mój migdalik, byłże też dziś u panienki, co? Pra-
wda, że dobrze wygląda? świeży i rumiany, jak bułeczka. Ot

w samą porę wymówiło mi się o buleczkach, przypomniałam sobie, że po pieniądze przyszłam. Ale bo to człowiek, jak sobie o tem kochanem dziecku wspomni, to, nie mówiąc długo, zapomina o wszystkim.

— Tak, moja Róziu — rzekła z uśmiechem pani R. — nie mówiąc długo, byłabyś już i z rogalikami wróciła, a może tam i śmietanka wykipiiała.

Rózia wzięła pieniądze i, machnąwszy ręką, śpiesznie wyszła z pokoju.

— Pocziwa, dobra kobieta — szepnęła za odchodzącą pani domu a, zwracając się do Reginki, dodała: — dobra sługa, kochanko, to przyjaciółka, na którą liczyć można w najprzykrzejszych chwilach życia. Moja Rózia to perła służących.

— I nasza Maciejowa także — zawołała żywo Reginka — o, jak ona nas kocha, jak bardzo kocha. Ileż to ona się napracuje, aby mi ująć najmniejszego zajęcia, przytem Zochnę prawie piastować trzeba, takie biedactwo mizerne i wątłe, a nigdy skarga z ust jej nie wyjdzie, nigdy się nie zniecierpliwi. O, jakież to serce, jaka dusza piękna!

— Tak, zacna kobieta, szanuję ją i cenię, żeby ci tylko jeszcze nie pozwalała za długo siedzieć nad robotą.

— Ach, wiecznie o to mamy utarczki — rzekła wesoło Reginka — i dzisiejsza przechadzka jest z jej namowy. A wiedziała dobrze, czem mię oderwać od pracy, powiedziała, że Kamilka mizernieje z braku powietrza i ruchu.

— Nietylko Kamilka, ale i ty, kochanko, potrzebujesz codziennie przejść się choć godzinę. Przez miłość dla rodzeństwa powinnaś więcej dbać o swe zdrowie, i nie zamećzać się tak pracą.

— To maszyna za mnie pracuje — rzekła Reginka, całując ręce troskliwej opiekunki — a ja tylko się bawię tą niby pracą.

— Niby pracą — powtórzyła pani R. — kiwając głową — oj dziecko, dziecko, pamiętaj o sobie.

— Nic to, droga pani, nic mi ni szkodzi. Oby mi tylko

zdrowia i roboty nigdy nie zabrakło, a siłę i wytrwałość znajdę zawsze, bo je czerpać będę w miłości dla mych sierotek i we wspomnieniu tej chwili, gdy umierająca matka w opiekę mi je oddała.

Przy tych słowach twarz dziewczęcia żywym zajaśniała rumieńcem, a w oku błysnęła łza rozrzewnienia głębokiego. Pani R. z zachwytem i uwielbieniem spoglądała na śliczną dziewczkę a, wyciągając do niej rękę, wzruszonym rzekła głosem:

— Bóg z toba, dziecko kochane, pracuj i ufaj, widzę, że sił ci nie zbraknie, bo masz niewyczerpane źródło miłości i poświęcenia w swem sercu. A jakże się miewa Edmund? — zapytała po chwili milczenia.

— Edmund — odrzekła zakłopotana trochę — Edmund zdrów pewno, ale musi mieć dużo pracy i zajęcia biedak, bo nie widziałam go przeszło już od tygodnia.

Pani R. smutnie pokiwała głową.

— Pracy i zajęcia — powtórzyła machinalnie, tak, musi mieć dużo pracy, bo i u mnie nie był już bardzo dawno. Lecz czy aby nie chory? — dodała śpiesznie.

— Nie — rzekła Reginka, spuszczać oczy — Maciejowa widziała go dziś na ulicy, lecz szedł śpiesznie i nie mogła z nim mówić.

Dziewczę było mocno zakłopotane, czuło dobrze w swem sercu, że Edmund coraz bardziej obojętniał dla rodziny, przychodził ledwie na chwilę, już oddawna nie chciał pozostać na herbacie, wymawiając się zawsze brakiem czasu. Bywał zwykle roztargniony, o Adasia nie pytał prawie, na Zosię nie spojrzał, a Kamilkę czasami, jako dowód wielkiej łaski, zlekka uszczypnął w policzek, co mała z wielkim przyjmowała marssem i nieraz drobną podnosiła rączkę, chcąc kłapsem odplacić kares braterski, ale obecność Reginki powstrzymywała ją zwykle. Trudno było prawej dziewczce kłamstwem bronić brata przed złą przyjaciółką, boleśnie oskarżać, umilkła więc, nie wiedząc, jak odwrócić rozmowę.

Spostrzegła to pani R. a pełna delikatności i tkliwego serca, nie chcąc Regince robić przykrości, zwróciła się do Kamilki.

— No i cóż, mała, stoisz tak zasepiona, nie popieścisz to babci i nie powiesz mi co nowego?

Dziewczynka śpiesznie się zbliżyła a, zarzucając obie ręczki na szyję przybranej babki, stłumionym rzekła głosem:

— Ach, babciu kochana. jak ja mogę być wesoła, kiedy jak mi się przypomni ten Edzio, to taka jestem zła, taka zła, że aż strach. — Dziecko drobne zacisnęło pięści.

— Prawdziwie, że to strach — rzekła łagodnie pani R. — oby taka mała dziewczynka umiała być złą na brata, i to na brata starszego. Jak to musi martwić Reginkę.

— Tak, a on to niby nie martwi Reginki — rzekła mała żalonym głosem — zawsze jak odejdzie, to Reginka płacze, bardzo długo płacze, niby to ja nie widzę. A czyż to grzech, że ja Reginkę kocham więcej, sto razy więcej niż Edzia? Czy to grzech, babciu? — pytała natrętnie.

— Nie, dziecię moje, to nie grzech, Reginkę zaraz po Bogu kochać powinnaś, bo ona dla ciebie wszystkiem jest na świecie.

— A widzisz, siostrzyczko — zawołała mała, radośnie klaszcząc w ręczki — a widzisz, i babcia mówi, że ciebie najwięcej kochać powinnam, a ty mi zawsze każesz Edzia, i Adasia, i Zosię kochać tak samo, jak ciebie. O, nie mogę nikogo tak kochać, jak ciebie. A jeszcze Edzia... — i przy tych słowach czarne oczy dziewczynki błysnęły oburzeniem.

— Ach, droga pani, jaką mi przykreść sprawia, że Kamilka, pomimo mej prośby, taka niedobra dla brata starszego. Myślę, że to może z jej powodu Edmund tak rzadkim jest u nas gościem. Nigdy ona go nie popieści, słodkiego nie powie słówka, nigdy nie poprosi, aby nas odwiedził...

— A ty, Reginko — rzekła mała, podnosząc załzawione oczy na siostrę — ty zawsze go prosisz, aby przychodził, a dla

tego i ciebie nie słucha. A jak był raz ostatni, to rzuciłaś mu się na szyję i ręce jego całowałaś, niby to ja nie widziałam. A on powiedział: „Dziecko jesteś“ o! ja pamiętam. A jak poszedł, to co było, Reginko? Płakałaś, i płakałaś, i mówiłaś, „mój Boże, mój Boże“.

Teraz Reginka żywym oblala się rumieńcem, Kamilka wydała obojętność Edmunda dla rodziny, wydała łyżę bólu i żalu, które ona taila przed wszystkimi. Zmieszana, nie wiedziała co począć. Spojrzała na panią R., ta wyciągnęła do niej obie ręce, a sierota, nie mogąc leż powstrzymać, rzuciła się w jej objęcia.

— Nie płacz, dziecko drogie, uspokój się i miej nadzieję, że ta obojętność Edmunda przeminie. Nie sądzę, aby to pochodziło z braku przywiązania do rodziny... młody jest. Nie czyń mu, dziewczeczko, nigdy żadnych wymówek, okazuj mu zupełną ufność, tkliwe przywiązanie siostry i czekaj.

— Ach! pani ukochana, on o nas nie dba już zupełnie. Los nasz nie obchodzi go wcale, coraz rzadziej bywa, a ledwie chwil kilka posiedzi, śpieszno mu odchodzić. O! to boli, to bardzo boli — mówiło biedne dziewczę ze łzami.

— Prawda, kochanko, obojętność w rodzinie to wielkie nieszczęście. Czy Edmund od dziecka był takim samolubem?

Regince żal ścisnął serce, że oskarżała brata. Nie myślała, że zajdzie tak daleko; radaby cofnąć swe słowa, lecz było już zapóźno. Czyż zresztą, myślała biedaczka, pani R. nie była najlepszą, najserdeczniejszą ich opiekunką i przyjaciółką? Czyż za tyle serca i przyjaźni, nie należała jej się zupełna ufność? Czyż miała na świecie całym jedną osobę, której mogłaby otworzyć swe serce, u której mogłaby znaleźć pociechę i radę? Była samotną, nie miała siostry odpowiedniej wiekiem, nie miała przyjaciółki, której tak pragnie każde młode serce, aby z nią dzielić radości i smutki, nadzieje i zwątpienia. Sierotą była Reginka, w całym znaczeniu tego wyrazu sierotą. Pomimo więc przykrości, wezbrane żalem serce milczeć dłużej

nie mogło. Opowiedziała wszystko, szukając rady w zacnem sercu swej opiekunki, która tuliła ją w objęciu, pocieszając tkliwemi słowy:

— Uspokój się, dziewczeczko moja, módl się, a Bóg powróci wam serce brata. Opamięta się, bo niepodobna, aby was nie kochał.

Wejście Rózi z kawą i buleczkami przerwało dalszą rozmowę. Gdy spojrzała na smutną twarz swej pani i Łzy Reginki, które nie oschły jeszcze na jej oczach, znikł uśmiech z ust dobrej kobiety, postawiła tacę na stole, załamała rękę i przestraszona zawołała:

— Chryste Panie! a toż co się stało? tylko co wyszłam z pokoju, wszystko było jak należy, a teraz smutek i łzy. No, no, panienko złota, ino się nie turbuj i tych prześlicznych ocząt nie psuj. Oj Łzy, jagódko, psują oczy. Ej — dodała po chwili milczenia, machnąwszy ręką — nie mówiąc długo kawa ostygnie. Zakrzętnij no się, panienko, jak to ty umiesz, bo ot i Kamilka łezki ma w oczach. Dobra kawka może het smutek odpędzi.

Reginka, ucałowawszy ręce, które ją tuliły w objęciu, otarła oczy i uśmiechnąwszy się do Rózi, zabrała się do nalewania kawy.

— A włóźże dużo kożuszka Kamilce — rzekła pani R., spoglądając na stojącą w oddali dziewczynkę a, siadając sama przy stole, zawołała na małą.

Dziecko nie ruszyło się z miejsca, łez pełnemi oczyma spoglądając na siostrę.

— Kamilciu, przysuń się — rzekła Reginka.

Mała w głos się rozplakała.

— Czego płaczesz? — zapytała Reginka, zbliżywszy się do niej.

Kamilka zarzuciła jej rączki na szyję i łkając wyrzekła:

— Bo to ja zrobiłam, żeś ty płakała, Reginko, ach, nie gniewaj się na mnie, nie gniewaj!

— Cicho, uspokój się i nie płacz. Nie gniewam się na ciebie, Kamilko — dodała, całując zapłakane oczęta — nie gniewam się nigdy. Smutek i przykrości nie mają nic wspólnego z gniewem. Serce mię tylko boli bardzo, gdy jesteś nie dobra; no, ale dość tego, uściskaj mnie raz jeszcze i... Kochaj Edzia.

— Będę — szepnęła dziewczynka, a chmurka przysłoniła białe czołko.

Małe gronko ożywiło się przyjściem Adasia, który, zarumieniony od zimna, wbiegł szybko do pokoju. Ucieszył się chłopczyk serdecznie na widok ukochanych gości a, gwarząc wesoło i opowiadając różne przygody szkolne, rozweselił siostrzyczki. Różia weszła z rozjaśnioną twarzą, niosąc garnuszek śmietanki, bodaj czy nie z najsutszym kożuszkim, a, stawiając go przed chłopczykiem, rzekła, gładząc go po głowie:

— Pij-no, pij, mój migdaliku; dzieciaczysko w tych tam szkołach, to tylko namarznie się i wygłodzi. Oj, żeby to już jak najprędzej był koniec tej nauce.

— Ha, ha, ha, co też Różia mówi — zawołał chłopczyk, śmiejąc się wesoło. — Ledwie początek, a Różia już mówi o końcu.

— Et, moje ty złote dziecko, gdybyś się tak jeszcze ze trzy lata pouczył, to i tak byłbyś dosyć mądry.

— Babciu kochana, czy babcia słyszy, co ta Różia wygaduje? — zapytał chłopczyk.

Pani R. z czułością pocałowała go w głowę.

— Moja dobra Róziu, za lat dwanaście Adaś dopiero może ukończyć swoją naukę.

— Chryste Panie! — wykrzyknęła Różia, chwytając się za głowę — zamęczą dziecko, ani chybi zamęczą. Dwanaście lat, słyszał to kto, dwanaście lat! I co to pomogą kożuszki i różne przysmaczki, przy takiej pracy? Oj, mój ty gołąbku kochany. Dwanaście lat — powtórzyła raz jeszcze i, machnąwszy ręką z miną wielce niezadowoloną, wyszła do kuchni.

Czas upływał Regince słodko i przyjemnie w gronie ukochanych, trzeba było jednak wracać do pracy. Ubrała więc Kamilkę, która wesoło szczebiotała z Adasiem a, pożegnawszy serdecznie i czule panią R., z którą jeden więcej węzeł łączył ją teraz, węzeł wzajemnej, zupełnej ufności, z złejszym sercem udała się do domu.

VI.

Po sześciu latach.

Sześć lat upłynęło od czasu, gdyśmy raz ostatni widzieli Reginkę. Dzień czerwcowy miał się ku schyłkowi, słońce kryło się za ciemnym pasem dalekiego lasu, ustawał gwar ptasząt, które w miękkich gniazdeczkach do snu tuliły pisklęta. Cicho było w powietrzu, na ulicach jednak miasta ruch wzmagał się pod wieczór. Roily się tłumy, śpiesząc do ogrodów, aby pośród drzew i zieleni po dniu skwarным świeżem odetchnąć powietrzem.

W jednej z kamienic na Lesznie, na drugim piętrze, przy otwartem oknie siedziała pochylona nad książką śliczna dziewczeczka. Mogła mieć lat czternaście. Czarne włosy, w dwa grube zaplecione warkocze, okalały kształną główkę, duże ciemne oczy z długimi rzęsami jaśniały pogodą. Uczyla się półgłosem. Na stoliku, przy którym siedziała, porozrzucone książki i kajety świadczyły, że pracowała już oddawna. Ani razu nie spojrziała w okno, żaden głośniejszy gwar na ulicy nie zwrócił jej uwagi.

Po długiej wreszcie chwili odsunęła od siebie książkę, z której się uczyla, a zaplótłszy białe rączki, założyła je na głowę i oparła się o poręcz krzesła, patrząc w sufit. Siedziała tak parę minut nieruchoma, utonawszy w głębokiej jakiejś zadumie, gdy drzwi otworzyły się cicho i do pokoju wsunęła się na pałuszkach mała dziewczynka. Drobną białą twarzyczką uśmiechała się wesoło, niebieski ładne oczy miały wyraz fi-

glarny i łagodny zarazem. Lekka, jak sarenka, stanęła za krzesłem zamyślanej panienki i, wspiąwszy się na paluszki, wyciągnęła drobne rączki, chcąc zasłonić oczy siostrzyczce. Nie udało jej się to jednak, bo w tej chwili właśnie, gdy już, już miała jej dosięgnąć, starsza gwałtownie powstała a, odsuwając krzesło, przewróciła małą figlarę. Dziewczynka krzyknęła z bólu, bo stłukła sobie łokieć i główkę. Na krzyk ten, starsza przełęczniona rzuciła się ku dziewczynce i z czułością podniosła ją z ziemi.

— Ach, Zochno — rzekła dźwięcznym, melodyjnym głosem — pocóż stanęłaś za mojem krzesłem?

— Chciałam cię nastraszyć — rzekła mała, ocierając łzy fartuszkciem.

— A sama się przełękłaś i stłukłaś w dodatku — mówiła starsza. — Czy bardzo boli? i położyła dłoń białą na miękkich, jasnych włosach dziewczynki.

— Nie, już nie boli.

— Daj buzi, i na drugi raz niech Zosła będzie uważniejsza i ostrożniejsza.

— Albo Kamilcia — szepnęła mała.

— Jakto, więc to moja wina?

— Gdybyś była nie tak raptownie wstała z krzeselka...

— Alboż wiedziałam, że tam stoisz?

— A jednak stałam.

— Na swoją biedę, a moje zmartwienie.

— Nic się nie stało — rzekła mała łagodnie, choć starty do krwi łokieć bolał ją mocno.

— Ach! gdybyś wiedziała, dlaczego tak prędko wstałam, i tak gwałtownie posunęłam krzesło.

— Dlaczego?

— Ty tego nie rozumiesz, a jednak to prawda, że wszystko to stało się przez Brutusa. Ach, Brutusie, Brutusie!

— To nie Brutus, Kamilciu, tylko brudas, jak Maciejowa powiada.

— Co ty mówisz, mała?

— No, ten chłopczyk z przeciwka, co to zawsze chodzi nieumyty i w poplamionej sukience, Maciejowa nazywa go „brudas“.

Kamilka z uśmiechem politowania wzruszyła ramionami.

— Rozumiem — mruknęła — cóż dalej?

— Nic niema dalej, tylko Maciejowa powiada, że z takiego brudasas nigdy porządný człowiek nie wyrośnie.

— Naturalnie, ta twoja Maciejowa to mądrość chodząca.

— Moja Maciejowa to i mądrość, i dobroć, Kamilciu, Reginka tak powiada.

Kamilka umilkła i spojrzała na książki.

— Czy masz mi co jeszcze do powiedzenia, Zochno?

— Chciałam cię prosić, abyś mi pomogła w nauczaniu się lekcji.

— Uczyc się samej trzeba, lecz o cóż chodzi?

— Nie mogę sobie dać rady z tłumaczeniem francuskim.

— Tylko tyle?

— I geografji nie umiem.

— Cóż dalej?

— Zadanie arytmetyczne takie trudne.

— Na tem już koniec?

— Ach, gdzie tam, wiersze niemieckie nie chcą mi wejść do głowy.

— A ja mam tyle jeszcze pracy — szepnęła Kamilka, spoglądając na swoje książki. — Ha, trudna rada, trzeba będzie w nocy wykończyć wszystko. Śpiesz, Zosiu, i przynos swoje książki, szkoda tego czasu, który zmarnowałyśmy na próżnej rozmowie.

Zosia wybiegła z pokoju, a Kamilka wróciła do przerwanej pracy. A gdy po chwili mała wróciła, niosąc swe książki, starsza siostra z całą rezygnacją i cierpliwością zaczęła jej pomagać. Zmierzch już zapadł w pokoju, i Kamilka, chodząc uczyła Zosię niemieckich wierszy, które mała powtarzała za siostrą, trzymając się jej ręki. Nareszcie i tych już wyuczyła się znakomicie, a Kamilka zadowolona całowała małą dzie-

weczkę, gdy w otwartych drzwiach stała piękna, dorosła już panna, i z uśmiechem szczęścia spoglądała na całujące się dziewczeczki.

— Reginka — zawołały naraz obie i poskoczyły do siostry.

Była to Reginka. Sześć lat zmieniło ją bardzo. Nie była to już ta blada i wątła dziewczeczka, ale śliczna panna, wysokiego wzrostu, z powagą na białem czole, na którym głęboka fałda między brwiami świadczyła o przebytych cierpieniach. Piękne jasne jej oczy nie straciły nic ze swego blasku, pozostał w nich ten sam wyraz miłości i poświęcenia, z jakim i teraz wyciągnęła obie ręce, a dziewczątka rzuciły się w jej objęcia.

— Czy tak długo pracowaliście? — zapytała z czułością, głaszcząc młodszą po zarumienionej buzi, a starszą z tkliwością tuląc do siebie.

— Ja już umiem wszystko na jutro — radośnie wołała Zosia — Kamilka mi pomogła i umiem wszystko,

— Trzeba ci było przyjść do mnie dzisiaj, Kamilka teraz ma bardzo wiele pracy.

— I ja mam bardzo wiele pracy — rzekła mała z dumą — przecież muszę dostać nagrodę.

— Dudka na kościele — przekomarzała się Kamilka.

— Nie słuchaj, Reginko, to Kamilcia dostanie dudka na kościele.

— Kamilcia już trzy nagrody dostała — rzekła Reginka, całując białe czoło dziewczęcia.

— Ja dopiero pierwszy rok jestem na pensji — szepnęła Zosia cicho, bo łzy głos jej stłumiły.

Reginka podniosła małą dziewczeczkę w górę i ucałowała serdecznie.

— Dziecko kochane, jestem z ciebie bardzo, bardzo zadowolona, uczysz się dobrze i pilnie, więcej wymagać od ciebie nie mogę. A choć nagrody nie dostaniesz, nie zmartwię się, wszakże to pierwszy rok twojej nauki.

— Dostanę, Reginko, przecież przez wszystkie kwartaly miałam same piątki, trzy czwórki i tylko jedną...

— Żobaczmy to za dziesięć dni — śmiejąc się mówiła Kamilka — ja nie taka jestem pewna siebie, marzę, zaledwie, o promocji.

VII.

Młody adwokat.

Przy jednej z piękniejszych ulic Lublina, w okazałej kamienicy, w saloniku na pierwszym piętrze, przy stole, na którym paliła się jasna lampa, siedział młody mężczyzna. Twarz jego piękna nie miała jednak pociągającego wyrazu. Malowało się na niej jakieś cierpkie uczucie, które musiało mieć źródło w sercu młodzieńca. Siedział i dumał, paląc papierosa, który niedbale trzymał w białej i starannie utrzymanej ręce. Ubiór jego był bardzo wytworny, a salonik odznaczał się gustem i znać w nim było dostatek.

Po długiej chwili, podniósł się młody człowiek a, złożywszy uważnie resztki papierosa w ozdobnej popielniczce, szybkim krokiem zaczął się przechadzać wzdłuż saloniku. Często przesuwiał ręką po białem, wyniosłem czole, jakby chciał spędzić z niego jakąś myśl niemiłą, która uporczywie zdawała się mącić spokój jego duszy. Nagle dzwonek odezwał się głośno w przedpokoju, a na dźwięk jego wstrząsł się młodzieniec z lekkim niezadowoleniem.

— Któż znów o tej porze? — mruknął niechętnie, postępując powoli, aby otworzyć drzwi tak niepożądanemu gościowi.

— Ach, to ty, Zygmusiu — zawołał wesoło i wyciągnął serdecznie rękę do przybyłego.

— Jak widzisz, ja w mojej własnej osobie — odrzekł przybyły miłym, dźwięcznym głosem.

— Wieki cię nie widziałem, proszę, proszę dalej — mówił uprzejmie gospodarz, wskazując drzwi od saloniku.

— Całe cztery lata, ale ty, Edziu, wyglądasz mi pysznie, czyś urosł, czy zmężniał, sam nie wiem, czy przybyło ci wzrostu czy tuszy.

— I ty, Zygmuncie, zmieniłeś się także.

— Ja, zwyczajnie wieśniak, opaliłem się wyśmienicie, ot i cała zmiana — odrzekł wesoło.

— Siadajże — rzekł Edmund, wskazując wygodny fotel — czym ci mam służyć, papierosem czy cygarem?

— Dziękuję, nie palę ani pierwszego, ani drugiego.

— Nie palisz? — zapytał tamten ze zdziwieniem — ale szklanki herbaty nie odmówisz przecie — i pociągnął taśmę od dzwonka.

— Herbata i przekąska — rzekł krótko do wchodzącego służącego a, zwracając się uprzejmie zapytał gościa:

— Myślę, że zajechałeś wprost do mnie; czy mam posłać po rzeczy, które zapewne są na bryczce?

— Nie, mój drogi, stanąłem w hotelu, przyjechałem bowiem z rodzicami, a zresztą, wy, panowie prawnicy, potrzebujecie być swobodni.

— Miałbym cię gdzie pomieścić — rzekł Edmund z pewnym odcieniem chępliwości.

— Widzę to, widzę, urządziłeś się bardzo elegancko, wcale nie po kawalersku.

Uśmiech zadowolenia przemknął po ustach Edmunda, nie dał jednak poznać po sobie, ile mu to sprawia przyjemności, że mógł przed przyjacielem lat dawnych pochwalić się zamożnością i dostatkiem. Wniesiono przybory do herbaty, zastawa była co się zowie piękna: kryształ, porcelana i srebro świadczyły o dobrym bycie i wytwornych upodobaniach pana domu.

Gawędka dwóch przyjaciół toczyła się żywo i wesoło, przerzucając się z przedmiotu na przedmiot, z właściwą młodym ludziom swobodą. Zygmunt był to młodzieniec pełen życia i humoru, ciemne jego oczy miały wyraz rozumnej dobroci, koło ust wił się uśmiech serdeczny, na wyniosłym czole nie znać

jeszcze było żadnej troski. Widać wychował się w szczęśliwych życia warunkach. Powierzchnowość młodzieńca była sympatyczna i miła, łatwe obojętne i wrodzona delikatność uczuć jednały mu życzliwość wszystkich, którzy go znali.

— Powiedz mi, mój Zygmuncie — rzekł Edmund — jak to się stać mogło, żeśmy się nie widzieli przez całe cztery lata?

— Ha, podobno to wspólna nasza wina, przestaliśmy pisać do siebie i nie wiedzieliśmy, co się z nami dzieje. Jak wiesz, byłem trzy lata w Dublanach, po powrocie urządziłem sobie gospodarstwo w wiosce, którą mi ojciec dał w dzierżawę, a przy pracy czas upływał szybko. Dopiero przed kilku dniami sąsiad nasz wspomniał coś o adwokacie Witeckim, dowiedziałem się więc, żeś się osiedlił w Lublinie, i nie potrzebuję mówić, jaką mi to radość sprawiło. Będziemy się mogli widywać bardzo często tym sposobem.

— Ile razy chciałem pisać do ciebie, nie wiedziałem jednak, gdzie adresować — rzekł Edmund, podając Zygmuntowi drugą szklankę herbaty.

— Gdzie mieszka obecnie twoja rodzina — zapytał po chwili Zygmunt.

Edmund poczerwieniał lekko a, oglądając pilnie cygaro, rzekł krótko.

— W Warszawie.

— Pamiętam twego małego braciszka, był to chłopczyk miły i roztropny, uczył się wzorowo.

— I teraz co rok przechodzi z nagrodą.

— A siostra twoja?

— Jak ci to mówiłem, mieszka w Warszawie — rzekł z widoczną niechęcią w głosie Edmund.

— Były jeszcze dwie małe dziewczynki — pytał dalej Zygmunt.

— Tak, są.

— Jedna już pewnie dosyć duża.

— O tak, już podrosła.

— Na pensji?

— Na pensji. Może pozwolisz cytryny do herbaty?

— Dziękuję. Więc mówisz . . .

— A może ty z winem czerwonym pijasz? — zapytał Edmund, przerywając.

— Dziękuję i za wino — odparł Zygmunt a, spostrzegłszy, że Edmund widocznie unika rozmowy o swej rodzinie, zamilkł i zaczął mówić o czem innem. — Co to jednak może znaczyć? — myślał w duchu — miałaby się pogniewać z siostrą? Ależ to niepodobna; o ile pamiętał Zygmunt, siostra ta miała taki wyraz anielskiej dobroci i łagodności na twarzy, że nawet posądzić jej nie można było, aby nie umiała przebaczyć bratu, choćby jej krzywdę nawet wyrządził. Na rozmowie o tem i o owem zeszło im parę godzin, nareszcie Zygmunt, spojrzawszy na zegarek, podniósł się, mówiąc:

— A tośmy się zagawędzili, wszak to już po północy.

— Cóż ci tak pilno, jeszcze nie późno przecież.

— Dla was, być może, ale my wieśniacy nie siadujemy tak długo, a przyzwyczajenie, mój drogi, staje się drugą naturą. Przed pożegnaniem jednak musisz mi przyrzec, kochany Edmundzie, że czas ferji u mnie w Orlinku przepędzisz.

— Nie wiem — odrzekł powoli Edmund — nie wiem, czy będę mógł wyjechać z miasta.

— O, będziesz mógł, jeżeli na chęciach zbywać nie będziesz. No, musisz mi przyrzec, proszę cię w imię koleżeństwa i przyjaźni.

— Więc zobaczę.

— E, co tam zobaczę, to wcale nie przyrzeczenie, powiedz dobrze i kwita, A więc mam twoje słowo, Edmundzie — i wyciągnął do niego rękę.

— Dobrze, na dni parę wybiorę się z pewnością — odrzekł Edmund, ściskając podaną rękę.

— Aby cię tylko dostał do Orlinka, to o czas potargujemy się — mówił wesoło Zygmunt, zabierając się do odejścia.

— Na długo przyjechałeś do Lublina? — zapytał Edmund . . .

— O, wypadnie nam zapewne zabawić ze trzy dni, gdyż ojciec ma jakiś ważny interes do załatwienia.

— A więc zobaczymy się jeszcze?

— Koniecznie, i byłbym bardzo zadowolony, gdybym cię mógł mieć na własność przez te trzy dni.

— Jutro cały dzień jestem wolny, mogę być na twoje usługi.

— A więc do widzenia, jutro około jedenastej będę u ciebie.

Spotkaliśmy się więc i z Edmundem po upłynionych sześciu latach. Los mu sprzyja, jak to widać ze wszystkiego, co go otacza. Został adwokatem a, jako człowiek wysokich zdolności, z dniem każdym liczniejszą zyskiwał klientelę i w krótkim czasie stał się jednym z najbardziej wziętych prawników w Lublinie. Mieszkanie sobie urządził wygodne i wykwintne. Z przedpokoju na prawo wchodziło się do saloniku, za którym była sypialnia, na lewo drzwi do kancelarii.

Po odejściu gościa, młody adwokat rozpoczął znów przechadzkę po pokoju. Myśl jego jednak nie musiała być wesołą, marszczył brwi często i ręką pocierał po czole.

— Hm! — mówił sobie w duchu — dlaczego ten Zygmunt tak się dopytywał o moją rodzinę? Co go to może obchodzić? Widocznie uwziął się wybadać storunki moje rodzinne. Wprawdzie nie wiem dobrze, co się z Reginką dzieje, od roku przeszło nie pisałem do niej. Tak, prawda, na ostatni jej list nie odpisałem jeszcze. Ba! czyż o tem tylko mam myśleć. Zresztą nie mam jeszcze tyle funduszków, aby rodzinie dopomagać, początki są tak trudne, ledwie mogę nastarczyć wydatkom. Przecież trudno, żebym nie utrzymywał domu odpowiednio do swego stanowiska, to nawet niekorzystne wrażenie sprawiłoby na interesantach. Myślę jednak, że im się musi dobrze powodzić, Reginka nigdy w listach swoich nie narzeka i nie skarży się na niedostatek. Gdybym tylko był bogatym — myślał dalej — z pewnością przyszedłbym im z pomocą, ale trudno, i ja nie mam zawiele. Chciałbym jednak widzieć

Reginkę, hm, i ta mała złośnica musi już być duża. Jak też wygląda teraz? Takie to było złe, grymaśne, a prędkie, wybuchające, jak siarka. Tak, tak, dobrze im się pewnie powodzi. Hm, trzeba może i napisać do Reginki, zawsze wstyd trochę nie wiedzieć, co się z rodzoną siostrą dzieje, gdy o nią kto zapyta. Na wszelki wypadek nadmienię, że mi się jeszcze nie osobiłwie powodzi, że początek trudny i ciężki.

Pod wpływem więc tych myśli, napisał Edmund ów list do Reginki. Było w nim kilkanaście wierszy zimnych i obojętnych, zapytywał o zdrowie i powodzenie rodzeństwa, nie zapomniał narzekać, że mu nie osobiłwie idzie, i zakończył pozdrowieniem wszystkich wogóle, prosząc, aby Reginka doniosła mu cokolwiek o sobie. Jakie wrażenie list ten wywarł na gromadce sierot, widzieliśmy w poprzednim rozdziale.

VIII.

Edmund w Orlinku.

— Wiesz co, Edziu — mówił dnia pewnego Zygmunt do przyjaciela, który już od tygodnia bawił w Orlinku — przyszło mi dziś na myśl, żebyśmy sobie na parę dni mogli pojechać do Warszawy.

— Do Warszawy? — zapytał tamten ze zdziwieniem — a to po co?

— No, tak sobie, dla przyjemności poprostu.

— Czy masz jaki interes?

— Żadnego, i jak ci mówię, tylko dla przyjemności. Sądzę, że ci to przecież przykrości nie zrobi? Chyba, że nie masz ochoty, w takim razie odstępuję od zamiaru.

— Przyznam ci się, że nie spodziewałem się podobnej propozycji, i na razie zdecydować się nie mogę.

— Zupełnie, kochany Edmundzie, zostawiam to do twojej woli. Przystajesz, jedziemy jutro, nie, no, to zostajemy, i zamiast do Warszawy, pojedziemy w sąsiedztwo.

— Zdaje mi się, że ci wypadł jakiś interes, a tylko przez grzeczność udajesz, że dla przyjemności chcesz jechać.

— Jak cię kocham, nie mam interesu, a gdybym miał jaki, sądzę, że nie miałbyś mi za złe, gdybym ci to powiedział otwarcie. Czy dawno widziałeś się z siostrami — zapytał po chwili.

— Masz tobie — pomyślał Edmund — ten znów wyjeżdża z badaniem; odrzekł więc krótko:

— Trzy lata.

— Trzy lata! człowieku, i ty mogłeś wytrzymać trzy lata, nie widząc rodzeństwa?

— „Wiele ten może, co musi“, znasz pewnie to przysłowie.

— Ależ ty przecie nie musisz... — urwał nagle, spojrzawszy na chmurną twarz Edmunda. — Ha — dodał po chwili — ty się oddajesz pracy z zaparciem siebie, we wszystkim miara być powinna, otóż zabieram cię gwałtem i wiozę do Warszawy!

Trudno było Edmundowi opierać się naleganiu przyjaciela, nie wypadało nawet okazać, że mu to niekoniecznie miło, zdo był się więc na uśmiech, niby wesoły i rzekł:

— Ha, widzę, że ci się koniecznie zachciało tej podróży, z chęcią więc pojedę w twem towarzystwie.

— Co to będzie za radość, gdy niespodzianie ukażesz się siostróm; pojmuję to całą duszą — mówił Zygmunt, sądząc podług swego poczciwego i kochającego serca. — A więc szykuj się, bracie, ja pójdę, wydam rozporządzenie, a jutro, skoro świt, w drogę.

Zaczął sobie nucić wesołą jakąś piosenkę i, wzięwszy duży słomiany kapelusz, wyszedł na podwórze. Edmund szybko chodził po pokoju, puszczając gęste kłęby dymu z cygara, które rzucił wreszcie w kąt, nie dopaliwszy do końca. Pocierał ręką po czole, to niecierpliwie targał łańcuszek od zegarka lub wymawiał niekiedy głośno: „po co ja tu przyjechałem, ha, żebym był wiedział“. Rzucił się wreszcie na sofkę a, podłożywszy obie ręce pod głowę, w głębokiem utonął dumaniu.

Gdy tak leżał dość długą chwilę, nagle zaturkotało przed gankiem, i wkrótce wesołe głosy kobiece dały się słyszeć w sieni. Edmund zerwał się prędko i, poprawiwszy przed lustrem zburzoną czuprynę, wybiegł do sieni, domyślając się, że to siostra Zygmunta. Otworzywszy drzwi, ujrzał dwie panny, śmiejące się wesoło, jedna wsparta była na ramieniu Zygmunta, który już nadbiegł z podwórza, a druga zdejmowała z siebie lekkie okrycie.

Panienki z uśmiechem powitały znanego im Edmunda, gdy znów dał się słyszeć turkot kół i w tej chwili powóz zajechał przed ganek.

— Otóż i rodzice kochani — zawołał radośnie Zygmunt, wybiegając, a za nim wszyscy wyszli na ganek.

— Kto prędzej, matuchno? — zawołała jasno-włosa panienka.

— No, no, dam ja wam, zbytnice — mówił, wysiadając otyły, milej powierzchowności, niemłody już mężczyzna. — Zgrzałyście mi konie, siwka ledwie już dysze.

— E, tak źle z siwką jeszcze nie jest, wujaszku — mówiła ładna szatynka i schyliła się wesoło do ręki wuja, ale ten pocałował ją w czoło i zaśmiał się serdecznie.

— To Olcia powoziła, ojczuniu — mówiła blondynka — tak wypuściła konie, że u mnie dusza była już na ramieniu.

— Jestem o to spokojny, skoro Walenty siedział na koźle, bez niego nie puściłbym was, małe trzpiotki. No i cóż, panie synu, nie spodziewałeś się nas dzisiaj? — zwrócił się do rozpromienionego radością młodzieńca.

— Nie, ojczu kochany, nawet mi się nie śniło, że mię dziś taka radość spotka.

— Kiedy się nie śniło, to znaczy, żeś o nas nie myślał — rzekła matka z uśmiechem.

— A jak nie myśli, to znaczy, że nie kocha — dodała Olcia.

— A jak nie kocha, to nierad, żeśmy przyjechali — dodała siostrzyczka.

— Ach, jakże się obronię od tyłu zarzutów, — mówił Zygmunt, całując ręce rodziców, a zwracając się do panienek, dodał: — że Olcia mi zawsze dokucza, to już weszło w zwyczaj, ale i ty siostrzyczko, jak widzę, buntujesz się także, i zaczynasz ranić mi serce — mówił to, niby serjo, a oczy mu jaśniały weselem i miłością, z jaką spoglądał na zarumienione dziewczę.

Tak gwarząc, towarzystwo weszło do pokoju, z którego drzwi wychodziły na duży, zacieniony ogród. Umeblowanie tu było bardzo skromne, ale czystość i porządek z każdego wyglądały kącika. Częste odwiedziny matki i siostry były tu widoczne. Gdy Zygmunt wyszedł, aby zarządzić przyjęcie, bo sam o tem myśleć musiał, Edmund, który dotąd milczącym tylko był świadkiem wesołej gawędki, czuł się niejako w obowiązku zastąpić przyjaciela w bawieniu gości, zbliżył się więc do panienek i zapytał:

— Czy Zygmunt często dostaje takie połajanie?

— Ile tylko razy zasłuży — szybko odpowiedziała Olcia, widząc, że jej towarzyszka zabiera się do obrony brata.

— Widzę, że niewielkiego trzeba przestępstwa, aby zasłużyć na ostre przymówki.

Niebieskie oczy blondynki mgłą zasłzy i z rzewnym uśmiechem odrzekła:

— Ostre przymówki? och, nigdy, nigdy ostrem słówkiem nie zraniłabym brata. Zygmunt taki dobry, tak serdecznie dobry.

— Na zakończenie rozplacz się, Maniu, bo widzę, że mało do tego brakuje — żartowała Olcia.

— Niedobra jesteś — szepnęła Mania.

Powrót Zygmunta przerwał rozmowę, zaczęto nakrywać do połwieczorku, panny prosiły, żeby go zastawić w ogrodzie, otworzono więc drzwi na taras, ocieniony kasztanami, i całe młode towarzystwo pośpieszyło z pomocą wyrostkowi, który pełnił obowiązki lokaja pod nadzorem starej Borosi, niegdyś klucznicy u rodziców Zygmunta, a dziś głównej rządczyni w Orlinku. Borosią była to kobieta sercem całem oddana ro-

dzinie, w której usługach życie całe spędziła. Stąd poszła za męża, a gdy w pół roku po ślubie owdowiała, już drugi raz, pomimo tego, że jej się trafiał nawet rzadca osobnego folwarku, za męża iść nie chciała. Dobra, pocziwa Borosia, miała jednak jedną wadą ciągłego gderania, którego i Zygmunt musiał nieraz być ofiarą, tłumiąc uśmiech pod jasnym wąsem, aby go broń Boże nie spostrzeżono. I teraz, idąc z serwetą za chłopcem, który niósł tace z przyborami do podwieczorku, nieustannie go strofowała:

— Jak to idziesz, Franek, czego to szurasz nogami, cóż to, nie po pokoju chodzisz? nie oglądaj się, bo tacę upuścisz, trzymaj prosto i t. p.

Gdy gospodyni weszła do pokoju, Mania podbiegła ku niej i, powitawszy serdecznie, wypytawszy o zdrowie i, czy tyśącznik sprowadza apetyt, rzekła z przymileniem:

— A czy będą, Borosiu, i małdzyki na podwieczorek, bo już to u Borosi małdzyki sławne na cały świat.

— I śliwki na rożenkach — dodała Olcia, zbliżając się również z powitaniem.

— Oj figlarki, figlarki — mówiła rozpromieniona Borosia — będą i małdzyki i śliwki. Już to, co prawda, za małdzyki się nie powstydzę, a jak przyjdzie piątek, to Zygmusć, chciałam mówić pan Zygmunt, cały półmisek ich zmiata, jak nic.

— Już tyle razy prosiłem Borosi — odezwał się Zygmunt — aby się nie poprawiała i nie chciała mówić pan Zygmunt.

— Pocziwe ty jesteś dziecko, ja to wiem, i niech ci Bóg błogosławi całe życie — mówiła rozrzewniona staruszka.

— Dziecko z wąsami — mruknęła staruszka.

— No, no, ja tu rozmawiam, a jak to tam ten Franek nakrywa! już ja tego chłopca nie nauczę widzę — i, gderząc, poszła do stołu, a panienki jej zaczęły pomagać. Wkrótce wszystko było uszykowane, a co tylko dom miał najlepszego, to stało na stole. Jakież to wesoły był ten podwieczorek! pa-

nienki na wyścigi szczebiotały, chichotały i psociły Zygmun-
towi, rodzice z uśmiechem szczęścia patrzyli na wesołość dzieci,
a Borosia, siedząc na ławce pod kasztanem, stawiała w obro-
nie Zygmunusia, poprawiając się zawsze: „chciałam mówić pan
Zygmunt“.

Edmund niewielki brał udział w tej wesołości, z natury
już milczący i małomowny, po powrocie Zygmunta przysiadł
się do jego rodziców i poważną jakąś prowadził rozmowę.
Teraz jednak, gdy wszyscy zgromadzili się około jednego stołu,
i ogólna wesoła prowadziła się pogadanka, Edmund musiał
wziąć w niej udział. Patrząc na swobodną i rozpromienioną
wesołością twarz Mani, na pełną życia i dowcipu Olcię, mimo-
woli stanęła mu na myśli poważna i smutna twarz Reginki,
ujrzał ją pochyloną nad ciężką pracą o chleb powszedni dla
osierociałych siostrzyczek, i stanęła mu w myśli jej młodość
bez uśmiechu wesela, bez chwil swobody, w których mogłaby
się oddawać zabawie i rozrywkom, tak właściwym jej wiekowi.
I coś jak smutek, jak ból, ścisnęło mu serce. otrząsnął się
z tego jednak i pomyślał: Alboż ja temu co winien jestem?
Czyż zabrałem co z domu rodzicielskiego? Od lat tylu pracuję
sam na siebie i własnej pracy zawdzięczam wszystko, nie mam
więc obowiązku dzielić się z nikim.

— Dlaczego to, Zygmunusiu — zapytała Mania — nie by-
łeś u nas tak dawno?

— Dziś miałem być właśnie, nawet już koń stoi u bramy
— odpowiedział Zygmunt — bo chciałem zapytać, czy rodzice
nie mają jakiego interesu do Warszawy, gdyż jutro rano ze
świttem wyjeżdżamy z Edmundem.

— Do Warszawy? — zapytali wszyscy razem — i na
długo?

— Nie wiem,zejdzie nam jednak z tydzień co najmniej,
ja mam kilka interesów do załatwienia, a Edmund rodzeństwo,
z którem się dawno nie widział.

— Pan ma i siostry? — zapytała Olcia.

— Tak, pani.

— Czy już dorosłe?

— Jedna tylko, dwie jeszcze małe.

— Jestem z natury już strasznie ciekawa — mówiła Olcia z uśmiechem — i teraz nie mogę się powstrzymać od pytania, jakie imiona mają siostry pana?

— Najstarsza nazywa się Regina . . .

— Co za śliczne imię — przerwała Olcia — a młodsze?

— Kamilla i Zofia — odrzekł trochę zniecierpliwiony Edmund.

Panienka dostrzegła to widać, bo umilkła, jakby zawstydzona swą ciekawością, dziwnem jej się to jednak zdawało, że młodzieniec z taką niechęcią odpowiadał na jej pytania. A przecież to tak miło mówić o tych, których się kocha, ona to wiedziała dobrze, bo sama chętnie rozpowiadała o swoich siostrzyczkach i małym braciszku, a na wspomnienie rodziców rozjaśniała się jej twarzyczka i stawała się bardzo wymowną. Ona dopiero od miesiąca bawi u wujostwa, gdzie przyjechała na usilne prośby Mani, a już tęskni nieraz do swoich, chociaż w Wirówce bardzo wesoło, i z Manią kochają się serdecznie.

— Dziwny to jakiś człowiek, ten przyjaciel Zygmunta — myślała w duszy — niemiły i niesympatyczny, a taki jakiś zimny i obojętny. Lecz może ja niesłusznie go posądzam, kto wie, czy to nie smutek zasępia mu tak czoło? może to tęsknota za rodziną, a że nie mówi o nich, czyż każdy ma być tak gadatliwym? Zresztą on mężczyzna, zatem więcej zamknięty w sobie od takiego młodego trzpiota, jak ja — dodała na zakończenie — co on sobie pomyślał o mej ciekawości?

Tymczasem podwieczorek się skończył, słońce już znikło za brzozowym laskiem i goście Zygmunta zabierali się do odjazdu. Polecień do Warszawy było bardzo mało, Mania tylko prosiła o jakąś książkę, świeżo wyszłą z druku.

Po serdecznem pożegnaniu odjechali wszyscy, a Zygmunt długo ścigał wzrokiem oddalające się szybko powozy. Edmund, wsparty o filar ganku, miał minę bardzo znudzoną i niezadowoloną.

— O czym, bracie, tak myślisz? — zapytał Zygmunt.

— Prawie o niczem.

— Nie zapieraj się, wiem, że jutrzejsza podróż tak ci zajechała w głowę; chciałbyś pewnie lotem ptaka stanąć w Warszawie, aby jak najprędzej powitać rodzeństwo. Rozumiem to uczucie, mój drogi, i nie umiałbym nawet wypowiedzieć, jak słodką radością mam przepełnione serce, gdy przyjadę do Wirówki, a moja miła dziewczynka wita mnie serdecznem słówkiem i uściskiem.

Edmund przygryzł wargi, nic nie powiedziawszy.

IX.

Po całorocznej pracy.

— Babciu najdroższa, oto są dowody całorocznej mej pracy — mówił Adaś, składając na kolanach pani R. dwie duże książki, w czerwony safian oprawne, ze złotemi wyciskami.

— Niech cię Bóg błogosławi, synu mój drogi, który takim szczęściem lata moje podeszłe opróżniasz — rzekła pani R. i drżącą ręką, ze łzą w oku, przytuliła głowę chłopca do piersi.

— Słowa twoje, babciu, są mi droższe nad wszystkie nagrody i pochwały, a błogosławieństwo twoje jest skarbem na drogę mego życia.

— Żałuję mocno, że nie mogłam być na tegorocznym popisie, ale te biedne nogi moje słuchać mnie nie chcą.

Czy wiesz, babuniu, miałem chwilę takiego wrażenia, że aż to zwróciło uwagę obecnych. Zdawało mi się . . . tak, pewnie mi się zdawało, że w sali widziałem . . . Edmunda.

— Edmunda? powiedz mi, dlaczego mówisz, że ci się zdawało, alboż nie mógłby to on być rzeczywiście?

— Nie wiem, babciu, ale zdaje mi się, że gdyby to był brat . . . brat rodzony . . . to . . .

— To co, dziecko kochane? powiedz mi wszystko jak to było.

— Gdy mi wręczano nagrody, wymieniając moje nazwisko, mimowoli spojrzałem w bok i ujrzałem, jak młody jakiś mężczyzna, wieśniak widocznie, zdaje mi się, że go znam od dawna, zwrócił się z bardzo serdecznym uśmiechem do drugiego jakiegoś pana; poszedłem oczyma za jego wzrokiem, i coś mną wstrząsnęło całym, wydałem nawet lekki okrzyk, bo w tym drugim młodym człowieku zdawało mi się, że poznałem Edmunda.

— Więc musiał to być on.

— O nie, babciu, to nie był on; wychodząc szukałem go pilnie, a nie spostrzegłem, brat byłby zaczekał przecież.

Staruszka nic nie rzekła, smutna zaduma osiadła na jej licu. W tej chwili weszła do pokoju Różia, która przez lata ubiegłe nic się nie postarzała i, patrząc z zachwytem na młodego chłopca, rzekła radosnym głosem:

— Moja ty jagódka kochana, moje ty kochanie całe, wiem, jaka cię tam nagroda spotkała. Ten pan, co mieszka w oficynie, co to się łośńskiego roku ożenił i ma brata przy sobie, co też chodzi do tej samej szkoły, widząc mnie przy studni, stanął i powiedział: „wasz p. Adam dostał aż dwie nagrody“. Tak ja tedy, nie mówiąc długo, zostawiłam konewkę i duchem przyleciałam powiedzieć mojej pani, ale otóż i on sam już jest. Złotko moje!

Adaś serdecznie uściśnął starą sługę, a Różia, mając lzy w oczach, wołała ze śmiechem:

— No, no, dość, mój migdaliku, bo mię udusisz. Ale co to moja pani taka smutna, oj, oj, zamiast się śmiać i radować naszym chłopczyną, to Bóg wie co tam za smutki dręczą.

— Nic to, moja Róziu, smutek dzięki Bogu nie przytłacza już tak mej duszy, ockąd Adaś jest z nami. Zamyśliłam się trochę.

Głośny gwar dał się słyszeć w kuchni i w tejże chwili Zosia wbiegła do pokoju z uśmiechniętą i zarumienioną buzią.

— Wyprzedziłam na schodach Kamilkę, babuniu — i mała rzuciła się w otwarte na jej przyjęcie ramiona p. R.

— Jak ja byłam taka maleńka, jak ty — rzekła wchodząca Kamilka — to jeszcze prędejsz chodziłam.

— Maleńka — powtórzyła Zosia z minką niezadowoloną — wcale nie jestem maleńka. Dostałam babciuchno, promocję do drugiej klasy i list pochwalny. Myślałam, że dostanę nagrodę — dodała żałośnie, ale, ale — i dziewczynka rozplakała się.

Adaś pochwyił ją na ręce, zapewniając, że i tak bardzo wiele pracowała, i Kamilka serdecznemi słowy starała się ją pocieszyć.

— Żeby nie arytmetyka, babuniu, miałabym nagrodę — wyjąkała dziewczynka — miałabym taką samą, jak Kamilcia, taką śliczną, niebieską. Czemuż jej nie pokażesz, Kamilciu — pytała mała.

Lecz Kamilka, powodowana uczuciem miłości ku siostrzyczce, nagrodę swoją zostawiła w domu, aby nie przypominać małej jej bolesnego zawodu.

Wejście Reginki rozjaśniło wszystkie twarze, nawet Różia, otarłszy oczy rękawem, bo się rozplakała biedaczka nad zmartwieniem Zosi, poprawiła czepka na głowie i szepnęła radośnie:

— Nasz biały anioł przyszedł, już teraz będzie wesoło.

I rzeczywiście z pojawieniem się Reginki pierzchły nawet łzy Zosi.

— Przyszłam radością moją podzielić się z babunią — mówiła Reginka, całując ręce staruszki.

— Zochna dostała pochwałę, nie sądziłam, że mi zrobi taką niespodziankę, i Kamilcia z nagrodą przechodzi do wyższej klasy.

— A i nasz Adaś dostał aż dwie książki — zawołała Różia — pokaże jagódko.

— To już potem, Róziu — rzekła p. R. — a teraz uszykujże jaki podwieczorek.

— Jest, jest wszystko w pogotowiu, i świeże poziomki,

i śmietaneczka, i ciasteczka, i czekolada, bo to u nas dziś wielkie święto.

W czasie tej rozmowy, Kamilka skinęła na Adasia i wyszli do przyległego pokoju.

— Czy wiesz — zawołała z błyszczącym wzrokiem — że on tu jest.

— Kto? — zapytał Adaś, domyślając się jednak, o kim mówi siostra.

— No któż, on, Edmund. Widziałam go na ulicy, gdym szła z Maciejową do księgarni. Szedł z jakimś panem naprzeciwko mnie, drgnęłam, ujrawszy go, i, nie chcąc, aby mnie dostrzegł, weszłam a raczej wbiegłam do jakiegoś sklepu.

— Dlaczego zesłaś mu z drogi? — zapytał Adaś smutnym głosem.

— Och! Adalku, bałam się sama siebie. Była chwilka, jedna króciutka chwilka, że serce uderzyło mi miłością i byłabym rzuciła mu się na szyję, ale naraz stanęło mi w myśli wszystko od lat najmłodszych, i zlekłam się, bo zdaje mi się, że gdyby był wyciągnął rękę do mnie, byłabym...

— A nie mylisz się, Kamilciu, byłże to on rzeczywiście?

— On, braciszku, on z pewnością. Nie mówiłam nic Regince, jest to pierwsza tajemnica przed tą dobrą siostrą, ale mamże ją martwić tą wiadomością? o! Reginka przebolełaby to bardzo.

— Nie mów jej nic, Kamilciu, bo teraz mogę ci powiedzieć, że i ja go widziałem, lecz postanowiłem także ukryć to przed wami.

— Niegodziwy! — wyszeptały zaciśnięte usta dziewczęcia, i czarne oczy łzami się przyćmiły.

— Cicho — ostrzegł Adaś, bo Reginka stanęła we drzwiach pokoju.

— O czymże tak radzicie? — zapytała — tam babcia czeka na was.

Kamilka zbliżyła się do okna, chcąc ukryć łzy oburzenia, a Adaś żywo przysunął się do Reginki.

— Posprzeczaaliśmy się z Kamilcią, Reginko, ale już zgoda; ja, jako mężczyzna, przeprosiłem i już dobrze. Daj jej się chwilkę wydąsać — szepnął Regince do ucha. — Chodźmy do babci — dodał głośno — a ty, Kamilciu, przychodź do nas.

Reszta dnia na wesołej gawędce i wspólnej radości z tak pomyślnych skutków całorocznej pracy upłynęła naszym sierotom w domu żacnej opiekunki, która, przygarnawszy je jak matka, odnalazła szczęście rodzinnego życia.

Po jednej z głównych ulic Saskiego ogrodu przechadzało się dwóch młodych ludzi. Jeden z nich, smutny i roztargniony, wyglądał wielce niezadowolony i z widoczną niecierpliwością odpowiadał na wesołe uwagi drugiego. Byli to nasi znajomi, Edmund i Zygmunt.

— Może zakończymy już tę nużącą, jak dla mnie, przechadzkę — rzekł Edmund do towarzysza.

— Ani myślę — odpowiedział wesoło zagadnięty — bawię się wybornie.

— Jest też i czem, jak uważam, mało ci potrzeba do zabawy.

— O, mój drogi, otrząśnij się tylko i ty z tych chmurnych myśli, a będzie ci również wesoło, jak i mnie.

— Jak długo zostaniesz jeszcze w Warszawie? — zapytał Edmund, nie odpowiadając na uwagę przyjaciela.

— To zależy od ciebie.

— Jeżeli tak, to jedźmy jutro.

— Jutro? dwa dni dopiero tu jesteśmy. Nie myślałem, że tak prędko będziesz chciał wracać i dlatego nie załatwiłem jeszcze ani jednego sprawunku. Ha, jeżeli więc koniecznie jutro jechać mamy, to niema rady, trzeba przechadzkę zakończyć a iść za sprawunkami. Czy pójdziesz ze mną do księgarni, gdzie muszę co wybrać dla siostry i kuzynki, czy też masz inne zamiary na resztę dnia?

— Nie mogę ci towarzyszyć, muszę iść w inną stronę.

— Więc do miłego widzenia, bo oto jesteśmy przy bramie.

Dwaj przyjaciele rozeszli się, gdy jednak Zygmunt wsiadł

do dorożki, Edmund zawrócił do ogrodu, z którego tak mu pilno było uciekać. Usiadłszy na ławce w najmniej uczęszczanej alei, zamyślił się głęboko.

— Po co ja dałem namówić się na ten wyjazd — mówił w duchu, zły sam na siebie. — Nie wiem dlaczego nie mam odwagi iść do nich, no . . . i chęci. Co za traf szczególny, że ich tu spotkałem; poznałem wszystkich odrazu, Adaś zmienił się najwięcej, a ta mała złośnica, muszę przyznać, wcale ładna dziewczyna. Szczęście, że mnie nie poznali, ba, i jakże mieliby poznać? Szkoda, że nie poszedłem pierwszego dnia, byłoby łatwiej, a tak . . . hm, nie wiedzieć, jak się teraz wykręcić . . . Nie lubię wszystkich scen, a sądzę, że przy powitaniu nie obeszłoby się bez nich. Reginka taka zawsze była tkliwa. Reginka — wyszeptał półgłosem i jakby dźwięk tego imienia obudził w duszy jego jakieś cieplejsze uczucie, bo ledwie dojrzany uśmiech zarysował się około ust jego. Potarł ręką po czole i mimowolnie powtórzył — Reginka.

Wtem uszu jego doleciał odgłos rozmowy, jakiś dziecinny głosik ze śmiechem coś opowiadał. Spojrzał w tę stronę, nieraż, że mu przerwano jego samotność i myśli i ujrzał o kilkanaście kroków wysmukłą, bladą kobietę, wspartą na ramieniu ucznia, obok szła czarnooka panienka, a przed nimi postępowała mała dziewczynka, rozповідаjąc coś wesoło. Edmund drgnął, poznał bowiem swoje rodzeństwo. Parę kroków już tylko rozdzielało go od nich. Uciekniesz, jak tchórz, czy też powita ich, jak brat? Nagle uczeń zatrzymał się opodal i rzekł dość głośno:

— Siostrzyczko, musimy się wrocić, zgubiłem potrzebne mi bardzo papiery. Miałem je, wchodząc do ogrodu, niezawodnie upuściłem na skrawku tej ulicy.

— Wracajmy więc śpiesznie, pobiegnij, Zosiu, trochę prędzej.

Całe towarzystwo zawróciło się, a Edmund odetchnął.

— No — myślał sobie — szczęście, że czuła scena powitania nie nastąpiła tak nagle. — Mimo, że odsunął się od

rodziny, że znać jej nie chciał prawie, serce jego uderzyło niespokojnie na widok Reginki. Czuł on w głębi duszy jej wyższość nad sobą, uznawał poświęcenie, zaparcie się zupełnie siebie, obok którego samolubny jego charakter uwydatniał się bardziej jeszcze i, nie wiedząc o tem nawet, szanował ją i kochał. Gdyby Reginka została tylko sama, nie byłby jej opuścił, ale przerażała go myśl pracy, gdyby przyjął obowiązki opiekowania się młodszem rodzeństwem.

— Iść do nich, czy nie? — myślał znowu Edmund — ale po tyloletniem niewidzeniu będzie to scena czuła bardzo. Zresztą nic im pomódz nie mogę, a, gdybym poszedł teraz, trzeba by może wejrzeć w ich potrzeby, bo chociaż porządnie bardzo wyglądają na ulicy, ale w domu może być bieda. Nie, nie pójdę, nie mam jeszcze tyle, aby się dzielić z nimi. Ach! ten Zygmunt nieznośny, co mu się wtrącać w cudze sprawy, będzie znowu badał, ale dam mu poznać, że mi się to wcale nie podoba.

Edmund podniósł się z ławki, wyszedł z ogrodu i udał się do hotelu. Gdy Zygmunt powrócił z miasta, była już dość późna godzina, zdziwił się jednakże, zastawszy Edmunda śpiącego, sądził bowiem, że on ostatni wieczór przepędza z rodzeństwem. Zaczął więc zabierać się również do spoczynku, a chociaż starał się robić jak najmniej hałasu, Edmund się przebudził.

— Jedziemy więc jutro? — było pierwsze jego słowo.

— Gdy chcesz koniecznie, możemy.

— Tak, musimy, bo potrzebuję jak najspieszniej wracać do Lublina.

— O! z tego nic nie będzie; wybrałeś się przecie do mnie na trzy tygodnie, i od tego nie odstąpię ani jednego dnia.

— Niepodobna, muszę wracać!

— Cóż tak nagłego? nie miałeś tego zamiaru jeszcze dziś rano. No, no, o tem potem. Wiesz, nie sądziłem, że cię już zastanę, myślałem, że ten ostatni wieczór dłużej cię zatrzyma u rodzeństwa.

— Dobranoc — rzekł kwaśno Edmund — jestem śpiący.

Zygmunt umilkł. — Dziwna to tajemnica — myślał sobie — coś w tem jest, że nigdy nie chce mówić o rodzinie. Przez te trzy dni, jak jesteśmy w Warszawie, nie mogę go wybadać, czy był u siostry, czy się z nimi widział, nic nie wiem. Miełoby się gniewać? to niepodobna. Edmund trochę zimny, i — może egoista. Tak go nazywali koledzy, ja się nad tem nie zastanawiałem, dla mnie był on zawsze dobrym kolegą. Ba, ale też nigdy nic od niego nie potrzebowałem. Żał mi tej siostry jego, musi cierpieć nad taką obojętnością brata. Gdybym ich mógł zbliżyć? Hm, nie mam na to sposobu.

Te i tym podobne myśli zajmowały Zygmunta dość długo, aż znużenie wzięło górę, i zasnął snem głębokim. Nazajutrz wyjechali z Warszawy, Edmund był chmurny, Zygmunt zamyślony, droga więc z powrotem niezbyt wesoło upływała naszym podróżnym. Po przybyciu do Orlinka, Edmund koniecznie chciał wracać do Lublina, na usilne jednak prośby Zygmunta pozostał jeszcze na dni kilka. Na drugi dzień po powrocie Zygmunt wybierał się do Wirówki, aby powitać rodziców, Edmund jednak nie chciał mu towarzyszyć. Bał się badawczych wypytywań Olci, bał się Mani, której łagodne i tliwe uczucie dla brata onieśmielało go, budząc w jego duszy jakiś niepokój i smutek.

— Nie pojedę bez ciebie — rzekł stanowczo Zygmunt.

Edmund wzruszył ramionami, a po chwili milczenia wy-rzekł z uśmiechem ironicznym:

— Zbyt wielka byłaby to ofiara, po tygodniowem niewiedzeniu tęsknisz już widocznie. Cóżby to było, gdyby cię los rzucił o setki mil od rodziny? Płakałoby się, he, prawda?

Zygmunt uśmiechnął się.

— Nie, bracie, nie płakałoby się, wiesz przecie, że trzy lata spędziłem bardzo daleko od domu, ale oddalenie to dało mi poznać, jak drogie, jak święte są związki rodzinne; rodziców, Edmundzie, nikt nie zastąpi, a siostra, dobra, kochająca siostra,

to skarb prawdziwy, o czym wiesz tak dobrze, jak i ja — dodał z naciskiem.

Edmund przygryzł wargi i nic nie odpowiedział. Zygmunt zbliżył się do niego i, kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł wesoło:

— No, namyśl się i jedźmy, tam z pewnością wyglądają nas niecierpliwie.

— Więc jedźmy — rzekł niechętnie Edmund.

Zygmunt wyszedł, aby kazać zaprzęgać, a ponieważ konie od rana były gotowe, w pół godziny byli już na drodze do Wierówki. Oczekiwano ich tam rzeczywiście niecierpliwie i witano radośnie, jakby po najdłuższem niewidzeniu. Pytaniom nie było końca, Zygmunt najdrobniejsze zdarzenia podróży opowiadał z ożywieniem i właściwym mu dowcipem, śmiano się więc, żartowano wesoło, nawet Edmund, pociągnięty urokiem serdecznego ciepła, jakie z każdego słowa i uśmiechu płynęło, rozjaśnił chmurne oblicze i mimowoli stał się wesołym uczestnikiem ogólnej rozmowy, o ile wesołym być umiał. Widocznie na dnie duszy młodego człowieka leżała jakaś tajemna zgryzota, a chociaż bronił się jej i oddalał, wracała uparcie do jego myśli i truła mu każdą weselszą chwilę. Tą zgryzotą, tym robakiem sumienia, była blada i poważna twarz Reginy i dwie małe sieroty, dla których ona poświęciła najpiękniejsze swe lata, pracując i walcząc o chleb powszedni.

Przed wieczorem Zygmunt zaproponował przechadzkę do pobliskiego lasku, na co chętnie przystano, i młode towarzystwo wyruszyło wesoło. Szli pomiędzy łąkami pszenicy, wąską dosyć drogą i dlatego podzielić się musieli na pary. Olcia wysunęła się naprzód, a Zygmunt, podawszy rękę Mani, zostawił przyjacielowi miejsce obok kuzynki. Edmund milczał, a Olcia, tak zwykle wesoła i mówiąca, szła w zamyśleniu, zrywając kwiatki przy drodze, lub chwytając parasolką chrabąszcze, które zaczynały się już budzić z całodziennego uśpienia. Za to Mania z Zygmuntem bardzo wesołą i ożywioną prowadzili rozmowę, idąc o kilka kroków za milczącą parą. Nareszcie

Edmund zauważył, że mu coś mówić wypada, rzekł więc, aby co powiedzieć.

— Kuzynka pani jest bardzo wesołego usposobienia.

— Nie powiem, żeby była nadto wesoła, dziwnie tylko na nią oddziaływa towarzystwo Zygmunta.

— O, Zygmunt niezrównany jest w dowcipie i nie ustającym dobrym humorze.

— To złote serce — zawołała Olcia z uniesieniem — jaki on dobry, zacny, szlachetny, to pan to pewnie oceniasz, jako jego przyjaciel. A jaki brat! chociaż w tem najmniejsza jest zasługa, gdyż myślę, że złych braci niema chyba na świecie. Czy prawda, panie? — i dziewczę jasnym wzrokiem spojrzało na Edmunda.

On chwilę milczał, czuł, że rumieniec przeszedł po jego twarzy pod pytającym wzrokiem dziewczyny, nareszcie widząc, iż odpowiedzieć coś trzeba, rzekł powoli:

— Zależy to od pojęcia, jakie mamy o dobrym i złym bracie.

— Pojęcia? — zapytała — jak pan to rozumiesz?

— Chciałbym wpięrw wiedzieć, co pani rozumiesz pod określeniem „dobry brat“.

— Powiem lepiej, co myślę, jaki to zły brat, jeżeli źli bracia istnieją, bo przyznam się panu, że ja takich nie znam. Zdaje mi się więc, że zły brat, to ten, który więcej kocha siebie, niż rodzinę, który potrafiłby patrzeć obojętnym wzrokiem na niedolę siostry lub brata, który mógłby ich opuścić w potrzebie i zaprzeć się, wyrzec uczucia, które sam Bóg wlał w serce człowieka. Miłość w rodzinie jest tak wielkiem szczęściem, że chyba dobrowolnie nikt jej się nie wyrzeczy. Prawda, panie, że to bardzo słodko mieć braci i siostry?

— Bezwątpienia — odrzekł Edmund przyciszonym nieco głosem, i potarł ręką po czole, jakby chciał spędzić jakąś myśl niemiłą.

— Ach! pomyślała Olcia — musiałam obudzić w jego duszy jakieś przykre uczucie, pewnie tęsknotę za rodziną, pod-

nieconą teraz świeżem widzeniem się z ukochanymi. Nieznośna papla ze mnie — wyrzucała sobie w duszy, i, chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie, zapytała milczącego Edmunda:

— Czy pan lubisz wieś, czy też przekładasz życie w mieście?

— Wsi nie znam prawie — odpowiedział — urodziłem się i wychowałem w mieście i, zdaje mi się, że trudnoby mi było przyzwyczaić się do innego trybu życia.

Rozmowa znów się urwała. Olcia, nie mogąc sobie porażić z milczącym towarzyszem, zatrzymała się i zapytała o coś Maryni, idącej zaraz za nimi. Edmund miał minę bardzo niezadowoloną ze wszystkiego, co go otaczało. Był zamyślony, zdawało się, że nie widział zupełnie, co się przy nim działo, nie słyszał, co mówiono.

Wesoły śmiech Zygmunta wyrwał go z zamyślenia, potarł ręką po czole i westchnął głęboko, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego, co to za smutek ogarnął jego duszę. Idąc, gwarzyli wesoło, panienki się śmiały, Zygmunt niewyczerpany był w dowcipach. Nagle uszu ich doleciał odgłos żywo prowadzonej rozmowy, i z lasku wyszły dwie kobiety, idące szybko do wsi. Gdy się zbliżyły, Mania, spostzegłszy, że starsza z nich była zapłakana i smutna, zatrzymała się, a z nią i reszta towarzystwa, i zapytała kobiety:

— Co to za zmartwienie macie, moja Gawlikowa, czy broń Boże nie chory kto u was?

— Nie, dzięki Bogu, wszyscyśma zdrowi, ino okrutnieśmy się pomartwili — i kobieta fartuchem oczy ocierać zaczęła.

— I jakież to macie zmartwienie, jeżeli wolno wiedzieć? badała ze współczuciem Mania.

— Czemużby nie, jeżeli panienka taka dobra i chce posłuchać. Oj, ciężko to na świecie biednemu człowiekowi.

— Lecz o cóż idzie?

— A to, proszę panienki, ta moja bratowa — i kobieta pokazała ręką na młodą swą towarzyszkę — co już cztery lata będzie na Ś-ty Michał, jak się pobrali z moim bratem, mieszkają

w Brzozowej Wólce na swoich morgach. Jak ona wychodziła z domu, to ojciec obiecał jej dać trzysta rubli, ale starowina niedługo zmarł, a gospodarstwo wziął syn najstarszy. Ale ten zawsze odkładał i odkładał, a pieniędzy oddać nie chciał. Mój brat ma tam swoich sześć morgów, siedzieli więc i obchodzili gospodarstwo, jak mogli. Ale łońskiego roku grad zbił im biedakom wszystko na polu, na jesieni zdechła jedna krowa i tak jakoś bieda zajrzała do chałupy. Co pójdzie do brata, to ten, chociaż opływa we wszystko, jak pączek w maśle, to się jednak nad nimi nie ulitował i nic dać nie chce. Aż tu wczoraj okrutny ogień spalił całą prawie Wólkę, a oni biedaki ledwie że zdążyli uciec z życiem i dzieciiska swoje unieść z płomieni. My co tchu z moim poszliśwa do nich, i trza ich zabrać do siebie, póki sobie co nie umyślą, ale u nas dzieciaków sześcioro, w chałupie ciasno, niedługo więc będą mogli siedzieć.

Młoda kobieta głośno szlochała, Gawliczka pomagała jej również, a i panienki łzy miały w oczach.

— No, a ten brat bogaty? — zapytał Zygmunt.

— Od niego idziemy teraz — rzekła Gawliczka.

— On zapewne weźmie wszystkich do siebie — dodał Zygmunt.

— Boga tam, wielmożny panie, powiedział niegodzijas, że on ledwie ma sam dla siebie, że nie na to pracuje ciężko, aby rozdać swój dobytek, że on sam myśli o sobie, to i każdy powinien tak samo.

— A owe trzysta rubli, przyrzeczone przez ojca waszego? — zwrócił się Zygmunt z zapytaniem do młodej kobiety, milczącej dotąd.

Ale ta przysłaniała oczy zapracowaną ręką i nie odpowiedziała ani słowa. Gawliczka wyręczyła ją śpiesznie:

— Ona nigdy na niego nic powiedzieć nie chce, toż ją namawiają, żeby go zapozwała przed sąd, ale ona zawsze powiada: jak tu rodzonego prawować?

— I dobrze mówicie — zawołała rozrzewniona Marynia,

kładąc rękę na ramieniu młodej kobiety — Bóg wam dopomoże i wróci poniesione straty.

— Niegodziwiec — wyrzekła z oburzeniem Olcia — ale to chyba niepodobna, aby taki potwór mógł istnieć na świecie.

— Idźcież, moja Gawlikowa, do dworu i opowiedzcie to mamie, a rodzice zaradzą złemu z pewnością — rzekła Mania.

— Tam też i idziemy, kochana panienko, gdzieżby się człowiek udał w swoim frasunku i biedzie, jeżeli nie do tej naszej matki i opiekunki.

Kobiety pokłoniły się i śpiesznie poszły w swoją stronę. Podczas całej tej rozmowy, Edmund stał na boku, milczący i chmurny. Na słowa Olci „niegodziwiec, potwór“, na twarz jego silny wystąpił rumieniec, a następnie zbłądł i kurczowo zacisnął usta. Czemże on był dla swojej rodziny, jako najstarszy, a dziś mogący zająć się ich losem, czem on był! pytał go głos jakiś wewnętrzny. Czy nie był takim właśnie niegodziwcem, potworem, który opływając we wszystko, nie uczuł nigdy potrzeby podzielić się z rodziną? Prawda, nie zabrał im nic po rodzicach, nie zaparł należącej im schedy, ale zabrał im stokroć więcej, bo miłość brata, i zaparł się sam przed sobą nawet związków krwi rodzinnej. Te i tym podobne myśli snuły mu się nieustannie po głowie, pierwszy raz tak głośno i wyraźnie, a on pierwszy raz nie przytłumiał ich w duszy i nie tłómaczył się sam przed sobą. Z zamyślenia tego zbudził go głos Olci:

— Prawda, panie Edmundzie, że prawo karze takich samolubów, takich złych i nieuczciwych braci?

— Za nieprawne zabranie majątku — wyprzedził Zygmunt przyjaciela — prawo zmusza do zwrócenia takowego.

— A za zabranie serca i spokoju, a za łzy smutku i tęsknoty? — zapytała Mania.

— Cóż tu prawo pomódz może — zabrał znowu głos Zygmunt — alboż można siłą zbrojną wprowadzić miłość do serca? alboż można powiedzieć samolubowi „kochaj“, kiedy on słowo to tylko do siebie zastosować umie?

Panienki posmutniały, dalsza przechadzka nie była zbyt wesoła. Napróżno Zygmunt, otrząsnąwszy się z niemilego wrażenia, jakie na nim to spotkanie i rozmowa uczyniły, starał się przywrócić dobry humor, nie udawało mu się to jednak, Edmund milczał uparcie, a wyraz jego twarzy nie był bardzo zachęcający do utrzymania rozmowy. Nawet śmiała i rezolutna Olcia odsunęła się od niego, a, wzięwszy Marynię pod rękę, zwróciły się ku domowi. Dwaj przyjaciele szli za nimi, Zygmunt rozpoczynał po kilka razy gawędkę, lecz widząc, że go Edmund zbywa jednym słowem lub milczeniem, zamilkł i siedł obok przyjaciela, nie mówiąc już i słowa.

Po powrocie do domu, najpierw była mowa i biedakach, którzy zostali bez dachu i chleba, a po chwilce cichej rozmowy z matką, twarzyczka Mani zajaśniała uśmiechem zadowolenia, szepnęła coś Olci na uszko, a ta, przesławszy w stronę wujostwa wzrok miłości, uściskała Manię serdecznie.

Matka Zygmunta zwróciła się do Edmunda.

— Panu zapewne obce takie smutne strony życia naszego ludu, nieprawdaż?

— Ja sądzę, że nędzy i biedy o wiele więcej jest po miastach — odparł zapytany po chwili namysłu.

— Bezwątpienia, jednakże nie dotyka jej się tak blisko, a, przyzwyczajawszy się widzieć codziennie twarze smutne i zbiedzone, przechodzi się obojętnie obok nieszczęśliwych, którym nieraz bardzo małą ofiarą możnaby osuszyć łzy niedoli.

— Prawda, lecz my, po większej części wszyscy w trosce o chleb powszedni, nie możemy myśleć w każdej chwili o potrzebach tych, których tysiącami spotykamy na ulicach.

— Byłoby to zbyt trudnem nawet, ja też nie mówię tu o nędzy publicznej, wielkiej, dla której miasta mają tyle instytucji dobroczynnych, utrzymywanych szlachetną ofiarnością ogółu, ale mówię o tych biedakach, których wszyscy mamy w kółku naszych stosunków z ludźmi. Nie każdy z nich zapuka do drzwi przytułku, nie każdy wyciągnie rękę po grosz jałmużny, a jednak iluż z nich potrzebuje wsparcia i pomocy.

— Powiedz pan — mówiła dalej pani domu po chwilo-
wem milczeniu, nie mogąc się doczekać słowa od Edmunda —
co może naprowadzić na drogę obowiązku złego brata, który
zagarnawszy dobytek ojcowski, obojętnem okiem patrzy na nę-
dzą rodzonej siostry, na ciężką jej pracę dla wyżywienia ma-
leńkich dzieci? Czem podzialać na taki egoizm, na taki brak
serca i poczucia ludzkości nawet? Pozwy i sądy? ależ niepodo-
bna nakłaniać ludzi do czynów, które między obcymi są wstrę-
tne, a cóż dopiero między rodziną.

Olcia uśmiechnęła się ironicznie trochę.

— Cioteczka nie pamięta, że mówi do prawnika, który
podobnych zasad aprobować nie może, bo...

— Bo umarłby z głodu, dokończ pani — rzekł z rozdra-
żnieniem Edmund.

— O śmierci nie myślałam, dla człowieka, który chce
pracować, chleb zawsze się znajdzie, nie zawsze wykwinąłny
i zbyt kowny, ale chleba naszego powszedniego nie może
zabraknąć.

— Moje dziecko — podjęła żywo ciotka, chcąc przerwać
Olci — zawód prawnika jest bardzo piękny i bardzo podnio-
sły. Niestety, niema społeczeństwa, któreby nie potrzebowało
obrońców przeciw przemocy jednych, zdzierstwu i niesprawie-
dliwości innych; są sieroty na łasce niesumiennych opiekunów,
są nieporozumienia różne, które tylko na drodze sądowej usu-
nąć się dadzą. Tu więc prawnik występuje w pięknym cha-
rakterze obrońcy, stróża sprawiedliwości, pojednawcy i doradcy.
Prawnik, pojmujący wysoko swe powołanie i lekarz, to są
stanowiska, na których człowiek dobroczyńcą ludzkości zo-
tać może.

— Prawda — szepnęła Olcia z westchnieniem.

— Jakież więc zawód najbardziej się pani podoba? — pod-
jął żywo Edmund, zwracając się do Olci, rad, że rozmowa
na inne przechodzi pole.

— Zawód szlachetnego, dobrego człowieka — z naciskiem
wymówiło dziewczę, po chwili milczenia.

— To niedość jasno.

— Jak najjaśniej — rzekła, zbliżając się Mania, która stała opodal z Zygmuntem i przysłuchiwała się całej rozmowie z zajęciem. — Olcia w tych kilku wyrazach uczyniła jasne wyznanie, że na każdym stanowisku, na każdym szczeblu społeczeństwa, człowiek szlachetny i dobry zyskuje szacunek i uznanie, a zawód, któremu się poświęcił, podnosi i uzacnia. Mówiliśmy o tem bardzo dużo i nieraz, na tym punkcie przekonania nasze są zupełnie jednakowe.

— Wierzę, pomimo tego jednak zdaje mi się, że kuzynka pani trochę odmienne ma przekonania.

— Nie, panie — brzmiała krótka odpowiedź.

— Olcia coś namotała na mały paluszek — rzekł wesoło Zygmunt — znam się na tem nie od dzisiaj, teraz nie usłyszymy nic więcej, jak tylko „tak“ lub „nie“.

— Zatem kiedy tak, to zabierajmy się z powrotem do Orlinka — rzekł Edmund — gdyż jutro chciałbym koniecznie wracać do Lublina.

— Jakto, już? — zapytała żywo Mania — Zygmunt miał nadzieję, że jeszcze parę tygodni będzie się cieszył towarzystwem pana.

— Niewesoły ze mnie towarzyszy, Zygmunt zbyt dobry dla mnie.

— Do Orlinka wracajmy, gdy sobie życzysz, a o Lublinie pogadamy jeszcze.

Edmund, pożegnawszy się ze wszystkimi, zbliżył się do Olci, która stała na tem samem miejscu.

— Żegnam panią — rzekł, wyciągając rękę — widzę, że stałem się mimowolnie powodem jakiejś przykrości dla pani, a jednak nie chciałbym, aby tak było istotnie.

Panienka ze smutnym uśmiechem spojrzała mu w oczy i rzekła:

— Żegnam pana.

Po odjeździe młodych przyjaciół, gdy kuzynki zostały same, Olcia cichym głosem rzekła do Mani:

— Ach! on niedobry, niedobry, widzę, czuję to, że jest w jego życiu coś, coś takiego, co przynosi ujmę jego sercu i prawości charakteru.

— Skądże ci myśli podobne i przypuszczenia? — zapytała Mania.

— O! ty nie słyszałaś, co ze mną mówił, tyś nie uważała wszystkich odcieni jego myśli, malujących się w oczach i na twarzy, tyś nie widziała tych ponurych spojrzeń, tyś nie spostrzegła niepokoju i niezadowolenia, gdy z ciocią rozmawiał, ale ja uważałam, i widziałam wszystko doskonale.

— W rzeczy samej nie śledziłam tak zbliżka gry jego fizjognomji, mogłam tego nie dojrzeć — rzekła Mania.

— Szkoda go, szkoda, Maniu, bo jednak mógłby to być człowiek dobry, gdyby...

— Gdyby był dobry — dokończyła Mania.

X.

Choroba Reginki.

Rozstaliśmy się w Saskim ogrodzie z Reginką i jej rodzeństwem; Adaś, spostrzegłszy Edmunda, zawrócił siostrę udaniem zgubionych niby papierów, aby ją uchronić od bolesnego spotkania. Dzień ten skończył się nareszcie. Dziewczątka spały oddawna, po tylu wrażeniach sen ich był pewnie dalszem pasmem minionego egzaminu, rozdawania nagród, radości jednych, smutku, zawiedzionych nadziei innych, i łez zapóźno wylewanych tych, które, przez rok cały lekceważąc naukę i jej korzyści, uznawały w końcu z żalem, że jest to jednak rzecz piękna, kosztowna i warta zdobywania, choćby z trudem i mozołem.

Reginka nie spała. Siedząc przy oknie, zapatrzyła się w niebiosy, zasiane milionami gwiazd błyszczących, a srebrne smugi światła księżyca oblewały ją swymi blaskami, ukazując

twarz bladą i smutną, smutną bardzo. Zaciśnięte kurczowo dłonie wskazywały jasno, że jakiś ból tajemny szarpie to biedne serce, usta drgnęły czasem spazmatycznie, jakby chcąc powstrzymać skargę może jakąś, może głos rozpacznej bolesti.

Reginka od kilku dni wiedziała, że Edmund jest w Warszawie, widziała go dwa razy, nie będąc sama widzianą, tała to jednak przed rodzeństwem, aby nie rozdrażniać i nie zniechęcać Kamilki i nie budzić żalu małej Zosi, która tak pragnęła dawno niewidzianego braciszka zobaczyć i poznać prawie. Nie mówiła nic i Adasiowi, po co go zniechęcać, po co zwiększać żal, nurtujący na dnie duszy pocziwego chłopca. Ona sama niech odcierpi i odboli za wszystkich. I cierpiała też bardzo, a cierpienie to zdwajało się jeszcze przymusem, aby ukryć przed wszystkimi to, co się w jej sercu działo.

Długo tak siedziała w bolesnych pogrążona myślach, już gwiazdy bladły i niknąć powoli zaczynały, już i księżyc pośpieszył ukryć się przed gwiazdą dzienną, której przyjście zapowiadać zaczynał różowy blask jutrzeńki. Reginka nic nie widziała, nic nie czuła. W głowie jej zaczęło coś szumieć i huczeć, myśli plątały się i zwolna traciły związek je łączący, przed oczami migwały roje czarnych punkcików, które zamieniać się zdawały w jakieś dzikie i straszne potwory. Krzyknęła dziwnym głosem, zerwała się gwałtownie z miejsca i jak długa padła na ziemię. Kamilka, zbudzona nagle, wyskoczyła z łóżka, było już o tyle widno, że odrazu ujrzała siostrę, leżącą na ziemi, a w tej chwili i Maciejowa wbiegła do pokoju.

— Boże! — jęknęła Kamilka, klękając u nóg siostry i rozpacznie załamując ręce — Boże!

Więcej nic mówić nie mogła, straciła prawie przytomność i świadomość życia. I Maciejowa nie rozumiała, co się stało, widziała tylko, że Reginka leżała prawie bez ducha. Oprzytomniała jednak prędzej od biednego dziecka, które obłąkanym wzrokiem, bez ruchu najbliższego wpatrywało się w martwą, jak się zdawało, twarz siostry.

— Kamilciu — mówiła stara sługa — musimy ją konie-

cznie przenieść na łóżko, a potem co tchu polecę po doktora i po Adasia.

— Boże! — szepnęła dziewczyna blademi usty.

Maciejowa wzięła ją za rękę i wstrząsnęła silnie.

— Kamilciu, prędkiej, prędkiej, pomóż mi, jagódko.

Staruszka uniosła z ziemi głowę Reginki i oparła ją na swych piersiach, a ta otworzyła oczy i bezwiednie wymówiła:

— Edmundzie!

— Żyje! — krzyknęła Kamilka, przywrócona do przytomności ocuceniem się siostry i nogi jej całować zaczęła — o Reginko! Reginko moja, co ci jest, najdroższa!

— Cicho, Kamilciu — łajęła stara sługa, po której twarzy łzy płynęły a, zwracając się do Reginki, rzekła tklwym głosem: — Panienko, dźwignij się przy naszej pomocy i chodź, połóż się do łóżka.

Z największem wysileniem Reginka zdołała się podnieść, wspierana przez Maciejową i Kamilkę, która wszystkie wy dobywała siły, aby unieść drogi ten ciężar. Z wielkim trudem zdołały ją rozebrać i położyć.

Słońce już dawno jaśniało na niebie, na ulicach ruch zaczął powstawać, gdy Maciejowa po cichu zapukała do mieszkania pani R. Różia już nie spała; drepcąc przy kuchni, odmawiała ranne pacierze. Otworzywszy, przelekła się, gdy ujrzała Maciejową i krzyknęła głośno:

— Chryste Panie! a tam co się u was stało, że tak rano przychodzicie do nas?

— Cicho — rzekła Maciejowa, kładąc palec na ustach — obudźcie no panicza tuk, żeby pani nie usłyszała; nasza panienka okrutnie zachorowała, trzeba doktora poszukać!

— Reginka chora! — krzyknęła znów Różia, aż się po kuchni rozległo — oj cicho, cicho, aby się nasza pani nie dowiedziała tak raptem.

Ale pani R. stała już we drzwiach, zbudzona niezwykłym szmerem w kuchni, usłyszała wymówione przez Rózię słowa: „Reginka chora“ i w jednej chwili była na nogach. Tać już

nie było potrzeby, a w pół godziny potem pani R. siedziała przy łóżku Reginki, Adasia z doktorem nie było jeszcze.

Reginka leżała bez przytomności, imię Edmunda bezustannie wracało jej na usta. Kamilka, wsparta o poręcz łóżka, z palającym rozpaczą, lecz suchem okiem, wpatrywała się w chorą, Zosia cicho łkała w kąciuku. Któżby się mógł po wesołym dniu wczorajszym spodziewać, że tu dziś lży i trwoga zapanują? Reginka wczoraj taka była swobodna, taka szczęśliwa, patrząc na swoje sierotki. A dziś w jej gorączką trawionej myśli Edmund, i tylko Edmund panuje!

Skąd jej to przyszło? myślała Kamilka, ach! jakże była sobie wdzięczną, że nic nie mówiła o bytności jego w Warszawie. Ani przypuszczała, że Reginka wpierv od niej o tem wiedziała, a to tajemie, to wysilanie się na spokój i wesołość, gdy serce jej płakało łzami żalu i tęsknoty, wyczerpało wreszcie jej siły. Czyż wart był ten zimny egoista takiej miłości bez granic? Serce nie roztrząsa wartości ukochanych i najbliższych mu istot, kocha i za zasługę sobie tego nie poczytuje wcale.

Przyszedł wreszcie Adaś z doktorem, który po zbadaniu chorej, na niespokojne pytania pani R. powiedział, że rozwija się bardzo silne zapalenie mózgu. Łatwo zrozumieć boleść i niepokój tych, którzy kochali Reginkę. Choroba postępowała rzeczywiście szybko, pod wieczór chora nie poznawała już nikogo. Słowa urywane i niezrozumiałe błędziły na ustach gorączką spieczonych, słyszeć można było najczęściej i głośnieji wymawiane imię Edmunda i Kamilki, której boleść granic prawie nie miała.

— Babciu — mówiła cichym głosem biedaczka, klękając u nóg staruszki — powiedz mi, jaką ofiarą przywrócić można zdrowie Regince? Życie oddałabym z radością. O! wierzej mi, babciu, czuję to, że umarłabym za nią.

— Dziecko, nie słowami rozpaczy, nie zatopieniem się w boleści dowiedziesz miłości swej dla siostry. Od rana załamujesz ręce i chodzisz bezprzytomna, a chora potrzebuje ciągłej i troskliwej opieki. Ja słaba, złamana życiem, zgnębiona

straszmem wspomnieniem chwil, gdy tak siedziałam niegdyś przy łożu mej jedynaczki, nie mogę spełniać wszystkich posług. Maciejowa również spędzać całego dnia przy chorej nie może. Otrząśnij się więc z tej rozpacz, dziewczeczko. Boga wezwij na pomoc i Jemu oddaj w opiekę naszą chorą ukochaną, a sama zajmij się pielęgnowaniem tej, która ci jest najdroższą na ziemi.

Pani R. wymówiła te słowa poważnie i surowo niemal, chciała bowiem wyzwać Kamilkę z obojętnością ją boleści. Jakoż dopięła celu, dziewczę oprzytomniało w jednej chwili.

— Prawdę mówisz, babciu, dziękuję ci, moje to miejsce przy łożu Reginki, moje tylko, niczyje więcej — dodała z zapalem.

I od tej chwili zapanowała nad cierpieniem swoim, a cała była na usługi chorej, którą pielęgnowała z troskliwością i rozważą. Choroba stawała się groźną, pani R. wezwała drugiego doktora na żądanie tego, który zaczął leczyć Reginkę. Dnia tego chora miała silniejszą malignę, bezustannie otwierała oczy, i z największym wysileniem rozglądała się po pokoju, wołając głośno: „To Edmund, tak, to Edmund!“

— O kim tak chora ciągle mówi? — zapytał doktor pani R. — imię to może mieć jakiś związek z chorobą.

— To brat jej najstraszy — odpowiedziała pani R.

— Czy żyje?

— Żyje, ale... oddalony jest bardzo, nie może więc często odwiedzać rodziny.

Jestże rzeczą niemożliwą, aby tu teraz przyjechał? sądzę, że obecność jego mogłaby uspokajająco wpłynąć na chorą.

Drugi doktor potwierdził zdanie kolegi.

— Napiszemy więc do niego natychmiast — rzekła pani R. — Adasiu — zwróciła się do siedzącego opodal młodzieńca — dziś jeszcze trzeba wysłać list do Edmunda, zawiadamiając go o chorobie Reginki.

Młody chłopiec podniósł się i wyszedł do drugiego pokoju. Kamilka udała się za nim.

— Pozwól — rzekła z gorączkowym rumieńcem — ja do niego napiszę, ja mu doniosę o chorobie Reginki i poproszę nawet, aby raczył przyjechać. Och! dziś bez grzechu, bez wyrzutu sumienia, będę mu mogła wypowiedzieć wszystko, co mi od lat dziecinnych kamieniem leży na sercu. List mój otworzy mu oczy, da mu poznać, czem on był w rodzinie naszej, powiem mu, że jest przyczyną choroby tego opiekuńczego naszego anioła, i zaproszę go, aby przyjechał nasycić oczy widokiem cierpień ohorej i naszej rozpaczy.

— Kamilko! Kamilko! — zawołała chora mocnym głosem, i wyciągnęła ręce przed siebie. Na pierwszy dźwięk tego głosu, dziewczę z błyskawiczną szybkością zbliżyło się do łóżka, lekko ujęło rękę, szukającą czegoś w powietrzu, i przycisnęło ją do ust swoich.

— Ach — szepnęła sama do siebie — ty nawet bezwiednie czuwasz nademną i odwodzisz mię do złego. Ukochana ty moja, czem byłabym bez ciebie?

Adaś, myśląc, że Kamilka list napisze, sam tego nie uczynił, i Edmund nie został zawiadomiony o chorobie Reginki.

XI.

Spotkanie Edmunda z rodziną.

— Kochany Zygmuncie, jutro stanowczo już muszę wracać do domu — rzekł Edmund do przyjaciela w kilka dni po powrocie z Warszawy. — Wierzaj mi, muszę — dodał z naciskiem.

— Ha, trudno, przykrości a może i różnicy w twych interesach robić ci nie mogę. Widzę, że już nie utarguję nic od ciebie, zatem, gdy wola, jutro puścić cię muszę.

Na drugi dzień Edmund powrócił do Lublina, potrochu stęskniony już za trybem swego życia, za wygodą i zupełną niezależnością. Wprawdzie w duszy jego zaczęły się budzić jakieś niepokoje, myśl o rodzeństwie coraz częściej stawiała

mu przed oczy życie ich pędzone w mierności i pracy, a szczególnie postać Reginki jawiła mu się wśród snu nawet. Przypisywał to otoczeniu i wpływowi częstych odwiedzin Wirówki, i dla odzyskania utraconego spokoju, postanowił wyjechać prędzej, niż miał zamiar. Sentymentalna Mania, jak ją nazywał, i wyegzaltowany w uczuciu Zygmunt gniewali go prawie. Drażniła go Olcia, chociaż lubił ją najwięcej, czuł jednak, że dłuższy pobyt w Orlinku staje się dla niego niemożliwym. Przyspieszył więc wyjazd i prawie z radością wszedł do swego wytwornego mieszkanka. Dziwna rzecz jednak: po rozejrzeniu się po swych ozdobnie urządzonych pokojach, uczył jakąś tajemną zgryzotę a, stąpając po miękkim kobiercu, rozesyłanym w saloniku, chmurka smutku i wstydu przysłoniła mu czoło.

Służący przyniósł kilka listów, nadeszłych w czasie jego nieobecności, usiadł więc przy stole i zaczął je niedbale przerzucać. Nareszcie na jednym dłużej spoczęło jego oko i z zadowoleniem szepnął: „to od pocziwego Ignasia“. Zaczął czytać z zajęciem, lecz po kilku chwilach pobladł nieco i mimowoli zawołał: „Ach! czy to być może?“ Skończył czytać, rzucił list na stół i szybko zaczął chodzić po saloniku. Na tej zimnej zwykle twarzy malowało się silne wzruszenie, raz jeszcze wziął list do ręki i, nie spojrzawszy na pierwszą stronę, przerzucił ją i czytał:

„Nie rozpisuję się długo, mam bowiem nadzieję, że cię zobaczę za dni kilka, dziwię się nawet, że cię dotąd jeszcze niema w Warszawie. Ważne jednak sprawy zatrzymują cię pewnie w Lublinie, gdyż niepodobna, aby ci nie doniesiono o niebezpiecznej chorobie najstarszej twojej siostry, o czym dowiedziałem się zupełnie przypadkowo. Dr. Z. leczy twą siostrę, i on to mi właśnie o tej chorobie powiedział. Czy tylko i ty, przyjacielu, nie jesteś broń Boże chory?“

„Wiadomy ci interes i t. d.“ List kończył się doniesieniem o pewnej sprawie, bliżej obchodzącej Edmunda. Parę pozostałych jeszcze listów przeczytał on z gorączkową niecier-

pliwością, gdyż spodziewał się, że może który z nich jest od Adasia, omylił się jednak, nikt z rodziny nie pisał do niego. „Tak, myślał z goryczą, nie potrzebują mnie, nie uważali za stosowne zawiadomić mię nawet o chorobie Reginki, a jednak bratem jestem i to bratem najstarszym“. Zbyt późno przypomniał sobie o tem!

— Jak oni tam sobie radzą? — myślał dalej, chodząc po pokoju — choroba, to rzecz strasznie kosztowna dla ludzi niezamożnych, dla ludzi pracujących ciężko na kawałek chleba, Pamiętam, jaką dla nas ruiną była choroba matki, a następnie ojca. — Na wspomnienie rodziców, serce uderzyło mu silniej, i przeszłość cała stanęła nagle przed oczyma. I ujrzał matkę na śmiertelnej pościeli, błogosławiącą im drżącą ręką, i uprzytomniło mu się w myśli, jak ręka ta, przeźroczyściej niemal białości, najdłużej spoczęła na głowie Reginki, i poczuł na sobie ten wzrok gasnący, a jednak tak wymowny. A potem widział, jak Reginka, ta wątła na pozór i blada dziewczeczka, zajmowała się domem całym, jak pielęgnowała strapionego ojca, jak pamiętała o wygodach ich wszystkich, nie myśląc nigdy o własnych, i wystawiał sobie, że i ona leży dziś w ciężkiej chorobie, a może... może... i dreszcz silny przebiegł po jego członkach.

-- Ha, jechać muszę, jechać natychmiast — zawołał w uniesieniu — a i tak przyjadę może zapóźno. Zapóźno — powtórzył głucho — zapóźno!

W duszy jego staczała się walka egoizmu z miłością dla Reginki, tlejącą gdzieś na dnie tego biednego, samolubnego serca. I miłość zaczęła zwyciężać, on nie bronił się uczuciu, które coraz silniej wydobywało się na wierzch zaczęło. Z beładnej myśli jego usuwało się wszystko powoli i nikło, a pannaować w niej zaczęła Reginka, chora ciężko, może umierająca nawet...

Zadzwoił, polecił służącemu przygotować wszystko do drogi, i w dwie godziny pozostawił za sobą Lublin, Orlinek i Wirówkę, pozostawił za sobą wszystko, nawet wspomnienie tych miejsc.

Im bliżej był Warszawy, tem więcej trwoga i niepokój jego wzrastały. Pragnął stanąć jak najprędzej i lękał się zarazem. O! gdyby już raz przebyć te straszne chwile powitania. Co on im powie, jak stanie przed nimi? Dziwne uczucie zaczęło go ogarniać, rozumiał, że to miłość do rodziny zbudziła się w jego duszy, czuł teraz, że ich kochał. Skąd ta zmiana? Parę tygodni temu nie chciał wiedzieć o nich a dziś porzucił wszystko na wiadomość o chorobie siostry i śpieszył do jej łóża, jak brat najszulszy. Nie bronił się uczuciu i nie zdawał sobie z niego sprawy.

Była godzina dziesiąta wieczorem, gdy Edmund przyjechał do Warszawy, stanął w hotelu, a po kilku minutach wybiegł szybko na miasto. Wskoczył do doróżki, gdy ta zatrzymała się przed wskazanym domem, serce Edmunda uderzyło niepokojem, a gdy wchodził na schody, niepokój jego wzrastał. Stanął wreszcie przed drzwiami, na których przybita kartka: „Regina Witecka“ wskazywała mu mieszkanie rodziny. On tu jeszcze nie był, nie był z własnej woli, nie żadne okoliczności przeszkodziły mu odwiedzić ich, ale egoizm, samolubstwo. Nic więc dziwnego, że ręka jego nie śmiała spocząć na klamce drzwi bocznych.

Nadstawiał ucha, nasłuchiwał, czy jaki głos nie da mu poznać, co się dzieje poza temi drzwiami, ale panowała tam cisza grobowa, zdawało mu się tylko, że słyszy lekki i cichy szmer kroków, to zbliżających się do drzwi, ta niknących gdzieś dalej. Naraz na schodach posłyszał lekkie kroki, i wkrótce obok niego stanęło dwóch mężczyzn, którzy ze zdziwieniem ujrzeni stojącego przy drzwiach młodego człowieka. Jeden z przybyłych spojrzał nieufnym wzrokiem na Edmunda i zapytał:

— Czy pan chcesz wejść do mieszkania panny Witeckiej?

Nim Edmund odpowiedział, drugi z przybyłych zapytał żywo:

— A może pan jesteś bratem panny Witeckiej?

— Tak panie, jestem Edmund Witecki — odpowiedział

z lekkim niezadowoleniem w głosie na to badanie nieznamych.

— Doktor Z. — rzekł pierwszy, uchylając lekko kapelusza — mój kolega B. — dodał, wskazując drugiego mężczyznę.

Edmund oddając ukłon, rzekł niego zakłopotany.

— Od lat kilku nie widziałem rodziny, mieszkam w Lublinie, na wiadomość o chorobie siostry przybyłem o ile mogłem najspieszniej, i stoję tu chwil parę, lękając się złej wieści.

— Rzeczywiście jest bardzo źle, nie taję tego przed panem, dziś już raz drugi idziemy do chorej — rzekł dr. Z.

— Powinno dziś nastąpić przesilenie — dodał drugi, ale jak wypadnie... — i poruszył zamionami z lekkim ust skrzywieniem.

— Miejmy nadzieję — rzekł pocieszająco dr. Z., widząc przy świetle lampy, że Edmund drgnął boleśnie — miejmy nadzieję, młoda jest, a choć niezbyt silna i organizm nadwierzony nadmierną widocznie pracą, ja nie tracę nadziei.

W tej chwili drzwi, przy których stał Edmund, otworzyły się cicho i Maciejowa wyszła do sieni. Ujrawszy trzech mężczyzn, była pewna, że to jeden jeszcze lekarz przyszedł, zdawało jej się więc, że niebezpieczeństwo się wzmogło, przysłoniła ręką oczy i tłumione łkanie wydobyło się z jej piersi.

— Nie płaczcie, dobra kobieto — rzekł dr. Z. — oto przybył brat waszej panienki, mam nadzieję, że obecność jego wpłynie na polepszenie zdrowia chorej, gdyż imię pana — dodał, zwracając się do Edmunda — bezustannie wraca jej na usta.

— Chodźmy, kolego — rzekł dr. B., który obojętnie słuchał wszystkiego — czas mam policzony.

— Możesz pan wejść z nami, w tym pokoju niema zwykle nikogo, chyba czasem brat pana — rzekł dr. Z. i lekko poruszył klamką, nie dzwoniło bowiem ze względu na chorą.

W chwilę zatrask odsunął się cicho, i tym razem nie Adaś, jak zwykle, ale Kamilka drzwi otworzyła. Przez te parę tygodni dziewczynka zmieniła się bardzo, wychudła, twarzyczka jej pobladła, wielkie oczy zapadły głęboko, cierpienie

straszne ślady wryło na tej młodej istocie. Otworzywszy, zawróciła się, nie spojrzawszy na nikogo, i lekko, jak duch jaki, zmierzała do pokoju chorej.

— Panno Kamilo — zagadnął ją dr. Z. — zatrzymaj się, proszę.

Stanęła i cichym głosem wyrzekła:

— Co mam uczynić, panie doktorze?

— Chciałem pani zadać parę pytań, a mianowicie, czy chora spała?

— Ani jednej chwili, panie.

— Czy mówiła co?

— Pan wiesz, co powtarza bezustannie — i Kamilka wychudłą rączką pogładziła czoło, jakby pragnęła z niego spędzić jakąś myśl uprzykrzoną.

Edmund zatrzymał się opodal, w pokoju nie było jasno, przysłonięta lampa stała na bocznym stoliku, Kamilka nie zwróciła nawet na niego uwagi. Ale on patrzył na nią wytężonym wzrokiem, dwie plamy czerwone na twarz mu wystąpiły. Szalony ból ścisnął mu piersi, tysiączne myśli plątały się w głowie. Jak oni sobie teraz radzą, kiedy Reginka złożona ciężką chorobą? czy ludzie obcy dają im wsparcie i opiekę, a on w wygodach i zbytkach nie pomyślał o nich nigdy, nigdy! Samolub, egoista! wołał w nim głos jakiś, i dwie łzy, łzy żalu i upokorzenia, spłynęły po jego męskim obliczu.

— Kamilko — wyszeptał cichym głosem i wyciągnął ręce przed siebie.

Dziewczynka drgnęła, podniosła wzrok, spuszczone ku ziemi, a, spostrzegłszy brata, mimowolny krzyk wyrwał się z jej piersi:

— Edmund!

— Edmund! Edmund! — dał się słyszeć z drugiego pokoju głos słaby, z wysileniem z piersi dobyty — kto mówił, że tu jest Edmund!

— To ją zabić może... lub uleczyć!... — rzekł dotór B. i pośpieszył do pokoju chorej. Drugi lekarz udał się za nim.

Reginka rzucała się gwałtownie na łóżku, a z ust jej, gorączką spieczonych, wśród słów bezładnych raz po raz wybiegało imię Edmunda.

Na niskim fotelu, w głowach siedziała pani R. I tu cierpienie wyrzyło swe ślady, głowa sędziwej niewiasty, wsparta o poręcz fotelu, zdawała się już należeć do umarłej. Po wyjściu lekarzy, Kamilka, jak martwa stała na miejscu, z dziko błyszczącymi oczyma, wlepionymi w brata, zda się, wstrzymując siłą woli gwałtowny wybuch zranionego serca. Edmund zapamiętał z lat dawnych, że mała nie kochała go nigdy, znał jej charakter dobrze, wiedział, że nie była to dobra, kochająca z poświęceniem Reginka, której miłość, jak promienie słońca ogrzewało wszystkich, gdy tymczasem serce Kamilki zdobywać trzeba było. Prawda, że gdy kogo pokochała, zdolną była do największej ofiary dla ukochanych, ale i niechęci nie pozbywała się łatwo.

I teraz stała przed Edmundem, jak sędzia surowy, z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na piersiach, z nawpół uchylonemi ustami, jakby gotowemi do wybuchu i bolesnej skargi. Edmund rozumiał ją dobrze, ale w duszy jego zaszła wielka zmiana: jużby teraz nie powtórzył tych słów niebacznych, które niegdyś powiedział przy małej: „nie dbam, czy taka figa kocha innie lub nienawidzi“. Teraz zapragnął gorąco miłości rodziny, o którą nie dbał tak długo, i dlatego po raz drugi wyciągnął ręce, i po raz drugi wyszeptał:

— Kamilko!

Dziewczę znów drgnęło, jakaś walka ciężka staczała się w tej duszyczce młodej, ale oczy jej straciły już swój dziki, namiętny wyraz, nie postąpiła jednak kroku, nie wyciągnęła rąk, ale opuściła je bezwładnie na sukienkę. Jęki chorej znów doszły ich uszu, i ciemna brew dziewczęcia ściągnęła się groźnie a, wyciągając rękę w stronę pokoju, gdzie leżała Reginka, wyrzekła stłumionym głosem:

— Idź i nasłuchaj się, napatrz się cierpieniom anioła, to twoje dzieło! to święta, która życie całe poświęciła dla nas,

i tylko dla nas, a jeżeli po raz drugi zostaniemy sierotami, to będzie twoje dzieło!

Rzecz dziwna: on, mężczyzna dojrzały, stał przed dzieckiem z pokorą winowajcy, namiętne słowa dziewczynki nie pobudzały go do gniewu, ale przeciwnie budziły w jego sercu silniejsze uczucie miłości, przybliżył się więc parę kroków i z czułością wyrzekł:

— Siostrzyczko moja, czyż tak przyjmuje się brata?

— Brata! alboż pamiętać mogę, że mam jeszcze brata prócz Adasia? — cofnęła się, i dawny pogardliwy uśmiech oszpecił jej usta.

— Kamilko! — zawołała chora i dziewczyna, nie spojrzawszy na Edmunda, szybko wybiegła z pokoju. Uklękła przy łóżku Reginki; to zwykle jej miejsce, tu na ziemi usypiała na chwilę, gdy gwałtownie potrzebowała spoczynku, od czasu choroby siostry ani razu nie zasnęła na łóżku, pomimo nalegań i przedstawień pani R., która z trwogą spoglądała na mizerniejące coraz więcej dziewczę; Kamilka odpowiadała łagodnie, ale stanowczo:

— O! nie nalegaj na mnie, babciu kochana, bo moje miejsce tu, przy jej nogach.

Reginka tak przywykła widzieć ją zawsze przy sobie, że pomimo gorączki i braku przytomności wołała ją, ile razy dziewczę się oddaliło. I teraz tak było. Kamilka, zajmwszy zwykle miejsce, wzięła lekko w swe dłonie rozpaloną rękę chorej a, wsparłszy głowę o krawędź łóżka, zalkała cicho. Lekarze, usunąwszy się do okna, naradzali się z sobą.

— Edmundzie! o mój bracie! — zawołała chora i poruszała się niespokojnie na łóżku.

W tej chwili Edmund, nie rozważając następstw zgubnych może dla chorej, wpadł raczej, niż wszedł do pokoju, zbliżył się do łóżka a, odsunąwszy Kamilkę, głosem, którego nie tłumił, drżącym od wzruszenia, zawołał, ujmując obie jej ręce.

— Reginko! siostro moja! oto jestem przy tobie, przyby-

łem, aby się już z wami nie rozłączyć nigdy, Reginko! czy mnie słyszysz? — wołał jak w obłąkaniu, wstrząsając ręce chorej.

Pani R. zerwała się z miejsca, Kamilka z dziką rozpaczą krzyknęła: „dobije ją!“ a lekarze zbliżyli się spiesźnie, chcąc odciągnąć Edmunda od łóżka chorej, ale było to daremne, bo teraz i Reginka trzymała silnie ręce brata. Wzrok jej, błyszczący gorączką, zdawał się chcieć zbadać i zrozumieć rzecz nieznaną, naraz wyrwała się z rąk jego, siłą nadludzką usiadła na łóżku i rzuciła mu się na szyję, wyszeptawszy:

— Edmundzie!

Po wysileniu tem opadła na poduszki bezwładnie, przykneęła oczy i zdawało się, że rozstała się już z tym światem, że dusza jej uleciała w krainę wieczności.

XII.

Prośba Edmunda i jej skutek.

Na trzy dni przed Bożem Narodzeniem, w mieszkaniu pani R. było wesoło i gwarno, zebrała się bowiem cała gromadka ukochanych przez staruszkę dzieci, jak nazywała zwykle całe rodzeństwo Witeckich. Było wesoło, bo Reginka odzyskała zupełnie zdrowie, a stała się dla wszystkich jakby droższą jeszcze, jeżeli to być mogło.

Gwarzono więc i śmiano się, bo i Edmund był obecny, ten utracony, a na nowo odzyskany i odrodzony brat ukochany. Przyjechał dziś właśnie, aby święta przepędzić z rodziną, i przyszli wszyscy odwiedzić babcię, która w zimie wychodzić nie mogła. Różia z Maciejową krzątały się około wieczery i herbaty, a pocziwa Różia, ile razy wróciła z pokoju do kuchni, poprawiała czepka na głowie, mówiąc niby sama do siebie, tak jednakże, że Maciejowa słyszała:

— Zawsze to nie to, ten pan Edmund, co nasz Adaś; gdzie mu tam to naszego migdalika, a Bogiem a prawdą, to

i pańienki wszystkie trzy razem nie są tak ładne, jak ten gołąbeczek.

Maciejowa wzruszała ramionami, bo chociaż kochała Adasia, ale co nad pańienki, to przecie podług niej na świecie nie było już piękniejszych.

Edmund opowiadał właśnie jakąś przygodę ze swej podróży, wszyscy słuchali z zajęciem, wpatrzeni w mówiącego, wyjawszy jedną Kamilkę, która zajęta jakąś ręczną robótką, zdawała się nie uważać, co przy niej mówiono. Edmund spoglądał często na nią, nie mogąc się jednak nigdy spotkać ze wzrokiem dziewczynki.

— Na jak długo przyjechałeś do nas Edmundzie? — zapytała pani R., gdy ten mówić przestał.

— Zaraz po świętach odjeżdżam — odpowiedział zapytany.

— Och! zostań lepiej z nami, braciszku — zawołała Zosia — zostań w Warszawie na zawsze.

— To niepodobna, kochanko — rzekł Edmund — tam już mam stanowisko, jestem znany wszystkim, nie można więc porzucać chleba, gdy go się ma w zęku.

— Szkoda — westchnęła dziewczynka.

— Dlaczego! — zapytał.

— Czyż to trudno odgadnąć, tak długo nie byłeś z nami — odpowiedziała.

Edmund pogłaskał jej jasną główkę i rzekł po chwili milczenia:

— Przyjechałem ja tu z projektem i serdeczną prośbą, nie wiem tylko, jak to wypowiedzieć, gdyż lękam się...

— Czego? — pochwyciła mała, widząc, że umilkł.

— Czego? — powtórzył — odmowy.

— Braciszku, mów prędzej, tak jestem ciekawa — nalegała Zosia.

Po twarzy Reginki przeszedł rumieniec, dusza jej przeczuła, z czem Edmund przyjechał, i smutek ją przejął, bo wiedziała, że mu odmówić musi. Pani R. z niepokojem zwróciła wzrok na mówiącego, zrobiło się cicho, wszyscy byli w oczekiwaniu.

kiwaniu usłyszenia rzeczy jakiejś niemiłej. Kamilka zachowała spokój pozorny, chociaż serce jej było niespokojnie.

— Dobrze, że jesteśmy tu wszyscy razem — rzekł Edmund powoli — gdyż mam nadzieję, że babcia poprze mą prośbę — i, to mówiąc, pocałował rękę staruszki z uszanowaniem.

— Mów więc — rzekła szeptem prawie.

— Reginko kochana — zwrócił się do siostry — przyjechałem prosić cię, abyś dom mój za swój uważać chciała wraz z siostrzyczkami.

— Nigdy! — wykrzyknęła nagle Kamilka z silnym rumieńcem na twarzy — nigdy!

Edmund ze smutkiem spojrzał na mówiącą, a po chwili brew jego ściągnęła się chmurnie.]

— Nigdy, Kamilko, i dlaczego to? — zapytał.

Ale ona spuściła oczy na robotę i nic nie odpowiedziała, widocznem jednak było, że lzy drżały jej pod spuszczonej powiekami.

— A jednak ja ponawiam prośbę, mimo twojej odmowy, dość długo byliśmy rozłączeni i dziś serce moje tęskni za wami — mówił Edmund z dziwną pokorą w głosie. — Czas, Reginko kochana, abyś wypoczęła po tylu latach pracy, teraz na mnie kolej. Dziś mogę wam zapewnić nie tylko byt, ale i wygodę, nie ustąpię więc, i prawem starszego brata zabieram was do siebie. Tak, zabiorę was, nie oprzecie się mej prośbie.

— Bracie — rzekła wreszcie Reginka, wyciągając rękę do Edmunda — sercem całem wdzięczną ci jestem, ale to być nie może. Wierź mi, że nie powodują mną żadne osobiste względy, ale nie mogę, nie mogę przyjąć twego domu.

— Chcesz więc i nadal zamęczać się tak pracą aż do utraty sił i zdrowia? — zapytał niemal surowo. — Dlaczego usuwasz mnie dziś od chętniej i szczerze ofiarowanej pomocy, z jaką wam przyjść pragnę i mogę? Czyż nie powiedziałaś mi owego pamiętnego wieczora, gdy odjeżdżałem od was, że przeszłość wymazana została z pamięci? Reginko — dodał tkliwym gło-

sem — jako dowodu przebaczenia, żądam od ciebie, abys zamieszkała ze mną. Czy nie przemówisz, babciu, w mej sprawie?

Po twarzy pani R. płynęły łzy, których powstrzymać nie mogła, otarła je szybko, chcąc utaić ból swój przed Reginką i rzekła:

— Ja sędzę, Reginko, że nie masz powodu odmawiać, przez wzgląd na swoje zdrowie.

— I ty myślisz, babciu — rzekła z żalem Reginka — że byłabym zdolną zostawić cię dziś samą, gdy z domu prawie wychodzić nie możesz, a mówiłaś to nieraz, że z Warszawy za nic w świecie nie wyjedziesz? Ty, co byłaś nam matką, jedyną przyjaciółką i opiekunką w ciężkich i smutnych dniach naszego życia, miałaśbyś pozostać znów samotną, ukochawszy nas sercem całym? O! babciu droga, nie tylko wdzięczność, ale i miłość serdeczna nie pozwala mi rozłączyć się z tobą.

— Niech ci to Bóg stokrotnie nagrodi — wyrzekła z rozrzewnieniem sędziwa kobieta. — Nie omyliłam się na tobie, ja wiedziałam, że ty mnie nie porzucisz, abym łzy tęsknoty wylewała za wami. Ale, Reginko moja, jeżeli zdecydujesz się przyjąć dom Edmunda, co zresztą jest rzeczą słuszną, ja dla dobra twego..., opuszczę Warszawę.

— Mogłażbym wymagać tej ofiary od ciebie, babciu? — zawołała Reginka a, zwróciwszy się do brata, położyła dłoń na jego ramieniu i rzekła stanowczym głosem:

— Raz jeszcze dziękuję, ci, Edmundzie, ale to być nie może; nie dlatego jednakże, abym odrzucała twą pomoc, ale... są inne ważne powody, dla których przyjąć mieszkania u ciebie nie mogę.

— Rozumiem — wyrzekł z rozdrażnieniem Edmund — chociaż dziś wytłómaczyć sobie tego nie umiem -- i wzrok swój zatrzymał na Kamilce.

Dziewczynka wzrok ten odczuła widocznie, choć oczy miała spuszczone na robotę, bo silny rumieniec wystąpił na jej twarzy, a brew ściągnęła chmurnie. Po chwili jednak oparowała swe wzruszenie i spojrzała na Edmunda spokojnie:

— Rozumiem — powtórzyła powoli — nie, Edmundzie, ty tego nie rozumiesz, albo też źle rozumiesz.

Edmund przygryzł usta trochę gniewnie, ta mała złośnica, jak ją w myśli nazywał, nie oddała mu jeszcze ani jednego serdecznego uścisku, nie przemówiła do niego ani jednym ciepłym słówkiem przywiązania, i jedynie tylko przez wzgląd na Reginkę była grzeczną względem niego, bardzo grzeczną, ale nic więcej nad to. Domyślał się więc, że Reginka, znając jej niechęć dla niego, nie chciała narażać spokoju ich obojga. Odpowiedź Kamilki zniecierpliwiała go, nie wyobrażał sobie, aby tego nie rozumiała, że dla niej to właśnie Reginka odrzucała jego ofiarę.

Powściągnął jednak gorzkie słowo, które mu już z ust wysunąć się miało, i rzekł, o ile mógł spokojnie i łagodnym głosem:

— Mylisz się Kamilcin, rozumiem dobrze, że Reginka odrzuca mą prośbę przez wzgląd na ciebie, a wytłómaczyć sobie nie mogę twego serca, które tak bezgraniczną miłością kocha niby Reginkę.

Na słowa kocha niby, twarz Kamilki pobladła, spojrzała na Edmunda wzrokiem gorzkiego żalu i wyrzutu, a drżące wzruszeniem usta powtórzyły jak echo:

— Kocha niby?

Reginka podniosła się a, tuląc dziewczynkę do siebie, szepnęła jej do ucha:

— Ja wiem i wierzę w to głęboko, że na całym świecie nikt mnie więcej i serdeczniej nie kocha, jak ty, Kamilko.

Dziewczę rękę siostry do ust przycisnęło i stłumiło łzy, aby wybuchem żalu nie zrobić przykrości Edmundowi, a tem samem Regince.

Edmund zaczął rozwawiać z Adasiem, starając się zatrzeć niemiłe wrażenie poprzedniej rozmowy, widocznem jednak było, jak go to dużo kosztowało, aby udać, że nie uważał rozżalenia Kamilki. Wejście Rózi, która oznajmiła, że wieczera na stole, było bardzo pożądane, gdyż wyrwało wszystkich z kło-

potliwego trochę położenia. Przy kolacji Adaś starał się rozweselić towarzystwo, i udało mu się to po części.

Już dnia tego Edmund nie powtarzał swej propozycji Regince, a i święta Bożego Narodzenia przeszły wesoło. Kamilka podwajała uprzejmość swą dla Edmunda, czuć jednak było pewien przymus w tej grzeczności, widocznie robiła wszystko, co mogła, aby nie sprawić przykrości Regince. Widział to dobrze Edmund, przyjmował jednak za dobrą monetę zdawkowe grzeczności zawziętej siostrzyczki. Pamiętała widać dobrze ten niefortunny projekt ogłoszenia w dziennikach, aby kto rozebrał sieroty, a przestрах, jakiego wówczas doznała, wyrzył się głęboko w jej pamięci. Jakże dziś żałował słów niebacznie wymienionych, które go pozbawiły miłości siostry! Lecz Edmund odmienił się zupełnie a, otworzywszy raz serce dla rodziny, uczynił to w zupełności. Zrobił więc szlachetne postanowienie, że Kamilkę zmusi, aby go pokochała, i to pokochała bardzo, a myśl ta już go nie opuszczała.

Zbliżył się dzień odjazdu i Edmund raz jeszcze powrócił do poprzedniej prośby. Nim Reginka, zakłopotana trochę, zebrała się na odpowiedź, Kamilka z wesołą i swobodną na pozór miną odezwała się do siostry:

— Reginko, nie opieraj się tak serdecznej prośbie Edzia, nie uwierzysz, jak będę szczęśliwa widząc, że nie oddajesz się już tak mozolnej pracy!

— Dobra i prawdziwie kochająca siostrzyczka jest z ciebie, Kamilciu — rzekła Reginka — ale mam ja swoje powody inne jeszcze, dla których żądaniu Edmunda zadosyć uczynić nie mogę. Słuchaj więc, braciszku kochany i osądź, czy nie mam słuszności. Gdybyśmy zwinęły nasz skromny własny domek i przeniosły się do ciebie, jużby nam nie tak łatwo było po raz drugi wytwarzać sobie byt na teraz zapewniony. Dziś mamy stosunki, roboty mi nigdy nie brak, i sama nie potrzebuję tak ciężko pracować. Wierzał mi, mój drogi, już miałam nawet pewne oszczędności, które mi się bardzo przydały na tę nieszczęsną chorobę. Gdybyśmy zamieszkały z tobą,

wszystko to się traci, i już potem trudnoby nam było wydo-
stać się od ciebie.

— Nie puściłbym was nigdy, chyba, gdyby która za mąż
wyjść miała — rzekł Edmund z uśmiechem.

— Tak być nie może, bracie, jesteś młody i zapewne po-
myślisz także o ożenieniu, trzy siostry w domu byłyby wielką
zawadą z czasem dla ciebie. Wierzę w szczerość twego serca,
z jakim dziś chcesz podzielić z nami chleb twój, ale błagam
cię, Edmundzie, nie nalegaj więcej na mnie o to, bo mi tak
przykro odmawiać ci, a jednak odmówić muszę. I babci też
za nic i dla nikogo nie zostawiłabym tu samej, a wyjazd jej
z nami z Warszawy byłby ofiarą tak wielką, że po tylu dobro-
dziejstwach już nam jej przyjąć się nie godzi.

— To ostatnie twoje słowo, Reginko?

— Ostatnie, braciszku; o wierzaj mi, że inaczej uczynić
nie mogę.

— Więc nic odemnie przyjąć nie chcesz? — zapytał smu-
tnym głosem.

— Przrzekam ci, Edmundzie, że w każdej potrzebie udam
się śmiało do ciebie.

— Przrzeknij mi, że nie będziesz pracowała nadmiernie.

— Łatwo mi uczynić to przrzeczenie, bo teraz nigdy za
wiele nie pracuję, mając dwanaście panien w zakładzie opła —
cone wszystkie wydatki choroby i trzysta rubli w stoliczku,
które wiesz dobrze, skąd się tam wzięły.

— Ha, cóż mam robić — rzekł Edmund — wiem jakaś
ty stanowcza i energiczna przy swej anielskiej dobroci.

— O! tylko mię nie chwał, proszę cię, gotowam się za-
rumienić ze wstydu.

— Pozwolisz jednak, Reginko, że młodszym siostrzyczkom
przeznaczę kwartalną pensję na ich drobne wydatki. Odmówić
mi tego nie możecie, byłaby to zbyt wielka przykrość.

Kamille spuściła oczy, serce jej biło gwałtownie, taką
miała ochotę wypowiedzieć, że nie przyjmie dla siebie wyłącz-

nie i grosza z jego kieszeni. Nie, ona tych pieniędzy nie dotknie, to będzie nad jej siły. Milczała jednak, czekając, co powie Reginka; słowo ukochanej siostry będzie dla niej prawem. Reginka zrozumiała, co się dzieje w sercu dziewczynki i żał jej się zrobiło bardzo, widząc, że w imieniu sióstr przyjąć musi ofiarę Edmunda, aby serca jego nie ranić drugą już odmową. Spojrzała na Zosię, twarzyczka małej jaśniała dziecięcą radością, na myśl samą posiadania własnych pieniędzy, które jej jako pensja regularnie wypłacane będą. Chociaż dziewczątkom nie zbywało nigdy na koniecznych potrzebach, bo Reginka raczej sobie od ustby odjęła ostatni kawałek chleba dla małych sierotek, zawsze jednak Zosię uszczęśliwiała myśl ta, że ona pensję swą mieć będzie.

Co innego działo się z Kamilką, ona tylko od Reginki przyjmowała wszystko z wdzięcznem sercem i bez upokorzenia dumy, dość głęboko wkorzenionej w duszy dziewczęcia. A teraz oto Edmund, którego od dziecka małego uważała za obcego prawie, i dla którego kryła w swem sercu niechęć jakąś, choć tego przed sobą się wstydziła nawet, dziś on jej ofaruje pieniądze, jakby chcąc zapłacić za tyloletnią obojętność i zapomnienie. Prawda, że dzisiejszy Edmund to nie ten dawny samolub bez serca, to już brat dobry i kochający, a tak gorąco ukochany przez Reginkę, nieledwie jej śmiercią okupiony rodzinie, ale... pomimo to Kamilka cierpi nad tem, że będzie zmuszona przyjąć dar jego. Milczy jednak i czeka swego wyroku z ust Reginki, która szuka czegoś bardzo pilnie w szufladzie komody, i dlatego odpowiedzieć zaraz nie może.

Edmundowi przez myśl nawet nie przeszło, aby ta ofiara jego odrzuconą być mogła, i cieszy się w duszy radością dziewczątek, gdy im powie, jaką to kwotę przeznaczył im rocznie na drobne ich wydatki. Nie zauważył więc, ani zakłopotania Reginki, ani pochmurnej twarzy Kamilki, wzrok jego z przyjemnością spoczywał na uśmiechniętej buzi Zosi, której oczęta z ciekawością zwrócone były na niego. Uśmiechał się więc do małej i rzekł:

— Zosi przeznaczam kwartalnie na kajety i różne drobne wydatki rubli... piętnaście.

Dziewczynka klasnęła w rączki i poskoczyła do starszej siostry.

— Reginko, będę miała pięć rubli miesięcznie — zawołała radośnie — własnych swoich pięć rubli.

— Alboż ci kiedykolwiek czego brakowało? — zapytała Kamilka, przerywając ten wybuch radości małej. — Czyż my — dodała z przyciskiem — potrzebujemy kiedy przypominać nawet o czym Regince, gdy ona przenika prawie nasze potrzeby? Doprawdy, nie wiem, co myślisz robić z tymi pieniędzmi.

Zosia zawstydzila się i umilkła, ale Kamilka bardziej jeszcze czuła się zawstydzoną sama przed sobą, że nie umiała dotrzymać postanowienia nie zabierania głosu przed Reginką. Byłaby rada cofnąć swe słowa, ale było już zapóźno, zwykła jej popędliwość i teraz wzięła górę.

— Jakto, Kamilciu — zapytał Edmund — czyżbyś miała myśl odmówić mi przyjęcia tej drobnostki, którą tak szczerem sercem pragnę wam przeznaczyć?

— To zupełnie zależy od Reginki — odpowiedziała półgłosem — ja bez jej zezwolenia nigdy nic nie czynię i teraz więc...

— A gdyby to zupełnie od ciebie samej zależało? — zapytał Edmund.

Kamilka milczała.

Edmund zmarszczył brwi i powtórzył.

— Gdyby to od ciebie, Kamilko, zależało, przyjąć lub odrzucić, powiedz mi szczerze, co byś uczyniła?

Spojrzała błagająco na Reginkę, a ta ulitowała się nad nią i obracając w żart rozmowę, rzekła:

— Ach, Edziu, czyż nie widzisz, że Kamilkę przeraża sama myśl posiadania tylu pieniędzy, lękałaby się być okradzioną, i drżałaby pewnie w każdej chwili o swój skarb i życie.

Ale Edmund posmutniał, on zrozumiał teraz dobrze, że przejednać tej dziewczyny nie będzie mu tak łatwo. Nie uj-

mie jej żadnym podarkiem, choćby najkosztowniejszym, dumna jest, pamiętająca zbyt długo urazy. Dziwna rzecz jednak, Edmund zapragnął gorąco, aby go pokochała ta popędliwa siostrzyczka. Nie, bądź co bądź, on ją przekona, że jest niesprawiedliwą względem niego.

Kamila uśmiechnęła się do Edmunda.

— Chciałabyś mnie narażać, bracie, na takie niebezpieczeństwa? — rzekła napozór wesoło.

— Nigdy, Kamilciu, nie narażę cię umyślnie na żadną przykrość, możesz być tego pewna — odpowiedział poważnie.

O pensji nie było już ani wzmianki.

Na drugi dzień po tej rozmowie Edmund odjechał do Lublina, pożegnany serdecznie błogosławieństwem babci i Izami Zosi. Reginka tłumiała wzruszenie, bo jakżeby pragnęła tego ukochanego, odzyskanego brata mieć ciągle przy sobie. Gdy Edmund, żegnając się z Kamilką, przycisnął ją do piersi i długi pocałunek złożył na białem jej czole, serce dziewczyny zmiękło nagle, myślą przebiegła szybko całe swe postępowanie z bratem i przyznała w duszy, że była dla niego więcej niż obojętną. To też po odjeździe jego wyrzucała to sobie gorzko, myśląc ciągle o nim, jak był dobrym i wyrozumiałym na jej nie zawsze właściwe z nim postępowanie, a przecież był on starszym jej bratem, był człowiekiem, mającym już stanowisko w świecie.

Ach! pocóż tak długo był dla nas obcym prawie, myślała dla uspokojenia swego sumienia, po co porzucił nas wtedy, gdyśmy tak bardzo potrzebowali jego serca i pomocy. A lzy Reginki, a jej tak ciężka choroba, nie, nie, ona nie popełniła żadnej niesprawiedliwości, nie dając mu serca i przywiązania. siostry.

Tak więc znów upływało życie cicho i spokojnie przy pracy. Jedno jeszcze zdarzenie zaznaczyć nam wypada. Dr. Z., ten sam, który leczył Reginkę, oświadczył się o jej rękę. Zaczynny ten, bezinteresowny człowiek, poznawszy bliżej jej bezgraniczne poświęcenie się i miłość dla rodziny, zapragnął podzielić

z nią życie i mienie. Ale Reginka odwówała mu stanowczo a, ściskając dłoń szlachetnego człowieka, rzekła z uczuciem:

— Wdzięczną panu jestem za jego życzliwość i przyjaźń, ale życie moje nie należy do mnie. Dopóki siostry moje potrzebować będą mej opieki, ja sobą rozrządzać nie mogę. Cierpię na tem — dodała ze łzami w pięknych oczach — że panu odmową mą przykrość wyrządzam, ale... inaczej być nie może.

— Widzę, że to pani ostatnie słowo — rzekł ze smutkiem doktor.

— Tak, panie, to ostatnie moje słowo, chciej jednak wierzyć, że przyjaźń zachowam dla pana na zawsze.

— Będę więc czekał, a da Bóg, że choć za lat kilka nadejdzie chwila, w której będę mógł powtórzyć dzisiejszą prośbę.

Pocałował rękę jej z uszanowaniem, ona ścisnęła dłoń jego życzliwie, i tak się rozstali.

XIII.

Imieniny w Wirówce.

Drugiego lutego, jako w dzień imienin Mani, był tańczący wieczorek w Wirówce, na który Zygmunt zaprosił Edmunda i posłał po niego konie na dzień już przedtem, aby mógł dłużej w Orlinku nacieszyć się przyjacielem. Młodzi ludzie nie widzieli się już od kilku miesięcy, niemało więc Zygmunt był zdziwiony zmianą, jaką spostrzegł w Edmundzie. Z owego chmurnie patrzącego i niezadowolonego młodzieńca stał się naraż wesoły, swobodny towarzysz, z którego oczu poznać można było, że żadne przykre uczucie nie mąciło mu myśli. Co więcej, w czasie gawędki Edmund pierwszy zaczął mówić o Adasiu, następnie o siostrach, zamilczał tylko o niechęci Kamilki, czego mu zresztą za złe brać bardzo nie należy.

Gdy na drugi dzień Zygmunt nieśmiało trochę zaproponował, czy nie mogliby pojechać do Wirówki od rana, został przyjemnie zdziwiony, gdy Edmund przystał na to z chęcią.

Pojechali więc, a Zygmunt niewyczerpany był w dowcipach, taką go radością napełniała zmiana usposobienia przyjaciela. Solenizantkę w towarzystwie Olci zastali w jadalnym pokoju, robiącą jakieś zmiany na stole, nakrytym do śniadania. Powitano Edmunda serdecznie, a Mania z wdzięcznym uśmiechem podziękowała za złożone życzenia.

— Przybycie pana jest dla nas prawdziwą niespodzianką — mówiła pani B., która weszła do pokoju, dowiedziawszy się o przybyciu gości — Zygmusć nic nam o tem nie mówił.

— Dobroć pani zawstydza mię prawdziwie — mówił Edmund — nigdy sobie nie pochlebiałem, aby przybycie moje za miłą niespodziankę mogło być uważane.

— O, panie, przyjaciel Zygmunta ma zupełne prawo do naszej serdecznej życzliwości.

— Ale — dodała Mania, spoglądając na Olcię — tegoroczne imieniny moje składają się z samych niespodzianek, wczoraj ojczulek przywiózł mi Olcię, która poprzednio stanowczo niby odmówiła przybycia.

— Poznałaś więc, jaka to rzecz miła witać nieoczekiwanych gości — rzekła Olcia.

Dzień cały do wieczora zszedł bardzo wesoło, śmiano się w młodem kółku i żartowano, a wszyscy nie mogli się wydziwić, co się stało z Edmundem. Czy wielki los wygrał na loterji, pytała Olcia Zygmunta, czy go też inne jakie spotkało szczęście? Istotnie spotkało go wielkie szczęście, czuł, że nie jest już sam na świecie, że i za nim tęsknią siostry kochające, już w myśli jego nie jawiła się blada postać Reginki, pochylona nad robotą, ale widział ją, choć w mierności, zadowoloną jednak ze swego losu. Był o nich spokojny, bo wierzył przyrzeczeniu Reginki, że w potrzebie najmniejszej zwróci się do niego z ufnością. Wieczorem zaczęli się zjeżdżać sąsiedzi bliżsi i dalsi, a, gdy muzyka zagrała hucznego mazura, kilkanaście par ochoczo sunęło po dużym salonie.

Bawiono się wybornie do rana, bo Zygmunt z Edmundem dzielnie podtrzymywali zabawę. Wieczór ten zbliżył Edmunda,

i postawił go na stopie domowego, nieceremonialnego gościa w Wirówce, gdzie bawili z Zygmuntem przez dwa dni następne, nie odjeżdżając do Orlinka. Przez ten czas, który im zszedł bardzo miło, Edmund poznał bliżej Olcię i przekonał się, że jest to panienka wykształcona i rozumna, a przytem pracowita i skromna w wymaganiach. Wesolość bez roztrzęsania, dowcip bez złośliwości zdobyły ją bardzo, i spostrzeżenia te Edmund zachował w pamięci.

Gdy wrócił do Lublina, napisał list do Reginki, opowiadał jej z uniesieniem o miłości rodzinnej w Wirówce, nie mógł się odchwalić Mani, a o jej rodzicach wyrażał się z tak wielkim szacunkiem i wdzięcznością, nie określając jednak, za co im był wdzięczny, że Reginka domyśliła się, iż ich to przykład tak zbawiennie wpłynął na niego. Sercem kochającej siostry odgadła również, że Olcia mogłaby dać szczęście Edmundowi, i podziękowała Bogu, że jej dał siłę i wytrwałość do oparcia się życzeniu jego.

Kamilka, odczytawszy ten list, uśmiechnęła się smutnie trochę i rzekła do Adasia, gdy mu wieczorem list ten do czytania dano:

— My nie jesteśmy tak bardzo Edmundowi do szczęścia potrzebni, tam ma blisko Orlinek i Wirówkę, gdzie może być co parę tygodni nawet.

— Chciałabyś, aby nigdzie nie bywał, dlatego, że ma siostry, z którymi nie może się tak często widywać — zapytał zdziwiony Adaś.

— O! bynajmniej — odpowiedziała prędko — niech bywa i niech się bawi wesoło, do niewidywania się z nami sędzę, że miał dosyć czazu przyzwyczać się.

— Kamilciu — rzekł Adaś, biorąc jej rękę — jesteś niesprawiedliwą w tej chwili dla Edmunda.

— Tak — wybuchnęła dziewczynka gwałtownie — jestem niesprawiedliwą, a jednak, gdyby nas rzeczywiście teraz kochał, przeniósłby się do Warszawy, skoro jest rzeczą niemożliwą, abyśmy do niego jechać mogli.

— Chciałabyś, aby porzucił urzędowanie? — zapytał.

— Takie urzędowanie i tu znaleźć może.

— Ależ on tam ma już wyrobioną klientelę, ma stosunki i zyskał uznanie, a ty chcesz...

— Nic nie chcę, nic nigdy nie chcę od niego — przerwała z uniesieniem i wybiegła z pokoju. Adaś patrzył za odchodzącą ze zdziwieniem, nie mógł zrozumieć, co jej się stało dzisiaj, tembardziej, że dojrzał łzy w jej oczach.

Korespondując teraz często z Edmundem, Adaś opisał mu szczerze całą rozmowę z Kamilką, jej wzruszenie, rozdrażnienie nawet, łzy dostrzeżone, z którymi, kryjąc się, uciekła.

— Ach! — zawołał Edmund sam do siebie po odebraniu listu od Adasia — dziewczę to koniecznie wymaga poświęcenia jakiegoś, aby uwierzyć mogło szczerości mego uczucia. Niedobrze to jest, nierozważnie, naraża mię na duże straty pieniężne, stanie się jednak zadosyć jej życzeniu, widzę, że ofiarę jakąś uczynić trzeba, aby ją przekonać o mem zupełnem nawróceniu.

Chodząc po swym saloniku, rozmyślał stanowczo o przeniesieniu się do Warszawy.

— Zrobię to jednak w zupełnej tajemnicy — mówił z zadowoleniem — Warszawa miasto duże, ludne i nie trudno mi to będzie. Najmę nawet i urządzę mieszkanie, pocziwemu Ignasiowi polecę tę sprawę, on mi pomoże. A gdy już wszystko urządzonem zostanie, zjawię się i zaproszę siostrzyczki me na herbatkę do siebie. Jeżeli i wtedy Kamilka dąsać się jeszcze będzie, ha, dam już za wygraną, będzie mi to jednak boleśnie, że... stanie się niegodną tego, co jedynie dla niej uczynię.

Nie dając sobie czasu do rozmysłu i chcąc postanowienie swoje jak najprędzej przyprowadzić do skutku, napisał do Warszawy tegoż dnia zaraz, do owego przyjaciela, od którego dowiedział się o chorobie Reginki, prosząc, aby działał w jak największej tajemnicy. Chociaż w pierwszych dniach krzątania około przeniesienia się do Warszawy żał mu było trochę Lublina, a co prawda i możliwości częstego odwiedzania Orlinka

i Wirówki, to wszakże, gdy sobie pomyślał o zdziwieniu i radości sióstr swoich, doznawał sam takiego zadowolenia wewnętrzznego, że gorączkowo pragnął jak najprędzej zamieszkać w Warszawie.

Rzecz ta jednak nie tak prędko skuteczną się dała, musiał pokończyć rozpoczęte sprawy, drugie, po zniesieniu się z interesantami, oddać w inne ręce, wszystko to zajęło mu przeszło trzy miesiące czasu. Szczęściem, że Edmund miał parę tysięcy rubli gotówki, to ułatwiło mu bardzo zadanie. Pocziwy kolega już mu wynajął i urządził mieszkanko w bliskości Leszna, aby mógł być jak najbliżej tych, dla których porzucił wyrobione już stanowisko i był dostatni, i zaczynać miał prawie znów od początku. Było to może nierozważnie, ale szlachetny grunt natury Edmunda, otrząsnąwszy się raz z przyémiewającej skorupy samolubstwa, zdolny był już teraz do takiego poświęcenia. Bóg dopomoże, myślał z westchnieniem lekkiego niepokoju czasami, a uczciwa praca pozwoli mi i tam dobić się chleba.

XIV.

Niespodzianka.

Wielkanoc w tym roku, w którym kończy się niniejsza powiastka, przypadała w drugiej połowie kwietnia. Wiosna rozwijała się w całej pełni, zielono już było w ogrodach, a wesołe i radosne świątowanie wróbli, tych prawdziwych przyjaciół naszych, bo czy chłodno, czy głodno, one zawsze z nami, świadczyło najwymowniej, że zima ze swymi mrozami i śnieżycami minęła nareszcie. U Reginki wykończano najpilniejsze roboty, była więc bardzo zajęta, i dlatego Kamilka siedziała sama przed oknem przy małym stoliku, leżąc przed nią książka świadczyła, że musiała się uczyć przed chwilą, teraz bowiem wpatrzyła się w białe chmurki, pływające wysoko w powietrzu. W tej chwili dzwonek odezwał się dość głośno, Kamilka

zerwała się przełękniona a, otwierając drzwi z niepokojem, rozśmiała się zaraz, mówiąc wesoło:

— Ach, to ty, Adasiu, przestraszyłam się, sama nie wiem czego.

— Nietylko Adaś, ale i ja — ozwała się Zosia, która się skryła poza bratem. — Ale może myślisz, Kamilciu, że byłby dziś przyszedł, gdyby nie to, że trzeba było mnie odprowadzić: oho, ani myślał.

— Nie miałem bardzo czasu, ale Rózię noga dziś boli, musiałem więc poświęcić się i przyjść. Czy Reginka jest w domu? — dodał, zaglądając do drugiego pokoju.

— Jest, ale strasznie zajęta, tyle roboty do wykończenia na te święta. Doprawdy, to dziwne, ażeby tak koniecznie mieć coś nowego na Wielkanoc na przykład — mówiła Kamilka, krzywiąc usta pogardliwie.

— E, zawsze to miło mieć nową sukienkę — mówiła Zosia — i jak mi tylko Edzio wypłaci kwartalną pensję, to na Zielone Świątki sprawię sobie niebieską sukienkę.

— Zielone Świątki i niebieska sukienka — rzekł Adaś — niedobre kolory i nie będzie to ładnie.

Siedzieli przy oknie, gwarząc i przekomarzając się z Zosią o kolor jej sukienki, nareszcie Adaś zapytał.

— Jak dawno miałyście list od Edmunda? bo do mnie nie pisał już ze cztery tygodnie.

— Reginka prosiła go, aby przyjechał do nas na święta i obiecał, że będzie z pewnością — rzekła Kamilka — list wczoraj przyniesiono z poczty.

— Ach! żeby też jak najprędzej przyjechał — mówiła Zosia — tak mi już tęskno do niego.

— Zatelegrafuj, to może przyspieszy swój przyjazd — rzekła Kamilka.

— Nie wiem, czyby Reginka pozwoliła — rzekła mała wahająco, biorąc na serjo słowa siostry.

— Bądź cierpliwa, Zosiu — pocieszał Adaś siostrzyczkę — za kilka dni będziemy go mieli między sobą.

— A czy prędko przyjedzie — zapytała jeszcze Zosia.

— O, bardzo prędko, ale jeszcze prędzej odjedzie — rzekła Kamilka — z odcieniem żalu w głosie.

— Bo musi, Kamilciu — bronił Adaś brata.

— Ja wiem, że musi, a zresztą — i skrzywiła trochę usta.

Wejście Reginki przerwało rozmowę, zaczęto mówić o czem innym, i Adaś, posiedziawszy małą godzinę, poszedł do domu.

Wielka Sobota była dniem bardzo radosnym w domu Reginki, bo właśnie przyjechał Edmund, a Zosia pewnie po raz dziesiąty mówiła do niego:

— Prawda, braciszku, że tak prędko nie odjedziesz od nas? nie cierpię tego Lublina, kiedy nam zawsze ciebie zabiera. Edmund uśmiechał się bardzo wesoło, gładził jasne włosy dziewczynki i odpowiadał jej zawsze:

— Hm, zobaczymy.

— Zostań z nami choć do Zielonych Świątek — prosiła mała pieśzczotliwie.

— Choćby dlatego, aby podziwiać niebieską sukienkę Zosi — rzekła Kamilka, spoglądając z uśmiechem na dziewczynkę, którą to trochę zakłopotало.

— Więc to będzie nowa i tak ładna sukienka — zapytał Edmund — hm, zobaczymy.

Już dwa dni Świąt minęło wesoło, a Edmund nie zdradził się ze swą tajemnicą, z każdą chwilą był weselszy, śmiał się z Zosią, zaczepiał Kamilkę i uważał z radością, że dziewczynka coraz mniej była zimną i obojętną. We wtorek po obiedzie rzekł do Zosi:

— No, moja siostruniu, czas mi już do domu, aby się zabrać do pracy, nie można tak długo próżnować.

— Jakto! już chcesz odjechać do tego szkaradnego Lublina? — wykrzyknęła Zosia, załamując rączki.

— Alboż to powiedziałem? — zapytał Edmund.

— Powiedziałeś, doprawdy powiedziałeś — mówiła Zosia żalonym głosem — i Reginka przecież słyszała, i Kamilcia po-

twierdzić może. Ach! Edziu, to bardzo smutno, że ty tak daleko od nas mieszkasz.

— Nie tak znów bardzo daleko, jak ci się zdaje — rzekł Edmund z uśmiechem — jak dla mnie, to zupełnie blisko nawet. — Spojrzał na Kamilkę, na twarzy jej znać było smutek, ale na ustach pojawił się ów dawny, ironiczny uśmiech, który widocznie wywołały słowa Edmunda.

— Trzeba to już raz skończyć — pomyślał Edmund, i zwracając się do Reginki, rzekł:

— Zrób mi tę łaskę, siostrzyczko, i chodźmy się przejść, dzień prześliczny, pójdziemy może do Saskiego ogrodu. Ot i Adaś przyszedł, słowny jesteś, chłopcze, to dobrze, właśnie trzecia godzina, zupełnie podług umowy.

— Czy mogę, Reginko, pozostać w domu? — zapytała Kamilka siostry proszącym głosem.

— A niechże Bóg broni! — zawołał Edmund z żywością — bez ciebie, Kamilko, przechadzka ta nie miałaby dla mnie i połowy tego uroku.

— Czy tak? — zapytała przeciągle.

— Ma się rozumieć, że tak, nie możesz mi odmówić tej przyjemności.

— A jednak pozostałabym chętnie w domu, głowa mię cokolwiek boli.

— Na świeżem powietrzu to ci zupełnie przejdzie, ręczę ci, Kamilciu, że będziesz zdrowsza — mówił Edmund wesoło. — No, proszę się tylko śpieszyć, bo tam... — i urwał nagle.

Wyszli więc wszyscy, Kamilka z małym marsikiem na czole, że zmuszona prawie była spełnić wolę Edmunda, gdy do tego najmniejszej nie miała ochoty.

Reginka, poprawiając kapelusz na głowie Kamilki, szepnęła:

— Kamilko, jak możesz czynić Edmundowi przykrość, wiedząc, że już tak krótko będzie z nami.

— On mi większą zrobił przykrość, zmuszając do wyjścia — rzekła gniewnym trochę głosem.

Reginka westchnęła cicho i nie już nie powiedziała, ale Kamilka w tejże chwili rękę jej do ust swych przycisnęła.

— Nie wartą jestem twej miłości, Reginko — rzekła smutnym głosem — złą jestem i nie umiem zapanować nad sobą.

— Cóż tam tak szepczecie do siebie, i to jeszcze w sieni? — zapytał Edmund, któremu pilno było iść jak najprędzej.

— Kamilko, może przyjmiesz moje ramię? — dodał z uśmiechem przesadzonej grzeczności.

— Z prawa należałoby się to Regince — rzekła, usuwając się lekko, lecz w tejże chwili opanowała swą przekorną trochę naturę, i zbliżyła się, mówiąc. — Jeżeli ci to jednak zrobi przyjemność, to i owszem, służę ci.

— Ach! co ty mówisz, Kamilko, to ja ci służę, ja, kawaler ugrzecznony przecie dla swej kochanej siostrzyczki.

— Z tem wszystkiem — rzekła Reginka — bądź ugrzecznonym dziś dla mnie, Edmundzie, proszę cię, podaj mi rękę a Kamilka za karę niech idzie sama.

— Słodka kara — szepnęła sama do siebie. Była dziś w niezwykle rozdrażnionem usposobieniu. Czuła w głębi duszy, że to żal za Edmundem sprawił to niezadowolenie, a jednak nie chciała się przyznać do tego, bo tak niedalekiej przeszłości nie mogła jeszcze wyrugować ze swej pamięci.

— Pójdziemy Elektoralną — rzekł Edmund.

Szli wszyscy w miczeniu. Regince smutno było, że się już zbliżał dzień odjazdu Edmunda. Kamilka, zwykle wesoła i ożywiona, dziś była przeciwnie usposobioną. Nareszcie przed jedną kamienicą z balkonem Edmund przystanął i rzekł głosem wzruszonym, choć tego nie chciał okazać.

— Wstąpmy tu, Reginko, na drugim piętrze mieszka ktoś dobrze ci znajomy, odwiedzimy go.

Reginka ze zdziwieniem spojrzała na brata, zdawało jej się, że chyba źle słyszy, zapytała więc z uśmiechem:

— Co mówisz, Edmundzie? gdzie mamy wstąpić i do kogo? przecież z wyjątkiem babci nikogo ze znajomych nie mamy w Warszawie.

— A jednak proszę się, wstąpmy — mówił nalegająco — wierzaj mi, mieszka tu twój znajomy, więcej, mieszka tu ktoś, kogo ty, Reginko, kochasz nawet.

— Widocznie pomieszało mu się w głowie — pomyślała Kamilka, wzruszając nieznacznie ramionami, podczas gdy na twarzy Reginki coraz większe malowało się zdziwienie.

— Ależ, Edmundzie, nie wiem doprawdy, co mam o tem myśleć — mówiła wahająco.

— Jakto, nie ufasz mi, Reginko? więc wejdźmy do sieni, Adaś niech idzie na górę a, przeczytawszy nazwisko na drzwiach przybite, przyjdzie ci powiedzieć, czy możesz tam wejść.

— Więc chodźmy — rzekła Reginka — widzę, że mówisz to nie żartami; jestem gotowa iść z tobą wszędzie.

— Kamilciu, idziemy — rzekł Edmund wesoło.

Nie wyłączając Reginki, wszyscy byli ciekawi tych znajomych, do których byli prowadzeni. Adaś chciał pobiedz na-przód, ale Edmund zatrzymał go.

— Poczekaj, kochanku, pójdziemy razem, nie bądź najciekawszy, przecież nie jesteś panienką.

— Aby się przekonać, że ten przymiot nie jest wyłącznym naszym przywilejem, mogę iść ostatnia — rzekła Kamilka.

— O nie! ja pragnąłbym bardzo, abyś ty, Kamilko, weszła najpierwsza.

— To ja pójdę najpierwsza — zawołała Zosia, wbiegając na wschody.

— Widzisz, Kamilko — rzekł Edmund, wskazując Zosię — dowód słów moich, a ty widocznie należysz do wyjątków.

Gdy wchodzili na drugie piętro, Edmundowi myśl nowa przyszła do głowy, bo wbiegł prędko pierwszy, zasłonił ręką tabliczkę i pociągnął za dzwonek.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszyscy ujrzeli twarz nieznanego im służącego.

— Jest pani? — zapytał Edmund.

— Jest, proszę pana, czeka już z pół godziny.

Edmund stanął przy drzwiach, twarz jego promieniała radością, gdy mówił:

— Proszę cię, Reginko, wejdź śmiało, teraz ty, Zosiu, Adasiu, na ciebie kolej, my z Kamilką wejdziemy ostatni. Gdy wszyscy weszli, on ujął rękę dziewczynki, odsłonił aż dotąd zakrytą tabliczkę i rzekł:

— Przeczytaj to, Kamilciu.

Na metalowej tabliczce wypisane było:

„Edmund Witecki, adwokat przysięgły“.

Kamilka przeczytała, oczy jej zamglily się łzami, drżącymi usty nie mogła wymówić słowa.

— To na twoje żądanie, Kamilko — rzekł, przyciskając ją do piersi i całując białe czoło — tylko na twoje żądanie, abyś uwierzyła wreszcie, że i ja kochać was umiem.

— Edmundzie! ach, Edmuudzie, daruj mi! — zawołała, zarzucając mu ręce na szyję — czyż zasłużyłam na to, abyś wyłącznie dla mnie uczynił to, do czego Reginka sto razy większe ma prawo.

— Reginka kochałaby mnie i na końcu świata, Reginka... — umilkł nagle a, całując raz jeszcze załzawione oczy dziewczęcia, dodał wesoło: — Więc zgoda między nami, i będziesz mnie odtąd kochała, Kamilko? O, jak ja teraz gorąco pragnę miłości waszej, której tak długo dobrowolnie się wyzrekałem. Lecz chodźmy do pokoju, tam droga babunia czeka na nas z podwieczorkiem.

Radość wszystkich nie miała granic prawie, i nie tylko Kamilka miała łzy w oczach, wszyscy byli wzruszeni, a babunia do łez dołączyła błogosławieństwo dla ukochanych przybranych wnucząt.

— Reginko — szepnęła Kamilka, tuląc się do siostry — jakże jestem szczęśliwa, i kocham Edmunda tak samo, jak Adasia i Zosię.

— Ach, Edmundzie — rzekła Reginka, gdy minęło pierw-

sze wzruszenie — jakże mogłeś uczynić to wszystko w takiej tajemnicy?

— Warszawa duże miasto, Reginko, a przy pomocy poczciwego Ignasia zdołałem tego dokazać.

— Nie ufałeś mnie, Edziu — rzekł Adaś z odcieniem żalu w głosie.

— Nie, mój drogi, lecz chciałem i tobie zrobić niespodziankę, na którą cieszyłem się doprawdy, jak dziecko.

— To niby, jak Zosia — rzekła Kamilka, odzyskawszy wesołość. — Zośko kochana, już teraz na Zielone Świątki Edzio twoją sukienkę niebieską podziwiać będzie.

— Wolę Edzia, niż sto sukienek niebieskich — rzekła mała z prostotą.

— Ale jakim sposobem babcia się tu znalazła? — zapytał Adaś — kiedy ja, wychodząc, nie wiedziałem o niczem?

— Widzisz, chłopcze, jak to kobiety umieją dotrzymywać sekretu — rzekła sędziwa pani R. — Dziś rano Edmund powiedział mi wszystko, a poczciwy chłopiec chciał, abym i ja była świadkiem waszej radości. Niech wam Bóg błogosławi przez całe życie.

Oglądano wszystkie pokoje w mieszkaniu; chociaż ani tak obszerne, ani tak wytwornie urządzone, jak to, które Edmund zajmował w Lublinie, było ono jednak milutkie i porządnie umeblowane. Na balkonie stało parę dużych oleandrów, co niezmiernie cieszyło Zosię. Wtem odezwał się głos dzwonka, poruszonego widać nieśmiałą ręką. Adaś pobiegł otworzyć i weszły dwie kobiety. Była to Maciejowa, a za nią Różia; Edmund posłał po nie swego służącego. Maciejowa rozplakała się z radości, a Różia, choć się cieszyła, że kochane panienki nie będą za bratem tęskniły, popatrzywszy jednak na obu braci, poprawiła czepka na głowie i powiedziała półgłosem.

— Taki to nie to, co Adaś, mój migdalik kochany, mój gołąbeczek złoty. Żeby mi tylko dziecka nie zamęczyli temi książkami. Boże odpuść, chciałam pono głupstwo powiedzieć.

Spełniły się więc najgorętsze życzenia Reginki, wrócił im brat kochany, przez nią tak gorzkiemi oplakany Izami. Bóg nagrodił sierocie poświęcenie i wytrwałą pracę, a życie ich teraz będzie płynęło swobodnie i wesoło. Powodzenie Edmunda, zwolna wprawdzie, ale coraz stawało się pewniejsze. Tak upłynęło lat trzy, w ciągu których Edmund odwiedzał parę razy do roku Orlinek i Wirówkę, a państwo B., będąc w Warszawie, zapoznali się z rodziną Edmunda i z ich przybraną babcią. Pokazało się, że panie te znały się oddawna, była więc i tu radość z odnowienia znajomości lat młodych. Gdy więc spokój i życie bez troski zapanowało w domu Reginki, gdy się nacieszyła odzyskanym bratem, myśląc zawsze o szczęściu ukochanych, wspomniała Edmundowi, że mając lat dwadzieścia dziewięć i utrzymanie więcej niż dostatnie, powinien pomyśleć, aby dom jego nie stał pustką, i życie nie upływało samotnie. I w pół roku po tej rozmowie, Regince przybyła jedna jeszcze istota do ukochania serdecznego, a była nią Olcia, drogą jej bratowa.

I Kamilka ukończyła pensję ze złotym medalem, Adaś zapisał się już na wydział medyczny, a Zosia w piątej była klasie.

Kamilka z ładnej panienki wyrosła na śliczną pannę, uczy się obecnie introligatorstwa, marząc o otworzeniu z czasem zakładu, ażeby jej wyroby, zaspakajając gust najwybredniejszy, zapobiegły do reszty wysyłaniu za granicę pieniędzy po towar, któryby w kraju nabyć można. Kamilka cieszy się nadzieją, że marzenie jej spełni się w przyszłości i oddaje się pracy z zapalem. W główce jej tworzą się rozmaite pomysły, o które przy wykształceniu, wiodzonym guście i zdolnościach do rysunków, nie jest zbyt trudno. Nieraz gdy kilka godzin spędzi na rysowaniu różnych wzorów, rzuca się Regince na szyję z dziecinną radością i z dumą kobiety, miłującej kraj swój, mówi z uniesieniem.

— Zaka-uję Paryż, Reginko, roboty moje pokażą, że i my potrafimy wykonywać rzeczy piękne, że i u nas przemysł rozwija się i kwitnie. A gdy Zosia skończy pensję i wyuczy się kołonkarstwa i kwiecjarstwa, to wtenczas Reginko, otworzymy

pracownię kobiet, i zobaczysz, najdroższa, że i nasz zakład stanie się sławnym w kraju całym.

Reginka umiejętnie podtrzymuje zapał młodej dziewczyny, i już dziś składa z małych swych oszczędności kapitalik, aby ten z czasem stał się pomocnym do urzeczywistnienia marzeń przyszłej intrologatorki.

XV.

Zakończenie.

Ruch niezwykle panuje w Wirówce, Mania od samego rana krząta się po całym domu, wszędzie jej pełno, raz po raz wydaje jakieś polecenia. Czasem stanie, zamyśli się chwilką i westchnie z cicha. Tęskno jej za ukochaną Olcią, która już od roku nie była w Wirówce. Lecz dziś niema czasu na rozmyślanie, coraz ktoś ze służby przychodzi zapytać o coś, to matka wzywa ją do siebie, to Zygmunt, który przyjechał dziś od rana, nie pozwala jej myśleć długo o ukochanej kuzynce. Toż wreszcie ujrzy ją dzisiaj, bo te wszystkie przygotowania są na przyjęcie drogich bardzo gości.

Duży zegar w stołowym pokoju wybił piątą, i Mania, ukończywszy wszystkie zajęcia, wzięła robótkę i siadła w cieniu starych kasztanów, otaczających domek. Było to już na początku jesieni, dzień był pogodny i ciepły, letni prawie. Przyszedł na taras i Zygmunt a, siadając przy długim stole, po którego obu stronach stały ławki, gdyż na tym tarasie jadano śniadania i obiady w dni pogodne, rzekł z lekkim odzieniem niecierpliwości w głosie:

— Mogliby już przyjechać coprawda, szósta godzina dochodzi.

— Niema jeszcze kwadransa, jak była piąta — rzekła Mania z uśmiechem — chociaż muszę ci się przyznać, że i mnie pilno, bardzo pilno ujrzeć moją Olcię. Pół roku upływa, jak jej nie widziałam. Och, żebyś wiedział, jak mi serce bije radośnie na samą myśl, że ją dziś zobaczę; tyle, tyle mam jej

do powiedzenia. Żeby już raz przyjechali, bo i ja zaczynam tracić cierpliwość.

— Połóż tę robotę i chodź, pójdziemy pod laszek na ich spotkanie — i Zygmunt wyciągnął jakąś delikatną koronkę z rąk Mani.

— Wołałabym powitać ich w domu, a, jeżeli sobie życzysz, to poczekaj tu chwilkę, wezmę rękawiczki i parasolkę.

Zaczęła składać robotę, gdy przybiegł mały Matusek sierotka, wołając głośno, że od lasku jedzie powóz w cztery siwe konie.

— Och! to oni! — krzyknęła Mania radośnie, i oboje z Zygmuntem udali się śpiesznie pod wystawę domu, a w parę minut poczwórna karetka wjeżdżała w bramę, stary Walenty, nie chcąc stosować się do mody, głośnem palnięciem z bata oznajmił przybycie gości.

Gdy się powóz zatrzymał przed domem, Mania, zarumieniona radością, podbiegła, a w chwilę Olcia ze łzą radości i rozrzewnienia serdecznym i tkliwym uściskiem witała ukochaną kuzynkę i przyjaciółkę. Oboje państwo domu wyszli również, naprzeciw upragnionych gości, a Olcia, spostrzegłszy ich, pośpieszyła powitać drogich wujostwa. Tymczasem Zygmunt wysadzał jeszcze z karety dwie kobiety, a na końcu wyskoczył żywo młody i przystojny mężczyzna. Teraz nastało ogólne powitanie, pełne wesołego gwaru i serdecznej radości.

— A żebyście wiedzieli, jak myśmy się z Zygmuntem niecierpiwili, gdy was tak długo widać nie było — mówiła Mania, po raz dziesiąty już może całując Olcię i dwie jej towarzyszki.

— Jak zawsze, tak i teraz, ciociu kochana — mówiła wesoło Olcia, zwracając się do wujostwa — wszystkiemu winien Edmund; na samem już wsiadaniu miał jakąś długą naradę z przybyłą panią, której nie chciał zostawić bez rady.

— Była to wdowa z siedmiorgiem dzieci, której zły człowiek jakiś chciał zagrabieć cały majątek — odezwała się śliczna młoda dziewczeczka z czarnemi, jak aksamit, rzęsami.

— Jest już i adwokat Edmunda — zaśmiała się Olcia. — Kamilcia nie pozwoli przeciw niemu nigdy słowa powiedzieć. Wielką mam z nią biedę — dodała z serdecznym uśmiechem, spoglądając na zarumienioną panienkę.

— Olcia z Kamilcią wiecznie się muszą swarzyć o Edmunda — odezwała się najstarsza z przybyłych, w której nie trudno domyśleć się Reginki. Była to Reginka, ale jakże niepodobna do tej, którą widzieliśmy przy rozpoczęciu powiastki. Ciężka choroba pozostawiła na niej niezatarte ślady, piękne jej oczy przyćmiły się mgłą jakąś, na skroniach srebrzyły się białe włosy, uśmiech tylko, niezmacony żadną gorzką myślą, częstym był teraz na jej ustach. Bo też była szczęśliwa, zupełnie szczęśliwa po tych łzach i cierpieniach, jakie pozostawiła za sobą. Czasem wprawdzie chmurka przysłaśniała jej czoło, i jakaś myśl smężna wyrywała westchnienie, ale w takich razach zwykle szukała swoich dziewczątek, pieściła je i całowała, i znajdowała uspokojenie swego zacnego, szlachetnego serca.

— Ale cóż tak na ganku stać będziemy — rzekł pan domu — czy tu przyjmuje się gości tak bardzo upragnionych?

— Chodźmyż, chodźmy do pokoju — rzekła pani B. — bo moi kochani goście muszą być głodni porządnie.

— Ja dosyć — rzekł Edmund — ale co moje panie, to wątpię, całą drogę chrupały ciastka i pierniki, których musiałem nakupić, aby podróż nie wydawała im się zbyt długą.

— I przy tych łakociach zdawała nam się bardzo, bardzo długą — mówiła Olcia — lotem ptaka pragnęliśmy stanąć w Wirówce, tak nam do niej było pilno.

— Szkoda, że Zochny niema — rzekła Mania, gdy zasiadli do stołu suto zastawionego — musiało jej być przykro zostawać samej w Warszawie.

— Nie okazała tego bynajmniej — odpowiedziała Reginka — wiedziała bowiem, że w takim razie nie odjechałabym od niej, a nawet była bardzo obrażona, gdy Kamilka chciała z nią pozostać. „Przecież nie jestem dzieckiem i egoistką, żebyście dla mnie mieli się pozbawiać przyjemności i rozrywki

po waszej pracy“, mówiła z dumą piętnastoletniej osoby, „zresztą zostaję z babcią i Adasiem“, a chociaż oczy jej co chwila zachodziły łzami, śmiała się i udawała bardzo wesołą.

— Pocziwe dziecko — rzekł p. B. — A jakże się miewa szanowna babcia, boć i ja tak ją już przywykłem nazywać.

— O, babcia dzięki Bogu zdrowa i doskonale wygląda, zawsze jednakowo zakochana w swoim wychowanku, dla którego nie zbraknie jej nigdy pochwał, a szczególnie, gdy mówi z Rózią, której koniecznie się zdaje, że Adaś jest zawsze małym chłopczykiem.

Gdy w parę dni potem pani B. przechadzała się z Reginką po cienistych szpalerach ogrodu i poufną prowadziła z nią rozmowę, naraz przystanęła a, wzięwszy ją za rękę, zapytała poprostu:

— Powiedz mi, droga Reginko, czy nie myślisz wyjść za doktora Z.? odrzucasz człowieka bardo zacnego i bardzo szlachetnego, pamiętaj, że w przyszłości możesz tego żałować.

— Wysoko cenię i szanuję doktora Z. — odpowiedziała poważnie Reginka — ale życie moje nie do mnie należy. Przyjęłam umierającej matce opiekę nad dziećmi, wywiązać się z tego muszę, choćbym to szczęściem własnego życia przypłacić miała.

— Alboż nie wywiązałaś się już z tego? czyż nie wychowałaś powierzonych ci dziewczątek? czyż nie byłaś młodszą, niż dziś Kamilka, gdy musiałaś myśleć nietylko o sobie? czyż więc nie nadeszła pora na ciebie wypocząć po tylu trudach ciężkiej pracy?

Reginka zdziwionym wzrokiem spojrzała na panią B.

— Jakto? pani mi radzisz, abym dziś opuściła wychowane dziewczątka i puściła je w świat, wiedząc z doświadczenia, jak ciężko dobijać się chleba sierocie? O nie, pani tak nie myślisz, to tylko próba mego serca. Ale wyjdę z niej czysta, duchy rodziców moich nie zasmucą się, gdyby znów po kolei dzieci ich przechodziły przez takie ciężkie doświadczenia. Jam dziś szczęśliwa i spokojna, spełniam z miłością i wiernie obo-

wiązek względem rodziny, miałabym dobrowolnie sprowadzić sobie zgryzoty sumienia, rzuciwszy sieroty moje. Mogłabym im powiedzieć: idźcie w świat, ja sobie utworzę nową rodzinę, nowe obowiązki, dom mój będzie dla was tylko chwilową gością, idźcie i myślcie o sobie! Bo nie chciałabym nigdy, nigdy, nawet najlepszemu, najszlachetniejszemu człowiekowi wprowadzić w dom swej rodziny, aby ją utrzymywał. To duma moja, i tej nie złożę na oharę — nikomu.

Wyprostowała się, w oczach migotały jej blaski szlachetne, rumieńce na bladą twarz wystąpiły. Była w tej chwili piękną uczuciem miłości i poświęcenia. Pani B. przyciągnęła ją do siebie i utuliła w serdecznem uściśnieniu.

— Szlachetną jesteś i podniosłą duchem, Reginko, nie myślę już walczyć z twem sercem, kocham cię i szanuję. Szczęśliwa matka, która taką córką pochlubić się może, spokojnie spoczywa w grobie ta, która pod opieką taką mogła zostawić drobne sieroty.

— Spełniam tylko swój obowiązek — odpowiedziała z prostotą.

Gdy pani B. z Reginką powróciły z przechadzki, zastały w saloniku młode towarzystwo, bardzo wesoło się zabawiające. Olcia siedziała przy fortepianie, śpiewając z Kamilką, Zygmunt im wtórował. Mania z Edmundem ożywioną prowadziła rozmowę przyciszonym trochę głosem. Reginka okiem macierzyńskiej miłości spojrzała na Kamilkę, i uśmiech szczęścia twarz jej rozjaśnił. Była bledsza niż zwykle, rozmowa z panią B. wzruszyła ją silnie. Po skończonym śpiewie Kamilka podbiegła do niej.

— Błada jesteś, Reginko, czyś cierpiąca — zapytała z niepokojem.

— Nie, kochanko, zdrowa jestem zupełnie.

— A jednak czytam z twej twarzy jakieś wzruszenie, czy cię co zmartwiło, siostrzyczko?

— Bądź spokojna i wesoła, wierzaj mi, dziecko, że nie doznałam żadnej przykrości i jest mi lekko, bardzo lekko na sercu.

Kamilka rękę jej do ust przycisnęła, Reginka przegarnęła nad białem czołem dziewczęcia zwijające się trochę włosy i z dumą spojrzała w prześliczne jej oczy. Pani B., patrząc na nie, rzekła do Olci:

— Jakaż to macierzyńska miłość w tej kobiecie, jak ona kocha te dziewczątka!

— Ach, ciociu, to anioł — zawołała Olcia z uniesieniem — ale jak ją też te siostrzyczki kochają! Kamilcia życie oddałaby za nią.

— Musi być dobra i szlachetna — rzekł Zygmunt.

— Reginka, czy Kamilka? — zapytała Olcia z uśmiechem.

— O pannie Reginie tyle nasłuchałem się już pochwał — odparł Zygmunt — ze radbym teraz wiedzieć co i o młodszej.

— Jest to duszyczka czysta jak kryształ, charakter piękny i prawy, chociaż niema tego pobłażania i słodczy, która u Reginki tak zniewala każdego.

— Widać, że jest energiczna i stanowcza rozumnie — rzekł Zygmunt i odszedł do panienek.

Matka spojrzała za nim i zamyśliła się głęboko.

Dwa tygodnie jeszcze znajomi nasi bawili wesoło w Wirówce, a chociaż czas upływał bardzo przyjemnie, Reginka, stęskniona do Zosi i Adasia, zresztą wiedząc, że obecność jej potrzebną jest w zakładzie, który zostawiła pod nadzorem starszej panny, nagliła o powrót do Warszawy, a i Edmund śpieszył do swych obowiązków. Olcia odjeżdżała z żalem, a chociaż Kamilka dowodziła, że i ona śpieszyć musi do swej pracy, że się już za bardzo rozpróżnowała i że może zapomnieć, czego się z takim trudem przez rok nauczyła, znać było, że jej trochę żal opuszczać Wirówkę.

I na tem kończy się powiastka, a jeżeli młodzi czytelnicy ciekawi dalszych losów tej rodziny, niech przeczytają „Prawdziwe bogactwo“.

CZĘŚĆ DRUGA

I.

Oczekiwanie.

Poza zczerniałemi i nadpsutemi przez czas sztachetami stał mały dworek, gontami kryty, z gankiem na słupach, w którym stały dwie ławki po bokach. Po prawej stronie mieściły się zabudowania gospodarskie, wszystko to już stare, słomą kryte, ale utrzymane starannie i w porządku. Zabudowań tych nie było wiele: stodoła, mały śpichlerzyk, stajnia i obora, a bliżej dworku chlewy i kurniki, wszystko to w gromadce, jedno przy drugim; budując, widocznie miano na celu, aby jak najmniej zabrać miejsca.

Po lewej stronie i poza dworkiem ciągnął się dosyć duży ogród, w którym między drzewami uprawiane były zagony z warzywem. Przed domkiem mała trawnik, obłożony kamieniami, świeżo widać wapnem pobielonymi, w środku trawnika rosła młoda lipa, starannie otoczona palikami, przeplatany wikliną, aby ją uchronić od niepotrzebnych może odwiedzin blizkich sąsiadów, mieszkających w chlewikach. Z sąsiadami tymi musiano widocznie częste staczać walki, czego dowodem był biedny trawnik, gołą ziemią widniejący nie w jednym miejscu, co jednak było naprawione i zagładzone, chociaż troskliwa ta ręka zieleni na razie dać nie mogła, aby zupełnie zatrzeć ślady zniszczenia. Pod niskimi okienkami rosły krzaki róż, obecnie mnóstwem kwiatów okryte, niżej rabatka, obsiana

rezedą i innymi drobnymi kwiatkami. Wszystko to ogrodzone, oplecione, od dołu szczelnie poutykane kamieniami, co dawało do myślenia, iż barykada ta wzniesiona była dla zabezpieczenia się od kaczek, bo wiadomo dobrze, że te niecnoty korzystać lubią z najmniejszego otworu, aby się dostać tam właśnie, gdzie ich najmniej pragną.

Ale wejdźmy do dworku: oto po prawej stronie drzwi otwarte, i widzieć można mały pokoik, świeżo wybielony. Pod jedną ścianą stoi łóżko, skromnie lecz czysto zaścielane, przed niem skóra wilcza, w głowach na ścianie obraz Chrystusa w Ogrójcu, nad łóżkiem dubeltówka i różne przybory myśliwskie. Pod oknem prosty stolik, lśniący białością, parę drewnianych stołków z poręczami, czarna nieduża szafka w rogu, kufer mocno żelazem okuty, za pstrym kaflanym piecem z jednej strony leży poduszka słomą wypchana, widocznie posłanie jakiegoś faworyta domowego, a po drugiej parę kijów sękatych, toporek i kilka narzędzi ogrodniczych.

W tej chwili przy stoliku stoi dziewczynka, mogąca mieć lat czternaście, ustawia na nim bukiet z róż, świeżo zerwanych i nuci sobie półgłosem jakąś piosenkę. Sukienka na niej ciemna perkalowa, czarny fartuszek, biała czysta fryzka stanowią całe ubranie. Jasno blond włosy, zaczesane z czoła i zaplecione w dwa grube warkoczy, odsłaniają białą twarzyczkę o delikatnych rysach i dużych, ciemnych oczach. Dziewczę to, szczupłe i wątłe, ma jednak wzrost wybujały nad wiek swój, co daje mu pozór dorosłej panny, z czego jest niewypowiedzianie dumne między rodzeństwem.

Nareszcie ostatnią już poprawiła gałązkę w bukiecie, odstępuje parę kroków, przypatrując się z zadowoleniem, robi jeszcze szczegółowy przegląd skromnego pokoiku, aby wszystko było na swoim miejscu, przestaje nucić piosenkę i, spojrzawszy w okno, wypowiada myśl swoją dość głośno:

— Ach, Boże, jak też wujcio długo nie wraca z tej szkaradnej podróży, a tu jeszcze takie chmury na niebie, z pewnością będzie burza, wujaszek zmoknie i zaziębić się może

— Tereniu! — dał się słyszeć głos młody i dźwięczny, i po chwili wbiegła do pokoju druga dziewczynka, starsza od tej widocznie, choć znacznie niższa.

— Porządkuję pokój dla wujaszka — odezwała się blondynka, zbliżając się do łóżka i poprawiając po raz setny może skórzaną poduszkę — chciałabym, aby wszystko było na swoim miejscu.

Przybyła spojrzała wokoło, pochyliła się nad bukietem, przyglądając się kwiatom, a potem rzekła:

— Zabawna ty jesteś, Tereniu, stawiasz bukiet róż, jakby na przybycie jakiej panienki, ręczę ci, że wujaszek ani spojrzy na twoje kwiaty.

— Nie spojrzy — powiedziała z odcieniem smutku dziewczynka — dlaczego Hanka?

Hanka wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, a po chwili rzekła wesoło:

— Tymczasem chodź do mamy, która mnie przysłała po ciebie, roboty mamy bardzo dużo, a coprawda siostrzyczka lubi się od niej uchylać.

— O! tylko nie gniewaj się na mnie, Hanulko — zawołała dziewczynka, zarzucając ręce na szyję starszej siostry — cóż winna jestem, że tak igły nie lubię — dodała, wstrząsając się cała.

— A jednak musisz ją polubić, Tereniu, musisz koniecznie zabrać się szczerze do pracy — rzekła tamta z powagą starszej siostry. — Wiesz, jak to mamę martwi, że tyle czasu spędzasz na niczem.

— Na niczem? mój Boże — rzekła Terenia kiwając głową — to się nazywa na niczem! Doglądałam kwiatów, pilnuję trawnika od szkody, pamiętam o gołębiach, pokój wujaszka porządkuję, aby go zastał czystym po powrocie do nas, pomalowałam nawet wapnem kamienie, przy pomocy Janka wprowadzić, i to wszystko mama i siostrzyczka uważają za jedno nic!

— Dodaj jeszcze — rzekła Hanka — że całymi godzinami siedzisz w jakim krzaku z książką, i nawet sprytna nasza

Ewcia znaleźć cię nie może. No, chodźmy do mamy, bo przysłałam po ciebie, szczęśliwym trafem znalazłam wieczną zgubę, a jednak nie wracam.

— Chodźmy — odrzekła Terenia z westchnieniem, i obie panienki opuściły pokój, zamknawszy go na klucz, który blondynka schowała do kieszeni. Hanka szła pierwsza, otworzyła drzwi po drugiej stronie sionki i, puszczając przed sobą Terenię, rzekła z wesołym uśmiechem:

— Mam zgubę, mateczko, Terenia znów w świeży bukiet przystroiła pokój wujaszka i porządkowała go, chociaż oddawna jest już sprzątnięty i uporządkowany.

Pokój, do którego weszły dziewczynki, był duży, jasny, i na pierwszy rzut oka wywierał miłe wrażenie, gdyż odznaczał się taką świeżością i porządkiem, widniejącym z najmniejszego kącika, że wchodzący mimowolnie musiał szepnąć sobie w duszy: „jak tu swobodnie i wesoło“. Ściany białe, podłoga czysta bez najmniejszej plamki, kilka doniczek kwitnących kwiatów na oknach, których pomyte szyby przepuszczały smugi światła do wnętrza pokoiku. Umeblowanie tu było skromne, dwie szafy, komoda, duży stół dębowy na środku, kilka wyplatanych krzeseł, pod ścianą kanapa, spleśniałym już trochę, ciemno-zielonym adamaszkiem kryta, pod jednym oknem stolik nieduży, zarzucony robotą, obok fotel wygodny, przy którym stał mały stołeczek pod nogi, po drugiej stronie stolika krzeselko wyściełane. Nad komodą lustro w czarnych ramach, nad kanapą portret Mickiewicza, po bokach Kościuszko i Sobieski.

Z tego pokoju były drzwi, prowadzące do drugiego, również dużego, który zastawiony był łózkami i łóžeczkami. Przy każdym łóżku stało krzeselko i mała ławeczka, nad każdym wisiał obraz Matki Boskiej lub jakiego świętego. W rogu stała duża umywalnia, konewka blaszana z wodą, i takiż kubeleczek.

Obejrzyjmy już całe mieszkanie i zapoznajmy się odrazu ze wszystkimi mieszkańcami schludnego dworku.

Z sypialni tej na lewo były drzwi do pokoju większego od dwóch poprzednich, którego dwa okna wychodziły na ogród. W rogu pokoju za jedwabną ciężką kotarą, wyblakłą już i przez czas zniszczoną, stało łóżko białą pościelą zasłane. Przy łóżku mały stoliczek, na nim krzyż Chrystusa pięknej bardzo roboty, parę książek i okulary w złoto oprawne. Nad łóżkiem obraz Matki Najświętszej, wianki poświęcane i w rogu gromnica na wstążce zawieszona. Pod oknem, obstawiony krzeselkami, stał duży stół, na nim książki i kajety świadczyły, że tu się działo uczyła. Nie brakło tu niczego, co się w pokoju szkolnym zwykle znajduje.

Przy stole stał fotel wygodny, więcej tylko zniszczony, niż w pierwszym pokoju, i także ławeczka pod nogi. Dalej szafa, kufer duży, umywalnia, wszystko czyste, bez najmniejszego kurzu i zabrudzenia. Z tego pokoiku nie było wyjścia, za to z dużej sypialni były jeszcze jedne drzwi, któremi wchodziło się do pokoju gospodarskiego. Znajdowały się tu same szafy i kufry, duży stół pod oknem i za parawanem łóżeczko skromnie zasłane. Z tego pokoju jedne drzwi prowadziły do spiżarni, drugie do kuchni. Wszędzie tu było skromnie, ale wszędzie widać było ład i porządek.

W dworku tym mieszkała pani Wolska, wdowa od lat czterech, z matką i sześciorgiem dzieci. Najstarsza córka Hanna miała lat piętnaście skończonych, nie odznaczała się urodą wielką, ale czarne jej oczy miały taki wyraz swobodny i wesoły, na czerwonych, jak koral, ustach tak często jawił się uśmiech figlarny, że dziewczę to miłe na każdym wywierało wrażenie. Hanka była małego wzrostu, figurkę jednak miała zgrabną, choć niezbyt szczupłą. Druga z kolei Terenia, którą widzieliśmy już porządkującą pokój dla oczekiwanego wujaszka. Trzeci Janek miał lat dwanaście, jasne kędzierzawe włosy i duże, rozumne niebieskie oczy. Dziewięcioletnia Jadwisia, istny portret Tereni, siedmioletnia, żywa i rozpieszczona przez wszystkich Ewcia i pięcioletni Kazio, faworyt babuni, składali rodzinę kochającą się i zgodną.

Babunia nie miała jeszcze lat sześćdziesięciu, była to kobieta czynna, energiczna i pracowita. Umysł jej świeży, pamięć wiekiem nie przytępiona, rozumna, wykształcona, była w domu ukochanej synowej wyrocznią, chociaż ta władza jej i wyższość nie ciążyły nikomu. Kochano ją, szanowano, uwielbiano prawie, po każdą radę udawano się śmiało do niej, nikt jej się nie obawiał, a jednak w całym domu nikt za nic w świecie nie byłby zrobił nic takiego, co by się babuni mogło nie podobać. Każde dziecko, zbłądziwszy, rzucało się do kolan i w objęcia drogiej babuni, wyznając ze łzami szczerze swą winę, przyrzekając poprawę, a przyreczenie to prawie nigdy złamane nie było. Synową, ukochaną swą Krysię, kochała jak własne dziecko, a pani Krystyna, w dzieciństwie zostawszy sierotą, całą miłość stęsknionego za nieznanymi rodzicami serca wylała na matkę mężowską.

Pani Krystyna miała lat trzydzieści ośm. Była to kobieta piękna niegdyś, dziś włosy jej przedwczesna przypruszała siwizna, wyniosła postać pochylała się nieco, jakby pod brzemieniem ciężkiem, na bladej, ściągłej twarzy ukazywały się już zmarszczki, tylko niebieskie, duże oczy, nie straciły jeszcze nic ze swej piękności, pozostał w nich wyraz dziwnie głęboki, były to oczy, co to spojrzawszy, zdają się widzieć, co się dzieje na dnie serca człowieka. Stałym jeszcze mieszkańcem dworku był oczekiwany wujaszek Kazimierz, starszy brat pani Krystyny.

Ciekawa to była postać tego wujaszka, ciekawa i dosyć tajemnicza. Pan Kazimierz, nie skończywszy uniwersytetu dla przyczyn od niego niezawisłych, zmuszonym był opuścić kraj ojczysty i przez lat dziesięć tułał się po świecie, nie dając znać o sobie jedynej siostrze, która gorzkimi łzami opłakiwała zaginionego gdzieś brata. Gdy go się już nie spodziewano ujrzeć, zjawił się nagle pewnego zimowego wieczora, w ubraniu skromnem i niebardzo zabezpieczającym od panujących owej zimy mrozów z małym tłomoczkiem na plecach, z dużym sękatym kijem w ręku i ze łzą głębokiego rozrzewnienia w oku.

która dziwnie odbijała przy ogorzałej twarzy i sumiastym wąsie. Niepodobna opisać radości siostry z odzyskania utraconego brata, a dzieci, których już było czworo, patrzyły na nieznanego wujaszka z pewną obawą i zakłopotaniem.

Pan Konstanty Wolski był to człowiek nie pierwszej już młodości, prawy i zacny bardzo, kochał żonę, nie mógł więc być obojętnym dla jedyne go jej brata. Przyjął też Kazimierza z całą serdecznością i prosił go, aby dom ich na zawsze uważał za swój własny. Osiedlił się więc u nich pan Kazimierz, a po kilku tygodniach pobytu, gdy wypoczął po trudach długiej, jak mówił, podróży, nie chcąc beczynn timer pędzić życia, podjął się uczyć dzieci.

Właśnie Hanka zaczęła była już rok ósmy, a chociaż od dwóch lat uczyła się przy babuni, czas jednak było określić systematyczny plan nauk. Pan Kazimierz był człowiekiem bardzo wykształconym, skończył za granicą uniwersytet, z czym wymówił się niechcący, gdyż nie bardzo lubił mówić o swej przeszłości, najmniejsza o niej wzmianka wywoływała chmurkę smutku na pogodne zwykle jego czoło. Babunia jednak nie chciała w zupełności zrzec się nauki kochanych wnucząt, podzielono się zatem przedmiotami, mianowicie nauka obcych języków została przy babuni, chociaż i wujaszek mówił dobrze po niemiecku, po francusku i po angielsku.

Tak więc dziewczęta mogły się kształcić w domu, i to było prawdziwimer ich szczęściem, gdyż majątek państwa Wolskich wystarczał zaledwimer na skromne utrzymanie domowe, a małeńkie oszczędności składano skrzętnie, aby później Janka było za co oddać do szkół, a następnie Kazia, gdyż chłopcy wielkie do nauk okazywali zdolności i chęci.

Dawniej pan Wolski miał piękny majątek, liczył się do zamożnych obywateli, smutne okoliczności pozbawiły go takowego, i ledwimer zdołał kupić dziesięć włók ziemi, to jest część jakąś ogromnej wsi Żabina.

Trudne to było gospodarstwo z początku, bo i dług jakiś pozostał do spłacenia, i budynki trzeba było stawiać, i inwen-

tarz skupować, wydatki się mnożyły, praca więc była ciężka i mozolna. Pomagali sobie jednak wszyscy wzajemnie, było im dobrze i wesoło, nie narzekali i nie nie utyskiwali na swój los, owszem, dziękowali Bogu, że mieli kącik własny, choć skromny i z trudem zdobywany.

Straszny jednak cios dotknął szczęśliwą dotąd rodzinę, pan Wolski zaziębił się, zachorował i umarł. Rozpacz pozostalej rodziny opisać niepodobna, nie opuszczono jednak rąk bezczynnie, owszem pracować teraz musiano więcej, bo najmniejsze zaniedbanie grozić mogło ruiną. Poznaliśmy się więc ze wszystkimi, możemy teraz wrócić do chwili, gdy Hanka, wszedłszy do pokoju, rzekła do matki, krajającej jakieś płótna na dużym stole.

— Mateczko, mam naszą zgubę.

— Moje dziecko — rzekła p. Krystyna z wymówką w głosie — zawsze cię szukać trzeba. Wiesz, jak dużo mamy roboty, wakacje zbliżają się ku końcowi, Janka za parę tygodni do szkół odwozimy, a ty się uchylasz od pomocy.

Terenia zbliżyła się do matki, pocałowała ją w rękę i łagodnym rzekła głosem:

— Porządkowałam pokój wujaszka, bo dziś przecie ma wrócić z pewnością, a teraz, co mateńka ma dla mnie do roboty?

— Oto są koszule Janka, musicie je z Hanką uszyć przez te dwa tygodnie, każda po sześć, sądzę, że to nie jest zbyt wiele.

Terenia smutnie westchnęła, dwa dni na uszycie jednej koszulki zdawało jej się bardzo mało. Mój Boże, myślała dziewczynka, to już ani jednej nie zostanie chwilki na rozmowę z wujaszkiem, gdy wróci, ani do ogródka się nie pójdzie, kwiatki powiędną, trawniki popsują szkaradne prosięta, kaczkę z pewnością przedostaną się przez kamienie i pod oknami wyjedzą wszystką rezedę, podepcą bratki, a o czytaniu to już i marzyć nawet nie można.

Wzięła jednak odłożoną już robotę a, wyjąwszy wszystko, co do szycia potrzebne było, siadła i zabrała się do pracy.

Hanka z uśmiechem spoglądała na smutną i niezadowoloną minę siostry a, odebrawszy z rąk matki przeznaczoną dla siebie robotę, żwawo i wesoło zabrała się do igły, i, gdy matka wyszła z pokoju, rzekła:

— Nie martwże się znów tak bardzo, moja Tereniu, nie potrzebujesz się wcale śpieszyć, aby przez dwa dni uszyć tak prostą, bez żadnych zakładek koszulkę. Wszystko pokrajane, dopasowane, a doprawdy, gdybyśmy tylko zabrały się do nich szczerze, ręczę ci, że wiele wcześniej byłyby skończone.

— Dla ciebie, Hanko, żadna robota nie jest trudna, ty wszystko potrafisz, wszystko umiesz, ale ja... — i dziewczynce lzy w oczach błysnęły — ja nic nie umiem zrobić...

— Och, tylko się tak nie obmawiaj — pocieszała zmar-twioną Hanka — bo chociaż może trochę lepiej od ciebie szyję, ale ani w części nie mam tych zdolności do nauk, co ty; tak przynajmniej utrzymuje wujaszek. Babunia znów upewnia, że mówisz po francusku ładniej odemnie, czem, jak widzisz, ja się tak dalece nie martwię.

— Ale mama się martwi, że ja do igły nie nam zręczności i chęci, a to dla każdej kobiety ma być umiejętnością konieczną, tembardziej dla tych, które nie mają czem płacić, aby za nie robiono to, czego same nie umieją.

— Moja Tereniu — mówiła Hanka, szyjąc, a igła tylko migała w jej zręcznych paluszkach — gdybyś tylko miała więcej chęci, gdybyś się przejęła tem, co robisz, nie mówiłabyś nigdy, że tego nie umiesz.

— Ja to dobrze rozumiem, że powinnam lubić takie roboty i więcej się przykładać do nich; wiem przecie, że nie mamy majątku, mateńka i wujaszek tyle się natrudzą, aby nam nie zbywało na koniecznych potrzebach; widzę, że wszyscy pracują, babunia kilka godzin spędza, ucząc nas wszystkich, tylko ja jedna najmniej zawsze robię, a i tak trudno mi przewyciężyć się nieraz.

— Ach, kto z taką skrucą spowiada się z grzechów, ten jest na drodze do poprawy — mówiła Hanka, śmiejąc się we-

soło. — Widzisz, jak wybornie spamiętałam zdanie, które raz zasłyszałam od wujaszka; przydało ono mi się dziś dla ciebie. Ale słyszę, że już dzwonią, trzeba położyć robotę, zawołać Francis i pomódz jej nakrywać do stołu; zabierzemy się do tego obiedwie, nieprawdaż?

Terenia skwapliwie zaczęła składać robotę, podniosła się, spojrziała w okno, i z przeraźliwym krzykiem wybiegła z pokoju. A czas było się śpieszyć, bo pędzona z pola na południe trzoda postanowiła wstąpić na chwilkę na trawnik, aby się przekonać, czy porosła już trawa w miejscach, przez nią ogołoconych. Przegląd widocznie nie wypadł korzystnie, bo z mrukiem i chrząkaniem przewracały nieznosne zwierzęta cały trawnik, w czym im dzielnie dopomagały maleńkie białe prosięta. Terenia, spojrzawszy na to spustoszenie, załała się łzami, poskoczyła, chcąc wypędzić niesforną gromadkę, ale nie mogła sobie z nią dać rady, i dopiero idąca na obiad czeladź zabrała szkodników. Trawniki wyglądał okropnie, dziewczynka załamała ręce.

— Mój Boże — zawołała z zalem — dziś wróci wujaszek i jakież zastanie porządek przed domem, a te białe kamienie jakże śmiesznie wyglądają przy zniszczonym zupełnie trawniku!

Na ganku ukazała się babunia, otoczona wnuczętami, gwarzącymi wesoło a, spostrzegłszy zrozpaczoną postać Tereni, spojrziała na trawnik i domyśliła się przyczyny smutku dziewczynki, zbliżając się więc do niej, rzekła:

— Widzę, że znów było najście nieprzyjaciół na spokojny kawałek ziemi; biednaś ty, moja Tereniu, szkodnikom rady dać nie możesz.

— Cóż pomoże załamywać ręce — zawołał Janek rezolutnie — dalej do pracy, trzeba naprawić to, co zepsuły te szkodne stworzenia.

Pobiegł po grabie, wrócił za chwilę i zaczęli wszyscy zgarbiać i równać powyrzucane kawały ziemi. Pięcioletni Kazio uwijał się także, rękami układając i przyklepując, o ile na to jego siły pozwolić mogły.

— A to dopiero trzeba cierpliwości — mówiła Ewcia z groźną minką, ledwo mogąc poruszyć zaduże trochę dla niej grabie — żebym była na miejscu mateńki, tobym to wszystko na całe lato wypędziła do lasu, niechby tam robiły co chciały, a tu nie psociłyby Tereni.

— Piękniebyś zrobiła — rzekła Jadwisia tonem osoby rozumnej i doświadczonej — wilki pozjadałyby je z pewnością wszystkie, i coby było?

Babunia przyglądała się tej pracy z uśmiechem zadowolenia, a, gdy już ostatnia grudka ziemi zrównana została, przybiegła Hanka, prosząc na obiad.

Wesoło gromadka wraz z babunią udała się do pokoju, gdzie już pani Krystyna nalewała zupeł na talerze. Terenia nie brała udziału w rozmowie, jaka się prowadziła przy obiedzie, była trochę smutna i zamyślona, a nawet wzdychała nieraz po cichu.

— Czy ten wujaszek dziś przybędzie nareszcie? — rzekła Jadwisia, spoglądając w okno — już mi tęskno. doprawdy.

— Już chyba rok, jak wujaszek pojechał — odezwał się Kazio, który nie umiał jeszcze rozpoznać, co to jest rok, a co tydzień — matusiu, czy jest już rok, jak wujaszka niema?

— Nie, moje dziecko, dopiero dwa tygodnie — odpowiedziała matka — i na taki przeciąg czasu wybrał się wujaszek. Dziś pewnie powróci.

— Ach! jak to dobrze — zawołała Ewcia — bo od czasu jak wujcia niema, nie byliśmy ani razu na dalekim spacerze.

— Dlaczego nie powiesz „na dalekiej przechadzce?“ — rzekła Hanka — wiesz, jak wujaszek przestrzega, żeby o ile można nie używać wyrazów cudzoziemskiego pochodzenia.

— Omyliłam się — rzekła Ewcia — bo przecież to wiem dobrze.

— Okropnie się dziś chmurzy, powietrze duszne i gorące — rzekł Janek — będzie z pewnością burza; żeby wujaszka aby w drodze nie spotkała.

Terenia niespokojnie poruszyła się na krzeselku.

— Alboż wujaszek dziecko — rzekła Hanka — przecież przed burzą schronić się łatwo, nie czekając aż nas napadnie i przemoczy.

— Odważna z ciebie dziewczyna, Hanko — rzekła babunia — widzę, że gardzisz niebezpieczeństwem; dobre to, tylko nie zawsze trzeba ufać swym siłom.

— Czyż burza grozi nam jakim niebezpieczeństwem? — zapytała dziewczynka obojętnie, gdy Terenia podczas słów babuni, coraz bardziej stawiała się niespokojną.

— Czy Hania nie wie, że jak jest burza to i piorun może uderzyć — rzekła Ewcia z powagą.

— I może piorun spalić — dodał Kazio.

— I może jeszcze zabić — powiedziała Jadwisia.

— A widzisz, Haniu, że burza jest niebezpieczna — mówiła Ewcia, oglądając się na okno — ja bardzo się boję burzy, i jak grzmi, za nic w świecie nie wyszłabym z pokoju.

— Ja się też nie dziwię, Ewuniu, że się boisz burzy, jesteś jeszcze mała i nie rozumiesz tego, że bojaźń w tym razie na nic się nie przyda.

— Ja się burzy nie boję — rzekła Jadwisia — i tylko mi idzie o wujaszka, żeby nie przemokł w drodze, albo żeby piorun... — i dziewczynka nie śmiała dokończyć.

— A ja się też boję, żeby Figielek nie zaziębił się, jak zmoknie — rzekł Kazio — po co też wujaszek zabrał tego biednego Figielka.

Rozmowa rodzeństwa nie wpłynęła bynajmniej na uspokojenie Tereni, a gdy tylko wstano od stołu, wybiegła zobaczyć, czy istotnie bardzo się chmurzy. O ile dziewczynka znać się na tem mogła, wszystko zapowiadało burzę. Słońce paliło jak ogniem, ptaszęta uwijały się niespokojnie, najmniejszy listek nie poruszył się na drzewach. Duszno było i parno, wróciła więc do pokoju, w którym wszyscy byli zgromadzeni, i zabrała się do roboty.

— Coś Terenia dziś smutna i milcząca — rzekła babunia,

zasiadłszy na swoim fotelu i zabierając się także do szycia — cóż ci to, kochanko?

— Martwi się biedaczka o wujaszka — wyręczyła siostrę Hanka — zdaje się jej bowiem, że wujek koniecznie musi zmoknąć.

— Niepotrzebnie Terenia się niepokoi — rzekła pani Krystyna, dając Jadwisi ręczniki do obrębiania — Hanka słusznie powiada, że wujaszek nie dziecko. Kto tyle w życiu przeszedł niebezpieczeństw, co Kazimierz, i potrafił wyjść z nich cało, ten i przed burzą schronić się potrafi.

— Ale przed piorunem nie potrafi — rzekła Ewcia, siadając na małym stołeczku przy babuni i zabierając się również do roboty.

— Ach, mój Figielek — mówił Kazio na wpół prawie z płaczem — mój Figielek kochany, jeszcze mi go piorun zabije.

— Ależ uspokójcie się, dzieci — rzekła pani Krystyna — co wam dziś w głowie jakieś straszne wypadki, najlepiej nie mówmy o burzy, bo jej jeszcze nie ma, i może nie będzie, a Janek, który jako chłopiec nie może szyć ani robić pończoszki, niech weźmie książkę i czyta nam dalszy ciąg o oblężeniu Częstochowy przez Szwedów.

— E, to nie bardzo ładne — zdecydował Kazio — ja wolę iść spać, bo mi się same oczy zamykają.

— Zanim Janek weźmie książkę, odchrząknie, odkaszlunie, i porobi wszelkie przygotowania do porządnego czytania — rzekła Hanka — ja tymczasem położę Kazia, aby przespał swój niepokój o Figielka.

— To mówiąc, dziewczynka, podrzuciwszy chłopczyka jak piórko do góry, wzięła go na ręce a, pieszcząc i całując, wyniosła do sypialnego pokoju.

Po chwili wróciła, Janek też był gotów do czytania, gdy więc Hanka usiadła i wzięła robotę, zaczął czytać płynnie i dobrze, z zupełnem zrozumieniem rzeczy.

II.

Powrót Wujaszka.

Dzień miał się ku schyłkowi, powietrze było parne i duszne. Głuchy i ciężki odgłos grzmotu dolatywał zdala i niepokoił zapowiedzią zbliżającej się burzy. Ptaszyny szybkim lotem wracały do gniazdek, gdzie głośnie świągotem i piskiem wzywały niespokojne pisklęta. Z pola spędzano owce i bydło, ale ani owczarek nie przygrywał na fujarce, ani pastuszek nie wyśpiewywał swego ulubionego „dana dana”. Smutno było wokoło, chociaż słońce swe promienieślało jeszcze na ziemię, nie rozweselało jednak, przeciwnie przygniatało niejako swym blaskiem.

Przy szerokim piaszczystym gościńcu, wysadzonym po obu stronach drzewami, pod jedną z wierzb starych, leżał człowiek jakiś i spał snem twardym. Ubiór jego cały był z niewarowego płótna. Duży słomiany kapelusz leżał porzucony obok wraz z grubym sękatym kijem. Czarny piesek kudłaty spoczywał u nóg swego pana, bacznie na najmniejszą szept nadstawiając uszu. Śpiący człowiek mógł mieć lat czterdzieści. Twarz jego była piękna, ciemna, gęste włosy rozrzucone nad wysokim, ogorzałym czołem, na którym między brwiami głęboka odznaczała się bruzda. Lewą rękę podłożył pod głowę i spał smacznie, jak gdyby na najwygodniejszym łożu. Grzmot coraz bliżej słyszeć się dawał, słońce gęste zasłoniły chmury, wiatr silny zakolysał drzew wierzchołkami, jasne smugi błyskawic przeźdierały powietrze, a podróżny nie zbudził się jednak. Pies niespokojnie zaczął się kręcić, oglądał się trwożnie na wszystkie strony, nareszcie stanął i uważnie wpatrzył się w twarz swojego pana. Widocznie sen tak twardy dziwił go mocno, dotknął nosem ręki śpiącego, a gdy to nie pomogło, zaczął lizać twarz jego. Wszystko daremnie, psiak jednak bądź co bądź postanowił obudzić pana. Zaczął więc głośno i zajadle szczekać, i to mu się powiodło, śpiący bowiem zerwał się na równe

nogi, pochwycił kij sękaty i ciekawie rozejrzał się wokoło. Pies wil się u nóg jego, skowycząc radośnie.

— Ho, ho, a to się widzę na burzę zabiera — rzekł sam do siebie podróżny — a ja sobie tak swobodnie zasypiałem. Hm, pod drzewem to niebezpiecznie, w stare wierzby często piorun uderza. A ty czego się tak uwijasz i skaczesz? — rzekł do pieska — nie bolą cię to jeszcze nogi, co? No, no, dosyć tych skoków, jeszcze mamy dwie mile do domu, ochraniaj nóg, bo cię znów nieść będę musiał, jak to wczoraj było; wyciągnąłeś mi się przy nogach, wywiesiłeś język i udawałeś zmęczonego. Oj ty, filucie mały.

Pogłaskał psinę, nacisnął kapelusz na oczy i ruszył środkiem gościńca. Zaledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy zerwał się wichur szalony i, podnosząc tumany piasku, miotał nim w oczy podróżnemu, zasłaniał drogę i utrudniał dalszą podróż. Błyskawice raz po raz krzyżowały się w powietrzu, grzmot nie ustawał prawie, a piorun w pobliżu roztrzaskał dwa drzewa. Nieznajomy przystanął, zdjął z głowy kapelusz i przeżegnawszy się, począł odmawiać: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“. Czas jakiś jeszcze srożył się wichur, a gdy się uspokoił cokolwiek, deszcz ulewny w chwil kilka zamienił gościniec w jezioro.

Podróżny wolnym postępował krókiem, szedł z odkrytą głową, bo przemokły kapelusz ciążył mu bardzo; woda strumieniem płynęła z jego włosów, w odzieniu ani jedna sucha nie została nitka. Na twarzy jego jednak nie było widać najmniejszej oznaki zniecierpliwienia lub gniewu. Pies, stuliwszy ogon pod siebie, ze zwieszoną głową postępował przy nogach swego pana. W pobliżu nie ukazywała się ani wioska, ani chata żadna, gdzieby się można było schronić przed burzą. Należało więc postępować dalej, pomimo strasznej ulewy.

Po godzinnej może wędrówce wśród tego prawdziwego popotu, zaczęło się niebo wyjaśniać, grzmot cichł w oddali, z poza lasu pojawiła się wieś duża, między wzgórzami położona, od północy ciemnym pasem lasu zasłonięta. Na twarzy podróż-

nego ukazał się uśmiech zadowolenia, psiak w wesółych susach zaczął biedz naprzód, to wracał do pana, poszczekując radośnie. Widocznie zbliżali się ku domowi. Było jednak jeszcze z pół mili drogi, blisko to niby, ale dla zmęczonego i przemoczonego człowieka duży jeszcze kawał do przebycia. Mrok już zapadł i powietrze ochłodziło się bardzo, trzeba więc było przyspieszyć kroku.

Nareszcie zbliżyli się do kresu podróży i weszli do wioski. Była to wieś duża i porządnie zabudowana, ani jednej walącej się chaty, ani jednego dziurawego dachu widać w niej nie było. Każdy domek miał ogrodzone podwórkó, przy każdym zieleniało kilka drzew owocowych, a przed żadnym nie dojrzałeś cuchnącej kałuży błota. Wieś wyglądała świeżo, nigdzie brudu, nigdzie śmieci, nigdzie niechlujstwa, którem niestety tak często odznaczają się nasze wioski. W dali na wzgórzu widniał kościółek murowany, otoczony odwiecznymi lipami, w pobliżu zaś stała plebania staruszka, kryjąc się pod rozłożyste gałęzie klonu, które ją przyjacielsko osłaniały. Po prawej stronie kościoła, trochę poza wsią, otoczony łąkami zielonemi, stał duży budynek drewniany z obszernem podwórzem i dość dużym sadem. To szkoła, mieszkanie nauczyciela i ochronka.

Podróżny szybkim krokiem szedł przez wieś i oko jego z miłością spoglądało na każdą chatę, na kościół, obok którego przechodząc, odkrył głowę i ze czcią ją pochylił. Poza kościołem skręcił na lewo, ciemno już było zupełnie, do czego przyczyniało się nie mało, że przez gęste chmury ani jedna nie przyświecała gwiazdka. Podróżny poza kościołem skręcił na lewo i przyspieszył kroku, o ile na to pozwalały strudzone jego nogi. Ale nie szedł już długo, bo oto zbliżył się do ogrodu, furtka skrzypnęła na zawiasach, a psiak, skowycząc radośnie, drapał do drzwi małego dwórku, które w tej chwili prawie otworzono i postać kobieca z małą lampką w ręku stała na progu.

— Ach, to ky, Kazimierzu — zawołała głosem pełnym radości — Bogu niech będą dzięki, żeś wrócił nareszcie.

W tej chwili gwarno się zrobiło w małym dworku, wszyscy wybiegli, wołając naprzemiennie:

— Wujaszek! wujcio kochany powrócił.

— A toż dajcie mu wejść do pokoju — odezwała się babunia, wychodząc również na spotkanie przybyłego, który ścisnął i całował po kolei garnącą się w jego objęcia gromadkę.

— Witam szanowną panią — rzekł pan Kazimierz, zbliżając się do staruszki i całując z uszanowaniem jej rękę — witam, o jakże jestem szczęśliwy, że znowu do was powróciłem.

— O, jak nam tu było tęskno bez wujaszka — rzekła Jadwisia, trzymając się ręki wuja.

— A gdzie to Figielek? — zapytała Ewcia — Kazio ciągle się o niego kłopotał, nic pewnie nie wie, że wujaszek powrócił, bo siedzi w pokoju służących.

— I przygląda się, jak Franeczka wije wianki do święcenia — dodała znów Jadwisia.

Właśnie wchodzono do pokoju, gdy drugimi drzwiami wbiegł Kazio, poprzedzony przez wiernego Figielka, który, nie znalazłszy malca między witającymi, pobiegł go szukać zaniepokojony. Teraz wchodzili razem, weseli, szczęśliwi, buzia chłopaczka była zarumieniona, pies wykakiwał radośnie, jakby nie był zmęczony, przeszedłszy dziś kilka mil drogi.

— Jest Figielek, jest — wołał chłopczyk, klaszcząc w rączki radośnie i rzucił się na szyję wujaszka, który pochylił się ku niemu i podniósł w górę, z uczuciem przytulając do piersi.

— Ty podobno więcej rad jesteś Figielkowi, niżeli wujaszкови — rzekła z uśmiechem babunia, patrząc z upodobaniem na malca.

— Bo wujaszek nie lubi tak dokazywać, ani się gonić ze mną na około trawnika, a Figielek lubi — odparł chłopczyk bez namysłu.

— Hanko — rzekła pani Krystyna — zajmij się wieczorzą dla wujaszka.

— Ale wujcio zupełnie przemoknięty — odezwała się milcząca dotąd Terenia — wujcio taki blady i mizerny.

— Ach, Boże mój! — zawołała pani Krystyna z przerażeniem — to prawda, w pierwszej chwili radości i powitania nie spostrzegłam tego. Janku, zanieś wujkowi lampę do jego pokoju, a ty, mój bracie, idź przebierz się jak najprędzej.

— Nie trwóż się, Krysiu — odrzekł spokojnie pan Kazimierz — nic mi nie będzie; istotnie przemokłem zupełnie, burza zaskoczyła mię niespodzianie, spałem parę godzin pod drzewem, zdawało mi się bowiem, że zaledwie w nocy zbierze się na nią. Po burzy musiałem całe ubranie wyżymać, jak praczka, suchej nitki nie było.

— Idź-że, idź, panie Kazimierzu — rzekła babunia — przebierz się jak najprędzej, a może najlepiej połóż się do łóżka, Hania najpierw niech uszykuje wujkowi gorącej herbaty.

— Mateczka słusznie mówi — rzekła pani Krystyna — zrób tak, mój bracie; Janek ci pomoże, ja za chwilą przyjdę do ciebie, a jutro, gdy wypoczniesz, będziemy sobie wzajemnie wszyscy opowiadali, co przez te dwa tygodnie zaszło ważnego.

— Wujcia pokój to już z tydzień jak Terenia trzy razy na dzień sprząta — rzekła Jadwisia.

— Co dzień sto bukietów stawia na stoliku — zawołał Kazio, zdradzając się na każdym kroku, że wszelkie rachunki i cyfry są mu zupełnie obce.

— Dobra moja Tereniu — rzekł wujek, całując białe czoło dziewczęcia — sto bukietów — dodał wesoło — no proszę, sto bukietów.

— A wczoraj postawiła tysiąc — zawołał malec, chwytając psiaka za dwie łapki i skacząc z nim po pokoju — tak, tak, wczoraj było tysiąc.

— Wujku, już lampa gotowa, chodźmy — rzekł Janek — bo tu nie będzie końca opowiadaniom.

— Chodźmy, mój chłopcze, bo istotnie jestem mocno znużony i zziębnięty. — To mówiąc, pan Kazimierz powiedział wszystkim dobranoc i wyszedł z Jankiem do swego pokoju.

III.

Lenka.

Przy ulicy Elektoralnej w Warszawie, w dużej i pięknej kamienicy, przy otwartem oknie na pierwszym piętrze, stoi dziewczynka i obrywa uschłe listki z kwiatów. Dziecko to jest ładne, bardzo ładne nawet, ciemne duże oczy mają taki łagodny i słodki wyraz, że ujmują każdego za serce, biała, ściągła twarzyczka o wyniosłem nieco czole, zgrabny nosek i korallowe usteczka dopełniają całości. Dwa grube, ciemne warkoczki obciążają jej główkę swym ciężarem. Dziewczynka może mieć lat dwanaście, jest szczupła i drobna.

W pokoju niema więcej nikogo, tylko pośrodku siedzi na tylnych łapach ogromny pies czarny o długiej, połyskliwej jak jedwab sierści, z świecą obrożą na szyi. Pies widocznie niecierpliwi się długiem zajęciem panienki, bo przechyla głowę to na jedną to na drugą stronę, pozwala sobie nawet czasem ziewnąć dość głośno, może robi to dla zwrócenia uwagi na siebie, bo nie spuszcza rozumnych swych oczu ani na jedną chwilę z dziewczynki, stojącej przy oknie. Ale ona nie widzi tego, jest bardzo pilnie zajęta obrywaniem listków, które starannie składa w koszyczek, ustawiony pó to na oknie. Po kilku minutach pies, nie mogąc się doczekać końca tej pracy, zdecydował się na maleńką drzemkę, wyciągnął się więc na podłodze, westchnął głęboko i zmrużył oczy, otwierając je co chwila, jakby miał obowiązek czuwania nad młodą swą panią.

— To już i ostatni suchy listek — mówi dziewczynka głośno — widzisz, mój Kruku, że to nie tak długo trwało. Cóż, znów śpisz, jak widzę — mówiła dalej wesoło — przymykasz oczy i wzdychasz; już ja wiem, o co ci chodzi, gniewasz się zawsze, jak cię nazwę Krukiem, jesteś arystokratą, mój piesku, ho, ho, chciałoby się nazywać Milordem może, jak twój kolega z przeciwka. Nic z tego, mój kochany, samo nazwiko nic nie znaczy, jak powiada tatuś, bądź tylko zawsze tak dobrym,

wiernym, jak dotąd, to uszlachetnisz swe imię. No, podnieś się i chodźmy, wiesz, że za kwadrans mam lekcję muzyki, musimy wszystko uszykować, a po drodze wstąpimy do pokoju matuleńki. Tatusia niema, jeszcze spałam, jak wyjechał gdzieś do chorego; ach, Boże mój, żeby też to tych chorych nie było na świecie, toby tatuś ciągle w domu siedział. Nie dobrze być doktorem, prawda, mój Kuku? człowiek chwili nie ma spokojnej. E, nudny dziś jesteś, mówię do ciebie, jak do kogo mądrego, a ty oczy przymykasz i otwierasz, wzdychasz i ogonem bijesz o posadzkę. Ach, tak zawsze nudno, jak tatuś pojedzie. Słyszysz? dzwoni ktoś, poznaję, że to panna Jadwiga. Oj, ty szkaradny Kuku, przez ciebie nie uszykowałam nic do lekcji.

Dziewczynka poskoczyła do przyległego salonu, do którego wchodziła właśnie młoda osoba w skromnem, czarnem ubraniu a, spojrzawszy przyjaźnie na zarumienione dziewczątko, rzekła wesoło:

— Dzień dobry, Lenko, cóż tak strwożoną masz minkę, czy cię jakie zmartwienie spotkało? Może znów co nowego Kruk zbroił, albo jaki kwiatek nie chce się zbyt prędko rozwinąć? Wiem, że przechodzisz takie kłopoty dość często.

— Pani żartuje — rzekła dziewczynka, całując przybyłą — a ja mam naprawdę wiele dziś zmartwień od rana. Znów dzień bardzo nieszczęśliwy, gdym się zbudziła, powiedziano mi, że tatuś w nocy pojechał do chorego, i jeszcze dotąd nie wrócił, a to już przecie dwunasta dochodzi.

— Prawda, że to niemiło, ale do tej nieprzyjemności powinnaś się już przyzwyczaić, moja Lenko, a powtóre — mówiła przybyła panna poważnie — gdy pomyślisz, że twój tatuś ratuje może matkę kilkorga dzieci, może ojca licznej rodziny, to nie powinno ci być tęskno i smutno, kochanko. Jak się masz, Kuku — dodała żartobliwym znów tonem, i wyciągnęła do psa małą, zgrabną rękę, na której on z zadowoloną miną położył ogromną swą łapę.

— Lecz chodźmy do lekcji — rzekła młoda nauczycielka,

spoglądając na zegarek — zagawędziłyśmy się trochę, i dotąd nie zapytałam o zdrowie twojej mamy.

— Mateńka zdrowa — odrzekła dziewczynka — dziękuję pani, zajęta dziś bardzo pilną robotą, wykończy poduszkę pod nogi na imieniny babuni.

Godzina muzyki minęła z zupełnem zadowoleniem nauczycielki, Lenka miała wielkie zdolności, dużo także i zamiłowania. Grała już bardzo dobrze i zapowiadała na przyszłość artystkę.

Ponieważ następną godzinę p. Jadwiga miała wolną, na prośbę Lenki poszła odwiedzić jej matkę. Dziewczynka uradowana, że prowadzi ulubioną swą nauczycielkę, biegła wesoło naprzód przez parę gustownie umeblowanych pokoiów, a, stanąwszy we drzwiach, prowadzących do biblioteki, zawołała:

— Matuchno, proszę zgadnąć, kogo tu prowadzę?

Zgadnąć było łatwo, bo matuchna dwa razy zaglądała, gdy ukochana córeczka grała, i teraz przed chwilą dopiero wróciła do swego pokoju. Udając jednak niedomyślność dla zadowolenia dziewczynki, wymieniła parę innych mniej uczęszczających do niej osób.

— Wejdźmy już Lenko — rzekła p. Jadwiga — nie można mamy trudzić tak długo — i z temi słowami weszły do pokoju, gdzie matka dziewczynki zajęta była haftem jedwabiami na ciemnym aksamicie.

— Ach, to p. Jadwiga, gość zawsze nam miły i pożądany, chociaż tak rzadki — rzekła pani domu, podnosząc się z krzesła, i uprzejmie podając przybyłej rękę na powitanie — proszę, siadaj pani tu przy mnie — i, to mówiąc, wskazała miejsce przy stoliku, przy którym i sama usiadła. — Lenko — rzekła ciszej do córki — każ podać czekoladę i ciastka.

Dziewczynka, jak ptaszek wybiegła z pokoju, a p. Jadwiga prosiła o pozwolenie obejrzenia pięknej roboty, którą matka Lenki odłożyła na stronę.

— Jakiż prześliczny deseń! Te lilie wodne zupełnie jak naturalne, jaki dobór kolorów — mówiła młoda panienka, oglądając robotę — z prawdziwą przyjemnością robiłabym coś po-

dobnego, gdybym miała... — chwilkę się zawahała, lecz dodała zaraz wesoło i swobodnie — gdybym miała pieniądze na kupno materjału.

— Czasami musimy zrobić wydatek, który się zbytkiem nazywać może — rzekła pani domu, składając robotę i zawijając ją starannie w biały muślin — i wierzaj mi, kochana p. Jadwigo, że gdybym ją złotem haftowała i kosztownemi perłami, jeszcze nie uważałabym jej za godny dar dla osoby, dla której jest przeznaczona.

Słowa te wymówione były z głębokiem uczuciem i rozrzewnieniem niemal, z którego otrząsając się, dodała:

— Zachwycasz się pani deseniem; jest to rysunek i układ mej siostry, i dlatego też dokładam nadzwyczajnego starania, aby wykonanie odpowiadało pomysłowi. Żałuję, że moja Lena nie ma zdolności do rysunków, uczy się i pracuje nawet, ale nigdy nie doścignie ciotki.

— Trudno, szanowna pani, o wszystkie doskonałości w jednej osobie; Lenka ma znakomity talent do muzyki, dziś już gra bardzo dobrze, rozumie muzykę, Lenka będzie artystką — dodała z ożywieniem p. Jadwiga.

W tej chwili wesoła dziewczynka, nie mająca wcale miny artystki, wbiegła żywo do pokoju, ciągnąc za obrożę Kruka, nieodstępne go swego towarzysza.

Wniesiono czekoladę, a p. Jadwiga, zabawiwszy godzinkę, odeszła, śpiesząc na lekcje.

Matka i córka pozostały same.

— Bardzo kocham p. Jadwigę, matenku — rzekła Lenka — i niewymownie mi przykro, że biedaczka tak pracować mus. Jakież to nieszczęście tak chodzić przez dzień cały i mozolić się ciężko, aby uczyć nie zawsze pojętne uczennice, a często i nie chcące pracować.

— Praca nie jest nieszczęściem, Lenko — powiedziała matka, zabierając się do przerwanej roboty — owszem, moje dziecko, szczęśliwy ten, kto umie i może pracować, a zwłaszcza, gdy praca nasza użyteczną jest ukochanym naszym, gdy nią

podtrzymujemy byt drogich nam istot; o, wtenczas, Lenko, praca jest szczęściem, błogosławieństwem.

— Prawda, mateńko, że praca jest przyjemna — rzekła Lenka, zabierając się do zwijania jedwabiu — ale taka praca obowiązkowa, co to czy mi się chce, czy nie chce, pracować trzeba, taka nie musi być miła. Tak mi się zdaje, bo ja nie lubię przymusu.

— A jednak, moje dziecko, ulegasz przymusowi, spełniając wszystko, co ci rodzice polecą — odpowiedziała matka — przecież nic nie czynisz podług własnej woli. Słuchasz profesorów, przychodzących cię uczyć, słuchasz p. Jadwigi, spełniasz wszystko, czego od ciebie wymagają, jesteś uległą, bo i wiesz, że inaczej być nie może; ulegasz więc bezwiednie przymusowi, nie próbując nawet opierać się woli rodziców.

— Ja nawet tego nie rozumiem, mateńko, jak można opierać się woli rodziców — zawołała żywo dziewczynka — jabym pragnęła odgadnąć myśli wasze, jabym pragnęła... ach, mateńko, czy naprawdę są takie dzieci, które nie słuchają rodziców? jakże nieszczęśliwi muszą być rodzice, którzy mają złe, nieposłuszne dzieci. Prawda, mateńko, muszą być bardzo nieszczęśliwi?

— Istotnie, dziewczeczko moja, bardzo są biedni rodzice, gdy mają złe, krnąbrne i nieposłuszne dzieci, ale ja myślę, kochanko, że takich wyrodnych bardzo mało jest na świecie, ja przynajmniej nie znam ani jednego tak niedobrego dziecka.

— Ja pewnie źle się wyraziłam, mateńko, mówiąc, że nie lubię przymusu — rzekła Lenka, wracając do poprzedniej rozmowy — ja to rozumiem, tylko nie umiem wypowiedzieć jasno.

— Chciałaś powiedzieć, że praca jest miłą, gdy nie zarabiamy nią na chleb powszedni, gdy do niej nie łączy się myśl przykra: jeśli dziś pracować nie będziesz, jutro ty i twoi jeść nie będą, więc pracować *musisz*, bo tak ci nakazuje obowiązek sumienia i serca.

— Ach, czemu też tatuś kochany nie przyjeżdża — rze-

kła dziewczynka, zmieniając przedmiot rozmowy z właściwą dzieciom żywością — ja nie wiem, jak mateńka może na to pozwolić, aby ojciec ciągle wyjeżdżał i wychodził; ja żebym tylko mogła, doprawdy nie pozwoliłabym na to.

— Ojciec wywiązuje się z wziętego na siebie obowiązku — odpowiedziała matka — tak być powinno, kochanku, a od tego nie ma nikt prawa go odwodzić, ani żona, ani matka, ani córka.

— Ach, ten szkaradny obowiązek, kiedy mi zabiera tatuś czasem na dzień cały — rzekła dziewczynka z nadąsaną minką — żebym mogła, to te wszystkie obowiązki zapakowałabym w worek, przywiązała do niego młyński kamień i utopiłabym w Wiśle. Ach, jakby wtenczas dobrze i wesoło było na świecie!

W tej chwili rozległ się dzwonek, śmiała i pewną poruszony ręką.

— Tatusz przyjechał! — krzyknęła dziewczynka, zrywając się z miejsca — ja ojczusia zawsze poznam po dzwonieniu — i, to mówiąc, wybiegła szybko z pokoju. Matka podążyła za nią. Mała się nie myliła, był to rzeczywiście jej ojciec, który ją już tulił w objęciu, okrywając pocałunkami czoło i głowę dziewczynki.

— Jakżeśmy cię niecierpliwie wyglądały, drogi, kochany tatusiu; o, doprawdy, już dziś za nic w świecie nie puszcę cię z domu — wołała Lenka, całując ręce ojca i zarzucając mu rączki na szyję. — Widzisz, mateńko, nie myliłam się — rzekła do wchodzącej matki — moja dusza przeczuje zawsze tatusia.

Za wejściem żony, doktor postawił dziewczynkę na ziemi, i z uśmiechem, zdradzającym głębokie przywiązanie, pośpieszył ku niej.

— Dziesięć godzin, jak wyjechałem z domu, a tak mi pilno było z powrotem, jakbym od miesiąca nie był z wami — rzekł, całując jej ręce — ale nie mogłem wcześniej opuścić chorego, rozpacz rodziny trzymała mię przy łożu cierpiącego,

pragnąłem koniecznie pomódz mu, o ile to w ludzkiej jest mocy.

— Czy to ojciec rodziny? — zapytała żona.

— Nie, duszko, to brat biednej wdowy, i wujaszek kilkorga bardzo sympatycznych dzieci. Zaziębił się biedak fatalnie, zmokł w czasie burzy i w mokrem ubraniu przebył kilka godzin, dostał więc bardzo gwałtownego zapalenia płuc, i szybka pomoc była niezbędna.

— A czy wyzdrowieje ten wujaszek, tatusiu? — zapytała ze współczuciem Lenka.

— Bogu wiadomo, dziewczeczko — odrzekł ojciec — robiłem wszystko, co nauka i doświadczenie lat tylu wskazywało, zdaje mi się, że będzie dobrze. Choroba nie miała czasu opanować organizmu, zresztą jest to człowiek silny i zahartowany w życiu.

— Czy tam były i panienki, ojczusiu — pytała ciekawa dziewczynka, prowadząc ojca do jego pokoju na ulubiony fotel — ja tak lubię słuchać o tem, że gdzieś jest dużo dzieci, że są siostry, bo ja sobie nie umiem wyobrazić nawet, jakie to musi być szczęście mieć siostry i braci. Ojczuś też tego nie rozumie, bo także jedynakiem był u rodziców, tylko matenka taka szczęśliwa, jak królowa, bo ma i siostry i braci.

— Dlaczego jak królowa, kochanko? — rzekł ojciec — czy sądzisz, że szczęście jest zawsze udziałem głów koronowanych? Nie, dziecko, szczęście na każdym stanowisku znaleźć można. Czy myślisz, że ja zamieniłbym moje szczęście za jaki tron na świecie? wierzaj mi, dziecko, że nie, mówię ci szczerze.

— O, ja ci wierzę, ojczusiu, tak tylko powtórzyłam to bezmyślnie, bo tak ludzie mówią: „piękna jak królowa, szczęśliwa jak królowa“, chociaż nie wiem, dlaczego tak mówią. Ale co tam, powiedz mi, tatusiu, kogo tam poznałeś — rzekła, podając ojcu zapalki do zapalenia papierosa — mów mi, czy tam były panienki?

— Były i są, bardzo miłe i starannie widać wychowane — odpowiedział ojciec — i to aż cztery widziałem i dwóch chłopczyków do tego.

— Czy już duże? — pytała dalej.

— Dwie starsze od ciebie, a dwie znów młodsze; zwróciła szczególniej moją uwagę starsza, rozumna i praktycznie chowana panienka, Hanka jej na imię.

Z tego, co doktor opowiadał swej jedynaczce, domyślając się zapewne czytelnicy, że to p. Kazimierz zachorował, a troskliwa siostra wysłała natychmiast po lekarza do Warszawy, od której Żabin leżał tylko o dwie mile. Gdy brat zachorował, p. Krystyna pobiegła sama do szkoły, zbudziła nauczyciela i uprosiła go, że pojechał sam po doktora. Nauczycielem w Żabinie był Stanisław Grubski, człowiek młody, dobry i uczynny, pochodził z Warszawy, nie było mu więc trudno znaleźć doktora i przywieźć. Pomyślał chwilę, do którego by się udać, i wybór jego odrazu padł na doktora Z., który znany był ze swej gotowości niesienia pomocy o każdej porze dnia i nocy. Zadzwonił, otworzono mu, nie powiedziano, że pana niema w domu, zbudzono doktora, bo taki był rozkaz raz na zawsze dla wszystkich, ten wysłuchał o co chodzi, posłał po felczera, wszedł na bryczkę i pojechał.

Doktor Z. był to człowiek nie pierwszej już młodości, mógł mieć około lat pięćdziesięciu. Powierzchność jego była sympatyczna i wzbudzająca zaufanie, w obejściu był grzeczny i serdeczny, potrafił zawsze wlać ufność i wiarę, nie tylko w otaczających, ale i w chorego. Po krótkiej chwili, spędzonej przez doktora przy łożu cierpiącego, we wszystkich wstępowała nadzieja, rozjaśniały się lica, a choremu zdawało się, że jest zdrowszym po samem zbadaniu pulsu.

Żona jego była najzaczniejszą i najlepszą towarzyszką tak godnego męża, miała lat czterdzieści parę, znać było, że niegdyś musiała być ładna, dziś ślady tego zostały w pięknych ciemnych oczach, które mimo przyćmionego nieco blasku miały

wyraz rozumny i pełen słodczy. Przez jakie koleje musiała przechodzić w młodych latach, jakie bóle i cierpienia szarpały to biedne serce, domyślać się można było po białych prawie już zupełnie włosach i głębokiej między brwiami fałdzie, co przerzynała foremne i piękne dziś jeszcze czoło. Mimo swobody i spokoju, jaki się malował na jej twarzy, miała coś smętnego w uśmiechu, w układzie ust; patrząc na nią, przychodziła myśl, że młodość jej w niezbyt zapewne szczęśliwych i łatwych upływała warunkach.

Czy może nie знаła ona wcale młodości? Może młodość mijala dla niej niepostrzeżenie, może nie miała czasu myśleć o niej, może nie miała czasu rachować lat swoich. Że młodość ta upływała zacie i szlachetnie, to było jasno wypisane na twarzy i w spojrzeniu tej niewiasty.

Jedynem dziecięciem tych zacnych ludzi była Lena, czyli Helena, imię to otrzymała na pamiątkę babki, której pamięć pani Z. ceniła głęboko.

Lenka była pieszczoną jedynaczką, ojciec kochał ją do słabości prawie, nie byłby w stanie nic jej odmówić, nie umiałby jej nic zganić, był pobłażliwym i nie widzącym nic złego w swem dziecku. Cały ciężar wychowania spoczywał na matce, która chociaż niemniej od ojca kochała dziewczynkę, umiała jednak zapanować nad swą miłością i skarcić nieraz rozpieszczone dziecko. Lenka rzadko jednak potrzebowała napomnienia, odziedziczyła po rodzicach wszystkie ich cnoty. A jak też miłowała tych rodziców, ubóstwiała ich prawie. W jej oczach matenka była świętą, tatuś taką doskonałością, takim ideałem w jej młodziutkiej wyobraźni, że nawet przez myśl jej nie przyszło porównać tego tatusia z kimkolwiek. Kochała bardzo, bardzo jednego z wujaszków, ten ukochany wujaszek był także z nikim nieporównany, ale gdzież tam, do tatusia było mu jeszcze bardzo daleko. Jedną ciocię kochała także bardzo, ta ciocia jest śliczna, ma takie piękne czarne oczy, taka wesoła i dobra, a jak kocha Lenkę, jak ją pieści, nic a nic niemniej od rodziców. Dziewczynka szalenie kocha tę ciocię,

ale nawet ta ukochana ciocia nie wytrzyma porównania z matką.

Dodać wypada, że doktor Z. jest majątnym, z działu po rodzicach otrzymał dość znaczny spadek, a tyloletnia praca przy oszczędności i życiu skromnem choć dostatniem, podwoiła kapitał. Piękna duża kamienica jest jego własnością, kilkanaście tysięcy rubli gotówką dają mu możność czynienia dobrze. Ile razy poratował cierpiącego, ile razy wyrwał z nędzy biedaka, którego niedość, że leczył i dostarczał mu lekarstwa darmo, ale jeszcze po przyjsciu do zdrowia dawał możność pracy, zabezpieczając mu byt i przyszłość; mawiał do żony z wesołym uśmiechem:

— To dla naszej Leny, duszko; błogosławieństwo ludzkie da jej szczęście w życiu, bo ani jedna łza nieotarta nie ciężę na mem sumieniu.

W takiej to cichej atmosferze spokoju i zgody wzrastała Lenka, nie znając złych ludzi, nie wiedząc prawie, czy złe istnieje na świecie. Po tem krótkiem zboczeniu, wracamy do rozmowy ojca ze swą jedynaczką.

— Hanka jej na imię, mówisz, tatusiu — rzekła Lenka — to bardzo ładne imię, a tej drugiej?

— Terenia; lecz widzę, że będziesz pytała o wszystkie, powiem ci więc odrazu, że jest jeszcze Jadwisia i Ewcia, Janek i Kazio.

— To dobrze, tatusiu, zapamiętam to sobie, bo mi się koniecznie zdaje, że ja się poznam z niemi niezadługo; nie wiem skąd ja wiem o tem, ale jednak wiem na pewno. Jadwisia ma już u mnie łaskę, lubię ją, tak jej na imię, jak mojej kochanej p. Jadwidze; tatuś wie, że ja bardzo kocham pannę Jadwigę — szczebiotała dziewczynka, pieszcząc kochanego swego tatusia.

IV.

Garbusek.

Panna Jadwiga Wrześniewska jest córką wdowy po urzędniku; w dzieciennych jeszcze latach straciła ojca, a matka przy szczupłej dosyć emeryturze musiała dużo pracować, aby wychować i kształcić troje pozostałych sierot. Ale pracy mężnej i niestrudzonej niewiasty Pan Bóg dopomagał; najstarszy syn, będąc wzorowym uczniem, dostał się na stypendjum, Jadwisia uczęszczała na pensję, której przełożona była koleżanką i przyjaciółką jej matki, uczyła się dobrze, najwięcej jednak poświęcała się muzyce, do której miała wielkie zdolności, i w niej upatrywała w przyszłości swe utrzymanie i pomoc dla kochanej matki, pragnęła bowiem dla niej wypoczynku i wygody za jej niezmordowaną pracę.

Najmłodsza Tola, wątła i słabowita od urodzenia, była garbata i brzydka, bardzo nawet brzydka. Nie dosyć dla biedaczki było garbu, jeszcze ospa zeszpeciła drobną twarzyczkę, tylko oczy, śliczne, niebieskie oczy, w które się matka wpatrywała z zachwytem, gdy maleńka jeszcze dziecina zaczęła się rozglądać i patrzeć rozumnie wokoło siebie, pozostały całym i jedynym wdziękiem biednej dziewczynki. Kochali ją wszyscy bardzo, pieścili i dogadzali, ile możliwości, aby jej wynagrodzić niejako, że tak pokrzywdzoną została od natury. Ileż łez wyłała biedna Tola, gdy chodząc na pensję usłyszała nieraz, jak koleżanki wyśmiewały jej garb i brzydotę. Nie oskarżała jednak nigdy przed matką ani siostrą złych i nieszlachetnych dziewcząt, zwykle tylko dnia tego była bardzo smutna a, kłękawszy do wieczornego pacierza, ukrywała zeszpeconą twarzyczkę w pościeli i płakała cicho i boleśnie, długo, bardzo długo.

Matka i dobra, kochająca Jadwisia, widząc smutek dziewczynki, zdwajały pieśszoty, starały się dla niej o jaką przy-

jemność, a Tola, spostrzegłszy to ich usiłowanie, otrząsała się z gnębiącego ją smutku, przywoływała uśmiech na blade, wąskie usta i, westchnąwszy z cicha, starała się być wesolą i swobodną. Tola była pierwszą uczennicą na pensji, miała ogromne zdolności, bystry i łatwo obejmujący umysł, a że w nauce znajdowała zapomnienie wszystkich przykrości życia, oddawała się jej z zapalem, z gorączkową niemal chciwością chwytając książki i w nich tonęła duszą całą. Między koleżankami nie znalazła ani jednej przyjaciółki. Gdy raz usłyszała, jak ją wyśmiewało kilka panienek, stała się nieufną i podejrzliwą względem wszystkich, trzymała się od nich zdaleka, a jeżeli która niebaczna zbyt głośno wypowiadała jaki niegodny żarcik i Tola go musiała usłyszeć, nie odpowiadała zwykle ani słowa, w pogardliwym milczeniu zacinając usta, i tylko długie wymowne spojrzenie swych pięknych oczu zatrzymywała na dowcipnej koleżance.

W chwili gdy wchodzimy do skromnego, choć porządnie umeblowanego mieszkania pani Wrześniewskiej, Tola tylko co wróciła z pensji i składa książki i zeszyty na swoim stoliku. Na twarzy jej widać smutek i zniechęcenie, obie ręce z gorączkowym niepokojem przekładają książki, jakby dla nich nie mogły znaleźć odpowiedniego dziś miejsca. Matka, zajęta jakąś robotą, siedzi przy oknie, jedno spojrzenie na dziewczynkę dało jej poznać, że w duszy córki jakaś tajemna stacza się walka. Trwało to dość długą chwilę; matka milczała, udając, że nie widzi pomieszania dziecka; wiedziała z doświadczenia, że w takich razach najdrażliwszem było dla dziewczynki wszelkie wypytywanie, gdyż przymuszona do mówienia, wybuchwała gwałtownym, spazmatycznym płaczem, wyrzucała tysiące skarg i żalów i długo uspokoić się nie mogła. Niebadana, przychodziła wkrótce do spokoju i równowagi umysłu, a smutek i zniechęcenie prędko mijały.

I teraz się tak stało, gorączkowe ruchy dziewczęcia coraz były spokojniejsze, gorzki wyraz twarzy ustępował uśmiechowi rezygnacji, i Tola była znów swobodną.

szy ostatnią książkę, zwróciła się do matki z za-

czy Jadwinia nie była tu dziś, mateńko, wracając
od państwa Z.? Dziś czwartek, zwykle następną go-
dę ma wolną.

dr — Nie, kochanko, nie wiem dlaczego dziś nie przyszła,
teraz nie wróci już aż o czwartej. Jakże tam lekcje ci poszły
dzisiaj? — dodała po chwili zwykle swe codzienne pytanie.

— Dobrze, mateczko — odpowiedziała obojętnie — muszą
iść dobrze dla tych, którzy chcą pracować i pracują.

— Boję się, żebyś nie pracowała zbyt ciężko, wymizernie-
jesz mi bardzo, a i tak nie jesteś zbyt silna i zdrowa.

— O! niech mateczka będzie spokojna, nic mi się nie sta-
nie, zdaje mi się, że mam żelazne zdrowie — mówiła z lekką
gorączką w głosie.

Tola umikła, wzięła ze swej szuflady koszyczek z robotą
i zaczęła rozkładać na stole prześliczne koronki. Była to jej
praca ulubiona, której poświęcała zbywające od nauki chwile,
a ze sprzedaży miała już tyle, że matka na wszystkie jej po-
trzeby nie wydawała i grosza. Tola była bardzo szczęśliwa,
że kochana matka mogła mieć teraz dla siebie niejedną wy-
godę, nie wydając na nią, że mogła sobie wypoczywać po tylu
trudach, jakie ponosiła, wychowując dzieci, i będąc zmuszoną
pracować nieraz po nocach, aby zaspokoić wszystkie ich po-
trzeby. Dziś i ona przykłada się już do zapewnienia ogólnego
spokojnego życia, nietyle wprawdzie jeszcze, co Jadwi-
nia lub brat, kochany Julek, który jest inżynierem, ale za-
wsze pracuje, ile może, i praca jej opłaca się dosyć. Gdy przy-
glądała się tak rozłożonym koronkom, twarz jej rozjaśniała się
coraz więcej, widocznie spokojniejsze myśli snuły się po głowie
tej biednej istoty, bo wkrótce i uśmiech zadowolenia pojawił
się na bladych, wąskich ustach. Tola miała lat czternaście
i kończyła piątą klasę.

Matka i córka siedziały w milczeniu, dziewczynka nie
była dziś usposobiona do rozmowy, robiła szybko swe czarne

koronki. Tak czas upłynął do czwartej i Jadwiga wróciła ze swych lekcji. Ucałowała ręce matki i serdecznie uściśnęła Tolę.

— Tak późno dziś wracasz — rzekła matka, podnosząc się, aby kazać podać obiad — czy się co wydarzyło niezwykłego dla ciebie?

— Nie mateczko — odpowiedziała, zdejmując kapelusz i okrycie — nic się nie wydarzyło, tylko Lenka zaprowadziła mnie do swej matki i uszła mi godzinka.

— Doktorowa Z. to bardzo zacna i rozumna kobieta — rzekła pani Wrześniewska.

— Córką nie odrodziła się od matki — powiedziała z żywością Jadwiga — Lenka jest tak miłym i dobrem dziecięciem, że kochać ją każdy musi.

— Mówiłaś, że jest bardzo ładna — rzekła Tola — pozyskała więc twe serce urodą, i na wszystko patrzysz z pewnem przychylnem uprzedzeniem.

— Mylisz się, Tolo kochana, sądząc, że piękna twarzyczka zastąpi brak serca i rozumu — rzekła matka, spoglądając z miłością na garbuska, chociaż zarazem stłumiła westchnienie, wydobywające się z jej piersi.

Dziewczynka nic nie odpowiedziała, ale, gdy wieczorem znalazła się sama z Jadwigą, położyła głowę na jej piersiach i cicho załkała.

— Tolo moja, co ci jest? — zawołała starsza siostra, tuląc w objęciu płaczącą — co ci jest, kochana?

— O, Jadwisiu, jaka ja bardzo czasem jestem nieszczęśliwa — mówiła szeptem prawie — wierzaj mi, chciałabym umrzeć nieraz, aby się choć w grób usunąć z przed oczu ludzkich.

— I ty tak możesz mówić, Tolo — rzekła Jadwiga z wymówką w głosie — ty, tak ukochana przez matkę i Julka, a o sobie czyż mówić potrzebuję? Takich słów, dziecko, nie rzuca się w rozdrażnieniu, są one zniewagą Bogu, grzechem przeciw społeczeństwu.

— Ach! gdybyś ty wiedziała, jak cierpię nieraz strasznie z powodu mego garbu i brzydoty — mówiła Tola, zażawione oczy podnosząc na siostrę — gdybyś ty mogła to odczuć, jak strasznie cierpię. I dziś właśnie... tak, powiem ci wszystko, tylko niech mama nie wie o tem, jej tak zawsze boleśnie, gdy się dowie, że ja mam jaką przykrość z powodu mej ułomności.

— Cóż więc znów było, kochana siostrzyczko moja? — zapytała Jadwiga, z miłością gładząc jasne, długie włosy dziewczyny — czy nie ta niedobra Flora powiedziała jaki dowcip, z którego się śmiały bezmyślnie koleżanki?

— Tak, to Flora, zrobiła mi wielką przykrość, ty wiesz, Jadwiniu, że skarżyć się nie lubię, a jednak dziś muszę ci wypowiedzieć wszystko, ty tak zawsze potrafisz uspokoić mój żal i zniechęcenie, nad którem czasem zapanować nie umiem. A jednak chciałabym kochać me koleżanki, a raczej kocham je i teraz, nie wyłączając Flory, bo gdyby czuła to, jak mię rani boleśnie, zaprzestałaby może swych żarcików, które za dowcip uważa.

— Wierzej mi, Tolo moja, że w przyszłości Flora policzy sobie do najprzykrzejszych na pensji te chwile, których dokuczała tobie. Dziś jest ona jeszcze widocznie bezmyślnem dzieckiem, mimo swych lat piętnastu, ale gdy przyjdzie czas, że umysł jej zastanawiać się zacznie, wtenczas i w sercu ozwą się ludzkie uczucia, będzie się więc czuła upokorzona tem, czem się dziś chlubi. Bo dowcip jest darem miłym i bardzo pożądanym, ale jeżeli nie rani nikogo. Lecz cóż to było? powiedzże mi, kochanie ty moje, najlepsza, jedyna siostrzyczko.

— Gdy mówić o tem zaczęłam, już się zmniejszyła gorycz moja — odrzekła Tola — kto ma taką kochającą i dobrą siostrę, jak ty, Jadwiniu, ten nieszczęśliwym być nie może. Ja to rozumiem, że piękna twarzyczka i figurka zgrabna nie stanowią szczęścia, i mego garbu i brzydkiej twarzy, zeszpeconej ospą, nie nazywałabym nigdy nieszczęściem, gdybym mimo to miała przyjaźń i miłość koleżanek; ale tak na każdym kroku widzieć, jak spoglądają na mnie ze wstrętem prawie, jak nikt

nigdy serdecznie nie uściśnie mi ręki, jak przez lat cztery mej bytności na pensji ani jedna nie jest mi przyjaciółką, lecz każda stroni odemnie, to przykro, bardzo przykro.

— To prawda, że przykro — mówiła Jadwiga — ale przyznaj, Tolo, że jest w tem wiele i twojej winy. Masz takie znaczne pozciwe serce, lgnące do ludzi, w duszy kochasz swe koleżanki, dlaczegóż przez źle zrozumianą dumę odsuwasz się od nich? Mówisz, że je razi twoja twarz brzydka; czemuż nie pokażesz im twego pięknego serca, czemuż nie podzielisz się z nimi bogactwem twych uczuć dla tego, co piękne, wzniosłe i szlachetne? Masz taki łagodny i słodki charakter, gdybyś raz odważyła się powiedzieć im, że prześladują cię niesłusznie, że to nieszlachetnie z ich strony szydzić z czyjego kalectwa, które samo w sobie jest już dość przykrem, czy sądzisz, żeby to nie wywarło wpływu?

— Ja, ja miałabym ich prosić o litość? — wykrzyknęła Tola, odsuwając się od siostry — miałabym się zniżyć do błagania, aby mi nie rzucały w oczy słów, które mię ranią i kaleczą? nigdy! o nigdy, Jadwiniu.

— Jesteś więc tak bardzo zawzięta? — spytała Jadwiga.

— Zawzięta? nie, ja nie jestem zawzięta, bo dziś nawet, gdyby do mnie Flora wyciągnęła rękę, uściśnięłabym ją serdecznie i nie czułabym do niej żalu; ale pierwsza nie odezwę się do nich za nic w świecie.

— Gdybyś ja nawet poprawić tem miała? — zapytała Jadwiga.

— Alboż do mnie należą ich serca i dusze? — odparła Tola.

— Więc jeżeliś widziała, że która z twych koleżanek zanurza ręce, dajmy na to w kwasie siarczanym, aby nim twarz umyć, sądząc, że to woda czysta, czy nie ostrzegłabyś jej, wiedząc, jakie są skutki tego płynu? — zapytała znów Jadwiga, patrząc badawczo na siostrę.

— Jak możesz nawet pytać o to! — rzekła Tola, wstrząsając się cała — wyrwałabym jej to z ręki, choćbym się sama poparzyć miała: ty nie wątpisz o tem, Jadwiniu?

— Nie wątpię ani na chwilę — odpowiedziała — nie rozumiem tylko, dlaczego nie wahałabyś się uratować od zezpecenia twarzy, pozbawienia wzroku, a nie uczyniłabyś nic, by uchronić ich serca od brzydkiej skazy złośliwości, która dochodzi czasem do okrucieństwa. Dlaczego nie powstrzymasz swych koleżanek od bezdusznego szyderstwa, którem cię ranią, a sobie wyrządzają tem stokroć większą krzywdę, tego nie rozumiem, powtarzam ci to, moja Tolo. Lecz powiedz mi nareszcie, co uczyniła dziś Flora? Chcę wszystko wiedzieć, co tylko spotyka moją kochaną siostrzyczkę.

— Flora, jak wiesz, jest jedyną córką bogatych bardzo rodziców, przytem ładna, figurkę ma zręczną, jest śmiała i dowcipna, a że jej nie brak pieniędzy, które wydaje na różne przysmaczki, częstując niemi hojnie wszystkie panny na pensji, ma więc bardzo dużo przyjaciółek, a nawet, że się tak wyrażę, wielbicielek swej urody i dowcipu. Flora szczególniej mnie nie lubi, za co? doprawdy, Jadwiniu, ja nie wiem, nie opuści jednak żadnej sposobności, aby nie wynaleźć we mnie coś takiego, z czegoby wyśmiać się można; ja nie bronię się nigdy, a wiesz, dlaczego? Słyszałam raz zdanie bardzo poważnego pana, który mówił, że garbaci są złośliwi z natury, uszczypliwi i gwałtowni. Chciałabym dowieść, że tak nie jest, że przynajmniej wyjątki znaleźć można, więc chociaż czasem mogłabym powiedzieć im również co przykrego, milczę a one na drugi raz czynią to samo. Dziś na lekcji literatury profesor J., od którego mam zawsze najlepsze stopnie z całej klasy, zaczął mówić o Ezopie, opisując zarazem, jak bardzo był brzydki; śmiałyśmy się wszystkie z opowiadania tego, a w czasie pauzy Flora zapytała mnie głośno, aby być przez wszystkie słyszaną, czy nie piszę bajek? byłoby to bowiem powtórne wydanie i pod względem utworów i autora, wydanie poprawne i przyozdobione. Panienki roześmiały się chórem, ja czułam, jak mi krew uderzyła do głowy, milczałam jednak, ale też nie mogłabym była wymówić i słowa, tak mię coś w gardle ściśnęło. Nie dosyć na tem, przyszła Ewelinka N. z drugiej klasy,

a Flora jej powiedziała niby przyciszonym głosem, tak jednak, że słyszałam to dobrze, iż odtąd mogą mnie śmiało nazywać Ezopem. Dziewczynka, nie rozumiejąc nawet dobrze, ze śmiechem pobiegła do swej klasy z tą nowiną, a gdyśmy się rozchodziły, odbijało mi się nieraz o uszy: „Ezop idzie, ach jak Ezop paraduje!”

Powiedziawszy to, Tola z płaczem zarzuciła ręce na szyję siostry i dodała cicho:

— O, Jadwiniu moja, cóżem ja winna temu, że tak brzydka jestem.

— Tolo — rzekła Jadwiga z oburzeniem i łzy błysnęły w jej pięknych oczach — stokroć brzydsze są te, które ciebie wysmiewają: o tak, są brzydkie, szkaradne. Ale tak dłużej nie będzie, jutro pójdę do przełożonej pensji, opowiem jej wszystko, a z pewnością położę koniec tym niecnym dowcipom.

— O! nie czyn tego, Jadwiniu — zawołała Tola, składając ręce na piersiach — nie czyn tego, jeśli mnie kochasz, oskarżenie to mogłoby popsuć stopnie niejednej. I to miałoby być z mojej przyczyny! Nie, Jadwiniu, uczynić tego nie można.

— Maszże więc cierpieć niesłusznie? — mówiła Jadwiga — a zresztą, czyż nie jest obowiązkiem położyć tamę złemu uczuciu w sercu dzieci? Ta Flora może wprowadzić na złą drogę niejedną dobrą nawet dziewczynkę, której niema komu przestrzedz, że wysmiewanie takie jest niegodziwością.

— A jednak oskarżać ich nie możemy — rzekła Tola stanowczo — nigdy z mej przyczyny nie będą miały najmniejszej przykrości. Jedna myśl przychodziła mi już po kilka razy do głowy, ale nie miałam odwagi zastanawiać się nawet nad nią, to byłoby takie bolesne dla mnie.

— I cóż to za myśl, siostrzyczko? — zapytała Jadwiga, ochłonawszy już nieco z oburzenia — powiedz mi, dziecko kochane.

— Żeby... nie, nie mam odwagi wypowiedzieć tego — rzekła biedna dziewczyna ze łzami.

— Cóż takiego jednakże?

— Żeby nie kończyć już pensji, poprzestać na czterech klasach i zacząć się na dobre uczyć koronkarstwa — rzekła smutnym głosem Tola. — Siedziałabym w domu i niktby mnie nie potrzebował widzieć.

— Co za szalona myśl — wykrzyknęła Jadwiga — przesadzasz już, moja droga. Czyż na świecie są tylko same ładne kobiety? cóżby to byli za ludzie, coby tylko wdzięki cenili? Prawda, że ładna twarz mile sprawia na każdym wrażenie, ale wierzaj mi, Tolo droga, że kobieta rozumna, szlachetna i dobra, zawsze będzie miała pierwszeństwo przed lalką salonową. A jakie ty masz śliczne oczy, dzieciaku mój biedny — dodała pieszczotliwie, podnosząc jej głowę do góry — takie śliczne, jak niebo w dzień pogodny.

Ale pieszczota dobrej siostry nie rozweseliła dziewczęcia i po chwili milczenia Tola rzekła znowu:

— Trzeba więc cierpieć, pensji nie porzucę, masz rację, Jadwiniu, była to myśl szalona. Zapomnij, dobra siostrzyczko, o tem, co ci mówiłam, żal mi, że przyczyniłam zmartwienia mojej ukochanej.

— Niech Bóg broni, Tolo, abyś miała kiedykolwiek tać przedemną swe przykrości — zawołała Jadwiga — któż, jeżeli nie siostra, podzielić je z tobą powinna, ukoić, pocieszyć i zdwoić swą miłość, jeżeli przywiązanie moje dla ciebie większem być może. Zostawmy na teraz rzeczy jak są i chodźmy spać, najdroższa, bo jutro moja dziewczynka będzie niewyspana i znużona, a to przeszkoda w pracy.

— Nie mów tylko nic mamie, Jadwiniu — rzekła Tola, podnosząc się z miejsca — niech ona nie wie, jakie przykrości przechodzi jej biedna córka, nadto bolałoby ją serce. Ale Bóg dobry dał jej ciebie, Jadwiniu moja, taką śliczną, zgrabną, a dobrą, ach, dobrą, jak anioł. Patrząc na ciebie, siostrzyczko, zapominam o mej brzydocie i garbie, tylko się cieszę twoją urodą, dumną jestem, żeś ty taka piękna.

— Och! ty najlepsza, najpocziwsza siostrzyczko, gdyby te niedobre dziewczyny wiedziały, jakie złote serce ranią, zawstydyłyby się same przed sobą. Dobranoc, najmilsza, niech anioł stróż czuwa nad tobą.

V.

Goście w małym dworku.

Pan Kazimierz przychodził do zdrowia: jakimi staraniami, jaką opieką był otoczony, tego nawet opowiadać nie potrzeba. Najtroskliwszą jednak, najtkliwszą przy chorym wujaszku była Terenia. Dziewczynka zmizerniała bardzo, co przy jej wątłem zdrowiu było tak widoczne, że zwróciło uwagę doktora, który jeszcze odwiedzał chorego. Doktor Z. jechał zawsze z przyjemnością do Żabina; polubił tak bardzo rodzinę wdowy, tak się zaprzyjaźnił z dziećmi, że obiecał im przywieźć kiedy swoją córeczkę, aby się poznała z panienkami. Czekano tylko zupełnego wyzdrowienia p. Kazimierza, a że ten zaczął już wstawać, Terenia przypomniła doktorowi daną obietnicę.

Dziewczynka ze szczególną niecierpliwością wyglądała poznania tej jedynej córki kochanego już przez nią doktora, bo i jakże go kochać nie miała, skoro uratował jej drogiego wujaszka? Kochała już zawczasu i Lenkę, wyobrażała sobie, że musi to być jakieś czarujące dziecko; ojciec mówił zawsze o niej z uniesieniem, a przecież złego dziecka kochaćby chyba nie mógł. Nie przeczuwała, albo też może przeczuwała, że przyjazd Lenki będzie miał wpływ na jej życie. A życie to dotąd upływało cicho i spokojnie, przy nauce i pracy dziewczynki nie miały nawet czasu pomyśleć o tem, że nie znały ani jednej obcej panienki rówieśniczki.

Pani Krystyna po śmierci męża nie bywała nigdzie, a nawet i za życia jego, od czasu, gdy się sprowadzili do Żabina, zerwali wszelkie stosunki. Praca i wychowanie dzieci pochłaniały czas cały tak dalece, że gdy wypadła konieczna potrzeba

jechań do miasta, to trudno było znaleźć wolną chwilę i podróż ta wydawała się być prawdziwą podróżą za morze. I tak dziewczynki rosły i nie знаły nikogo. Miały wprowadzić obiećnicę wujaszka, że je zawiezie do Warszawy, że zabawią tam kilka dni, aby zwiedzić wszystko, co tylko godnem jest widzenia, ale to jakoś odkładało się od tygodnia do tygodnia, zawsze coś stawalo na przeszkodzie, i wycieczka upragniona nie przychodziła do skutku. Szczególniej Terenia była ciekawą poznania tej Warszawy, o której tyle od wujaszka słyszała, którą znała prawie na pamięć, nie widząc, i często bardzo mówiła o tej podróży z Hanką, która jak zwykle więcej miała od siostry i cierpliwości, i praktyczności.

Wrzesień zbliżał się ku końcowi, dzień był prześliczny, w małym dworku wdowy wszyscy zajęci byli zbieraniem owocu ze swego ulubionego ogródka, wujaszek, choć jeszcze niezbyt silny po chorobie, pomagał wesoło krzątającej się diatwie, gdy Figielek zaczął szczeaka i pobiegł niespokojnie ku bramie.

— Figielek bardzo jest niemądry — rzekła Ewcia — zawsze szczeaka, jak kto przejeżdża, choć sobie tylko traktem kto jedzie. Oj niemądry, niemądry.

— Figielek mądry! — krzyknął Kazio, stając w obronie faworyta — to twój kot niemądry.

— Mój kot nie szczeaka — rzekła dziewczynka — mój kot nigdy nie idzie nawet do bramy, choćby i sam król jechał.

— Bo twój kot nie umie szczeaka — wołał zaperzony malec — twój kot nawet nie poznałby wcale, choćby król jechał, a Figielek zaraz pozna.

Figielek szczeakał zajadle przy bramie, a Kazio, który zwracał ciągle na niego uwagę, zawołał:

— Mamusiu, jakiś powóz stanął przed bramą, i taki duży, taki ogromny czarny pies zagląda przez sztachety, ach! on pewno rozszarpie Figielka — dodał, krzywiąc się do płaczu i tupiąc nóżkami.

— Twój Figielek taki mądry — rzekł Ewcia — to się nie da rozszarpać, skoczy na drzewo i duży pies nic mu nie zrobi.

— Figielek nie potrafi skoczyć na drzewo — rzekł chłopczyk gniewnie — Figielek nie kot przecie.

— Mój kot niby niemądry — rzekła dziewczynka z odzieniem dumy — a nie bałby się wcale takiego dużego psa nawet; mój kot wiedziałby, gdzie się schronić.

W czasie rozmowy malców, p. Kazimierz spojrział ku bramie, którą właśnie otwierał chłopak stajenny, otworzywszy też szeroko oczy i usta, od czasu bowiem, jak państwo jego sprowadzili się do Żabina, nie widział jeszcze ani razu tak wspańskiego powozu. Gdy w ogrodzie spostrzeżono nareszcie, że to istotnie do dworku jechali goście, domysłono się odrazu, iż to oczekiwany doktor Z. z córką dotrzymuje danej obietnicy. Porzucono więc natychmiast robotę w ogrodzie, zostawiwszy wszystko pod opieką starej sługi Walentowej, i pośpieszono na powitanie oczekiwanych gości.

Pan Kazimierz otworzył drzwiczki, a z powozu lekka, jak ptaszek, wyskoczyła Lenka, za nią wyszła ładna, wysmukła panna, którą doktor przedstawił pani domu, mówiąc:

— Panna Jadwiga Wrześniewska, moja Lenka uprosiła ją, aby nam towarzyszyła w tej miłej dla nas wycieczce, chociaż jako nieznana państwu, trochę się nam wzdragała.

— Serdecznie panu doktorowi wdzięczni jesteśmy za przywieszenie nam tak miłego gościa — rzekła pani Krystyna — a pani dziękujemy, żeś nam dała sposobność zaznajomienia, z czego, jak widzę po twarzach mych dziewcząt, są bardzo uradowane.

Wzajemne powitania i przedstawienia krótko trwały i w pół godziny później dziewczęta były z sobą jak dobre znajome.

— Pójdźmy do ogrodu — rzekła panna Jadwiga, podnosząc się i wyciągając rękę do Hanki — my mieszkanki miasta tak bardzo jesteśmy spragnione świeżego, wiejskiego powietrza i widoku pól i lasów.

— Czy pani wierzy — rzekła Hanka — że my z Terenią nie byłyśmy jeszcze w Warszawie ani razu, choć bardzo jesteśmy ciekawe ją poznać.

— Niepodobna! — zawołała żywo Lenka — przecież to nie tak daleko, tatuś mówi, że dwie mile tylko.

— Wujaszek przyrzekł, że przed zimą zawiezie nas już niezawodnie — rzekła Terenia, idąc obok Lenki — i jak tylko wujcio zupełnie wyzdrowieje, dotrzyma słowa z pewnością.

— Do zimy jeszcze bardzo daleko, musicie być u nas o wiele wcześniej — mówiła Lenka, rozglądając się z przyjemnością po wiejskim prostym ogródku. — Wiesz co, Tereniu — dodała, zmieniając przedmiot rozmowy — zbierajmy owoce, jeszcze tego, jak żyję, nie robiłam.

Zbieranie owoców jest zajęciem bardzo miłym dla młodzieży, zabrano się do tej pracy wesoło, nie wyłączając panny Jadwigi. Panienki były z sobą tak serdeczne, jakby się znały oddawna, przyłączyły się do nich i młodsze dzieci, ośmielone grzecznością przybyłych, nawet Kruk z Figielkiem, ku wielkiej ucieśze Kazia, wyprawiali uciészne skoki i gonitwy, a chłopczyk uszczęśliwiony, że wielki pies czarny nie rozszarpał Figielka, klaskał w rączki radośnie i powtarzał, że bardzo pokochał tego mądrego Kruka. Po podwieczorku, który zastawiono w ogrodzie, panienki wybrały się do pobliskiego lasu, Lenka tylko wymagała upewnienia pana Kazimierza, że wilków i rozbójników nie spotkają. Zabrano dzieci, a do obrony Kruka i Figielka, i wyruszono, śmiejąc się i gwarząc wesoło. Lenka z Terenią szły pierwsze, panna Jadwiga z Hanką ostatnie.

— Czy pani ma rodzeństwo? — zapytała Hania.

— Mam brata starszego, który jest inżynierem, i młodszą siostrzyczkę, dobrą, kochaną Tolę moją. — Mówiąc to, panna Jadwiga westchnęła cicho, co nie uszło uwagi Hanki.

— Siostra pani na pensji jeszcze?

— Tak, w piątej klasie, uczy się bardzo dobrze, jest zdolna i pracowita — rzekła panna Jadwiga, goniąc wzrokiem idące przed nią dziewczynki.

— Szkoda, że pani siostry swej nie zabrała także, byłaby odpoczęła trochę po tak nużącej pracy i użyła przyjemności wiejskich — rzekła Hania — doprawdy, wielka szkoda.

— Och, Tola nie chciałaby jechać — odpowiedziała smutnie panna Jadwiga.

— Nie chciałaby? — powtórzyła Hania.

— Tola nie lubi nowych znajomości — rzekła Jadwiga — dziwi to panią, prawda? a jednak tak jest istotnie.

— Panno Jadwigo — zawołała żywo Hanka — mów mi po imieniu; „pani“ to tak bardzo obojętnie i chłodno, proszę, mów mi „Hanko“ tak, jak moi najbliżsi.

— Dobrze, ale pod tym warunkiem, że i ty, Hanko, będziesz mi mówić tak samo; nie jestem jeszcze osobą bardzo sędziwą — dodała z uśmiechem — mam dopiero rok ośmnasty.

— Co! — zawołała dziewczynka ze zdziwieniem — czyżbym śmiała? Wprawdzie o dwa lata młodsza tylko jestem, ale pani... tak znacznie poważniejszą jesteś odemnie...

— Szkoda — rzekła Jadwiga — myślałam, że będziemy w serdecznych z sobą stosunkach, jednak, gdy pani nie chcesz...

— O, Jadwisiu — zawołała Hanka z uczuciem — tak mnie odrazu pochwyciłaś za serce, że będę szczęśliwą, jeżeli przy bliższym poznaniu zostaniemy przyjaciółkami. A teraz powiedz mi, proszę, dlaczego siostra twoja nie chciałaby przyjechać do nas?

— Siostra moja — rzekła wahająco Jadwiga — czuje się bardzo nieszczęśliwą, i nie ma ufności do ludzi.

— W tak młodym wieku? — zapytała ze zdziwieniem Hanka.

— Ach, Hanko, biedna Tola moja jest brzydka i garbata, a że wszystkie panienki na pensji albo patrzą na nią z politowaniem, albo też wyśmiewają, Tola, która ma anielskie serce i tak pragnęłaby kochać wszystkich ludzi, czuje się bardzo nieszczęśliwą, widząc, jak niejeden odwraca się od niej ze wstrętem.

— Ależ to brzydko, szkaradnie — zawołała z oburzeniem Hanka. — O! jakże to smutno, że w tak licznej zgromadzeniu panienek niema ani jednej dobrej i szlachetnej, któraby ujęła się za prześladowaną niesłusznie biedną siostrą twoją.

— Jest może w tem trochę winy Toli; mimo swej dobroci, dumna jest i nieufna, stroni więc od koleżanek i milczeniem zbywa niegodne zaczepki. Gdyby Tola zrozumieć to, chciała, że kobieta najbrzydsza może być kochaną i szanowaną, nie zamykałaby się tak w sobie, nie stroniła od wszystkich, i mogłaby poznać, jak błogiem uczuciem jest przyjaźń i życzliwość ludzka.

— Ach, biedna Tola z takim usposobieniem — rzekła Hanka ze współczuciem — gdyby to było w mej mocy, jakże pragnęłabym pogodzić ją z ludźmi i przekonać, że kochaną być może.

— Dobra moja Hanko, nie bez celu mówię z tobą przy pierwszej znajomości tak otwarcie i szczerze; parę godzin tylko spędziłam w domu waszym, a już widzę, że tu znalazłabym ratunek dla Toli.

— Czy Lenka zna Tolę? — zapytała Hanka z żywością.

— Nie, mimo serdecznych moich próśb, Tola nigdy przystać nie chciała na zaznajomienie się z Lenką — odpowiedziała Jadwiga ze smutkiem. — A jestem pewna, że i Lenka umiałaby pokochać moją biedną siostrzyczkę; Lenka, mimo żywości, jest dobra i bardzo podniosłego charakteru.

— Przywieź do nas, Jadwisiu, swoją siostrę, a ręczę ci, że ją wszyscy pokochamy — mówiła Hanka, zapalona do pięknego dzieła nawrócenia nieufnej i nieszczęśliwej w swem przekonaniu dziewczynki.

— To być nie może — rzekła Jadwiga — Tola chodzi na pensję, a zresztą nie chciałaby przyjechać do nieznanego domu; ale ja co innego mam na myśli, uproszę twą matkę, aby ci pozwoliła czas jakiś przepędzić w naszym domu. Moja mateczka serdecznie ci rada będzie, a Tola... za pierwszą chwilę nie ręczę, lecz zdaje mi się, że cię musi pokochać.

— O, jakby to było dobrze — zawołała Hanka radośnie — przyznam ci się, że i mnie przez myśl to samo się przesunęło.

Na tem tle szła dalej gawędka, zbliżano się do lasu, do którego Lenka wstępowała z pewną obawą i niepokojem. Te-

renia śmiała się z niej serdecznie, bo między młodszymi dziewczynkami zawiązał się przez te kilka godzin bardzo przyjazny stosunek i Lenka bądź co bądź postanowiła zabrać Terenię do Warszawy.

— Czy wiesz — mówiła rozpieszczona dziewczeczka — że ja bez ciebie stąd nie pojadę. Jaka to szkoda, że nie jesteś moją siostrzyczką, nie rozłączyłybyśmy się nigdy. Ach! jak to niedobrze być jedynaczką.

— O, to prawda — odpowiedziała Terenia — ja tak jestem szczęśliwa, że mam Hanke.

— Czy bardzo kochasz Hanię? — zapytała Lenka.

— Czy ja kocham Hanię? — powtórzyła ze zdziwieniem Terenia — ach, moja Lenko, ja tego nawet wypowiedzieć nie potrafię, jak bardzo kocham moją siostrzyczkę.

— To może nie będziesz chciała jechać z nami do Warszawy, aby się z nią nie rozstać — rzekła dziewczynka ze smutkiem w głosie.

Terenia zamyśliła się chwilę, a potem rzekła z uśmiechem:

— A wiesz, moja Lenko, że to prawdziwy kłopot dla mnie, bo i do Warszawy radabym z całego serca jechać i nie rozłączać się z mateczką, z wujciem i ze wszystkimi, których kocham tak serdecznie.

Dziewczynki nie wiedziały, że o tem samem rozmawiały i starsze panienki, i że na propozycję Jadwigi, spokojna zwykle w swych życzeniach Hanka, gorączkowo zapragnęła jechać do Warszawy.

Gdy z wycieczki do lasu wrócono nareszcie bez żadnej przygody do domu, panienki były jakieś roztargnione i niespokojne, widocznem było, że mają wszystkie bardzo ważną sprawę na myśli. Rozmowa rwała się co chwila, a Lenka, nie przywykła do tajenia swych myśli i życzeń, stanęła za krzesłem ojca, którego prawem rozpieszczonej jedynaczki objawszy jedną ręką za szyję, zaczęła mu szeptać do ucha coś bardzo wymownie, całując co chwila jego rękę, którą trzymała w drobnej swej dłoni. Doktor słuchał z uśmiechem, potakiwał głową

nic nie mówiąc, dopiero gdy dziewczynka na zakończenie wy-rzekła głośno: „Zrobisz to, ojczulku, jak mię kochasz“ zwrócił się do pani domu i rzekł:

— My tu oboje z córką mamy bardzo serdeczną prośbę do szanownej pani, lękamy się jednak ją wypowiedzieć, aby nie doznać odmowy.

— Tyle wdzięczności jesteście panu winni — odpowiedziała pani Krystyna — że spełnić życzenie jego będzie dla nas rzeczą bardzo pożądaną.

— Dodaje mi to otuchy do wypowiedzenia mej prośby — rzekł Dr. Z., wyciągając rękę do pani Krystyny — jest to już jakby obietnica, a na spełnienie jej moja Lenka czeka bardzo niecierpliwie. Otóż daj nam pani na czas jakiś do Warszawy Terenię; żona moja otoczy ją opieką macierzyńską, a Lenka ukocha, jak siostrę. Dziewczynka pozna wiele rzeczy, o których ma tylko wyobrażenie z książek lub opowiadań, pokażemy jej wszystko, co godne widzenia, zwiedzi różne miejsca pamiątkowe, a przyznasz szanowna pani, że dla młodej panienki rzecz to pożądana. Dziewczka moja będzie uszczęśliwiona, a i Tereni nudzić się nie damy.

— O nudach mowy być nawet nie może — rzekła pani Krystyna, zakłopotana nieco tą propozycją — moje dziewczątka nie znają ich dotąd, dokładaliśmy wszelkich starań, aby nudy znane im były zaledwie z imienia. Ale żądanie Lenki czy nie przysporzy kłopotu szanownej małżonce pana? Terenia wychowana tak po domowemu, że...

— O! nie żartuj pani — przerwał Dr. Z., spoglądając z upodobaniem na dziewczynkę, która, stojąc przy oknie z bijącym sercem słuchała tej rozmowy, zwiłając bezwiednie końce fartuszka, co właśnie nadawało jej pozór wiejskiej prostoty i nieśmiałości.

— Pani mi nie odmówi, pani nie może mi odmówić — zawołała Lenka, chwytając z żywością ręce pani Krystyny i całując je serdecznie — myśmy się już umówiły z Terenią, brakuje nam tylko pozwolenia pani.

— Cóż mateczka na to mówi? — zwróciła się pani Krystyna do babci, która w milczeniu słuchała wszystkiego — zezwolenie w połowie tylko do mnie należy, i to już po zdaniu babci.

Lenka nie śmiała zbliżyć się z taką serdeczną poufałością do pani Wolskiej, i znów błagająco spojrzała na ojca, lecz w tej chwili Terenia poskoczyła do kolan babki i zarumieniona wyszeptała prawie:

— Babunia pozwoli, ja wiem, że pozwoli, moja złota, jedyna, kochana babciulku.

— Więc tak bardzo pragniesz porzucić nas? — zapytała babunia z uśmiechem, choć odcień żalu czuć było w jej głosie, że na kilka tygodni rozstać się musi z ukochaną swą wnuczką.

Terenia powstała, spojrzała po wszystkich i łzy zaświeciły w jej oczach.

Zapanowało milczenie, aż wreszcie pan Kazimierz podniósł się i, stanąwszy na środku pokoju, rzekł stanowczo:

— Pozwalam sobie zabrać głos w tej tak ważnej sprawie, jaką jest wyjazd o dwie mile od domu, bo widzę, że nikt nie ma odwagi zdecydować ostatecznie. Otóż, kochana siostro, propozycja szanownego doktora zupełnie trafia do mego przekonania, i przyjmą ją możemy z wdzięcznością, wszak prawda, droga babuniu? Warszawa nie Ukraina, używając znanego porównania, ani nawet nie za morzem, możesz więc, panno Leno, zabrać naszą dziewczkę na kilka tygodni.

— Jakiż pan jest dobry! — zawołała Lenka, składając ręce, jak do modlitwy — doprawdy zaczynam pana kochać, jak... jak wujka Adasia.

— Kiedy więc jesteś pan tak bardzo dobry, jak utrzymuje Lenka — rzekła panna Jadwiga — to i ja uciekam się do pośrednictwa pana, aby prośba moja wysłuchaną również została.

— Z góry przyrzekam, że zrobię, co będzie w mojej mocy, aby to dobre o mnie mniemanie utrzymać — rzekł z uprzejmą grzecznością pan Kazimierz. — Może ja się i domyszę —

dodał z uśmiechem, spoglądając na Hanke, której oczy błyszczały radością, może odgadnę, o co to pani chcesz prosić, za mojem niby pośrednictwem.

— Bądź pan jasnowidzącym na ten raz chociaż — wyrzekła panna Jadwiga, rumieniać się nieco.

— Chcesz nam pani Hanke zabrać do Warszawy — mówił pan Kazimierz, śledząc wzrokiem dziewczynkę, która tuła się w objęciu babki.

— Jesteś pan nietylko dobry, ale i domyślny, jak prorok — zawołała Lenka, klaszcząc w ręce — wybornie, wybornie, pojedzie i Hania, a Terenia nie będzie nam tęsknić w Warszawie.

Po długich naradach stanęło wreszcie na tem, że za dwa tygodnie *dobry i domyślny* wujcio odwiezie swe siostrzenice do Warszawy, gdzie na nie oczekiwać będą bardzo niecierpliwie, poznane zaledwie, a już kochane przyjaciółki.

Pożegnano się bardzo serdecznie, jakby dawni znajomi, odzyskani po długiem rozłączeniu. Nawet Figielek był w bardzo dobrych stosunkach z Krukiem, a posunął swoją grzeczność tak daleko, że odprowadził go aż za bramę, gdzie, stanąwszy, spoglądał tak długo, dopóki mu olbrzymi w porównaniu z nim przyjaciel zupełnie z oczu nie zniknął.

VI.

Pobyt w Warszawie.

Dwa tygodnie minęły bardzo szybko, chociaż dla wszystkich panienek, rachujących niemal godziny, zdawało się nie raz, że czas żółwim upływa krokiem. Nadszedł dzień przeznaczony do odjazdu, w dworku pani Wolskiej było smutno, choć krzątano się żwawo. Rzecz tak ponętna dla dziewczynek miała swoje ujemne strony, wybranie się do Warszawy, między ludzi obcych, dla rodziny wcale niezamównej przedstawiało nie mało trudności. Nikt tam ani na chwilę nie po-

myślał o zbyt kownych strojach, nikomu nie marzyło się nawet, aby ubraniem zwrócić czyjąś uwagę na siebie, ale rozumiano to dobrze, że panienki musiały wyglądać przyzwoicie, choć bardzo, bardzo skromnie. Największy był kłopot o okrycia i kapelusze, gdy naraz wujcio, słuchając raz tych narad, podniósł się, poszedł do swego pokoju, a, wróciwszy, włożył każdej dziewczynce w rękę paperek jakiś i śpiesznie się oddalił.

Cóż to było radości i podziwienia, gdy zobaczyły, że każda z nich miała w ręce dwadzieścia pięć rubli. Dwadzieścia pięć rubli! toż to skarb był tak wielki dla dziewczątek, wychowanych w mierności, że zrazu nie mogły uwierzyć, aby te pieniądze istotnie do nich należały. Ale skąd ten wujaszek wziął tyle pieniędzy? nigdy sobie nie wyobrażały, aby mógł być tak bogaty. Zawsze był tak skromny w wydatkach, tak oszczędny, słyszały, jak nieraz mówił, że nie ma na to lub owo, a tu dla nich odrazu tyle pieniędzy nie żałował. Nigdy jeszcze tego nie było i dziewczynki nie mogły wyjść z podziwienia. Wprawdzie na jedną rzecz miał zawsze pieniądze, ale to jakoś tak umiał upozorować różnymi stosunkami, że nie zwracało to uwagi mieszkańców cichego dworku. Rzeczą tą, na której nigdy nie zbywało, były pisma i książki, ale że dziewczynki wrastały wpośród nich, nie zdawały sobie nigdy jakoś sprawy, skąd one się brały.

Usunięty więc został największy kłopot i tyle jeszcze mogło zostać pieniędzy. Było więc wesoło i gwarno, ale gdy wujaszek powiedział: „Jutro pojedziemy“ nagle smutek wszystkich ogarnął. Pierwsze to rozłączenie w ich życiu, jakże więc nie miało zapęlić smutkiem ich serc kochających? Zaczęły prawie żałować przyrzeczenia danego Jadwidze i Lence, rade były pozostać w swem cichem gniazdeczku, gdzie im było tak dobrze, wesoło, wpośród kochającej i zgodnej rodziny.

Widziały smutek ukochanej mateczki i babuni, choć tego wcale okazać nie chciały, i zazdrościły prawie Jadwini i Ewci, że pozostają w domu. Ale wujaszek jużby się cofnąć nie pozwolił, same widziały, że to niepodobna. Nadeszło wreszcie

i to „jutro“ i dziewczynkom serduszka były niespokojnie, każdy hałas je przerażał, szczeknięcie psa na podwórzu zdało im się zwiastować jakąś zmianę. A może ... może się co stanie i nie pojadą.

Ale nic się nie stało, o drugiej popołudniu czwórka tłustych, niezbyt roslých szpaczków zaszła przed dworek, Franek, ustrojony świątecznie, palnął z bata, aż szyby zadźwięczały w okienkach, biedak nic nie wiedział, że to nie moda już teraz palić z bata tak głośno. On taki był dumny, i ze swych szpaczków dobrze utrzymanych, których uprząż czyścił od rana, i z bryczki na resorach. którą mył w kanałku, trzepał i smarował, wreszcie i po sobie spojrział, tak pięknie był ubrany, miał taką śliczną czerwoną kamizelę, taki nowiuteńki granatowy spencer, oho! z pewnością zawróci w głowie niejednej dziewczusze w *Warszawie*, bo i pawie pióro zatknął za czapkę. Jagusia wyniosła walizki i pudełka, ale jakoś nikt nie wychodził, nikomu nie było pilno. Franek się niecierpliwił, podcinał konie, które grzebały ziemię, okazując tem, że radeby iść jak najprędzej.

A w pokoju tymczasem dziewczynki płakały, całując kolaną babki i mateczki, ściskając małe siostryczki i Kazia, który więcej był zajęty trzymaniem na ręku Figielka, wyrwywającego się gwałtownie, miał bowiem nieklamaną ochotę odwiedzić także swego przyjaciela Kruka. Bóg wie jak długo byłoby trwało pożegnanie, gdyby nie wdanie się wujaszka, który zabrał dziewczynki i powsadzał na bryczkę. Cała służba wybiegła przyjrzeć się temu niebywałemu dotąd zdarzeniu, aby panienki odjeżdżały same i to na tak długo. Babunia i mateczka nakreśliły krzyżyk w powietrzu, Jadwinia przyrzekła Hance, że będzie ją wyręczać przy mateczce, Ewcia zaklinała się, że ani kaczkę, ani te szkaradne *płosiaki* nie postaną w ogródku i na kłombie. Kazio wołał za wujaszkiem, że nie puści Figielka, choćby był mocny, jak *sto piesów*. Franek znów palnął z bata, konie ostro ruszyły, jedno jeszcze od ust pożegnanie, jeden jeszcze krzyżyk, i bryczka znikła na zakręcie drogi.

List HANKI do matki.

Warszawa dnia 12 grudnia 1876 r.

Moja serdeczna, droga Mateczko!

Już trzy tygodnie minęło wczoraj, jak wyjechałyśmy z domu, a chociaż dwa listy wysłałam do Matuchny i Babci drogiej, nie rozpiśywałam się w nich jednak obszernie, bo i nie miałam jeszcze o czem. Ale list dzisiejszy będzie bardzo długi, muszę Mateczce opisać wszystko porządnie, i już nie wspomnę ani razu, że mi tęskno, że czasem sobie trochę i popłaczę, ale wtenczas, gdy nikt łez moich nie widzi. Bo tu wszyscy dla mnie tacy są dobrzy, tacy serdeczni, tak uprzedzają me myśli nawet, więc byłoby im przykro, gdyby widzieli łzy moje.

Czy ja też przypuszczałam, Matusiu mój droga, aby ten wyjazd mój z Żabina przeciągnął się tak długo? Wybrałam się na dwa tygodnie, a tu przyjdzie mi lat parę przepędzić zdala od was, najdrożsi! Powinnam się cieszyć z tego, że ten kochany Wujcio daje mi możliwość kształcenia się w tylu pożytecznych naukach, przyznam się jednak Matusi, nieraz mi bardzo, bardzo przykro, że tam w domu niema mię komu zastąpić przy Tobie, droga Matko. Dziś, gdy już była z nas pomoc i wyręka, wyfrunęłyśmy z gniazdka, zostawiając wszystkie trudy gospodarstwa dla Ciebie, Matusiu jedyna. Ale da Bóg, że jeszcze wypoczniesz w spokoju, zobaczysz, Mateczko droga, jak ja będę pracować, wróciwszy do domu, a jakie my to korzyści ciągnąć będziemy z naszej pracy! Aż mi się głowa pali, gdy o tem myślę. Jakim cudownym sposobem ten Wujcio to wszystko urządził, to nie mogę doprawdy odgadnąć. Czy gdzie jaki skarb wykopał, czy na loterii wygrał, czy co innego jeszcze się stało? Skąd bierze na to, że opłaca za nas mieszkanie i naukę? Doprawdy, czasem mię strach ogarnia, że tyle

kosztów łoży na nas, odmawiając sobie może najpotrzebniejszych rzeczy.

Zapytuje mię Matuchna, jak mi idą moje nauki. Wyborne, jak mi się zdaje, tembardziej, że mam ogromne zamiłowanie do tego, czego się uczę. Już to do krawieczyny miałam podobno zawsze dużo zręczności, urodziłam się prawie do tego fachu. Nie wiem, czy się dobrze wyrażam? Ale to mniejsza, ja się tego niedługo wyuczę, a takie śliczne suknie będę szyła Matusi, Babci i siostrzyczkom, że ludzie za głowy się brać będą, jak to robili, patrząc na czarnego Murzyna ze skarbami w szkatule, którego zrobiła „Wiochna“.

Ogrodnictwo i pszczelnictwo zdaje mi się, że pójdzie mi również bardzo łatwo, chociaż ja największe korzyści myślę ciągnąć z nabiału. Matuchno, chowaj mi tylko krówki moje ulubione, a w przyszłości staną się one źródłem, z którego czerpać będziemy wielkie, olbrzymie dochody.

Żeby to te dwa lata minęły jak najprędzej, lecz z korzyścią dla mego umysłu i wiedzy.

Babciuchna ciekawa, jak daleko zaszłam w stosunkach przyjaźni z Tolą; otóż bardzo nie mogę się jeszcze pochwalić, ale zdaje mi się, że na dobrej jestem drodze. Biedna tak stroni od ludzi, mimo, że ma nieprzebrane skarby miłości w swem szlachetnem sercu. Jest ona anielsko dobra i łagodna, tylko wyrobiła się w niej dziwna niewiara w ludzi, lęka się ich, i zdaje jej się, że każdy doznaje wstrętu, spojrzawszy na nią. Istotnie, pierwsze wejrzenie nie sprawia miłego wrażenia, jednak, gdy podniesie spuszczone zwykle oczy, ujmuje odrazu za serce. Ach, Matuchno kochana, jakież to prześliczne te oczy Toli, doprawdy chciałoby się patrzeć w nie godzinami, cóż kiedy tak rzadko podnosi je na ludzi.

Odemnie nie stroni bardzo, czasami uda nam się z Jadvinią wprowadzić ją w ożywioną rozmowę, wtedy zapomina o swem uprzedzeniu, staje się wesołą, dowcipną, bez złośliwości jednak, i doprawdy jest wówczas tak miła, że nie widzi

się ani ospą poranej twarzyczki, ani garbu, który tak szpeci biedaczkę.

Matka Jadwini jest dla mnie zawsze bardzo serdeczna i dobra, pieści mię nawet często, ale wśród tych pieszczot, duża moja rwie się do Ciebie, Mateczko, do Babci i do wszystkich moich ukochanych.

Z Terenią widuję się pary razy tygodniowo, i ona i ja nie mamy czasu na codzienne odwiedziny. Wczoraj właśnie byłam u niej, mówiła mi pani Z., że Terenia bardzo wysoko stoi w naukach, podobno nawet profesorowie byli tem ździwieni, patrząc na skromną i nieśmiałą jej minę. Nic a nic Lenka nie jest od niej wyżej. Ileż my wdzięczności winne jesteśmy Babci i Wujciowi, który doprawdy wcale nie wygląda na takiego uczonego profesora, jakim się okazał w kształceniu nas. Terenia tak jest oddana naukom, iż nie ma czasu jeść ani spać, jak powiada Lenka.

Żeby Matusia wiedziała, jak ja jestem rozkochana w pani doktorowej Z., to tego wypowiedzieć nie umiem. Jadwinia opowiadała mi o niej cudowne rzeczy, jeżeli tylko połowa w tem prawdy, to i tak panią Z. kanonizowałabym za życia. Przechodziła ona bardzo smutne koleje, piętnaście lat miała, gdy umarła jej matka, zostawiając pięcioro dzieci, w dwa lata straciła ojca i czy Matuchna da wiarę, że ta biedaczka, mając lat siedmnaście, wychowywała pracę rąk własnych dwie małe siostrzyczki. Brat najstarszy był daleko, nie wiem dobrze gdzie, najmłodszego wzięła na opiekę jakaś pani, a dziewczątek oddać nie chciała nikomu, pracowała na nie, nie sypiając nieraz po nocach, dała im wykształcenie, posyłając je na jedną z pierwszych pensji w Warszawie.

Potem poznał ją, gdy chorowała, Dr. Z., chciał się z nią ożenić, ale odmówiła, aby jej siostrzyczki miały dom własny i nie były na łasce szwagra. A podobno biedaczka bardzo cierpiała, odmawiając tak zacnemu człowiekowi, bo miała dla niego wiele wdzięczności i przywiązania, nie chciała mu więc robić przykrości, a jednak poświęciła się dla sióstr swoich.

Dopiero gdy starszą wydała za męża, i to podobno bardzo dobrze, za jakiegoś obywatela z Lubelskiego, a młodszą za dyrektora cukrowni, wtedy zgłosił się znów Dr. Z. bo czekał na nią ciągle, wtedy, Matuchno, oddała swą rękę naszemu kochanemu doktorowi. A wie Matuchna, jak imię pani Z.? ba, skądżeby Matuchna wiedziała; otóż imię jej Regina. Mnie się to imię bardzo podoba, a tak lubię, jak nasz doktor mówi do żony „Reginko“.

Ale co ja też robię, pisząc taki list sążnisty, lecz mam dziś więcej czasu, bo to niedziela, deszcz pada, nie wyjdziemy więc nigdzie, Tola bardzo zajęta lekcjami na jutro (a jak mnie się zdaje, robi jakieś wypracowania dla niewdzięcznych koleżanek), Jadwinę głowa trochę boli, więc się położyła, zatem ja cichutko się zabrałam do listu i piszę, piszę, ani spostrzegłam, że to już tak dużo się nabazgrało.

Moja droga, kochana Matuchno, pisz do mnie jak najprędzej, bo listy Mateczki, to już największa moja radość w tem oddaleniu, które bądź co bądź przykre mi jest bardzo.

Do Babciuchny piszę dziś także, a Jadwinka niech mię zastępuje przy Matusi, jak to obiecała, przesyłam jej serdecznego całuska, jako też Ewci i Kaziulowi, a i do Wujaszka napiszę także osobno.

Całuję ręce i nogi Twoje, najdroższa, najlepsza Matuchno, kochająca i wdzięczna córka, *Hanka*.

Z listu Hanki dowiadujemy się, że dziewczynki nasze na lat dwa pozostały w Warszawie. Był to dawny projekt pana Kazimierza, z którym jednakże nie zdradzał się przed nikim, aż traf szczęśliwy ułatwił mu nagle spełnienie ulubionych tych marzeń. Odwiozłszy swe siostrzenice do Warszawy, gdzie je przyjęto bardzo serdecznie i z oznakami największej radości i życzliwości, pan Kazimierz odjechał zupełnie zadowolony i w jak najlepszym humorze. W tydzień przybył znów do Warszawy, miał długą rozmowę z panią Z., gdyż męża jej nie było naówczas w domu, i rozmowa ta wypadła widocznie

pomyślnie dla jego planów, bo twarz mu jaśniała radością, gdy, odchodząc, składał pocałunek na czole Tereni.

Następnie poszedł do mieszkania matki panny Jadwigi, tu mógł mówić swobodnie, bo Tola była na pensji, a Hanke właśnie służąca odprowadziła do Tereni. Los mu sprzyjał, bo pannę Jadwigę zastał w domu. Parę godzin pan Kazimierz spędził w towarzystwie wdowy i jej córki, i tu układy zawarte zostały, Hanke przyjęto na mieszkanie, a opieki macierzyńskiej ze strony p. Wrześniewskiej i przyjaźni p. Jadwigi p. Kazimierz aż nadto był pewnym dla swej siostrzenicy.

Tak więc dziewczynki nie wiedziały jeszcze o niczem, gdy wszystko umówionem zostało. Hanka miała się uczyć krawieczyny, ogrodnictwa i pszczełnictwa, bo dziewczynka w tym kierunku okazywała zdolności. Terenia przez czas jakiś miała się kształcić razem z Lenką, biorąc lekcje od najwięcej uzdolnionych profesorów, aby się przysposobić do zdania egzaminu i uczęszczania na pensję, gdyż p. Kazimierz życzył sobie, aby otrzymała patent z ukończenia nauk. Terenia miała umysł otwarty, nauka przychodziła jej z łatwością, nic dla niej nigdy trudnem, nic niezrozumiałem nie było. Od książki oderwać się nie mogła, i czuła się prawie nieszczęśliwą, bę ląc zmuszoną zajmować się w domu wyręczaniem przy pospodarstwie matki, w czem znów Hanka największą znajdowała przyjemność. Roboty ręczne były j-j również niezbyt przyjemne, ale wołała je jednak, niż krzątanie się w domu. Wziąwszy igłę do ręki, mogła przynajmniej myśleć o tem, co przeczytała lub czego się nauczyła, a choć przy tem zamyśleniu ukłóła się nieraz aż do krwi w palec, lub uszyła coś tak, że potem pruć było potrzeba, zawsze to było jej miłsze, niż te nudne kluczyki od spiżarni, i rozmowa z kucharką, która jakoś nigdy z młodszą panią do ładu trafić nie mogła.

Za to namiętnie lubiła swój ogródek pod oknami i kwiatki, które sama pielęgnowała, i nieraz zalewała się łzami, gdy nie znajdując się na delikatności kaczki dostały się przez szparkę do ogródka i oskubały wschodzącą roślinkę, na której wzrost

i kwiaty oczekiwała niecierpliwie. Pan Kazimierz, choć się do tego sam przed sobą nie przyznawał, miał szczególniejszą słabość do tej dziewczynki. Rad był widzieć w niej wyższą jakąś istotę, a ile razy p. Krystyna martwiła się niezaradnością córki i jej marzycielstwem, odpowiadał z uśmiechem:

— Ach, moja Krysiu, czy podobna, abyśmy byli wszyscy na jedną miarę, a zresztą jesteś zbyt wymagająca. Czy cię nie zadawalnia, że z Hanki będzie wzorowa gospodyni, czy nie uważasz tego, że Jadwisia tak zgrabnie wywija igielką, jak najwprawniejsza szwaczka, Ewunię możesz obudzić w nocy, a opowie ci odrazu, ile masz kur czubatych, ile bez czubów, ile kaczek białych, a ile pstrych, nie miej więc za złe choć tej jednej, że myśli trochę inaczej.

— Ależ, mój kochany — odpowiadała nieprzekonana pani Krystyna — kobieta, która tylko zatapia się w książkach, kobieta, która się nie zna na gospodarstwie i nie umie skroić i uszyć bielizny, musi być co najmniej milionerką, a nawet i milionerka, chcąc utrzymać majątek i nie roztrwonić go, musi być gospodarną, musi wejrzeć w potrzeby domu i zająć się nim, inaczej bowiem i miliony się wyczerpią, gdy pani tylko książki czytać będzie. A cóż mówić o moich córkach, które nietylko, że żadnego majątku nie mają, ale muszą pracować, aby sobie zapewnić byt i utrzymanie.

— Ani słowa, muszą pracować — mówił p. Kazimierz poważnie — ale, Krysiu moja, czyż tylko ten jeden rodzaj jest pracy? Czyż Terenia, gdy otrzyma wyższe wykształcenie, nie może pracą swą być także pożyteczną?

— Wyższe wykształcenie — powtórzyła pani Krystyna smutnie — mój bracie, alboż mamy na to, aby Tereni dać wyższe wykształcenie?

Na te słowa p. Kazimierz zwykle nic nie odpowiadał, i rozmowa się kończyła. Aż nareszcie nadeszła sposobność, że wujaszek znalazł ułatwienie w swych zamiarach, które i tak bądź co bądź byłby przyprowadził do skutku. Nic jednak

siostrze nie mówił, aby się nie przerażała trudnościami, babunia tylko pod wielkim sekretem wtajemniczona była we wszystko.

Gdy więc już cała sprawa ułatwioną została, p. Kazimierz, wróciwszy z Warszawy, opowiedział siostrze co uczynił i przeproszał ją, że się rządził jej córkami „jak szara gęś“; pani Krystyna zrazu wierzyć nie chciała, a potem się rozplakała, i z żalu, że na tak długo rozstać się musi z dziewczętkami, i z radości, że mogą się kształcić podług swych zdolności i upodobań. Po pierwszej chwili zdziwienia i rozrzewnienia, przyszło jej na myśl pytanie, skąd też brat wziął fundusz na to, aby rzecz tak kosztowną przeprowadzić? Ale na wszystkie jej nalegania, p. Kazimierz odpowiadał krótko, że uzbierał sobie oszczędnością kilkaset rubli, że miał je gdzieś na procencie, że mu trochę z tego przybyło, i to właśnie przeznacza na kształcenie swych siostrzenic. Pani Krystyna musiała na tem poprzestać, tembardziej, gdy spostrzegła, że rozmowa ta nie sprawia bratu przyjemności.

Dało jej to jednak wiele do myślenia, uwieść się łada pozorem nie mogła, miała bowiem zbyt wiele rozsądku i doświadczenia. Teraz zaczęła sobie przywozić na pamięć rozmaite rzeczy, na które dawniej nie zwracała zbytycznej uwagi, a mianowicie, te perjodyczne dwa razy do roku wycieczki p. Kazimierza teraz jej się wydawały nie dosyć jasno upozorowane. Mówił, że ma kilkaset rubli, a niechby tysiąc nawet, to utrzymanie i kształcenie przez dwa lata dwóch dziewczyn w Warszawie wiele większej wymagało sumy. I pan Kazimierz dla siostry zaczął się stawać jakąś tajemniczą istotą. Intrygował ją i niepokoił zarazem. Tak mało mówił o swej przeszłości, o stosunkach, nigdy napewno dowiedzieć się nie mogli, gdzie przez te lata przebywał, co porabiał, wiedzieli tylko, że uczęszczał na uniwersytet w Berlinie i w drugim jakimś mieście, resztę opowiadań o swej przeszłości zbywał zwykle krótko i niechętnie.

Powoli wszystko w małym dworku wracało do zwykłego porządku, do zwykłej pracy i krzątania, p. Kazimierz jeszcze

jak się zdawało, gorliwiej gospodarował, a bywał zwykle wesół i swobodny, pomagał babuni w nauce pozostałych dziewczątek, bawił się i przekomarzał z Kaziem, można było myśleć, że stara się usilnie, aby brak dziewczynek niezbyt dotkliwie czuć się dawał w rodzinie.

— Tereniu — mówiła dnia jednego Lenka, układając kajety i książki po skończonej lekcji — wiesz, co mi przyszło dziś na myśl?

— Skądże wiedzieć mogę — odpowiedziała Terenia, robiąc ołówek jakies znaki w kajecie — już to na domysłność moją w takich razach nie rachuj nigdy.

— Bo ci się myśleć nie chce, wiem o tem, zatapiasz się w książkach, jak mahometanin w koranie, wszystko u ciebie niczem, co nie jest lekcją, a te lekcje, mówiąc między nami w największym sekrecie, czasami są dosyć nudne.

— Tak mówisz, a myślisz inaczej — rzekła Terenia, kładąc ołówek — nie ma już chyba pilniejszej uczennicy nad ciebie.

— To swoją drogą moja Tereniu, chociaż o pilność pośadasz mnie może niesłusznie — mówiła, śmiejąc się, Lenka — uczę się, to prawda, ale podobno dlatego, że nauki przychodzą mi z łatwością, nad żadną lekcją nie męczę się i nie pracuję zbyt ciężko, widzisz więc, że niema w tem wielkiej zasługi. Ale mniejsza o to, moja Tereniu, moja złota, zgadnij, co ja mam na myśli.

— Jak cię kocham, Lenko, nie zgadnę, powiedz mi lepiej odrazu — prosiła Terenia — wierzaj mi, że tego zmysłu nie posiadam zupełnie.

— Niechże i tak będzie — rzekła Lenka — oto chciałam cię prosić, ale prosić bardzo usilnie, abyś z nami na Święta Bożego Narodzenia pojechała na wieś.

— O! Lenko, nie wymagaj tego po mnie — zawołała Terenia, składając ręce — kocham cię tak bardzo, że niewymownie mi przykro odmówić ci czegokolwiek, a jednak, pomyśl sama, czy mogę to uczynić?

— Wiedziałam, że ta moja wielka prośba tak się skończy, ale doprawdy ani wiem, jak ja bez ciebie dam sobie radę przez tę parę tygodni.

— Przecie jedziesz do ukochanej przez siebie cioci i tam masz siostrzyczki, równe ci wiekiem, w ich towarzystwie ani pomyślisz o mnie — mówiła Terenia, porządkując również swe książki.

— Ani pomyślę o tobie! — powtórzyła Lenka z odcieniem żalu — piękna przyjaciółka z ciebie, i gdybym wierzyła, że mówisz to serjo, gotowabym się rozplakać

— Ty wiesz, Lenko, że ja cię bardzo kocham, ty jesteś moją pierwszą, jedyną przyjaciółką po Hance — mówiła Terenia poważnie — więc powinnaś wierzyć w to, że wszystko, co mogę uczynić dla ciebie, uczynię. Ale ja mam matkę, Lenko, którą nie mniej kocham, jak ty swoją, postaw się więc w mojem położeniu, i powiedz, co byś uczyniła?

— Ach! nie pytaj mnie — zawołała Lenka, rzucając się na szyję Tereni — jedź, jedź, jedyna, bo i ja zawsze przez ogień i wodę śpieszyłabym do mej mateńki najdroższej. Myśląc o tobie, cieszyć się będę, że jesteś przy swej matusi.

— Wiedziałam, czem cię przekonać mogę, poczcziwe twe serduszko zrozumiało mię, gdyś sobie wspomniała o matce, której nam nikt zastąpić nie potrafi; czy prawda, Lenko?

— O, ty wiesz, że prawda, ja dla mojej mateńki wyrzekłabym się świata całego. Ach! to moja serdeczna, ukochana mateńka, jak ja ją kocham, Tereniu, to sobie wyobrazić trudno — mówiła Lenka z ożywieniem.

— Mylisz się, Lenko, to sobie bardzo łatwo właśnie wyobrazić, bo każdy matkę swą tak samo ceni i kocha, i niema chyba dziecka, któreby inaczej myślało.

— Ty zawsze musisz mieć słuszność, moja Tereniu, bo ja mam na myśli tylko siebie, a ty zaraz świat cały; jesteś tysiąc razy lepsza i mądrzejsza odemnie. No, więc stanęło na tem, że jadę bez ciebie do Orlinka, co swoją drogą budzi żal we mnie, że nie poznasz mej ukochanej, ślicznej cioci. Powia-

dam ci, żebyś się zdumiała, jaka ta ciocia piękna jeszcze, chociaż ma córki takie, jak ja, a nawet Henia o pół roku starsza.

— Może to się da powetować choć później — rzekła Terenia.

— Bez wątpienia, ciocia zawsze przyjeżdża w styczniu na imieniny babuni, więc ją poznasz. Chciałabym również, żebyś poznała Henię i Reginkę, jestem ciekawa, co o nich powiesz.

— Poskrwiam ciekawość na te dwa miesiące — rzekła z uśmiechem Terenia — a tymczasem słyszę, że ktoś dzwoni, pewnie Hanka przychodzi, bo to dziś dzień jej odwiedzin u nas. Pilnujemy się wybornie porządku.

To mówiąc, dziewczynka pobięła naprzeciw wchodzącej już we drzwi Hanka z p. Jadwigą.

VII.

Wesoła nowina.

Śnieg gęstymi płatami padał na ziemię, powietrze ciche i łagodne, bez najmniejszego wiatru, przygnębiało niejako swą martwością. Mrok już zapadł zupełny, a na wsi o tej porze ustaje ruch i gwar pracy dziennej. I w wiosce, do której wprowadzamy chytelnika, cisza panowała zupełna, nawet psy pochowały się po budach lub budynkach gospodarskich, a w podwórzu dworskiem widać było tylko stróża, który, wsunawszy kaptur od burki na głowę, chodził wolno między stajniami i stodołami. Czasem przystanął, spojrzał na dwór duży, którego połowa, oświetlona jasno, budziła w nim tajone pragnienie spoczynku w ciepłym pokoju, ale po chwili kiwnął głową i szedł dalej, mając za towarzysza wielkiego psa kudłatego, otrząsającego się co chwila ze śniegu.

We dworze było wesoło; w dużym pokoju, oświetlonym wiszącą lampą, przy długim stole, który stał na środku, siedziało kilka osób zajętych rozmaicie. Młoda jeszcze, piękna kobieta rysowała jakiś desenik, czemu się bardzo pilnie przy-

glądał mały chłopczyk, stojący na stołeczku, wsparłszy na ręce jasną kędzierzawą główkę. Po prawej stronie siedziała nie pierwszej już młodości osoba, miłej, inteligentnej twarzy i na długich drewnianych drutach robiła pas z kolorowej wełny. Za nią czternastoletnia może panienska przyglądała się rozłożonej przed sobą robocie, a uśmiech zadowolenia jaśniał na jej twarzy na widok delikatnej koronki, która była dziełem pracowitych jej rączek. Po drugiej stronie stołu dwie dziewczynki zajęte były zwijaniem kolorowej bawełny. W końcu stołu, na wysokim krzeselku, siedziało śliczne, białe, tłusciutkie dzieciątko, bawiąc się ciężkimi kryształowymi kulkami, które mu stojąca za krzesłem niańka przesuwiała po stole.

— Mamo — rzekł chłopczyk, stojący przy młodej kobiecie — czy tatuś wróci dziś do domu?

— Wróci — uprzedziła matkę w odpowiedzi dziewczynka, trzymająca bawełnę — słyszałam, jak tatuś mówił do mamy, że wróci, choć może bardzo późno.

— O, już to Bronisia wszystko zawsze słyszeć musi — rzekła najstarsza z panienek.

— Wcale nie wszystko — odpowiedziała dziewczynka — bardzo chciałam wiedzieć, co pani dziś po obiedzie mówiła po cichu do ciebie, a nie mogłam usłyszeć.

— Szkoda, byłabyś się czegoś ciekawego dowiedziała; czy prawda, proszę pani? — dodała, zwracając się do siedzącej obok nauczycielki. — Bronisia bardzo dużo na tem straciła, że nie mogła tego usłyszeć.

Zapytana z uśmiechem spojrzała na małą, której oczki błyszczała ciekawością.

— Ach, Reginko, daj pokój — odezwała się dziewczynka zwijająca bawełnę — Bronisia spać nie będzie mogła, myśląc o tem, co ci pani opowiadała po obiedzie.

— A ty, Heniu, niby nie jesteś ciekawa — rzekła dziewczynka z małym marsikiem na czole — nawet i Reginka ciekawa, choć się ze mnie śmieje. E, ja myślę, że wszyscy ludzie na świecie są ciekawi — mówiła dalej, jakby się pocie-

szając — bo sama słyszałam, jak mama mówiła dziś rano: „Ciekawa jestem czy Wałentowa zdrowsza?” a już kiedy mama ciekawa, to i mnie to nic nie szkodzi. Czy prawda, mamusi?

— Są rozmaite ciekawości, moje dziecko — rzekła młoda, ładna pani, która była matką siedzących koło stołu dzieci — czasem ciekawość jest konieczną, a czasem znów bywa bardzo naganną.

— A czy moja ciekawość jest konieczną czy naganną — zapytała dziewczynka, spuszczając ostatnią nitkę i zbliżając się do matki.

— Jak czasem — rzekła matka — jeżeli pragniesz się dowiedzieć, co mówią do siebie pocichu dwie osoby, to ciekawość twoja jest naganną, bo jeżeli kryją coś przed nami, a mianowicie starsi, to rzeczą jest bardzo brzydką chcieć się koniecznie tego dowiedzieć i wypytywać natarczywie.

— Ja się nigdy o nic nie pytam — rzekł chłopczyk, prostując się i spoglądając z dumą na siostry — ja nigdy niczego nie jestem ciekawy, a jak mi pani dziś powiedziała, że mi pokaże w książce coś bardzo ładnego, to sam powiedziałem: dziękuję pani, nie jestem ciekawy.

Na te słowa malca wszyscy śmiać się zaczęli, nawet małe dzieciątko śmiało się i klaskało w rączki.

— W tym razie, mój synku, ciekawość nie byłaby naganną, bo nigdybyś nic nie umiał, gdybyś zawsze był tak nieciekawy do książki — rzekła matka, odgarniając białą ręką zwijające się nad czołem dziecka, jasne, miękkie włosy. — Wiesz więc, Bronisiu, że tu ciekawość jest potrzebną.

Wtem zaszczekał głośno pies stróża, na to hasło powybiegały i inne z ukrycia i zawtórowały chórem, a po chwili dały się słyszeć dzwonki, ogłos ich coraz się zbliżał i umilkł przed dworem.

— Tatuś przyjechał, tatuś! — zawołały wszystkie dzieci, powstał hałas odsuwanych szybko krzesel, ale zanim zdążono

wyść do sieni, drzwi się otworzyły i przybyły wszedł do pokoju, ocierając chustką twarz i wąsy, zmoczone śniegiem.

Był to mężczyzna, mogący mieć lat czterdzieści parę, dosyć otyły, lecz przystojny i miłej powierzchowności. Witął wszystkich z tą serd czną rodością, jakiej doznaje każdy wróciwszy między ukochanych swoich, wiedząc, że go tam czekają z utęknieniem i powitają radośnie.

Ożywiło się bardzo gronko rodzinne, tyle było do powiedzenia, przez te trzy dni niebytności ojca w domu dużo zaszło zmian różnych, a nawet stał się i wypadek, o którym zaraz opowiedziała Bronisia, jako osoba, wszystko wiedząca i o wszystkim lubiąca najpierw opowiedzieć.

— A wie tatuś, co się tu wczoraj stało — mówiła, chwytając ojca za rękę, aby go zmusić do większej uwagi — wczoraj był u nas straszny wypadek, doprawdy nawet okropny.

— Straszny wypadek? — powtórzył, patrząc z niepokojem na żonę — czy istotnie, Kamiliu, stało się coś złego?

— Bądź spokojny, mój drogi — odpowiedziała z uśmiechem — ale niechże już Bronisia opowie o tym strasznym wypadku, skoro mówić zaczęła.

— Bo jakby nie powiedziała — rzekła Henia — to mógłby być większy wypadek, skurczyłby jej się jęczyzek i dopiero byłaby bieda.

Dziewczynka zawstydziła się trochę i posmutniała.

— No mów, córeczko — rzekł ojciec — jestem mocno ciekawy, co to za straszny wypadek zdarzył się podczas mej niebytności w domu.

— A widzisz — zawołała Bronisia z rozjaśnioną buzią. — Tatuś jest mocno ciekawy, a mówicie, że to tylko ja ciekawa.

— A ja i tego wcale nie jestem ciekawy — rzekł znów chłopczyk — chociaż to było takie zabawne, jak się sanie z drzewem przewróciły na podwórzu, a fornał wpadł w śnieg, że go widzieć nie było. Prawda, tatusiu, że to było ciekawe zabawne, a ja jednak nie jestem ciekawy. No powiedz, Bronisiu.

— Tak, kiedy już powiedziałeś — odrzekła zachmurzona.

— I któryż to fernal jechał tak nieuważnie, żeby na podwórzu, gdzie jest przecie równo, przewrócić sanie? — zapytał ojciec dziewczynki.

— Waligóra, tatusiu, oglądał się za siebie, a tymczasem wjechał na jakieś drzewo, co to leży do budowli, no i przewrócił — mówiła prędko Bronisia.

— Ale czy się sam nie pokaleczył? może go drzewo z sani przygniotło? — zapytał ojciec, zwracając się do żony. — Czy mu się nic nie stało, duszko?

— Prócz wstydu, że go ekonom połajał za nieuwagę, nic mu nie było — odpowiedziała z uśmiechem — otóż widzisz, jaki to straszny był wypadek.

— Ba, jak co opowiada Bronisia — szepnęła Henia do nauczycielki — to wszystko przybiera rozmiary olbrzymie, ona z muchy gotowa zrobić wielbłąda.

— Oduczymy ją powoli od tego — odrzekła nauczycielka — bo to, co nas dziś w niej bawi, w przyszłości mogłoby wyrosnąć w brzydką i szkodliwą wadę.

Rozmowa przeszła na inny przedmiot, pan Zygmunt B., bo chyba się czytelnicy domyślają, że to on był mężem Kamilki i ojcem poznanej co dopiero dziatwy, zaczął opowiadać o swej podróży i w końcu zwiastował bardzo wesołą nowinę, że na Boże Narodzenie przyjadą i dziadziusiowie z Wirówki i wujostwo z Warszawy. Co to było radości! co klaskania w rączkę małej dziatwy, do czego bardzo czynnie należała Bronisia, chociaż miała lat siedm skończonych. Ale Bronisia miała powód do tej radości największy, bo chociaż i dziadus i babcia nie chcieli tego okazać, każdy to jednak mógł widzieć, że dziewczynka była ich wielką faworytką. Gadatliwe, a mimo to egzaltowane dziecko, było tak niewyczerpane w okazywaniu swej miłości i przywiązania dla tych zacnych, ukochanych dziadków, że niepodobna było oprzeć się temu urokowi, jakie wywierało.

Było więc o czym mówić przez cały wieczór, rachowano

dni i godziny niemal, które upłynąć miały do powitania upragnionych gości, a kto wie, czy sen nie był dalszym ciągiem tej uciechy, jaką sobie obiecywali wszyscy na Boże Narodzenie.

Jesteśmy więc w Orlinku, w kółku dobrych naszych znajomych, z którymi nie widzieliśmy się przez lat ośmnaście. Długi to przeciąg czasu, a jednak z tych wszystkich osób zabrakło jednej tylko, pocziwej, dobrej, szlachetnej nawet w swem poczuciu, Maciejowej. Zwałnione siły, mimo wygod, jakimi ją otaczano, nie dopisały jej długo. i czysta ta dusza poszła do Boga, zostawiając za sobą żal szczery i łzy nieklamane tych, którzy ją kochać i cenić umieli.

Ale wróćmy do Zygmunta, któregośmy zostawili w Wierówce, po odjeździe gości z Warszawy, lat temu ośmnaście, i w krótkości przejdźmy czas upłyniony aż do chwili obecnej.

Państwo B., oceniając rzeczywiste przymioty Kamilki, nie opierali się bardzo serdecznej prośbie syna, za którym przemawiała gorliwie i siostra jego, zezwolili na małżeństwo, chociaż, jeżeli prawdę wyznać mamy, w głębi duszy marzyli o świetniejszej partji dla swego Zygmunsa.

— Panna bez posagu — mówili do siebie czasem w poufnej gawędce — a do tego wychowana w mieście, czyż może być dobrą gospodynią wiejską?

Ale, widząc, że Zygmunt upatrywał dla siebie w tym związku szczęście, nie chcieli nawet zbytecznemi uwagami sprawiać mu przykrości.

— Przyucz się niedługo — mówiła Mania — przecież to nie taka znów filozofia, i będzie lepszą gospodynią, niżeli niejedna na wsi wychowana panienka.

I w lat dwa potem, panna Kamila Witecka została żoną Zygmunta B. i zamieszkała w Orlinku. Z początku Borosia, tyloletnia gospodyni i samowładna pani w Orlinku, niebardzo chętnem okiem spoglądała na młodą panią, której wielką już było wadą, że nie wносиła w dom Zygmunta owych wymarzonych przez Borosię setek tysięcy rubli, ani nawet sreber bogatych. Ale powoli, gdy poznała, jakie to skarby złożone są

w sercu i duszy tej młodej kobiety, gdy spostrzegła, jak młoda pani garnęła się do niej z ufnością, jak zasięgała w najdrobniejszych szczegółach jej rady i słuchała pilnie wykładów rozmaitych sekretów gospodarskich, Borosia wkrótce pokochała ją prawie tak, jak Zygmunta, i często mówiła o niej do starszej pani, z Wirówki:

— Nasza Kamilcia to czyste złoto, proszę pani.

Kamilka a obecnie pani Zyguntowa, jak ją już nazywać odtąd będziemy, zabrała się do gospodarstwa wcale nie na żarty. Z gorączkową niemal chciwością słuchała wszelkich objaśnień Borosi, nie wahała się radzić we wszelkich wątpliwościach matki mężowskiej i wkrótce młoda pani z Orlinka zasłynęła jako wzorowa gospodyni. Zajęła się gorliwie zaniedbaną trochę pasieką, zaczęła sprowadzać ule, wystarała się o dobrego i umiejętnego pasiecznika, bo postanowiła sobie, że wielkie korzyści z tej gałęzi gospodarstwa ciągnąć będzie. Zygmunt uśmiechał się, patrząc na to, niedowierzał wytrwałości swej młodej żony, Borosia kiwała głową z podziwieniem i przejmowała się zapalem pani, a nawet się nie spostrzegła pocziwa i dobra kobieta, jak sama w bardzo krótkim czasie przychodziła w najdrobniejszej rzeczy po radę do tej, którą nie tak dawno zaczęła uczyć prawie abecadła gospodarstwa wiejskiego.

W Wirówce to krzatanie się i gorliwą pracę synowej uważano za zabawkę, za chwilowe upodobanie i zajmowanie się nowością, uśmiechano się potrochu tajemnie i wkrótce przestano zwracać uwagę na młodą gospodynię, która jednak nietylko nie ustawała, lecz coraz gorliwiej zajmowała się pracą. Wprawdzie było jej z czasem trudniej samej doglądać wszystkiego, przybywały dzieci, które potrzebowały starania i opieki matki, ale i wtenczas nie opuściła swego ulubionego już gospodarstwa i wszystkiemu podolać pragnęła i podolała, bo pani Zygmuntowa wychowana była w szkole poświęcenia i wytrwałości.

— Muszę podwajać mą pracę — mówiła lub pisała nieraz do starszej swej siostry — nie wniosłam w dom męża po-

sagu, ale nikt nigdy nie powie, że używałam majątku mężowskiego niechętnie, że doprowadziłam go do upadku mą bezczynnością.

I nie opuszczała rąk ani na jedną chwilę, nie zaniedbywała się nigdy w niczem, bo wiedziała i rozumiała to dobrze, że czasem jeden tydzień niedozoru i niedbalstwa może wielkie szkody zrządzić w gospodarstwie, choć tego w pierwszej chwili obliczyć trudno. Przyzwyczajono się powoli do tego jej krzątania cichego, z którem się nigdy nie chwaliła przed nikim, ani robiła z tego rozgłosu, i nie badano, czy to krzątanie przynosi jej jakie korzyści lub nie, sądzono, że może i ma jakie małe dochody, które obraca znów na drobne domowe wydatki. I lata płynęły, p. Zygmuntowa wciąż gospodarowała z jednakową gorliwością i wytrwałością, a wkońcu najmniejszej już na to nie zwracano uwagi, więc i my nie zajrzymy jeszcze w jej rachunki, aby się dowiedzieć, jaki jest skutek kilkustoletniej jej pracy, o czem dowiemy się w krótkim czasie przy nadarzonej sposobności.

Nadeszły wreszcie upragnione święta Bożego Narodzenia i oczekiwani tak niecierpliwie goście zjechali do Orlinka. Byłoby rzeczą zbyteczną opisywać radość przy powitaniu, bo ko muż nie zdarzyło się wyczekiwać, to drogiej babuni lub dziadusia, to cioci, wujaszka, i tych miłych, kochanych siostrzyczek i braciszków. Wesoło więc było w Orlinku, bo wszyscy obienicy dotrzyмали i zjechali na dzień oznaczony.

W drugie święto, gdy całe młode towarzystwo zajęte było w salonie zabawą w gry rozmaite, a babunia, siedząc na kanapie, odbierała fanty, patrząc z rozkoszą na gromadkę ukochanych wnucząt, w sypialnym pokoju pani domu, oświeconym przysłoniętą trochę lampą, p. Zygmuntowa, siedząc na niskim szesławgu, usypiała na kolanach małą dziecinę a przy niej, wsparta jedną ręką o stolik, si. działa zamyślona doktorowa Z. Na twarzy jej widoczny był jakiś niepokój, jakaś troska dawno już nieznana. Po chwili milczenia, spowodowanego płaczem dziecięcia, które jeszcze i teraz otwierało niekiedy senne oczęta,

pani Zygmuntowa zwróciła się do siostry i cichym głosem rzekła:

— Wierzej mi, Reginko droga, to nie żadne przywidzenie, coś ciąży nad nami, lękam się każdego dnia, gdy rano otworzę oczy, bo zdaje mi się, że jakieś nieszczęście, jakiś cios w tym dniu spotkać nas może. Widzę jak z dniem każdym Zygmunt jest więcej przygnębiony, uważam, jak przymusza się, by zachować zwykły spokój i humor, a mimo to spostrzegam, że jakiś smutek, jakaś troska ciężka przygniata to zacne, szlachetne serce.

— Czyż nie powinnaś, moja droga, zapytać wprost twego męża o przyczynę tej zmiany? — rzekła starsza siostra, tłumiąc westchnienie, bo i ona dostrzegła tą zmianę w swym szwagrze, chociaż nie chciała się wydać z tem spostrzeżeniem, aby nie trwożyć więcej i tak mocno zaniepokojonej młodej kobiety.

— O, pytałam go o to, błagałam ze łzami, ale zawsze odpowiadał z wesołym na pozór uśmiechem, że to moje przywidzenie, prosił, abym była spokojna, bo póki on żyje, żadne niebezpieczeństwo grozić nam nie może — odpowiedziała smutnie. — A jednak Zygmunt coś tai przedemną, czuję to, chociaż odgadnąć nie mogę.

— Czy nie jakie kłopoty pieniężne mącą mu spokój? — zapytała p. Z.

— O nie — odparła, wstrząsając głową żona Zygmunta — na Orlinku niema żadnych ciężarów, mówiliśmy o tem nieraz z Zygmuntem; gdyby były, powiedziałby mi przecież, gdyż w takim razie musielibyśmy porobić pewne oszczędności. Trwożę się, droga Reginko, więcej może, niż gdybym wiedziała dokładnie co nam rzeczywiście zagraża.

— Czy tylko nie uroiłaś sobie, kochanko, tej zmory dręczącej — zapytała p. Z., przybierając ton weselszy i swobodniejszy, gdyż zaczęła podejrzewać wrażliwą zawsze od lat najmłodszych siostrzyczkę, czy istotnie nie wytworzyła sobie zmartwienia, jeśli nie było prawdziwej przyczyny, na której możnaby jej podejrzenia oprzeć.

Ale młoda kobieta znów przecząco wstrząsnęła głową a, przymuszając się do uśmiechu, rzekła:

— Niedobra jestem, gdyż niepotrzebnie zakłóciłam ci spokój, może daremnie nawet. Ale tak przywykłam zawsze dzielić się z tobą, najlepsza moja siostrze, wszelkimi memi myślami, że i dziś tej potrzebie serca oprzeć się nie mogłam. Tyś mi była matką, tyś mi była wszystkim na świecie, ciebie od lat najmłodszych ukochałam po Bogu najgorętszą miłością i z utęsknieniem oczekuję chwili, w którejbym ci mogła po dawnemu otworzyć serce i wyrzucić z niego wszelkie niepokoje i smutki, jakie się nagromadzą przez czas naszego niewidzenia.

To mówiąc, pochyliła się do ręki siostry i do ust ją ze czcią przycisnęła.

— Co robisz, Kamilko — rzekła rozrzuwiona p. Z., tuląc w objęciu matkę i dziecię, a chcąc rozmowę zwrócić na inny przedmiot, aby usunąć ślady łez z twarzy siostry, dodała żartobliwie: — Ty, matka pięciorga dzieci, całujesz w ręce mnie, która ledwie jedną córką pochlubić się mogę; to twojej powadze ubliża.

— Ślady stóp twoich, siostrze moja, winnam całować — wyrzekła z zapalem młoda kobieta, kładąc dziecię do kolebki — wobec ciebie zawsze pokorę dziecka zachować mi należy, choć i siwizna me włosy pokryje.

Uścisk serdeczny, długi, połączył te dwie kobiety godne siebie, bo i ta, co z lat upływem nie zapomniała o wdzięczności, co przechowała w pamięci i sercu świadczone dobrodziejstwa, równie była szlachetną i zacną.

W tej chwili wbiegła Bronisia, wołając odedrzwi:

— Matusieńko, chodź tylko prędzej, ale to bardzo szybko, coś okropnego się stało!

Pani Z. z trwogą obejrzała się na małą zwiastunkę jakiejś strasznej wieści, ale matka dziewczynki, znająca dobrze gadatliwą swą córkę, rzekła uspakajająco:

— Nie lękaj się, siostrze, nic się nie stało wielkiego, może któremu z nich zawadziła się noga a dywan lub krzesło, a co

najwięcej stłukła się szklanka lub filiżanka, i to właśnie ów wielki wypadek.

Ale dziewczynka nie straciła nic ze swej fantazji, błyszczące oczy i zarumieniona buzia świadczyły aż nadto, że wypadek musiał być niezwykły.

— Aha, filiżanka! — zawołała, chwytając ciotkę za rękę — niech tylko ciocia idzie, a przekona się, co to Lence się wydarzyło.

Bładość okryła twarz doktorowej, nogi się po nią zachwiały, nie mogła kroku postąpić, myśl, że jej Lenkę spotkał jakiś okropny wypadek, sił ją pozbawiła, i ledwie wyszeptać zdołała:

— Moja Lenka, co się stało mojej Lence?

— Lence, ciociu, nic się nie stało — rzekła zmieszana trochę bładością ciotki dziewczynka — tylko ... tylko Lenka wylała całą szklankę wody na swoją nową sukienkę.

Mimo przerażenia, jakiego doznała p. Z. nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, spojrzawszy na zakłopotaną minę dziewczynki.

— Niedobre dziecko — rzekła matka — tyle już razy napominaliśmy cię, abyś była umiarkowaną w opowiadaniu, nie poprawiasz się jednak. Widzisz, jak przeraziłaś ciocię, ona jeszcze nie wie, co znaczą twoje okropne wypadki, które na nas nie robią już żadnego wrażenia.

Bronisia rozplakała się.

— Mój Boże — mówiła, łkając — czyż to nie wypadek? Lenka nowiutką sukienkę oblała od góry do dołu, całą, calutką oblała, aż z niej woda ciecze.

— Myślę, że i w tem połowa będzie prawdy — rzekła matka, wruszając zamionami — Bronisi niezadługo w całym domu nikt wierzyć nie będzie.

— Alboż kiedy skłamałam? — rzekła dziewczynka, marszcząc brew, co ją nadzwyczaj czyniło podobną do matki — ja zawsze prawdę mówię, ja nigdy nie kłamię, ciotuleńko.

Na te słowa Lenka z Henią weszły do pokoju.

— Oho, już pewnie Bronisia opowiedziała o okropnym wypadku, jaki spotkał Lenkę — rzekła Henia wesoło — byłam pewna, że ta zwiastunka wszystkich strasznych wieści pobiegła, jak iskra elektryczna opowiedzieć o tem nowem nieszczęściu.

Doktorowa wyciągnęła ręce do swej pieszczonej jedynaczki, a dziewczynka utuliła się w jej objęciu.

— Jeżeli tak wszyscy na mnie — rzekła Bronisia — to choćby się świat przewrócił, nie powiem nikomu ani słówka; a przecież mówię zawsze prawdę.

— Przepróś ciocię za chwilowy przestrah — rzekła łagodnie p. Zygmuntowa — ciocia się bardzo przejęła, myśląc, że Lence naprawdę wydarzył się jakiś straszny wypadek.

— Istotnie straszny — rzekła Lenka — piłam wodę, bujęła mi się szklanka, oblałam sobie cokolwiek sukienkę, ale się nie splamiła, mateńko, i już sucha zupełnie.

Heni żał się zrobiło małej gadulskiej, która stała zawstydzona, mimo, że śmiało patrzyła po wszystkich; przecież mówiła prawdę, tylko trochę przesadziła; nie myślała o tem, że rzecz tak mała na pozór czasami wiele złego uczynić może. Henia zbliżyła się więc do siostrzyczki i przyprowadziła ją do matki.

— Niech mateczka daruje Bronisi, ona nie widziała dobrze, jak to tam było z tą wodą.

Tym razem *straszny wypadek* zakończył się wesoło, wszyscy się śmieli i powrócili do sali, aby kończyć chwilowo przerwana zabawę.

— Czy wiesz — mówiła Lenka do Heni — gdy usiadły przy małym stoliczku, chrupiąc jak wiewiórki orzechy i różne bakalie — znalazłam nareszcie przyjaciółkę; tak zawsze pragnęłam przyjaciółki, a nie miałam jej dotąd. Chciałabym bardzo, abyś poznała moją Terenię.

— Ja nie chcę innej przyjaciółki, prócz ciebie — odpowiedziała Henia z lekkim odcieniem zazdrości w głosie — kocham cię, jak siostrę i jak przyjaciółkę.

— Alboż ja nie kocham cię, Heniu! — zapytała Lenka ze zdziwieniem — ale widzisz ta Terenja, to taka niezwykła jakaś, niepodobna do ciebie, do mnie i do nikogo znanego mi dotąd. Jestem pewna, że pokochasz ją tak samo, jak i ja.

— Więc to jakaś cudowna istota — rzekła Henia głosem, nie znamionującym zbyt wiele sympatji dla nieznajomej przyjaciółki Lenki — powiedzże mi, co się w niej osobliwego dopatrzyłaś?

— Nie umiem ci tego określić; panna Jadwiga nazywa ją idealnem stworzeniem — odrzekła Lenka. — Wyobraź sobie dziewczynkę bladą, szczupłą, wysoką, o dużych pięknych oczach, a taką łagodną, taką dobrą, że chyba nie ma ani jednej wady.

— Musi być szalenie nudna — mówiła nieprzejednana jeszcze temi pochwałami Henia — wyobrażam sobie, że jest mdła, jak lukrecja smażona.

Lenka na te słowa okazała trochę niezadowolenia, i rzekła na pozór obojętnie:

— Jak ją poznasz, będziesz wtedy sąd wydawać, teraz mówisz z uprzedzeniem niesłusznem.

— Zabrała mi twe serce i przyjaźń — odpowiedziała tamta z goryczą.

— Nie, Heniu moja, Terenia nic nie zabrała, co było twojem. Terenia cię nawet kocha, choć zna cię tylko z mego opowiadania.

— Dziękuję, mam jednak przeczucie, że nie będziemy przyjaciółkami — odpowiedziała Henia.

— Szkoda, a ja myślałam, że my trzy będziemy stanowiły wieczną, nierozrwaną przyjaźń — rzekła Lenka ze smutkiem.

Dalszą rozmowę przerwał służący, oznajmiając, że kolacja podana, i obiedwie panienki rade były temu, gdyż dłuższa pogawędka mogła się skończyć wcale nieprzyjemną sprzeczką.

Cały czas gościom w Orlinku zszedł miło i wesoło, ale zbliżał się dzień odjazdu, co wywoływało chmurki na czoła dzieci.

Im się zdawało, że święta takie choć miesiąc trwać powinny, a tu po tygodniu wszyscy myślą o odjeździe.

— Ach! ten czas pożyczył chyba skrzydeł od jaskółek — utrzymywała Bronisia, siedząc na kolanach dziadusia — a kto układał kalendarz z takimi krótkimi świętami, nie musiał być bardzo mądry — zakończyła poważnie.

VIII.

Tajemnica p. Zygmunta i posag jego żony.

Na dzień przed odjazdem państwa B. do Wirówki, gdy Zygmunt odprowadzał rodziców, udających się wcześniej trochę, niż zwykle na spoczynek, ojciec przytrzymał go za rękę, gdy mu syn mówił „dobranoc“ i rzekł:

— Zostań jeszcze, mój synu, mamy z tobą trochę do pomówienia.

Pan Zygmunt postawił świecę na stole, widocznem jednak było, że do tej rozmowy niewiele miał chęci.

— Siadaj tu przy mnie — rzekła matka — bo weźmiemy cię na egzamin, musisz nam wszystko powiedzieć szczerze i otwarcie, o co pytać będziemy.

— Czy zasiadam, jako winny? — spytał pan Zygmunt z uśmiechem, chcąc żartobliwym tonem uczynić rozmowę mniej poważną, bo po części domyślał się, o co rodzice pytać będą.

— Jako winny tajemnia czegoś przed rodzicami — powiedział ojciec, nakładając sobie ulubioną fajeczkę.

— Tak, mój synu, widzimy to nie od dzisiaj, że masz jakieś zmartwienie, a my starzy nic o tem nie wiemy. A przecież nigdy nie miałeś przed nami sekretów, dlaczego dziś jest inaczej?

— Moje dziecko — rzekła matka, biorąc obie jego ręce i patrząc mu w oczy, jak czyniła wtedy, gdy ten był jeszcze małym chłopięciem, i miał się przyznać do wyrządzonej jakiej niewinnej zwykle psoty — tak, moje dziecko, musisz

nam dziś powiedzieć wszystko, dlaczego jesteś tak zmieniony, chociaż tego okazać nie chcesz. Ale przed oczami rodziców, mój synu, nie ukryje się troska dzieci, kochające oko matki dostrzeże smutek choć najtroskliwiej ukrywany. Ty masz jakieś zmartwienie ciężkie, które taisz, ale dziś nie puścimy cię, aż nam wszystko opowiesz. Uczynisz to, Zygmusiu, prawda? — dodała proszącym głosem staruszka, bo już w bardzo podeśzłym wieku była matka Zygmunta.

— Ależ, moja droga matko, chyba muszę wymyślić jakie zmartwienie, bo rzeczywistego nie mam — mówił wesołym jeszcze głosem — daremnie się kochani rodzice trwożą i niepokoją, nic mi nie zagraża dotychczas.

— Nie mówisz prawdy, mój chłopcze — rzekł ojciec. — Może to się utaić przed młodem okiem żony, ale nie przed doświadczonym wzrokiem rodziców.

Zygmunt westchnął z cicha, to młode oko żony dawno już przeniknęło jego wewnętrzny smutek, który tak starannie taił przed wszystkimi. Ale teraz wiedział, że musi przyznać się rodzicom do trosk swoich, o których tak ciężko mu było mówić nawet przed nimi. Miłość głęboka ku rodzicom i żonie zamykała mu usta, nie chciał ich martwić smutnem swem położeniem, nie chciał im zatruwać spokoju, bo wiedział, że na to poradzić nie mogą.

Jakim jednak sposobem człowiek tak rządny, gospodarny, człowiek nie lubiący tracić na zbytki, znalazł się w tak krytycznem położeniu? Nie trudna na to odpowiedź: położenie powoli stawało się coraz gorsze, a jedna pożyczka na wysoki procent pociągała za sobą inne, i tak obciążał się majątek nieznacznie okropnymi długami. Przytem jednego roku chybił urodzaj, drugiego był pomór na bydło, innego znów grad wybił najpiękniejszą pszenicę; były to więc klęski wielkie, których znaczenie ukrywał p. Zygmunt przed rodzicami i żoną. Było w tem i dумы szlachetnej dużo, wiedział bowiem, że gdyby o położeniu jego dowiedział się doktor Z. byłby pośpieszył mu z pomocą, bo był człowiekiem bogatym i zacnym, ale na samą

myśl pomocy od męża Reginki, na czoło jego występował rumieniec, i wołał sam do siebie: „Nie, nigdy od niego!“ Pamiętał dobrze słowa siostry swej żony, które wymówiła niegdyś: „Nigdy i za nic nie narzuciłabym najlepszemu, najzaczniejszemu człowiekowi wychowania i utrzymywania mej rodziny, to duma moja, i tej nie złożę na ofiarę nikomu“, a dziś on miałby narzucać swe interesa, miałby go prosić o pomoc i uczynić to, czego ta kobieta uczynić nie chciała, mimo, że pracowała ciężko i życie jej w trudnych upływało warunkach.

Nie mógł udawać się do nich i dlatego, że lękał się, aby kto nie przypuścił choć na chwilę, że przyczyną jego upadku majątkowego była żona wzięta bez posagu. A może jego rodzice, mimo swej dobroci, mimo wielkiego przywiązania, jakie mieli dla synowej, możeby nie wstrzymali się od wymówki, że sam sobie ten los zgotował, nie mając na nieprzewidzianą złą godzinę zapasowego grosza. To wszystko zamykało mu usta, pracował, zapobiegał, w jednym miejscu pożyczął, w drugim oddawał, ale przyszła chwila, że i pożyczka stawała się trudniejszą. To go gnębiło, martwiło, i chociaż starał się ukryć to w sobie, kochające serca odgadły tajony smutek.

Gdy więc ojciec usiadł na fotelu i powtórzył pytanie o przyczynę widocznego niepokoju i troski, malującej się na twarzy syna, pan Zygmunt przestał się uśmiechać i poważnym rzekł głosem:

— Istotnie, mój ojczy, mam trochę kłopotu pieniężnego; do tej pory dawałem sobie jakoś radę, ale teraz jestem w położeniu bardzo krytycznem.

— Czy aby broń Boże nie masz długu? — zawołała z przestrachem matka — Zygmusiu, powiedz, czy jesteś co komu winien?

— Niestety, kochana mamó, mam dość znaczne nawet długi, których nie widzę sposobu spłacić, a szczególnie jeden jest bardzo naglący, wierzyciel grozi mi zlicytowaniem majątku.

— Boże mój! — zawołała pani B., załamując ręce — biedny mój synu, co poczniesz teraz!

— Nie wiem, daremnie szukam sposobu, aby wybrnąć z tego kłopotu, ale wszelkie moje usiłowania są daremne.

— Jakaż to suma jest tak nagłaça? — zapytał ojciec, stawiając zgasałą fajkę przy ścianie.

— Dosyć znaczna, mój ojczy, idzie tu o dwanaście tysięcy rubli — odpowiedział z przygnębieniem.

— Dwanaście tysięcy rubli! — wykrzyknęła matka — moje dziecko, skądże ty weźmiesz tyle pieniędzy? Towarzystwo zaciągnięte, lasu przez te lat kilkanaście także już część sprzedałeś, więc co teraz zrobisz, biedaku? Ach, gdybyś był wziął posag za żoną...

— Niema dziś o czym mówić, moja droga — rzekł upominającym głosem p. B. — zresztą Kamilka nie przyczyniła się niczem do tego nieszczęśliwego położenia. Kamilka jest wzorową gospodynią, żoną i matką, zarzucić jej nic nie można, a brak posagu jest bez wagi na szali przymiotów naszej synowej.

Pan Zygmunt pochylił się do ręki ojcowskiej a, całując ją rzekł:

— Dziękuję ci, ojczy, za te słowa, ja nigdy ani na jedną chwilę nie pożałowałem mego wyboru; żona moja bez posagu jest bogatszą od wielu krociowych panien.

— Ach, mój Zygmusiu, nie bierz mi za złe tych słów, wymówionych niebacznie — rzekła matka — ty wiesz, jak kocham Kamilkę; ale niepokój mój o ciebie zawładnął mną tak dalece, iż nie wiedziałam prawie, co mówię. Gdybyśmy mogli ci pomódz, nie martwiłabym się ani na chwilę, ale ty wiesz, że zięć nasz, objąwszy Wirówkę, płaci nam tylko dożywotni procent.

— I im nieosobliwie idzie — rzekł ojciec Zygmunta — długów wprowadzić nie mają, ale ledwie koniec z końcem wiążą, a tu wydatki się mnożą, sami chłopcy w szkołach kosztują ich przeszło tysiąc rubli.

— Czy te dwanaście tysięcy, to już cały twój dług, moje dziecko? — badała matka — czy też masz jeszcze więcej?

— Mam jeszcze w drobniejszych sumach dziesięć tysięcy rubli — dodał cichym głosem p. Zygmunt — ale tamte pieniądze nie są pilne i nie na tak wysoki procent, jak te dwanaście tysięcy. Jeżeli tych nie oddam jeszcze z rok, zginę bez żadnego ratunku.

— A czybyś nie mógł pożyczyć od szwagra Kamilki? — zapytała matka.

— Nigdy! nigdy, matko moja, nie powiedziałbym tego nikomu z rodziny mej żony — odrzekł z ożywieniem — Kamilka czułaby się tem upokorzoną, a i siostrze jej byłoby to przykro pewnie.

— Cóż więc zrobić zamysłasz? — zapytał p. B., przygnębiony zmartwieniem ukochanego syna, kręcąc siwe wąsy, co zwykle czynił, gdy był czem bardzo zmartwiony.

— Myślę sprzedać część lasu — odpowiedział ze smutkiem.

— Ależ w takim razie majątek zupełnie straci na wartości — rzekł ojciec, podnosząc się z miejsca — Orlinek i tak posiada mało lasu, gdy sprzedasz kilka włók, z pozostałego nie będziesz mógł czerpać na własny nawet użytek. Gdyby ci przyszło kupować drzewo dla siebie i służących i sprowadzać je tak daleko, byłby to wydatek nadto uciążliwy.

— Cóż więc mam zrobić, mój ojczy? jestem w położeniu bez wyjścia, bo pieniędzy na spłacenie tego długu nigdzie dostać nie mogę. Jeżdżę, staram się, wszystko na próżno, każdy skarży się na ciężkie czasy, na brak kapitału, i już ani wiem, gdzie szukać ratunku.

— U żony — odezwał się głos, drżący wzruszeniem i smutkiem głębokim.

Wszyscy drgnęli, spojrzeli w stronę, skąd słowa powyższe słyszeć się dały i ujrzeni między firankami u drzwi, prowadzących do małego gabinetu, bladą twarz młodej kobiety, która oczami łez pełnemi z wyrzutem spoglądała na męża.

— Kamilko! słuchałaś całej rozmowy! — zawołał ze zmarszczonem czołem p. Zygmunt, zrywając się z miejsca i zbliżając do żony — słyszałaś więc wszystko?

— Tak, Zygmuncie, słyszałam wszystko — odrzekła, a łzy głos jej tłumily — nie podsłuchiwałam jednak umyślnie twej rozmowy z rodzicami. Wiesz — mówiła dalej, postępując na środek pokoju — że od południa cierpiałam mocno na ból głowy, a ponieważ w pokoju sypialnym było gorąco i gwar dzieci drażnił mię mocno, położyłam się więc trochę w gabinecie na kanapie i zasnęłam. Wejście rodziców zbudziło mnie, chciałam się zaraz podnieść i wyjść, ale tak mi było trudno wstać, nie myślałam ani na chwilę, aby w tem było co złego, że jeszcze chwil kilka pragnęłam wypocząć. Gdy jednak zaczęła się rozmowa powyższa, żadna siła nie byłaby mię stamtąd oderwała, i chyba nikt mi tego za złe wziąć nie może. Jestem twoją żoną, Zygmuncie, między nami wszystko powinno być wspólne, a ty postępowałeś ze mną, jak z rozpieszczonem dzieckiem.

Łzy, powstrzymywane siłą woli, płynęły teraz cicho po jej bladym licu, spuściła załamane ręce i stała, jak posąg boleści.

Pan Zygmunt uczuł się winnym, skarga żony zaboląła go, ujął jej rękę i rzekł:

— Chciałem ci oszczędzić zmartwienia, Kamilko.

— Nie wiedziałeś o tem, że martwiłam się więcej, nie wiedząc przyczyny twego tajonego smutku, który od dawna spostrzegłam. Bogu niech będą dzięki, że dowiedziałam się nareszcie prawdy, i że to tylko o rzecz tak małą chodzi.

— O rzecz małą, Kamilko? — zapytała pani B., zbliżając się do synowej — ty to nazywasz rzeczą małą? chyba nie słyszałaś dobrze, że tu idzie o dwanaście tysięcy rubli.

— Słyszałam, proszę mamy — rzekła spokojnie — coby się jednak stało, gdybym nie była słyszała!

— Alboż, co na to poradzisz, moje dziecko? — zapytał sędziwy pan B., oglądając się mimowoli za fajką, bez której

długo obejść się nigdy nie mógł — będziesz się martwiła, a tym sposobem i Zygmuntowi przybędzie zmartwienia.

— Poradzę na to, mój ojcie — mówiła uspokojona już nieco i z uśmiechem spojrzała na męża. — O! Zygmuncie, czyż myślałam choć chwilę, zbierając pieniądze, że one mi tyle szczęścia przyniosą, dając możność wyratowania cię z kłopotu i zmartwienia.

— Ty masz pieniądze, Kamilko? — zapytał zdziwiony p. Zygmunt — ty masz tyle pieniędzy? ależ chyba... — i urwał nagle, nie chcąc wypowiedzieć myśli swej przykrej.

— Chciałeś powiedzieć, że mam chyba gorączkę — rzekła z uśmiechem — nie, Zygmuncie, jestem przytomna i zdrowa na umyśle i raz jeszcze powtarzam, że mam potrzebne ci pieniądze.

Wszyscy ze zdziwieniem spoglądali na młodą kobietę, która, odzyskawszy swój dawny, swobodny i wesoły humor, zapomniała o żalu do męża za tajenie przed nią swego ciężkiego zmartwienia i teraz stała, promieniejąca szczęściem, po przejściu pierwszych chwil smutku i żalu.

— Ależ, dziecko moje, bawisz się z nami w jakieś zagadki — rzekła niecierpliwym trochę głosem matka Zygmunta — powiedz nam raz, kochanko, co to wszystko ma znaczyć.

— To ma znaczyć, mamó kochana — odrzekła poważnie — że z gospodarstwa mego zbierałam i zbieram bardzo znaczne sumy, które mi procent przynoszą. Ty, Zygmuncie, tak mało zawsze zwracałeś uwagi na moje zajęcie, na moje zabiegi w gospodarstwie, że czasem żal miałam do ciebie o to. Wszystkim się zdawało, że ja się bawię tylko, a jednak i z pasieki, i z ogrodu, i z nabiąłu, duże ciągnęłam zawsze korzyści. To nie była zabawka, to była wytrwała praca kobiety, której duma nie pozwalała siedzieć beczynnie, nie wniósłszy w dom męża posagu. Nie mówiłam ci nic o mych oszczędnościach, kochany panie, chciałam cię zadziwić ogromem mego kapitału, gdy córki dorosną; ale skoro się tak stało, że pieniądze te są ci wcze-

śniej potrzebne, bierz je, Zygmuncie, to mój posag — dodała z uśmiechem szczęścia i radości niewysłowionej.

— Twój posag, Kamilko, to twe zacne serce, twój rozum i wytrwałość w podjętej pracy — rzekł ojciec Zygmunta — błogosławioną niech będzie chwila, w której zostałaś córką naszą. Ale, dzieci moje, oboje zgrzeszyliście tajemiem przed sobą rzeczy ważnych. Ty, Zygmuncie, gdybyś był wcześniej o swych kłopotach powiedział żonie, nie byłbyś płacił rujnujących procentów, a ty, moje dziecko, zwierając się mężowi z tych wielkich korzyści, jakie osiągałaś z gospodarstwa, byłabyś mu oszczędziła dużo trosk i zmartwień.

— Prawda, mój ojcie — rzekł p. Zygmunt — ale czyż mogłem na chwilę chociaż przypuścić, że z mojej żony taka kapitalistka? Jeszcze i teraz wierzyć mi trudno, aby istotnie posiadała sumę mi potrzebną. Niepodobna, aby tyle uzbierać mogła.

— I mnie się to zdaje niepodobieństwem — rzekła pani B. — przecież i ja gospodarowałam, zbierało się trochę grosza, ale dwanaście tysięcy rubli, nie, ty się mylisz, Kamilko.

— Słowa me usprawiedliwię rachunkowemi książkami, gdzie każdy grosz niemal zapisany — rzekła ze spokojem p. Zygmunta. — Jestem już lat szesnaście żoną Zygmunta, i pracuję lat tyleż. Wprawdzie nie odrazu pieniądze sypały się do mej szkatuły, ale też jak doprowadziłam gospodarstwo kobiece do tego, że mi zaczęło procentować, tak też już idzie rok rocznie. Proszę się zapytać Borosi, ile my to bierzemy za trzodę, za indyki i gęsi, za masło i sery. A czy sądzisz, Zygmuncie, że ogród nie przynosi mi dochodu? O, i dosyć znaczny nawet; w Lublinie zbyt dobry, i nie darmo co lat kilka robisz mi podarek z jakiego podstarzałego konia, który warzywa moje wywozi do miasta. A pasieka? czy wiesz, mój panie, ile w niej ulów? nie wiesz pewnie dobrze, ty myślisz, że ja ze wszystkiego gotuję miód i zlewam w butelki, chowając je do piwnicy. O nie, mój drogi, ledwie czwartą część obracam na własny użytek, reszta się spienięża. A i te pieniądze muszą

przynosić mi procent, wprawdzie nie lichwiarski, ale godziwy, taki, który nie plami sumienia.

— Ależ Kamilko — rzekł p. Zygmunt zdziwiony coraz bardziej — przecież nie dawałem ci nigdy grosza na ubranie twoje i dzieci, nigdy nie chciałaś nic wziąć odemnie, sądziłem więc, że na to obracasz swoje dochody. I tak podziwiałem twą rachunkowość i gospodarność, nie przypuszczając, byś jeszcze kapitały gromadzić mogła.

— Nie wielka elegantka z twojej żony — odrzekła z uśmiechem — a i córek mych nie przyzwyczajałam do zbyt kownych strojów, nie wydaję więc wiele rocznie na nasze ubranie.

— Gdzież są te twoje pieniądze, kochanko? — zapytała pani B., chcąc wiedzieć coś pewniejszego, zdawało jej się bowiem ciągle, że to sen tylko całe to zdarzenie, sen miły i uspakajający, obawiała się więc przebudzenia i powrotu do troski o byt syna i jego rodziny.

— Pieniądze te wszystkie są u mego brata, Edmund przyrzekł mi tajemnicę i dotrzymuje jej święcie, a przytem zajmuje się obrotem kapitału, odbieraniem procentu, jednym słowem, wszystko spoczywa na jego głowie.

— Czy nie będzie to zbyt niedelikatnością z mej strony — rzekł ojciec pana Zygmunta do synowej — jeżeli zapytam cię, Kamilko, jaka jest istotna suma zebrana przez twą pracę i oszczędność?

— Do dnia dzisiejszego mam rs. czternaście tysięcy pięćset dwadzieścia — mówiła powoli, patrząc z uśmiechem na męża.

— Czternaście tysięcy! — wykrzyknęli oboje państwo B. i Zygmunt — czternaście tysięcy!

— Tak — odrzekła pełna radości — czternaście tysięcy, a jeszcze tegoroczna wyprzedaż miodu nie uskuteczniła, jeszcze mam do zbycia sto funtów masła, dwadzieścia półgasków i smalcu gęsiego funtów trzydzieści. To wszystko możesz zabrać, Zygmuncie, byle jak najprędzej spokój wrócił do twego serca. Gdy jednak zaspokoisz tego naglącego wierzyciela i zmar-

twienie minie, zacznę się gniewać na ciebie, żeś ta! przedemną twe troski.

— Mateńko! — wołała głośno Bronisia, wbiegając do pokoju — dziecko się przebudziło i tak krzyczy okropnie, że aż się łazi!; ach, jak krzyczy!

Niech się mama nie lęka — rzekła wchodząc za Bronisją Reginka — dziecko się przebudziło, to prawda, ale jeszcze nie krzyczy, tylko daje znać, że nie śpi.

Ojciec chciał lajać dziewczynkę, że nie może oduczyć się tej brzydkiej wady niepotrzebnego gadulstwa, ale babunia stanęła w obronie faworytki, a dziaduś zapewnił, że ona z tego wyrośnie i skończyło się na przyrzeczeniu poprawy, która jakoś powoli następowała.

Dzień ten zakończył się bardzo szczęśliwie, nawet głowa przestała boleć panią Zygmuntową od radości jakiej doznała, mogąc wyratować męża z tak ciężkich kłopotów. Po chwilowej jeszcze gawędce i przyrzeczeniu, że pokaże jutro wszystkie księgi rachunkowe i gospodarskie, powiedziano sobie wzajemnie dobranoc, a każdy był jakby odrodzony po przejściu niepokoju i zmartwienia.

Gdy pani Zygmunтова po uspokojeniu dziecka przyszła do pokoju siostry, która zabierała się już do spoczynku, miała taki wyraz radości na twarzy, że doktorowa, spojrzawszy na nią, zuwołała zdziwiona:

— Co ci się stało, Kamilko? Wyglądasz jak uosobienie szczęścia.

— Bo też szczęśliwa jestem, bardzo szczęśliwa, droga moja siostrzyczko — odpowiedziała wzruszona — wiem nareszcie przyczynę zmartwienia i niepokoju Zygmunta i w mojej mocy było zażegnać burzę, wiszącą nad nami.

Tu odpowiedziała siostrze wszystko, co zaszło przez te chwile kilka.

Jakto? — zapytała pani Z. — więc istotnie masz tyle pieniędzy? zupełnie jak wróżka w bajce czarodziejskiej! I to wszystko w tak wielkiej tajemnicy!

— Doprawdy — rzekła zawstydzona nieco pani Zygmuntowa — sama sobie nie umiem dziś zdać sprawy, dlaczego tak się kryłam z tymi mymi zbiorami. Z początku zdawało mi się, że nie dojdę zbyt daleko w mem gospodarstwie, nie chciałam więc mówić o tem jeszcze wiele; później cieszyłam się myślą, jak ja to zadziwię Zygmunta, gdy w przyszłości, jeżelibyśmy wydawali którą córkę za mąż, powiem mężowi: oto posag dla córki, uzbierany moją pracą, posag, którego sama nie wniosłam w dom twój. Ale pieniądze przydały się wcześniej i Bogu niech będą dzięki, że się dowiedziałam tajemnicy Zygmunta, która była dla mnie takim przygnębieniem.

od

— Jednakże, moja droga — rzekła pani Z., po głębokiem zastanowieniu — zdaje mi się rzeczą niepodobną, żeby z gospodarstwa kobiecego można wyciągnąć tak wielkie korzyści, aby z nich zbierać wcale pokaźną sumkę.

— I ja tak myślałam z początku — odrzekła — czasami przy najmniejszym niepowodzeniu opuszczałam ręce, a jednak powoli wiele trudności usunąć się dało. Gdy pierwsze tysiąc rubli oddałam do rąk Edmunda, byłam nad wszelki wyraz szczęśliwą, a ten brat ukochany, widząc radość moją, że już zaczynam zbierać z pracy swej korzyści, powiedział mi, że te tysiąc rubli bierze na swoją odpowiedzialność i będzie nimi osobno obracał, a jeżeliby mu się nie powiodło, ja straty nie poniosę. Co robił i w jakie oddawał je ręce, nie wiem, odbierałam od nich roczny procent i potem wyszły mi z pamięci słowa Edmunda, pieniądze dokładałam rok rocznie, nigdy mniej, jak rubli sześćset, a były lata o wiele pomyślniejsze. Suma się zwiększała, procent przybywał, a chociaż i wydatki się zwiększały, tak się jednak rachowałam, żeby nigdy nie naruszyć kapitału. Rok temu Edmund mi powiedział, że z mego pierwszego tysiąca rubli przez lat dwanaście zrobił pięć tysięcy czterysta rubli; tak więc, siostrzyczko kochana, mam więcej, niżeli na razie potrzeba Zygmunтови. Tobie, Reginko, zawdzięczam me szczęście, bo twój przykład świecił mi zawsze, od ciebie nauczyłam się oszczędności i wytrwania w dopięciu po-

wziętego celu. Od ciebie nauczyłam się odmawiać sobie wielu rzeczy, które niejedna może w mojem położeniu uważałaby za konieczne.

— Bóg sownie mnie nagroził za wszelkie trudy i nieraz ciężkie chwile w życiu — rzekła pani Z., przyciągając do siebie ukochaną siostrę — szczęście twoje daje mi tę wielką pociechę, że wywiązałam się z przyrzeczenia, danego umierającej matce.

— I matka więcej uczynić dla dziecka nie może, niż ty, siostro, uczyniłaś dla nas — wyrzekła pani Zygmuntowa z głęboką wdzięcznością.

IX.

Po skończeniu nauk.

W znanym nam już saloniku na Lesznie było bardzo gwarno i wesoło, kilka młodych panienek opowiadało coś zajmującego widocznie, bo jedna drugiej przerywała, przyczem śmiały się tak serdecznie, jak tylko młode, szczęśliwe dziewczęta śmiać się umieją. A przecież były to panny poważne, gdyż dziś właśnie otrzymały patent z ukończonej chlubnie pensji.

— Co ty, Tereniu, zrobisz ze swoim patentem? — pytała Lenka — czy każesz go oprawić w ramki i powiesić na ścianie, czy może będziesz go nosić zawsze przy sobie?

— Ani jedno ani drugie — mówiła z powagą Hania, a oczy jej błyszczały wesołością i pustotą — Terenia patent swój przybije na lipie, która rośnie przed naszym domkiem na trawniku.

— A toż na jaką pamiątkę? — zapytała Tola, której niktby dziś nie poznał, patrząc na jej twarz, tchnącą spokojem, ruchy śmiałe i swobodne. — Cóż patent Tereni będzie miał za znaczenie na lipie?

— To już jej tajemnica — odpowiedziała z uśmiechem Hanka, spoglądając na siostrę, która na te słowa zarumieniła

się trochę. — No, no, Tereniu, nie piec tak raków, to przystoi pensjonarkom, ale nie pannom skończonym.

— Mój Boże, wy jesteście już panny skończone — mówiła smutnym głosem Lenka, a mnie jeszcze wszyscy uważają za dziecko. A przecie skończyłam lat czternaście.

— A ja szesnaście — rzekła Tola — doprawdy martwię się, że już skończyłam pensję, takbym się jeszcze uczyła chętnie.

— I tak już umiesz dużo — rzekła Hanka — myślę, że i rabin z Kocka nie mądrzejszy od ciebie.

— Hania dziś ze wszystkimi wojuje — mówiła znów Lenka — taka dziś wesola...

— Choć nie dostałam patentu — przerwała Hanka — a jednak pracowałam strasznie, okropnie.

— Z pewnością pracowałeś bardzo — mówiła Tola — ja nieraz wypalałam się już na jedno oko, a ty jeszcze siedziałś nad książką.

— Bo w dzień musiałam siedzieć nad igłą — odpowiedziała Hanka.

— Czego bo też ty nie umiesz, Haniu — rzekła Lenka, kręcąc głową na znak wielkiego podziwienia — wyliczyć trudno, ile ty się rzeczy nauczyłaś przez te dwa lata pobytu w Warszawie.

— Czy istotnie tak dużo? — zapytała Hanka.

— Alboż mało? — zaraz ci wszystko powiem po kolei — i to mówiąc, Lenka zaczęła rachować na palcach — ukończyłaś pszczelnictwo i dostałaś patent celujący, uczyłaś się ogrodnictwa, uczyłaś się kroju i szycia bielizny, uczyłaś się krawieczyzny, a nawet robienia czepeczków i kapeluszy. Zaraz, czy to już wszystko? ach! nie, przecież jeszcze umiesz robić pyszne, przepyszne koronki. Doprawdy, Haniu, równej tobie w całej Warszawie nie znajdzie — dodała dziewczynka poważnie.

— No proszę — mówiła Hanka lekceważąco — ani myślałam, że tak dużo umiem, czy tylko nie zapomniałaś czego jeszcze, Lenko?

— Może i zapomniałam — odpowiedziała — czy podobna

zapamiętać wszystko; tych twoich umiejętności nie zapakowałby w worek.

— To już może przeszłam i owego rabina, od którego to ma być mądrzejsza Tola — rzekła Hanka. — Ale, moja Lenko, zajęłaś się mną, a nic nie mówisz o Tereni; przecież ona chyba więcej pracowała odemnie. W przeciągu dwóch lat przeszła trzy klasy.

— Przyjdzie kolej i na Terenię, nie bój się Haniu — mówiła Tola — Lenka dziś w usposobieniu zachwycania się nami, mówię nami, bo myślę, że i o mnie pamiętać będzie

— Kiedy sobie żartujecie, to już nic nie powiem, chyba to jeszcze, że Terenia dziś nieznosna, siedzi jak mruk, ani słowa jeszcze nie wymówiła.

— Bo myślę, że za tydzień opuszczę Warszawę — powiedziała Terenia, która przez te dwa lata wyrosła na piękną parienkę. Na twarzy jej pozostał ten wyraz jakiegoś zamyślenia i marzycielstwa, i dziwnej, pociągającej słodczy i łagodności.

— Ja ciebie nie puszcę — zawołała Lenka — co jabym robiła już teraz bez mojej drogiej Tereni.

— A jednak muszę jechać, Lenko, wujcio powiedział, że już dłużej pozostać tu nie możemy — odpowiedziała z widocznym smutkiem Terenia, choć nie chciała okazać tego. — Cieszę się, że jadę do naszego kochanego domku, że wyręczyć będę mogła babunię, ucząc młodsze siostrzyczki, cieszę się, że i mateczce pomocną będę, a jednak, tak chętnie uczyłabym się jeszcze — dodała cichszy i głosem.

— Nauczycielką nie będziesz — rzekła Hanka — nie masz do tego wysokiego posłannictwa najmniejszego powołania, więc umiesz dosyć, tyle właśnie, ile ci potrzeba.

— Dlaczego nie mogłaby być nauczycielką? — zapytała Tola — po czem poznasz, Hanko, że Terenia nie ma powołania do nauczycielstwa?

— Po tem, moją drogą, że Terenia lubi marzyć i bujać pod obłokami — odrzekła na wpół żartem Hanka — Terenia

mogłaby tylko udzielać ulubionych sobie przedmiotów, ale nie potrafiłaby wykładać dobrze tego, do czego nie ma zamiłowania.

— A jednak na pensji uczyła się wszystkiego dobrze — mówiła znów Tola — była przecież pierwszą uczennicą.

— To zupełnie co innego — rzekła Hanka — uczyć się samej można wybornie, a mimo to nie umieć uczyć kogo innego.

— Hania widocznie nie chce mieć siostry nauczycielki — rzekła Lenka — czy masz jakie uprzedzenie do tego stanu?

— Uprzedzenie? — zapytała ze zdziwieniem Hanka, a po chwili dodała — tak, mam to uprzedzenie, że nauczycielka bez powołania nie odpowie nigdy podjętym obowiązkom, a nie spełniając godnie tego, do czego się obowiązujemy, popełniamy czyn niesumienny.

— Hania mówi zbyt poważnie — rzekła Lenka — z tem wszystkim dobrze robi, że nie pozwala Tereni męczyć się nad nauką nieznośnych czasem dzieciaków.

— No proszę, jaka to doświadczona osoba — mówiła Tola — ręczę, że nie znasz wcale tych *nieznośnych dzieciaków*, jak się wyrażasz.

— Osobiście nie znam, to prawda, ale tyle się o nich nauczam i nasłucham czasem, że za żadne skarby świata nie chciałabym być nauczycielką.

— A ja nią jednak będę — rzekła Tola, ze smutnym trochę uśmiechem — i właśnie Hania, która tak przeciwną jest, aby Terenia obrała sobie ten zawód, mnie prawie skłoniła do tego. O! gdyby mi kto powiedział przed dwoma laty coś podobnego, że ja dobrowolnie pójdę między ludzi, byłabym temu nigdy nie uwierzyła.

— Dlaczego? — zapytała Lenka.

— Dlatego, że się wstydziłam mej brzydkiej twarzy i garbu, którym mię natura upośledziła — odpowiedziała Tola z prostotą, podnosząc na Lenkę piękne swe oczy.

— Ty masz być brzydką, Tolu? — zapytała ze zdziwieniem Lenka — o, nie mów tego.

— Hance najpierw zawdzięczam to, że sobie nic nie robię

z mego kalectwa, a potem tobie, Lenko, i Tereni — rzekła Tola serdecznym głosem. — O! wy tego nie rozumiecie nawet, jak wielkie wyświadczyłyście mi dobrodziejstwo waszą przyjaźnią; gdyby nie wasze zacne, pocziwe serca, byłabym może nie miała odwagi kończyć pensji, byłam tak już zniechęcona, tak smutna, że prawie nie śmiałam pokazywać się ludziom. Dziś widzę, że było to dzieciństwem z mej strony, byłoby nawet śmiesznością zasadać swe szczęście na pięknej twarzyczce i zgrabnej figurce, a jednak czułam się bardzo biedną, widząc, jak każdy niemal przy pierwszym spotkaniu ze mną nie mógł zapanować nad niemiłym wrażeniem, jakie w nim wzbudzałam. Och, cierpiałam nieraz szalenie, serce moje rwało się do ludzi, a budziłam w nich tylko wstręt, zamiast uczucia, którego tak gorąco pragnęłam, a którego nie doznałabym może nigdy, gdyby nie, ty, Hanko.

— Niema w tem tak wielkiej zasługi z mej strony — odpowiedziała Hanka — kto cię bliżej pozna Tolu, musi cię pokochać koniecznie; masz najlepszy dowód w tem, że piękna Flora dzisiaj jest twoją serdeczną przyjaciółką.

— I to twoja zasługa, Hanko — rzekła Tola — ty przez Terenię potrafiłaś dokonać tej przemiany, że zawzięta moja prześladowczyni przestała pastwić się nademną.

— Mówmy lepiej o czem innem — rzekła Hanka. — Tola doprowadzi mię do tego, że się zacznę rumienić, uwzięła się dziś na mnie. Powiedz mi lepiej, Lenko, kiedy uprosisz swej mamusi, abyś nas mogła odwiedzić w Żabinie.

— Ach! nie mów ty ciągle o tym wyjeździe, Haniu — rzekła ze smutkiem Lenka — ja się wcale nie mogę pogodzić z tą myślą, żebyście już ze wszystkiem wyjechać od nas miały. Doprawdy, aż mi przykro, że Hania tak wesoło o tem mówi.

— Alboż pomoże co roztkliwiać się nad tem, co koniecznie stać się musi? — rzekła poważnie Hanka. — Czyż podobna, Lenko kochana, abyśmy życie całe spędziły razem? Wierzaj mi, że cię kocham bardzo serdecznie, że dla zacnych

tych rodziców zachowam na zawsze wdzięczność, że jestem wam oddana duszą całą, ale ja nie jestem marzycielką, ja widzę przed sobą drogę pracy i obowiązku. Moja matka potrzebuje trochę wypocząć po tylu trudach, jakie dla nas ponosiła, więc cieszę się i raduję, że nadeszła ta chwila, w której mogę jej powiedzieć, że wszystko, co cięższe i trudniejsze, ja biorę na siebie.

— Dzielna z ciebie będzie pomocnica dla matki — rzekła pani Z., która od chwil kilku stała we drzwiach między firankami, a zajęte rozmową dziewczątka nie spostrzegły, że był ktoś jeszcze obecny ich rozmowie — to dobrze, dziewczeczko, żeś gotowa do pracy i że jej się nie lękasz.

— Ze mnie to chyba mateczka nigdy tej pociechy mieć nie będzie — rzekła Lenka, podbiegając do matki i rzucając jej się na szyję, jak to zwykle robią rozpieszczone dziewczątka — ja nic a nic nie jestem podobna do Hani, ani jednej rzeczy nie potrafię z tego, co ona umie.

— Bo ci tego wszystkiego tak koniecznie nie trzeba — odezwała się nareszcie Terenia — przed nami życie pracy i obowiązku.

— Och, tylko mi już nie mów nic o obowiązkach — zawołała Lenka — wyrazu tego znosić nie mogę. Febry dostaję, jak słyszę o obowiązkach, bo oto i teraz: cóż nam zabiera Hanię i Terenię z Warszawy? obowiązek; co zmusza tatusia, że śpieszy do chorego, zamiast żeby siedział w domu? obowiązek. Co pannie Jadwidze nie pozwala słuchać tylu ciekawych rzeczy, jakie mam jej nieraz do powiedzenia? obowiązek, bo śpieszy na lekcje. Wszędzie na każdym kroku obowiązek, nic więc dziwnego, że sam ten wyraz znienawidziłam na zawsze.

— Oj dzieciaku, dzieciaku — rzekła matka, głaszcząc lśniące włosy dziewczeczki — sama nie wiesz co mówisz.

— Wiem, matusiu kochana, wiem, bo oto Terenia pojędzie, i będzie mi smutno i tęskno za nią.

— To zwykła kolej rzeczy — rzekła Hania — smutno, to prawda, ale...

— Hania moralizuje, jak z katedry — rzekła niechętnie Lenka — myślę, że będzie miała niedługo odczyt o obowiązkach; możesz być z góry pewną, że na nim nie będę, moja pani.

— Żeby ci, Lenko, dopomóżdź do zemsty — rzekła śmiejąc się Tola — to i ja na odczyt Hani nie pójdę, będzie mówić do pustych ścian, które z *obowiązku* stać muszą, a czy będą słuchać, to już ich rzecz, nie nasza. Czy prawda?

Wejście p. Jadwigi ożywiło trochę i rozweseliło Terenię i Lenkę, a w chwil kilka w salonie znów wrzała wesola rozmowa i śmiechy. Młodość ma to do siebie, że nigdy długo smucić się nie może.

X.

Powrót do domu.

— Jutro Hania i Terenia przyjadą z Warszawy — mówiła Jadwinia do Ewci — trzeba będzie dobrze pilnować, aby się jaka szkoda nie zrobiła na trawniku lub w kwiatkach pod oknami, bo Terenia zmartwiłaby się bardzo; a przecież to ja mam nadzór nad wszystkim — dodała z dumą.

— Ja też mam nadzór nad wszystkimi czubatemi kokoszkami — rzekła Ewcia z powagą — Hania poleciła mi, aby ich dobrze pilnować, rachuję też codzień, czy są wszystkie. Hania będzie rada, bo ani jednej nie brakuje z dawnych, a przybyło bardzo dużo.

— Ja też pilnuję Figielka dobrze — odezwał się Kazio, który, siedząc na małym stołeczku, okręcał piłkę — tak go pilnuję, żeby nigdy nie był głodny, i Figielek zrobił się tłusty, jak baryłka.

— Wielka mi rzecz Figielek — mówiła Ewcia, pogardliwie wzruszając ramionami — kury to zupełnie co innego, ale psiak — i skrzywiła buzię lekceważąco.

— To nie psiak! — krzyknął zaperzony malec — to Figielek, czy ty nie wiesz o tem?

— Wiem, że Figielek, ale psiak — odpowiedziała.

— Jak będziesz Figielka nazywać psiakiem, to ja na twoje kury powiem, że są ... że są wrony! — wołał Kazio, zrywając się z miejsca.

— No cicho już, cicho — mówiła Jadwisia z powagą — twój Figielek wcale nie jest psiakiem, a Ewci kury nie wrony; zaraz się musicie klócić o nic prawie.

— Cóż to znowu za sprzeczka? — zapytała babunia, wchodząc do pokoju — Kazio taki zarumieniony, a Ewcia ma łzy w oczach.

— Bo proszę babci, Kazio powiedział na moje kury, że są wrony — rzekła dziewczynka.

— A Ewcia na Figielka powiedziała „taki psiak“ — wołał chłopczyk, rzucając na siostrzyczkę spojrzenie pełne gniewu.

Babunia się roześmiała.

— E, proszę babci, niema na co zważać — mówiła Jadwinia — oni tak zawsze, o byle co się swarzą.

— To bardzo brzydko, rodzeństwo kochać się powinno — rzekła babunia.

— Ja chciałam się zapytać babci — rzekła Jadwinia, pomijając sprawę o psiaka i wrony — o czym mateńka tak długo rozmawia z wujciem. Weszłam już dwa razy do pokoju wujcia i dwa razy wyjść mi kazano, tak tam mateńka rozmawia i rozmawia.

— Nie trzeba było chodzić drugi raz, gdy ci raz wyjść kazano — rzekła babunia — widocznie mama miała coś takiego do pomówienia z wujaszkiem, o czym dzieci wiedzieć nie powinny.

— Kiedy ja miałam interes do mateńki — tłumaczyła się dziewczynka — ale już potem nie poszłam ani razu; przykro mi tylko bardzo, bo jak byłam drugi raz, to widziałam, że mateńka czegoś płakała.

— Czego mateńka płakała, babciu? — zapytał chłopczyk ze smutkiem — ach, już będę bardzo grzeczny, tylko niech mateńka nie płacze.

— Babuniu, czy mateńka czasem nie chora? — zawołała Ewcia — mój Boże, pójde się zapytać.

— Najlepiej nic nie mówcie i nie pytajcie — rzekła babcia. — Jadwinia zobaczyła lzy matki przypadkiem, nie powinna była powtarzać tego przy dzieciach i niepokoić ich, może zupełnie niepotrzebnie.

— Ja nie chcę, żeby mateńka płakała — mówił Kazio — już przeproszę Ewcię, że na jej kury powiedziałem wrony, i nie gniewam się, że mego Figielka nazwała psiakiem, tylko niech mateńka nie płacze.

Ewcia pobiegła do braciszka i uściskała go serdecznie.

— Nie gniewam się na ciebie, Kaziulku — rzekła — nigdy się na ciebie gniewać nie będę.

— Dobrze, dzieci drogie, pamiętajcie, że miłość w rodzinie jest uczuciem świętem — rzekła babunia — gdy się wzajemnie kochać będziecie, gdy zgoda między wami trwać będzie, nigdy żadne nieszczęście was nie złamie, bo jedno drugie wesprze i pocieszy.

— O! babciu, alboż my się nie kochamy? — zapytała Ewcia.

— Wiem, że się kochacie — odpowiedziała babunia — od kolebki czuwałam nad tem, aby tę miłość uczynić trwałą i prawdziwą.

— Ja wszystkich kocham — mówił Kazio — babunię i mateńkę, i Figielka i wujcia, i wszystkich.

— Któż psiaka miesza do rodziny — rzekła Jadwinia.

Chłopczyk zaczerwienił się, już miał się obrazić, ale opłynał gniew, i rzekł z uśmiechem:

— Nie obrażę się na Jadwinie, że Figielka nazwała psiakiem, bo ją kocham, bo ona moja rodzina.

Wejście pani Krystyny przerwało rozmowę.

Dzieci spojrzały badawczo na matkę, istotnie w jej oczach były ślady łez, a na twarzy malowało się wielkie wzruszenie, które siłą woli pokryć chciała. Żadne jednak nie wymówiło ani słowa zapytania, wszystkie milczały, i matka poznała, że

są widocznie zakłopotane. Spojrzała na babunię i uśmiechnęła się uspokajająco a, zwracając się do dzieci, rzekła:

— Cóż macie takie minki zafrasowane? czy się nie cieszyście, że siostry jutro z Warszawy wrócą?

— O! cieszymy się bardzo — zawołały dzieci wszystkie razem — bardzo się cieszymy, tak dawno nie widzieliśmy Hani i Tereni.

— Czy siostrzyczki już nie pojedą do Warszawy — zapytała Ewcia.

— Już nie pojedą na tak długo — odpowiedziała matka — chyba za jakim interesem na dzień lub dwa.

— Czy mateńka sama pojedzie po Hanię i Terenię? — zapytała Jadwinia.

— Nie, wujcio dziś jeszcze pojedzie, przenocuje tam, a jutro przyjadą wszyscy — odpowiedziała p. Krystyna.

— Chwała Bogu! — mówiła Ewcia, klaszcząc w ręce — tak się cieszę, jakby mi kto cały świat darował.

Po obiedzie p. Kazimierz odjechał, poleciwszy wpięrow opiece Kazia Figielka, prosząc go z uśmiechem, aby o nim pamiętał, co malec wziął zupełnie serjo, i przyrzekł, że Figielka będzie pilnował, jak oka w głowie. Wywiązał się z tego tak sumiennie, że żadna niańka troskliwiej od niego nie czuwa nad dzieckiem, powierzonym jej opiece.

Przed wieczorem p. Krystyna, zaprowadziwszy babunię do pokoju wujaszka, miała z nią długą, bardzo długą rozmowę, po której babunia była zamyślona i smutna, a przy kolacji tak się zadumała głęboko, że Kazio ze trzy razy o coś pytał, zanim otrzymał odpowiedź.

Dzień następny był bardzo ożywiony, dzieci krzątały się od rana, porządkowały, ścierały kurze, biegały na trawnik uzbrojone w gałązki, aby bronić wejścia uprzykrzonym prosiętom, które nie mogły nigdy tego zrozumieć, że im tam chodzić nie wolno. Ewcia kilku czubatym kurkom zawiązała czerwone tasiemeczki na szyjkach, chociaż babunia ostrzegęła, że kurka udusić się może, jeżeli zawadzi nóżką o tasiemkę, drapiąc się

po łebku. Po przyjeździe Hani, ozdoby te miały się zdjąć, a do przyjazdu siostry, Ewcia postanowiła czuwać nad czu-batkami, aby sobie nic złego nie zrobiły.

Kazio raz po raz wybiegał za bramę wyglądać, czy już nie jadą, i wracał ze smutną minką, oświadczając, że ani myślą widać przyjechać.

Południe się zbliżało, już i babunia i matka zaczęły wyglądać niespokojnie, a oczekiwanych jak niema tak niema.

Z obiadem się spóźniono umyślnie, ale już i kucharka niecierpliwić się zaczęła, bo kurczęta, upieczone na przybycie kochanych panienek, wyschną zupełnie, zupa się przestoi, i nie tylko, że sława kucharska pocziwiej Magdusi przepadnie, ale panienki będą głodne w dodatku. Nareszcie Figielek zaczął nastawiać uszu, rzucił się do drzwi otwartych właśnie w tej chwili i pędem strzały wybiegł za bramę. Teraz wszyscy byli pewni, że wujaszek już blisko, pies zawsze przeczuł zbliżanie się pana. Jakoż istotnie w chwil kilka witano się ze łzami radości i rozrzewnienia.

Cóż to było uciechy, co opowiadań bez końca, bo ktoś drugi zawsze miał rzecz pilniejszą do powiedzenia, przerywano sobie, śmiano się i znów ściskano i całowano. Hania musiała iść z Ewcią oglądać kurki postrojone, Terenia, prowadzona przez Jadwinę, udała się pod lipę na trawnik, którym była prawdziwie zachwycona, zielenił się cały, nigdzie najmniejszego na nim nie było uszkodzenia.

Hanka, wróciwszy z Ewcią, zabrała w tej chwili klucze z koszyczka, przyniosła z szafy co było potrzeba jeszcze do obiadu, przystawiła do stołu krzesło babuni, zajrzała do kuchni, wszędzie jej było pełno, zdawało się, że nie wyjeżdżała z domu, wróciwszy po dwóch latach niebytności, ani jednej godziny nie była gościem. Babunia, patrząc na nią, pokiwała głową, jakby powiedzieć chciała: „dasz ty sobie radę na świecie“, a zwróciwszy wzrok na wchodzącą w tej chwili Terenię, wysmukłą i jak lilijka bladą z wyrazem smętnego mimo radości uśmiechu, westchnęła cicho, i jakiś niepokój o ukochaną

wnuczkę zrodził się w duszy sędziwej niewiasty. Terenia była trochę nieśmiała, nie miała tej pewności siebie, jaką się odznaczała Hanka.

Pan Kazimierz chodził po pokoju, zacierał ręce, spoglądał z pod oka na siostrzenice, przyglądał im się bacznie, nie biorąc udziału w rozmowie. Terenia zbliżyła się do niego.

— Wujciu — szepnęła — widzę jakąś zmianę na twarzy mateńki, jest smutna i j kby zakłopotana.

— Czy istotnie zauważyłaś to? — zapytał p. Kazimierz.

— O, nietylko to — odpowiedziała — widzę, że i ty, wujciu, nie jesteś takim, jak zawsze; już w Warszawie zauważyłam jakąś troskę skrytą, o której mówić nie chcesz; wujciu, ja się czegoś lękam.

— Lękasz się? — zapytał, stanąwszy przy oknie p. Kazimierz — czego? przecież widzisz wszystkich zdrowych, jesteśmy razem, nikogo nie zabrakło. Cóż cię więc trwoży, Tereniu?

— Jakieś niedobre przeczucie — odpowiedziała cichym głosem — babunia ma taki wzrok smutny a, gdy na mnie spogląda, zdaje się łzy mieć w oczach.

— Przeczucie, Tereniu, to mara, dręcząca przedwcześnie, odbierająca spokój i siły — odpowiedział wuj poważnie. — Trwożyć się można, gdy widzimy i wiemy o tem, że nam grozi jakieś nieszczęście, ale nad przeczuciem zapanować należy, bo życie nasze stałoby się pełne niepokoju w oczekiwaniu czegoś złego.

— A jednak... — szepnęła panienska, spuszczać oczy i nie śmiejąc dokończyć zaczętego zdania.

— A jednak co, Tereniu? — zapytał wuj.

— Boję się czegoś — odpowiedziała.

W tej chwili weszła Hanka z dużym białym dzbankiem mleka, poprzedzona przez Ewcię, niosącą salaterkę, napelnioną poziomkami. Dziewczynka opowiadała coś starszej siostrze z wielkiem ożywieniem, a ta z uśmiechem zadowolenia i swobody słuchała malej szczebiotki.

— Patrz, Tereniu — rzekł pan Kazimierz — Hania nie trwoży się żadnemi przeczuciami, i dlatego jest wesola i szczęśliwa z powrotu do domu.

— O! i ja jestem szczęśliwa, że wróciłam do tego cichego, drogiego domku naszego — zawołała Terenia — ale cóż winna jestem temu, że przeczuję każdy wasz smutek, każde zmartwienie?

— Znów przecucie — mówił z uśmiechem p. Kazimierz.

Hanka dosłyszała słowa wuja i, zbliżając się, rzekła:

— Już pewnie złe przecucia dręczą Terenię, a doprawdy, mogłaby się przekonać do tego czasu, że niepotrzebnie tak się często niemi martwi. Gniewałam się o to nieraz na nią i w Warszawie, bo czasami sypiać nie mogła, męcząc się przecuciem złego, które, dzięki Bogu, nie ziściło się nigdy.

— Nie wierzysz, Hanko, w przecucia? — zapytał wuj.

— Ja nie daję im przystępu do siebie — odpowiedziała. — Jeżeli czasem jaki niepokój wkrada mi się do duszy, zabieram się czempredzej do pracy i myślę sobie: będzie zmartwienie, to go nie usunę kłopotaniem się przedwczesnem, z nieznanem walczyć trudno, zobaczymy, jak przyjdzie. Oby tylko, Boże broń, nie choroba ukochanych moich, to reszta fraszki.

— Jakto, Hanko, więc prócz choroby nie lękasz się niczego więcej? — zapytał p. Kazimierz.

— Niczego, wujciu — odpowiedziała, patrząc mu śmiało w oczy — bo i cóż spotkać nas może? Gdy nam Pan Bóg da zdrowie, to z resztą walczyć możemy.

— Prawda, moje dziecko, że największem szczęściem człowieka jest zdrowie, ale i przy zdrowiu jest wiele na świecie cierpienie i nieszczęście, z którymi walcząc, siły nieraz tracimy.

— Hania tego rozumieć nie chce — rzekła Terenia ze smętnym trochę uśmiechem — że są cierpienia, których określić nie umiemy, a jednak...

— A jednak — przerwała Hanka — czego określić nie umiemy, tego niema, mówię tu o zmartwieniu, Terenia wiecznie się egzaltuje.

— Nie pochwałam Tereni, że smuci się złemi przeczuciami i trwoży przedwcześnie — rzekł p. Kazimierz — ale i ty, Hanko, pamiętaj, ażebyś słowom swoim wierną zawsze w czynie pozostała.

— O! wujciu, mówisz jak złowroga przepowiednia — zawołała Hanka ze śmiechem — ale może też nie będę potrzebowała słów swoich popierać czynem, może ja nigdy w życiu wielkich zmartwień nie będę miała. Czyż mi tak myśleć niewolno?

— Niedobrze jest jednak myśleć tylko o szczęściu — rzekł p. Kazimierz. — Ale mówmy o czem innem, rozmowa przybierać zaczyna ton poważny, a dziś przecie dzień radosny, bo wróciły ptaszki do gniazda swego.

— Och, to drogie, kochane gniazdeczko moje — rzekła Hanka, wiodąc wrzokiem dokoła — zdaje mi się, że na świecie całym niema nic miłszego, jak ten nasz domek ukochany.

Franusia wniosła wazę, za nią weszła p. Krystyna i wszyscy zasiedli do stołu.

— Co to za dom duży przybył na końcu wsi? — zapytała Terenia.

— Jakiś nowy właściciel sprowadza się do Żabina — odpowiedział p. Kazimierz — odkupił kawał gruntu od Wojciecha Chruściaka i pobudował najpierw ten dom, który zwrócił waszą uwagę.

— Niemile sprawia wrażenie ten budynek — rzekła Hania — podobny do niemieckiej szkoły, nie chciałabym w tym domu mieszkać, taki jakiś smutny i ponury.

— Bo jeszcze nie wykończony — rzekła p. Krystyna — te czerwone cegły nie podobały się pewnie Hani.

— Niema przy nim ani jednego drzewka — rzekła Terenia — niema nawet murawy przed domem, tylko goła ziemia.

— I niema kurnika — odezwała się Ewcia — nie wiem, gdzie oni będą chować kurki, przecie nie na dworze.

— Przed naszym domkiem jest trawnik, jest taka śliczna

lipa — mówiła Jadwinia, zwracając się do Tereni — przed oknami takie śliczne kwiatki, o! u nas bardzo wesoło.

— U nas takie są smaczne gruszki i jabłuszka w ogrodzie — zawołał Kazio, chcąc także należeć do rozmowy — a przy ogrodzie jest taka wygodna buda dla Warty, gdzie sobie śpi ze swoim szczeniakiem, a i Figielek do niej często chodzi.

— I gołąbki mamy — dodała Jadwinia.

— I kaczuchny, i czubate kureczki — rzekła Ewcia, wracając zawsze do swoich ulubionych kokoszek.

— Wszystko mamy — rzekł Kazio.

— Dzięki Bogu, dobrze nam w naszym domku — rzekła Hanka. — A jak my to teraz pracować zaczniemy, jak ja się zabiorę do gospodarstwa, zobaczy matuchna, co my z naszych krówek za dochody będziemy mieli.

Pani Krystyna uśmiechnęła się lekko, jakby z przymusem, i westchnęła z cicha.

— A ja będę Tereni pomagała w ogrodzie — rzekła Jadwinia — bo co Ewcia, to nie puści się pewnie Hani.

— A ja będę wszystkim pomagał w ogrodzie — rzekł Kazio, nie dając się nigdy pominąć — a najwięcej wujciowi. Czy dobrze, wujciu?

Ale wujcio przez cały czas tej rozmowy milczał zadumany, kręcąc wąż lewą ręką, co było oznaką głębokiego zamyślenia. Na twarzy jego nie było uśmiechu, wzrok utkwiony w jedno miejsce miał wyraz wewnętrznego smutku. Pytanie Kazia wyrwało go z zamyślenia, ale widocznie nie wiedział, o co idzie, z czem jednak nie chcąc się wydać, odpowiedział:

— Dobrze, mój chłopcze.

— Tereniu, gdzie piękniej, u nas, czy w Warszawie? — zapytała Jadwinia.

Panienska zarumieniła się trochę, ale nim zdążyła odpowiedzieć, Hanka zawołała z ożywieniem:

— Warszawa śliczne miasto, Jadwiniu, nie może się przecie równać z Żabinem, ani z naszym ubożuchnym dworkiem;

ale u nas tak zaciszno, tak miło, że zawsze wybrałabym na mieszkanie nasz domek niziuchny.

— A ty, Tereniu? — pytała dalej ciekawa dziewczynka.

— Ja — zająknęła się nieco dziewczynka — ja ... nie wiem jeszcze.

— O! Tereni tylko o nauki chodzi — rzekła Hanka, spoglądając z uśmiechem na siostrę — gdyby w Żabinie zamieszkało ze czterech profesorów, Terenia nie pomyślałaby o Warszawie.

— Czterech? — zapytała Jadwinia, spoglądając zdziwionemi oczyma na siostrę — jest jeden, czy ci potrzebny? toby go Kazio poprosił, p. Grubski bardzo jest grzeczny.

— Czegoby się jeszcze Terenia chciała uczyć? — zapytała Ewcia, — ja myślę, że już umiesz dużo, babunia powiedziała, że teraz uczyć będziesz Jadwinię, mnie i Kazia. To pewnie musisz umieć bardzo wiele.

— Aby was uczyć, umiem dosyć — odpowiedziała — ale ...

— Ale co? — zapytała znów Jadwinia.

— Nie nudź ty dziś Tereni, Jadwisiu, a raczej nie budź w jej sercu tęsknoty do rzeczy które się spełnić nie mogą — rzekła Hanka do dziewczynki, i zaczęła sama opowiadać coś wesołego, z właściwą sobie żywością i oddaniem się chwili obecnej.

Patrząc na to dziewczę tak swobodnie wesołe, widząc jej twarzyczkę promieniającą radością, na której widocznie żadna nie pozostała troska, mogąca ślad jakiś pozostawić po sobie, każdemu robiło się jaśniej w duszy, i mimowoli uśmiech osiadał na ustach, rozchmurzało się czoło. I teraz opowiadaniem swem potrafiła wszystkich ożywić i zająć, nawet p. Kazimierz przestał kręcić wąsy i babunia i p. Krystyna rozśmiały się serdecznie.

XI.

Smutna nowina.

Już tydzień upłynął od powrotu panienek z Warszawy, Hanka zabrała się nie na żarty do gospodarstwa, wszędzie jej było pełno, we wszystkim dawała sobie radę, wstawiała ze wschodem słońca, biegła zaraz do sklepu, by odebrać mleko i samej go precedzić, z dawniejszego pozbierać śmietanę, by za chłodu rannego zrobić masło, i ogrzać resztę mleka na sery i gomółki. Pani Krystyna mogła spoczywać dłużej trochę, bo Hanka tak serdecznie prosiła o to matki, że musiała spełnić wolę dziewczęcia, widząc, jak dzielnie ją zastępuje i umiejętnie chodzi koło wszystkiego. I Tereni nie pozwalała wstawać razem z sobą, zaraz na drugi dzień przyszła do jej łóżka, a gdy ujrzała, że przeciera oczy i z westchnieniem cichem zabiera się do wstawania, całując ją po macierzyńsku w czoło, rzekła pieśczośliwie:

— Śpij jeszcze z godzinkę, siostrzyczko, jesteś szczupła i niezbyt silna, potrzebujesz więcej snu odemnie, nie chcę, abyś zmizerniała i martwiła nas wszystkich, już ja dam sobie radę bez ciebie.

Terenia z wdzięcznością przyjmowała to pozwolenie, i zasypiała na nowo, nie na godzinkę, ale na dwie nawet. Dnia jednego Hanka, jak zwykle, wracała ze sklepu, pobrękując kluczykami i opowiadając coś Małgosi, która z ogromną dzieżką mleka szła przy niej, gdy p. Kazimierz, wracający właśnie z podwórza, spotkał się z siostrzenicą w ganku.

— Czy nie sprzykrzyło ci się jeszcze, Haniu, to ranne wstawanie? — zapytał z uśmiechem, całując w głowę mówiącą mu „dzień dobry“ panienkę.

— Sprzykrzyło? — zapytała, spoglądając na wuja ze zdziwieniem — czy wujcio myśli, że ja mą pracę uważam za zabawkę, którą można porzucić, gdy się znudzi?

— Myślałem, żeś się trochę od gospodarstwa odzwyczaiła

w Warszawie, i że cię ono zajmować już tak nie będzie — rzekł p. Kazimierz, siadając na ławeczce.

— Dlaczego nie miałyby mię tak zajmować, wujciu — rzekła Hanka, zabierając miejsce naprzeciw wuja — alboż pojechałam do Warszawy po to, aby się odzwyczaić od pracy i obowiązku?

— Więc nie polubiłaś bardzo miasta?

— O nie, tęskniłam ciągle za naszym cichym życiem, już mnie Pan Bóg stworzył na mieszkankę wioski — odpowiedziała, spoglądając z lubością na pole i las, zieleniący się w pobliżu. — W mieście żyłam życiem gorączkowym, bo pragnęłam jak najwięcej się nauczyć, jak najwięcej korzystać ze wszystkiego, aby naukę mą i wiedzę, jakiej nabyłam z twej łaski, wujciu, zużytkować tu, w naszym kochanym zaciszu.

— To dobrze, Hanko moja — rzekł pan Kazimierz poważnie — to dobrze, że masz tyle zamiłowania do pracy, i o ile mi się zdaje wytrwania, bo może przyjdzie nam bardzo ciężko pracować, może będziemy potrzebowali wiele siły, wytrwania i energii, aby sobie zapewnić byt, i nie upaść w walce o niego.

— Co przez to rozumiesz, wujciu? — zapytała Hanka, patrząc badawczo na wuja — alboż nie mamy bytu, który tylko pracą podtrzymywać musimy? nie rozumiem, co mogą znaczyć twe słowa.

— Smutna to będzie chwila, gdy je zrozumiesz, dzieweczko.

— Wujciu, mów jaśniej, mów mi wszystko odrazu — rzekła zaniepokojona nieco Hanka, choć tego okazać po sobie nie chciała. — Czy nam co grozi strasznego?

— Bolesnie mi mówić z tobą o tem — rzekł pan Kazimierz — a jednak muszę ci powiedzieć, że nadeszła chwila ciężkiego dla nas doświadczenia. Ty, Hanko, jesteś mężna, ty wszystko znieść potrafisz, ale Terenia, biedna Terenia, jak przyjmie to, co nas czeka?

— Wujciu, dręczysz mię, nie mówiąc tego czegoś strasznego — rzekła Hanka, podnosząc się z miejsca i stając na-

przeciw wuja — niechże raz zajrzę temu widmu w oczy, może ono mniej straszne, niż sobie wyobrażam.

— Hanko moja, znam cię, żeś silna i energiczna — mówił powoli p. Kazimierz — a jednak... jednak ciężko mi bardzo wypowiedzieć wszystko.

— Gdy przecie masz mi to powiedzieć, wuju — rzekła trochę niecierpliwym głosem Hanka — dlaczego nie powiesz odrazu? Powiadasz, że jestem mężna, że jestem silna — a głos jej drżał mimowoli — a więc, wujciu, powiedz mi wszystko, powiedz bez żadnych ogródek i wstępów, które mię męczą nad wszelki wyraz.

— Niechże tak będzie — rzekł p. Kazimierz, podnosząc się z miejsca — a więc, Hanko, straciliśmy wszystko, i nie mamy dachu własnego nad głową, nie mamy nic.

Hanka patrzyła na mówiącego szeroko rozwartemi oczyma, twarz jej pobiadła, a usta drżały.

— Nie mamy dachu własnego — wyrzekła po chwili, a łzy spłynęły z jej oczu — o moja matko, babuniu, co z wami będzie!

— Płaczesz? — zapytał pan Kazimierz — gdzież twoje męstwo? gdzie ta pogarda wszystkich nieszczęść? przecież wszyscy zdrowi jesteście.

— O matko moja! biedna matko moja — wyrzekła po raz drugi dziewczyna, załamując ręce nad głową — teraz, gdy marzyłam dla ciebie o życiu spokojniejszym, o wypoczynku po tylu trudach, zostajemy bez dachu. Czy mateczka wie o tem? — zapytała, patrząc na wuja załzawionym wzrokiem.

— Wie — odpowiedział p. Kazimierz — tała to jednak przed wami, byście choć przez dni kilka użyły przyjemności z powrotu do domu.

— Którego już nie mamy — wyrzekła z goryczą Hanka — powiedz mi jednak, wujciu, czy niema żadnego wyjścia z tego rozpaczliwego położenia? czy niema ratunku?

— Mógłby być — odpowiedział — mogłoby wszystko po-

zostać nadal, jak dotąd, ale matka wasza nie chce na to przystać.

— Usiądźmy tu jeszcze, muszę wiedzieć odrazu wszystko, wszystko, a ty, wujaszku, opowiedz mi przyczynę naszej ruiny.

To mówiąc, usiadła na ławeczce, pociągnęła wuja do siebie i rzekła cichym głosem:

— Mów, wujciu, ale wszystko, zupełnie wszystko.

Pan Kazimierz potarł ręką po czole i, biorąc rękę Hanki w swe dłonie, mówił:

— Parę tygodni temu zgłosił się do twej matki niejaki pan Szymon Siarski, mówiąc, jakoby ś. p. mąż jej był mu winien dziesięć tysięcy rubli. Suma to pokaźna, jak widzisz, i zapłacić jej Krysia nie byłaby w stanie. Biedna kobieta na razie nie wiedziała, co na to powiedzieć. Nie pamiętała, aby mąż kiedykolwiek mówił o podobnym długu, byłaby przecie wiedziała coś o tem, chyba że tał to przed nią, aby jej oszczędzić zmartwienia; ale znów z drugiej strony nie rozumiała, dlaczego upominający się o dług tak znaczny teraz dopiero się zgłaszał. Gdy więc przyszła do siebie po pierwszym przerażeniu, zapytała o rewers, bo przecież niktby nie pożyczył pewnie na słowo tak znacznej sumy obcemu człowiekowi. Wtedy p. Siarski wyjął gruby pugilares, a z niego zżółkły już trochę papier i, rozwijając go powoli, położył na stole przed Krysią. Spojrzała i poznała, że to było pismo jej męża, rewers wystawiony na sumę, jakiej się dopominano. Na zapytanie, dlaczego nie zgłaszał się przez lat tyle, choćby o procent tylko, Siarski odpowiedział, że rewers ten dostał mu się po jego wuju w sukcesji teraz dopiero, a, dlaczego nieboszczyk siedział z tym rewersem cicho, to już nie jego rzecz. Matka wasza mogłaby długu tego nie zapłacić, bo mąż na rok przed śmiercią cały majątek zapisał na jej imię, ale czy może to uczynić?

— Niech Bóg broni! — wykrzyknęła Hanka — matka nasza czynu takiego popełnić nie może, i wiem, że go nie popełni, choćbyśmy wyszli z domu naszego w jednym odzieniu tylko.

— Wiedziałem, że tak myśleć będziesz — rzekł p. Kazimierz z zadowoleniem, które znać było w jego głosie — wiedziałem, że pamięć bez skazy waszego ojca droższa wam nad wszystko.

— Czy nic już nie zostanie po zapłaceniu tego długu? — zapytała Hanka spokojnym już głosem, bo potrafiła zapanować nad pierwszym wzruszeniem i łzami i teraz mówiła, jak osoba starsza i doświadczona, która chce dobrze grunt zbadać, aby wiedzieć, czy ten zupełnie z pod stóp się nie wysuwa.

— Gdyby nie było innych długów, zostałoby jeszcze, a nawet nie potrzebowalibyśmy może sprzedawać naszego kawałka ziemi — odpowiedział pan Kazimierz — ale właśnie są inne długi, które w połączeniu z tym największym nie pozwalają się utrzymać przy własności i... dowiedz się już o wszystkim, wyjdziemy prawie bez grosza, gdyż posiadłość nasza wystawiona na subhastację.

— Ach! — jęknęła Hanka — więc domek nasz licytować będą, i wszystko, wszystko kupią ludzie obcy, wszystko, co było nam pamiątką tak drogą.

— Tak, wszystko prawie, niema najmniejszej nadziei, aby cośkolwiek uratować można.

Hanka podparła się na małej, choć opalonej trochę, rączce, i zamyśliła się głęboko. Po chwili zwróciła się do wuja i zapytała:

— Cóż robić będziemy? gdzie się podziejemy, mój wujciu? i kiedy trzeba nam będzie opuścić to gniazdko nasze, w którym nam tak cicho i dobrze było? Ale mniejsza o nas, lecz matka nasza, i babunia droga, narażone na takie smutne przejścia! O mój Boże, mój Boże! — i załamała znów ręce rozpacznie.

— Hanko, jeżeli ty rozpaczać i lamentować będziesz, to któż pokrzepi tę biedną matkę i babunię? Dziecko, mówiłaś, że się niczego nie lękasz, a na pierwszym kroku niepowodzenia łamiesz ręce, i tracisz moc ducha!...

— Nie, wujciu, ja nie tracę mocy ducha, ja nie łamię

rąk rozpacznie nad sobą, ani nad stratą majątku, lecz gdy pomyśle o matce, która w życiu tyle nieszczęść już przeszła, to trudno zapanować mi nad żalem, widząc, ile jeszcze cierpień ją czeka, pracy i niedostatku. Ale nie lękaj się, wujciu, nikt prócz ciebie nie zobaczy mię nigdy upadającej pod brzemieniem smutku, nigdy przed nikim nie sarknę a, choćbym się zapracować miała, pracować będę, nie usłyszy nikt nigdy ani jednej skargi, ani jednego słowa zniechęcenia i upadku na siłach. Nie na tołożyliście tyle na moją naukę, abym wam niedostatek cierpieć pozwoliła.

— Poczciwie masz chęci, Hanko — rzekł p. Kazimierz — ale nie ty jedna pracować będziesz, bo temu przy najlepszych chęciach podolaćbyś nie mogła, abyś miała nas wszystkich żywić twą pracą. Pomyśl, nas jest dziewięć osób, a wszyscy potrzebujemy jeść i okryć się, musimy więc wszyscy pracować, aby odpędzić głód i nędzę.

— Głód i nędzę — powtórzyła Hanka za wujem, i drżenie przebiegło ją całą — to jednak rzecz straszna — dodała smutnym głosem.

Pan Kazimierz schylił się i pocałował białe jej czoło.

— Tak, dziewczeczko, to rzecz straszna, a odczuć ją potrafią ci, którzy przechodzili takie koleje ciężkie. Ale cierpienie, to próba wartości człowieka, jak złoto czyści się w ogniu, tak człowiek wyszlachetnieć i podnieść się duchem powinien w doświadczeniach i walce z losem. Nizkie tylko dusze upadają, słabe łamią się pod brzemieniem cierpień, ale piękne i szlachetne wychodzą jasne, jak złoto z ognia.

— Gdyby nie mateczka i babunia — rzekła Hanka — gdyby nie one cierpieć miały, o wierzaj mi, wujciu, z uśmiechem na ustach spoglądałabym na czekającą mię pracę, a może i niedostatek; ale myśl o nich przejmuję mię boleścią.

— A przecież i matka twoja, i babunia, przeszły już wiele, bardzo wiele w życiu, i widzisz, że nie upadły duchem, że nie opuściły rąk bezczynnie. Babunia twoja była bardzo bogatą w młodości, rodzice twoi posiadali także piękny majątek,

z tego wszystkiego wyrzuci zostali, ale zebrawszy resztki, jakie zdołali ocalić, zaczęli pracować na tym oto kawałku ziemi, i czuli się jeszcze szczęśliwi. Potem ojciec wasz umarł, babunia straciła jedyne go syna, matka najzacniejszego męża; ty, Hanko, pamiętasz ich boleść, bo i sama tę stratę czuć już umiałaś, widziałaś chwilową rozpacz swej matki, mówię chwilową, bo nie mogła jej się oddawać, obowiązek wychowywania pozostałych sierot i czuwania nad ich losem musiał pokonać boleść własną. Zniosą i to nieszczęście z rezygnacją i spokojem, ja wiem, że je zniosą.

— Kiedy będzie licytacja naszego kawałka ziemi? — zapytała Hanka, a głos jej dławili łzy, które siłą woli powstrzymywała — jak długo będziemy jeszcze pod tym dachem?

— Za trzy dni termin licytacji na folwark, a za tydzień na wszystkie ruchomości. Ale dosyć tej rozmowy, później musimy radzić wspólnie, co poczniemy nadal, a teraz idź, dziecko moje, do swych zwykłych zajęć.

To powiedziawszy, p. Kazimierz podniósł się i, złożywszy raz jeszcze pocałunek na czole Hanka, oddalił się śpiesznie, widocznie głęboko wzruszony boleścią dziewczęcia.

Hanka została sama, nieruchoma, jak skamieniała. W cóż obróciły się jej wszystkie marzenia? widziała tyle szczęścia w powrocie do ukochanego domku i w pracy, której się miała oddawać z takim zapalem, a teraz czeka ją praca, ale jakże ódmienne od tej, o której tak rozkosznie śniła! Co powie na to Terenia? pomyślała nagle, bo w trosce o matkę i babunię, zapomniała na chwilę o siostrze. Biedna Terenia, jak ona to odczuje głęboko, ile ją ta zmiana leż kosztować będzie! Co oni poczną teraz, gdzie się obróć, będą musieli wyjechać z Żabina. Wyjechać z Żabina na zawsze, to nawet na siły Hanka zbyt wielkie cierpienie, zostawić tu wszystko, rozstać się z mogiłą ojca, na którą tak często wszyscy chodzili, obsadzali kwiatami i całe lato nosili wieńce, a teraz ten ukochany ojciec zostanie sam, i może nawet w grobie uczuje to opuszczenie i rozłąkę!

Byłaby tak siedziała Bóg wie jak długo, gdyby na ganku nie ukazała się Terenia. Dziewczyna weszła z uśmiechem na ustach, blada zwykle twarzyczka pokraśniała, jak jutrzienka. Długie jasne warkocze puściła niespięte na ramiona, trzymała w ręce różę, na której dźżały jeszcze kropelki rosy.

— Wiesz, Haniu — mówiła, wchodząc — że to jednak prawdziwa rozkosz mieszkać na wsi; dzisiejszy poranek, który spędziłam w ogrodzie, bo wstałam od godziny, przepełnił mnie taką radością, że już powróciłam do domu, a choć mi wczoraj... Boże mój! co tobie, Haniu? — zawołała niespokojnie, spostrzegłszy teraz dopiero zmienioną twarz siostry i nieruchomą jej postać — Hanko moja, co się stało, czyś ty nie chora broń Boże?

— Ach — pomyślała Hanka — zeszła mnie tak nagle, kiedy się tego najmniej spodziewałam, sądziłam, że śpi jeszcze; szkoda, nie zdążyłam się otrząsnąć z bolesnego wrażenia, a tak chciałam ukryć przed nią moje cierpienia, pragnęłam, by mnie widziała silną.

— Co tobie, Hanko? — powtórzyła pytanie Terenia, siadając obok siostry i obejmując jej szyję pieśczoćliwie — czy ci może tęskno za Warszawą? — dodała, zaglądać jej w oczy.

— Zeszaś mnie w chwili cierpienia, nad którym nie mogłam zapanować; ale teraz wszystko już minęło, i nigdy nie ujrysz mnie tak słabą — odpowiedziała Hanka, poddając się pieśczoćtom siostry, jakby w jej uścisku i miłości pragnęła zacerpnać siły do czekających ją tyłu cierpień i przejść bolesnych.

— Cóż to za cierpienie, siostrzyczko? — zapytała Terenia.

— A, Tereniu moja, ciężkie przyszły na nas koleje, spotyka nas cios, o jakim nigdy nie pomyślałyśmy ani na chwilę.

— Przerażasz mnie. Haniu, mów, co się stało, niepewność gorsza od rzeczywistości — rzekła Terenia i zbliła strasznie, czego jednak Hanka nie widziała, oparłszy głowę na jej ramieniu.

— Powiem ci wszystko, Tereniu, muszę ci wszystko powiedzieć, aby cię przygotować na nieszczęście, które nas spotka za dni kilka, a muszę ci powiedzieć wcześniej, abyś wobec mateczki i babuni nie okazała zbyt uczuciowej rozpacz.

— Mów — zawołała Terenia — mów jak najprędzej.

— Słuchaj więc, siostrzyczko moja biedna — i Hanka, przytuliwszy do siebie drżącą dziewczynę, opowiedziała jej szczegółowo wszystko, co sama słyszała przed chwilą od wujaszka. Terenia ani razu jej nie przerwała, żaden wykrzyk bólu nie wyrwał się z jej piersi, milczała, jak gdyby głos w niej zamarł, tylko na bladą przedtem twarzyczkę wystąpiły gorączkowe rumieńce. Przez czas całego opowiadania ani jedna łza nie wypłynęła z jej oczu, ani jednego nie wydała westchnienia. Siedziała nieruchoma i milcząca, a gdy Hanka skończyła opowiadanie i umilkła, Terenia zwróciła na nią wzrok błyszczący i rzekła cichym głosem:

— Biedna mateczka nasza i babunia, bo o nas mniejsza. Pracować potrafimy i będziemy, tak, Hanko, my im nie damy się martwić, a głód i nędzę, o jakiej mówiłaś, odepchniemy; wszak mamy młodość, naukę i siłę.

Hanka ze zdziwieniem spojrzała na siostrę. Więc to mówi Terenia, słaba i egzaltowana, Terenia, nie lubiąca to tej pory igły i żadnej pracy, prócz umysłowej, która całe dnie i noce siedziałaby nad książką lub kajetem, a dziś w jednej chwili staje się silną, gardzącą niebezpieczeństwem, nie roniącą ani jednej łzy nad nieszczęściem, którego Hanka spokojnie znieść nie miała siły. Nie, to niepodobna, tego nie mówi Terenia, albo też nie rozumiała dobrze, co ich czeka w przyszłości, bo jeżeli sen lub przeczucie jakiegoś smutku pozbawiało ją spokoju i przyprowadzało do łez nieraz, to cóż dopiero prawdziwe, spełnione nieszczęście i spadające na całą rodzinę! Hanka tak się obawiała łez i rozpacz siostry, sądziła, że wiadomość ta przyprawi ją o chorobę, a tymczasem ta siostra słaba staje wobec nieszczęścia silna, i ani rozpacza, ani płacze, i tylko myśl o mateczce i babuni wywołuje okrzyk bólu z jej piersi.

— Ach, siostrzyczko droga — mówi Hanka pokornym niemal głosem — jakże mię zawstydzasz twą siłą! Ja od łez wstrzymać się nie mogłam, nieszczęście to wydało mi się tak wielkie, tak straszne, była chwila, że sądziłam niepodobieństwem, abyśmy kiedykolwiek wybrnąć z niego potrafili. A ty ani chwili jednej nie oddałaś się rozpacz, nie zwątpiłaś w przyszłość, która nam wszystkim dać jeszcze może choć trochę szczęścia i swobody.

Hanka mówiła teraz długo, zastanawiając się i tworząc plany pracy, któraby jak najwięcej przynieść im mogła korzyści, ale Terenia milczała, ani jednym słowem nie przerywając siostrze. Może i nie słyszała nic z tego, co do niej mówiono, zapatrzona w daleką jakąś przestrzeń, wyglądała jak posąg wykuty z marmuru. Śliczna róża, która ją przed godziną takim napelniała szczęściem i radością, leżała porzucona u stóp jej, bo czyż ją kwiatek mógł teraz cieszyć, czyż ona mogła się nim zajmować?

I znów jedna osoba przybyła na ganek, dziewczęta strwożone podniosły oczy, matka stanęła przed niemi. Pani Krystyna była bardzo zmieniona, bardzo smutna, a gdy córki, wiedzione jedną myślą, przypadły do jej kolan, rozplakała się serdecznemi łzami żalu, i w pierwszej chwili słowa przemówić nie mogła.

— Och! mateczko — zawołała Terenia — tylko ty nam nie martw się bardzo, a wszystko będzie jeszcze dobrze, zobaczysz, że i dla nas przyjdą dni pogodne i szczęśliwe.

— Dzieci moje, zamiast żebym ja wam dodała otuchy i męstwa, wy mnie pocieszacie i umacniacie na duchu.

— Tylko najpierw musimy, mateczko droga, pomyśleć już nad tem, gdzie się podziejemy, gdy przyjdzie opuścić nasz kącik ukochany — rzekła Hanka — musimy usunąć się przed dniem licytacji, bo to byłoby dla ciebie, matuchno, i dla babuni nadto bolesne.

Pani Krystyna siadła na ławeczce a, gdy w tej chwili p. Kazimierz stanął w drzwiach i wsparł się o nie, założywszy

ręce na piersiach, spojrzała na niego wzrokiem, w którym badacz byłby wyczuwał odcień wyrzutu i tajonego żalu. Ale brat wytrzymał wzrok ten spokojnie, czoło jego tylko zachmurzyło się posępnie i, zwracając się do Hanki, zapytał:

— Gdzież wołałybyście zamieszkać, w mieście czy na wsi? bo masz słuszość, Hanko, że czas nad tem pomyśleć.

— Gdyby to odemnie zależało — odpowiedziała Hanka prędko — stokroć wołałabym na wsi.

— Cóżbyśmy jednak na wsi robili, w jaki sposób zapracowaćby można na życie? — zapytała p. Krystyna.

— A ty, Tereniu, jak myślisz? — zapytał p. Kazimierz,

— Ja... — odrzekła wahająco — ja nie widzę pola do pracy na wsi, w mieście łatwiej znaleźć zajęcie, do jakiego kto jest uzdolniony.

Hanka przecząco poruszyła głową. odzyskała ona już siłę panowania nad sobą, wrodzona jej energia i bystrość umysłu zaczynała brać górę nad zdaniem Tereni, teraz więc rzekła stanowczym głosem:

— Mylisz się, Tereniu, w mieście dla nas byłoby gorzej, bo tam trudniej wyszukać sobie pracę i zajęcie. Zresztą do miasta trzebaby mieć gotówkę, a wuj powiada, że nam nic, zupełnie nic nie pozostanie.

— Cóż jednak na wsi robić będziemy? — zapytała Terenia, nie ustępując, jak to zwykle dotąd robiła, zdaniu siostry — powiedz, co myślisz, jakie masz plany?

— Alboż to można w jednej chwili zdobyć się na co, stanowczego? — odpowiedziała tamta — zresztą przecież my nie mamy prawa stanowić o tem, co należy do mateczki i wujcia.

— A jednak musimy postanowić coś dz's koniecznie — rzekł p. Kazimierz — czas jest bardzo już krótki.

— O, wujciu, czemu nie wiedzieliśmy o tem zaraz po naszym przybyciu? — rzekła Hanka — dlaczego ukrywaliście przed nami wszystko, aż do ostatniej chwili?

— Haniu, czyż nie pojmujesz tego, że uczyniono to z miłości dla nas — wyrzekła Terenia — każda chwila szczęścia

jest drogą, a tak ich niewiele było już dla nas. Ach, mateńko moja — dodała, całując ręce pani Krystyny — jakże dobra esteś, martwiłaś się sama w skrytości, chcąc nam przedłużyć te ostatnie dni radości w naszym domku.

— To prawda — rzekła Hanka — ale mateczka przez te dni więcej się jeszcze martwiła, myśląc ciągle o tem, jak nam to będzie boleśnie, gdy się nareszcie dowiemy, jaki cios spadł na nas niespodzianie.

— Wracajmy jednak do rzeczy — rzekł p. Kazimierz — pomyślcie więc, moje dzieci, stanowczo, gdzie chcecie zamieszkać, bo wybór ten wam zostawiamy.

— Na wsi, wujciu; mnie już potrochę, choć niewyraźnie jeszcze, snuje się w myśli, w jaki sposób pracować będziemy — rzekła Hanka, nie zmieniając swego zdania. — Zresztą środki utrzymania łatwiejsze są na wsi, niż w mieście, czyż nieprawda, mateczko?

— Bezwątpienia, jak dla nas, o wiele łatwiej będzie się utrzymać na wsi — odpowiedziała p. Krystyna.

— Jest tu właśnie dom jeden do najęcia — rzekł p. Kazimierz — możnaby wejść z właścicielem w układy, bo on niespodzianie został tak skrępowany interesami familijnymi, że na lat trzy dom ten chce puścić w dzierżawę. Niewiele nawet żąda, a jest do tego jeszcze trzy morgi gruntu.

— Któryż to dom, wujaszku? — znam każdy kącik w Żabinie — zapytała Hanka.

— Och! — zawołała Terenia — to pewnie ten dom nowy, taki ponury i smutny.

— Tak — odpowiedział p. Kazimierz — o nim mówię. Hanka westchnęła, a po chwili rzekła:

— Kilka dni temu mówiłam, że nie chciałabym w tym domu mieszkać, a dziś...

— Mniejsza o to — przerwała Terenia — dziś każdy dom dla nas dobry, cóż nas to obchodzi, czy on ładny czy brzydki, gdy nie nasz własny.

— A więc idę zaraz pomówić z właścicielem, który dziś ma

odjechać podobno — rzekł p. Kazimierz — sądzę, że, potrzebu-
jąc dom ten wypuścić, nie będzie się z nim drożył zbytecznie.

Hanka wstrząsnęła się cała, a Terenia pogardliwie wzru-
szyła ramionami.

Przy śniadaniu wszyscy już wiedzieli o nieszczęściu, ja-
kie na nich spadło; mówiono więc ciągle o tem, jak się na-
dał urządzić, radzono wspólnemi siłami, wszyscy byli smutni
i zgnębieni, jeden Kazio nie rozumiał dobrze zmiany położenia.

Dom czerwony został wynajęty, właściciel przyszedł z pa-
nem Kazimierzem, pisano coś długo w jego pokoju, targowano
się widocznie bardzo, bo dziś każdy grosz stanowił wiele w bu-
dżecie domowym. Ponieważ dom nie był jeszcze przez własci-
ciela zajęty, gdyż on sam mieścił się w jednym pokoiku, przy-
jechawszy chwilowo, a teraz zabrał swe rzeczy, których nie
miał wiele i odjechał, rodzina p. Wolskiej mogła więc się tam
wprowadzić zaraz.

Mimo wszelkich przygotowań do wyprowadzenia, niepo-
dobna było uwierzyć, aby to istotną było prawdą, dziewczętom
zdawało się to snem nieledwie. Czyż, wstając dziś rano, przez
myśl im choć przeszło, że to prawie ostatnia noc, spędzona
w domu własnym?

Gdy p. Krystyna wyszła do spiżarni, aby porządkować
i składać owoce swej zabiegliwości i gospodarstwa, a p. Kazi-
mierz w podwórzu chodził po wszystkich kącikach, Terenia
siedziała na małym stołeczku przy nogach babuni, podczas gdy
Hanka układała coś na komodzie.

— Babuniu droga — mówiła Terenia — jak to się stać
mogło, żeśmy przyszli do tak rozpaczliwego położenia? prze-
cież mateczka nasza tak się dobrze zawsze rządziła, nigdy
u nas żadnych nie było zbytków, jakim więc sposobem je-
steśmy ze wszystkiego wyzuci?

— Były zawsze interesa — odpowiedziała babunia, we-
stchnąwszy głęboko — a że wam matka nic o tem nie mówiła,
to jedynie z miłości, aby wam zmartwieniem nie zatruwać lat
młodych, wiedząc, że i tak jeszcze dosyć będziecie miały smu-

tku w przyszłości. Rachowano zawsze na pomyślniejsze lata, a tymczasem wydatki się zwiększały, bo nas jednak spora jest gromadka, a długu spłacać nie było możliwości. Wszystko byłoby to jeszcze ciągnęło się długo może, gdyby nie ów nieszczęsny rewers, wystawiony przez mego biednego syna, o którym nigdy nam nie wspominał. Mój Boże, dzieci kochane, czyż mogłam myśleć kiedy, że coś podobnego się stanie? Krysia mogłaby długu tego nie zapłacić, bo nie jest do tego obowiązana.

— Babuniu! zawołały obie wnuczki — nie mów tego, to dług święty, skoro podpisany ręką naszego ojca, mateczka nasza uczyniwszy tego nie mogła, aby go nie zapłacić.

— Nie rozumiem tylko tego, babuniu — rzekła Hanka zbliżając się — jakim sposobem my z Terenią przez lat dwa bawiłyśmy w Warszawie? przecież to tak dużo kosztowało, pocóż więc było ponosić ten wydatek?

— Prawda, że to dużo kosztowało — odpowiedziała pani Wolska — ale to już p. Kazimierz pragnął tego koniecznie, dowodząc, że wam to w przyszłości ułatwi pracę na utrzymanie życia, nie tylko swego, ale i matce i młodszemu rodzeństwu z pomocą przyjść będziecie mogli.

— Czy nam istotnie nic nie zostanie? — zapytała Terenia.

— Prawie że nic, bo od długu po ojcu waszym trzeba za lat kilka zapłacić procent, którego posiadacz rewersu ustąpić nie chce, jak również i sumy na czas dłuższy pozostawić nie może, jak utrzymuje stanowczo.

— Trudno — rzekła Hanka — rąk nie opuścimy w nieszczęściu, a Bóg dopomoże, że damy sobie radę. O! jeszcześmy nie wszystko stracili, gdy mamy zdrowie i siły do pracy.

— Najbardziej się martwię o Janka — wyrzekła Terenia smutnym głosem — tak dobrze się uczy, jakaż byłaby to rzecz straszna, gdyby nauki przerwać musiał.

— Do tego może nie przyjdzie — odpowiedziała babunia — p. Kazimierz utrzymuje, że Janek dostanie stypendjum, o które już rozpoczął staranie.

Wejście p. Krystyny przewało rozmowę, wzywała córek pomocy w pakowaniu rzeczy, nie podpadających pod licytację.

Przed wieczorem dnia tego przyjechał porządną bryczką w parę dobrych koni jakiś jegomość nie pierwszej już młodości. Pan Kazimierz wyszedł naprzeciw gościa i wprowadził go do swego pokoju, a p. Krystyna powiedziała córkom, że to właśnie ów pan, posiadający rewers ich ojca. Powierzchnowość przybyłego była miła i na pierwszy rzut oka sympatyczna nawet, sądząc więc z pozoru, trudno było uwierzyć w tę zawziętość, z jaką odebrać pragnął swoje pieniądze natychmiast.

Pan Kazimierz prosił siostry, aby przysłała herbatę do jego pokoju, gdyż mieli bardzo wiele do mówienia, i potrzebowali być sami. Późno już było, gdy odjechał ów gość niebardzo pożądany, a p. Kazimierz, przyszedłszy do pokoju, w którym oczekiwano na niego, miał minę rozjaśnioną nieco, i rzekł z pewnem zadowoleniem w głosie:

— No, nie jest to jeszcze tak zły człowiek, jak się początkowo zdawało, zrobiliśmy dobrowolną umowę i licytacji już nie będzie. Przyjął wszystkie długi na siebie i sam wchodzi w posiadanie naszego folwarku. Wszystkie meble, sprzęty domowe i spiżarnia przy nas zostaje, bierzemy dwie krówki do wyboru, dwie sztuki z trzody chlewnej, dwadzieścia sztuk drobiu podług upodobania.

— Chwała Bogu — rzekła Hanką, składając ręce — że choć krówki mieć będziemy.

— Ach, jak to dobrze, że licytacji nie będzie — zawołała Terenia z radością prawie — tak się bałam tego przejścia dla mateczki i babuni.

— Zrobiło się, co było można — rzekł p. Kazimierz — a teraz po tym dniu pełnym wzruszeń, pójdźmy na spoczynek, bo on nam bardzo potrzebny.

XII.

Na nowem mieszkaniu.

Tydzień już upłynął, jak mieszkańcy małego dworku przenieśli się do czerwonego domu, a jeszcze z żalu ochłonać nie mogli, ani się przyzwyczaić do nowej siedziby. Trudno bo też było polubić to smutne mieszkanie, bez żadnego drzewka w bliskości, ani ogródka, ani murawy, istna pustka, dziwnie odbijająca przy całej wsi tak pełnej drzew, zieleni i porządku. Dom ten stał na końcu szerokiej drogi, prowadzącej przez wieś, na małym wzgórku, odsunięty cokolwiek od wioski, jakby się lękał czy wstydził zbliżyć do niej. Po kilku kamiennych schodkach wchodziło się do sieni, cegłą wyłożonej, na prawo był duży pokój o trzech oknach, za tym prosto znajdował się drugi, spory także, z którego wchodziło się do małego o jednym oknie pokoiku. Po drugiej stronie był ten sam rozkład, mieszkania tu było więcej, niż potrzeba, gdyż od tyłu znajdowała się kuchnia, spiżarnia, garderoba i z osobnym wejściem dość duży pokój, który p. Kazimierz zabrał na swój użytek. Małeńka szopa wraz z chlewikiem pod jednym dachem składały całe zabudowanie.

Słońce schylało się już ku zachodowi, przed czerwonym domem gromadka dzieci uwijała się żwawo przy pracy. To Jadwinia, Ewcia i Kazio kopią pod oknami ziemię; ma tu być założony taki ogródek, jak przy własnym domku, mówią dzieci, a chociaż to nie pora na sianie i sadzenie kwiatów, jednak Jadwinia utrzymuje, że jak przesadzą całe kępki astrów, które im nowy właściciel zabrać pozwolił, to się przyjmą z pewnością. I przed domem skopany już był klomb duży dosyć, zasiany trawą, której nasienia przyniósł Jadwini p. Grubski, dowiedziawszy się od Kazia o kłopotach dziewczynki, rozpytującej wszystkich, gdzieby dostać tego nasienia. W pobliżu kręci się kilka kur czubatych, które mają nieklamana ochęć wyjść przyszlą trawę, gdyż potem, jak wyrośnie i zazieleni się, już

im smakować nie będzie. Ale chętkę tę niedobłą poskramia Figielek, siedząc na straży i pilnując dzielnie nierozważnych szkodników. Czubatki z widoczną niechęcią spoglądają na czujnego stróża i pragnęłyby bardzo, aby się zdrzemnął na chwilę; ale Figielek rozumie dobrze, co to jest obowiązek, i wiernie się z niego wywiązuje.

Gdy tak dziatwa pracuje na dworze, bo jest to godzina wypoczynku dla niej po pracy, w pokoju po prawej stronie, przy otwartem oknie, siedzi Terenia i szyje jakąś różową, mocno sfałdowaną spódnice. Na twarzy dziewczęcia niema smutku ani zniechęcenia, przybył tylko wyraz powagi i słodczy. Ciemne oczy nie straciły nic ze swej figlarnej żywości, około ust rumianych wije się dawny uśmiech wesołości i swobody. Przy stole stoi Terenia i przykłada formę do czarnego materiału, obracając ją na wszystkie strony z tą niepewnością, która znamionuje nie obycie się z jakąś pracą. Dziewczę pobladło trochę przez te kilka dni, a ściągnięta chmurnie w tej chwili brew ciemna świadczy o wewnętrznem niezadowoleniu lub cierpieniu. Tłumi westchnienie, aby go starsza siostra nie posłyszała, i z niezmaconą cierpliwością stara się dopasować upartą formę. Ale wszelkie usiłowania nie odnoszą pożądanego skutku, z widoczną więc przykrością zwraca się do Hanki, mówiąc:

— Nie mogę na żaden sposób dopasować tej formy tak, aby starczyło materyału na kaftan, jak to sobie zastrzeżono; próbuję na wszystkie strony, i zawsze mi na jeden rękaw brakuje.

Na te słowa Hanka uśmiechnęła się nieznacznie i, kładąc swą robotę, zbliżyła się do stołu:

— Będziemy tak wyciągać i nadciągać — rzekła wesoło — że starczyć musi, kiedy sobie tego życzyła organiścina. Pozwól, siostrzyczko, mam trochę więcej w tem wprawy, to może poradzę na to.

Hanka, pokazując niby i próbując razem z Terenią, sama kaftan skroiła, a nie tylko, że starczyło na rękawy, ale jeszcze pozostał kawałek w zapasie.

— Ach, to szczęście, że starczyło nareszcie — rzekła Terenia.

— Niezmiernie lubię szyć kaftany — mówiła Hanka — gdybyś chciała wszyć w pasek tę spodnicę, ja miałabym prawdziwą przyjemność wszyć te kliniki i boczek, bo mię to bawi szczerce, gdy z pociętych kawałków utworzy się całość taka foremna i zgrabna. No jakże, Tereniu, czy zgoda?

Dobrze — odrzekła Terenia, biorąc śpiesznie spódnice, gdyż wszycie w pasek zdawało jej się rzeczą o wiele łatwiejszą, i siadła na miejscu siostry.

Ale nowa trudność: trzeba rozmierzyć pasek, aby zmarszczki we właściwym miejscu były jednakowo ułożone. Terenia zarumieniała się trochę, ale tyle dołożyła starania, że udało jej się zrobić to jak potrzeba. Szyjąc, kłóła sobie palce do krwi, bo chociaż w domu, mimo że nie lubiła igły, szyć jednak musiała, ale przez dwa lata pobytu w Warszawie tak odwykła od wszystkich robót ręcznych, że dziś igła w jej palcach nie wiedziała, co z sobą zrobić. Hanka spoglądała z pod oka na męczącą się siostrę, i cień smutku i litości przemknął się po jej twarzy. „Boże mój, pomyślała w duchu, czemu ja za nich wszystkich pracować nie mogę. Biedna ta, dobra, poczciwa Terenia, zadaje sobie gwałt, biorąc się do robót, których nie lubi, i dlatego tak niezręcznie obchodzi się z niemi. Pragnie się przezwyciężyć, zamknęła wszystkie książki i kajety, aby jej nie brała pokusa zaglądać do nich teraz, gdy przed nadchodzącym odpustem tyle roboty poczciwi ludzie naznosili.“

— Czy wiesz, Tereniu — rzekła Hanka, udając, że nie widzi, jak wszywanie spódnicy w pasek szło niesporo — od kilku dni, to jest prawie od dnia, w którym dowiedziałam się o naszym smutnem położeniu, powstał projekt w mej głowie, który powoli dojrzewa, i zdaje mi się łatwym do wykonania.

— I cóż to za projekt? — zapytała Terenia, obcierając nieznacznie palec ukłóty w tej chwili tak silnie, że krew z niego dużemi występowała kroplami.

— Myślę założyć magazyn — odpowiedziała z uśmiechem.

— Magazyn? tu w Żabinie — zapytała zdziwiona Terenia.

— Tu w Żabinie; nie myśl jednak, że będą tu kapelusze i różne eleganckie stroje, nie w moim magazynie będą śliczne czepeczki haftowane, muślinowe, z wstążeczkami, nawet z kwiatkami dla młodych mężatek, będą piękne fartuchy, a później, później, gdy się dorobimy, założymy sklep, w którym wszystkiego dostanie, co tylko do ubrania naszym kobietom potrzebne.

— Dalekie to bardzo jeszcze czasy — odpowiedziała Terenia — nim my się dorobimy z pracy tyle, żeby można sklep założyć, to pewnie się postarzejemy i do pracy nie będziemy miały ani siły, ani ochoty.

— Oho! więc myślisz, że tak już ciągle będziemy mozolnie pracować, nie mając z tego korzyści? — zapytała Hanka — jakto, nigdy się niczego nie dorobimy?

— Ja myślę, że gdy zapracujemy tyle, abyśmy wszyscy wyżyć mogli i ubrać się jako tako, to już pewnie nic się nie okroi na przyszłość.

— Żartujesz, tak źle nie będzie — rzekła Hanka — tylko, siostrzyczko kochana, trzeba mieć wiary trochę, że nastaną dla nas dni pomyślniejsze. O! Tereniu, gdybyśmy nie miały nadziei, że przyszłość przyniesie naszej mateczce spokój i swobodę myśli, że babunia uśmiechnie się do nas po dawnemu, bez troski na czole, to od pracy odpadłyby ręce, a życie byłoby smutne, bardzo smutne. Ale ja mam przeczucie jaśniejszej doli, uważasz, Tereniu i ja mam przeczucie, a w Bogu nadzieja, że ono się spełni; tymczasem pracować będę usilnie, ani chwili spoczynku nie pozwolę sobie, bo mam siłę, młodość i zdrowie, a zatem wszelkie warunki do pracy.

— Ach, Hanko moja — rzekła smutnie Terenia — gdybym ja była taką, jak ty, podołałybyśmy wszystkiemu; ale chociaż w pierwszej chwili na wiadomość o naszym nieszczęściu zdawało mi się, że pracować potrafię, że praca ta będzie mi łatwą, dziś widzę, że nie umiem nic z tego, coby nam chleb

zapewnić mogło. Nic nie umiem, Hanko — dodała ze łzami w oczach, opuszczając ręce na fałdzistą spódnice, którą szyła — niczem nie przysporzę dobrobytu dla naszej rodziny, a chwilami ogarnia mię myśl bolesna, czy raczej nie będę wam ciężarem, niż pomocą.

— Egzaltujesz się, jak zwykle, Tereniu moja, ty miałabyś być ciężarem dla nas? to nie ma sensu — mówiła Hanka wesoło na pozór, choć w sercu jej zrodził się niepokój o siostrę, którą obecne położenie przepełniało taką goryczą. — A zdawała się być tak silną w pierwszej chwili — myślała Hanka — że nawet ja czułam się upokorzoną moim żalem za straconem mieniem i brakiem wiary w przyszłość. Dziś ona biedaczka upada, trzeba ją pokrzepić, podnieść na duchu i wlać w to biedne serce choć trochę ufności w swe siły.

— Skończyłam już tę spódnice, Hanko — rzekła Terenia, podnosząc się z krzeselka — daj mi jaką robotę, szkoda czasu, każda chwila droga.

— O! — zawołała Hanka z uśmiechem — gorączkujesz się znów, siostrzyczko, przecież możesz choć chwilkę wypocząć.

— Alboż o wypoczynku można myśleć? — odrzekła z westchnieniem tamta.

— Możebyś zobaczyła, co dzieci robią, już ich od godziny nie widać — mówiła Hanka, nie odrywając się od pracy, a pragnąc siostrze dać chwilę wytchnienia — idź, Tereniu, idź do nich, bo i tam jesteś potrzebna.

Terenia zarzuciła Hance ręce na szyję i rozpłakała się głośno prawie:

— O Haniu moja! — mówiła łkając — takie życie zabije mnie, ja nie mogę już milczeć; bo serce pęka mi od bólu.

Hanka rzuciła robotę i tuliła płaczącą.

— Tereniu, uspokój się — mówiła głaszcząc jej włosy, jak tkliwa matka dla ukojenia dziecięcia to czyni — czyż tu pomogą co łzy i szamotanie się daremne? Łzami nie zmienisz położenia, rozpaczą nie zapracujesz na chleba kawałek, stracisz

zdrowie, a mateczce i nam wszystkim zatrujesz życie niepokojem o ciebie.

Drzwi lekko skrzypnęły, i p. Kazimierz wszedł do pokoju. Twarz jego była smutna i poważna, nie był to już ten wesóły zawsze wujaszek, ale człowiek zgnębiony ciężkiem zmartwieniem. Spojrzał na siostrzenice i brew jego ściągnęła się chmurnie.

— Terenia płacze? — rzekł, zbliżając się do dziewcząt — czy nie chora jesteś, broń Boże?

Dziewczę ukryło twarz na ramieniu siostry i nie odpowiedziało ani słowa.

— Nie jest chora, wujaszku — rzekła Hanka cokolwiek zakłopotana — zdrowa jest, tylko... — i dziewczyna zawahała się trochę.

— Tylko? — zapytał p. Kazimierz — tylko co, Hanko? czyż nie powinienem wiedzieć o wszystkim?

— Prawda, wujciu, tyś wszystko wiedzieć powinien — rzekła Hanka z nagle postanowieniem wyjawienia prawdy — tak, przed tobą tajemnic robić nie można, bo któż, jeżeli nie ty, poradzić i pokrzepić nas może?

— O, wujciu! nie sądz mnie surowo — rzekła Terenia, prostując się i zakładając ręce na piersiach — ja się jeszcze przezwyciężę, może to tylko chwilowe cierpienie, będę pracowała nad sobą, bo gorąco pragnę być taką jak Hania mężną i nieopuszczającą rąk w nieszczęściu.

— Więc ty, biedaczko, tak cierpisz nad zmianą naszego położenia? — zapytał p. Kazimierz ze współczuciem — a jednak lzy tu nie pomogą, pomyśl tylko, Tereniu, jakie to długie lata masz przed sobą, czyż nic na tę przyszłość nie zapracujesz, aby była szczęśliwą?

— Nie umiem pracować — odpowiedziała smutnie wstrząsając głową — nie umiem nic z tego, co daje chleb i byt niezależny, nie nauczyłam się niczego, coby korzyść jaką przynosić mogło. O ileż Hania odcmnie jest szczęśliwsza!

Pan Kazimierz potarł ręką po czole, a w duszy zrodził mu się niepokój, czy nie jego było to winą? Dziewczynę tę kochał całą potęgą swego serca, widział w niej zawsze istotę wyższą, poetyczną, cieszyło go to niewymownie, gdy dziewczę rwało się do książek, pochłaniało je niemal, i nieraz sprzeczał się z siostrą, gdy ta chciała koniecznie w córce swej widzieć kobietę praktyczną i gospodarną. Ale p. Kazimierz bronił zawsze gorliwie od tej praktycznej gospodarności ulubioną siostrzenicę, i powtarzał z dziwnym u niego uporem: niech chociaż ta będzie inną. I Terenia rosła inną, a dziś, gdy przysłała na nich godzina próby, dziewczę w pierwszej chwili z szlachetnem zaparciem siebie chciało stanąć do ciężkiej pracy, ale zabrakło siły i mocy, zabrakło umiejętności potrzebnych koniecznie i dziewczyna z bolesną skargą wołała: nie umiem pracować.

— Nie umiesz pracować, Tereniu — rzekł po chwili milczenia p. Kazimierz — ale powiedz, czego nie umiesz?

— Nie umiem nic z tego, co umie Hania — odrzekła smutnie — i widzę, że zamiast pomocą, będę wam tylko ciężarem.

— Cóż więc myślisz, kochanie, powiedz, na jakim polu chciałabyś i umiała pracować? — mówił p. Kazimierz, siadając na krześle przy oknie — bo przecie nietylko igłą zapracować można. Pomyśl więc, jeszcze nie wszystko stracone, jesteś młodą i rozumną dziewczyną, wybierz więc rodzaj pracy, która mogłaby ci zapewnić byt i przyszłość.

Terenia spuściła głowę na piersi i milczała, a łzy cicho spływały po bladej jej twarzyczce.

Pan Kazimierz ujął jej rękę i posadził na krześle.

— Może chciałabyś być nauczycielką? — zapytał.

— O, mój wujciu, choćbym tego pragnęła, to jestem zbyt mało wykształconą, i... nie umiałabym dobrze uczyć dzieci — odpowiedziała z żalem.

— Mogłabyś kształcić się w tym kierunku chociaż rok jeszcze, a zdaje mi się, że byłoby to dostateczne dla ciebie.

— Kształcić się — zapytała z goryczą, choć w pierwszej chwili oczy jej zajaśniały radością — ale jakim sposobem? Gdyby to było możliwe...

— Można by — mówił p. Kazimierz powoli, patrząc bacznie na obie siostrzenice — można by napisać do pani Z., a z chęcią przyjąłaby cię do siebie, abyś pobierała jeszcze lekcje z Lenką. Napisałbym...

— Wujciu! — wykrzyknęła Hanka z rumieńcem na twarzy — czyż zesłiliśmy już tak nisko, aby zebrać jałmużny? Prosić o przytułek, o chleba kawałek, o wujciu, jak możesz mówić podobnie?

— Pomoc taka, Hanko, nie nazywa się jałmużną, nie ubliża tym, którzy ją przyjmują — rzekł pan Kazimierz poważnie, chociaż w spojrzeniu, jakie rzucił na szlachetną dziewczynę, było wiele radości i dumy.

— Więc niech Terenia sama o tem stanowi — rzekła Hanka, zabierając się do przerwanej chwilowo roboty — znam ją dobrze i wiem, że z tej propozycji korzystać nie będzie.

— Tak, wujciu, ja o to prosić nie będę — rzekła Terenia z mocą — wiem dobrze, jacy to zacni, jacy szlachetni ludzie, wiem, że uczyniliby to z radością, wiem, że Lenka byłaby tem uszczęśliwiona, ale ja z dobrodziejstw ich korzystać nie mogę. Czułabym się bardzo upokorzoną wiedząc, jak tu wszyscy pracujecie ciężko, gdybym miała w wygodach i spokoju oddawać się ulubionemu zajęciu. Czynem tym zaparłabym się was, kochani moi, a ja wszystko chcę mieć z wami wspólne.

Hanka uściśnęła siostrę w milczeniu, a lzy błysnęły w ciemnych jej oczach.

Pan Kazimierz podniósł się z krzeselka i zaczął chodzić koło stołu z chmurą zamyślenia na czole. Po chwili stanął przy dziewczętach i, zwracając się do Tereni, zapytał:

— Więc cóż umyśliłaś, Tereniu? widzę, że pracować chcesz, a zatem podaj mi plan jakiej pracy, a może będę mógł pomódz ci do urzeczywistnienia twych zamiarów.

— Ja mam pewien zamiar — rzekła nieśmiało Terenia — ale nie wiem, czy byłoby to możliwe.

— Cóż takiego? mów proszę — nalegał p. Kazimierz.

— Pragnęłabym dostać się na jaką pensję, jako korepetytorka w niższych klasach, za stół i stancję, byle reszta godzin w dniu należała do mnie, musiałabym bowiem i sama się kształcić, i zapracować coś jeszcze dla matenki i młodszego rodzeństwa. A potem...

— Cóż potem, Tereniu? — zapytał p. Kazimierz.

— Zostałabym dopiero nauczycielką — odpowiedziała cicho.

— Więc masz powołanie do tego stanu? — zapytał pan Kazimierz.

— Tak jak i do igły — mruknęła niechętnie Hanka.

— Jak widzę, Hanka jest przeciwną twoim zamiarom, Tereniu — rzekł wujaszek, z niedostrzeżonym prawie uśmiechem na ustach. — I cóż masz przeciw temu?

— To mam, wujaszku, że lepiej stokroć być byle jaką szwaczką, niż byle jaką nauczycielką — odpowiedziała Hanka z uniesieniem — Terenia jest marzycielką, egzaltowaną, rozpieszczoną, dla Tereni świat rzeczywisty jakby nie istniał wcale...

— O Boże! — przerwała ten potok słów błada ze wzruszenia Terenia — więc podług ciebie, Haniu, do niczego zdolną nie jestem? Ach, więc to prawda, co mówiłam, że tylko ciężarem wam będę.

Hanka zmięszała się, spojrzawszy na bladą twarz siostry, i rzekła łagodnym głosem:

— Tereniu moja, nie miej do mnie żalu, chciałabym wszystko wziąć na swe barki, chciałabym każde cierpienie usunąć przed tobą, a zawód nauczycielski tyle mieści w sobie przykrości, rozczarowań i bólu, że nie wiem, czybyś temu poddać mogła. Dlatego to nie radabym cię widzieć nauczycielką.

— Czemże więc będę? — zapytała ze zniechęceniem w głosie.

Hanka spojrzała na wuja pytająco, ale ten patrzył w okno i milczał, jakby nie słuchał, co przy nim mówiono, i jakby nie należał do poprzedniej rozmowy. Na twarzy jego widać znów było obojętność i spokój, ani śladu poprzedniego smutku i zamyślenia, ani śladu cierpienia, o którym przed chwilą świadczyła ściągnięta brew ciemna. Ten wujaszek był zawsze dla Hanki jakąś dziwną zagadką, a chociaż miała do niego głębokie przywiązanie i ufność bez granic, nie mogła tego powiedzieć, że go znała, bo mienił się przed jej oczami w sposób wcale nieprzewidziany.

I teraz zamyślony był bardzo, bardzo głęboko, ale pogodą jaśniała twarz jego. Czy widział może w przyszłości lepszą dolę ich wszystkich, i uśmiechał się do niej w duszy. Hanka wzruszyła nieznacznie ramionami i zacisnęła usta.

— Wujciu — szepnęła Terenia — czy mi nic nie poradzisz?

Pan Kazimierz szybko odwrócił głowę i spojrzał ze zdziwieniem niemal na dziewczę, a w tej chwili na twarzy jego znów pojawił się smutek, wzięwszy Terenię za rękę, zaczął mówić wolno i poważnie:

— Nauczycielstwo, Tereniu, to kapłaństwo, bez powołania prawdziwego przystępować nam do niego nie wolno. Trzeba umiłować głęboko ten zawód, trzeba mu poświęcić wiele, bardzo wiele, bo trzeba zaprzeć się siebie, aby praca nasza wydała pożądane owoce. Taka młodziutka nauczycielka, dziewczeczko, musi być baczna na siebie w każdej chwili, bo ona ma uczyć nietylko słowem, ale przykładem własnym ważnych prawd życia, których książka nie nauczy. W zawodzie tym nie wolno się zniechęcać, ani brakiem zdolności uczennicy, ani jej lenistwem i opieszałością w pracy, ani wszystkimi wadami zepsutego nieraz zbyt czułym i pieściwym dzieckiem, bo w takim razie możnaby się potknąć na pierwszym niemal kroku. O! zawód to piękny, podniosły i wielki, ale wtenczas tylko, gdy jest tak zrozumiany i pojęty. Dlatego, Tereniu droga, postanowienia takiego nie robi się w chwili, gdy na chleb zapraco-

wać potrzebujemy. Połóż rękę na sercu i zapytaj, co ono ci powie, zajrzyj w nie głęboko, czy znajdziesz tam tyle miłości i zaparcia, ile do tego stanu potrzeba, a wtedy ja ci pomogę do spełnienia twego zamiaru. Ale jeżeli nie masz prawdziwego powołania, to ja do twego męczeństwa nie przyłożę ręki, bo widzę oczami duszy, jak dzień każdy znaczyłabyś łzami zniechęcenia, utratą wiary w swe siły, zwątpieniem, a z pracy twojej nie byłoby pożytku. Ja, Tereniu, schylam czoło przed każdym pracującym w tym zawodzie, jeżeli zrozumiał posłannictwo swoje, bo raz ci jeszcze powtarzam: nauczycielstwo, to apostołstwo, to kapłaństwo!

— Ach, przerażasz mię, wujciu — zawołała Terenia — ale zarazem jeszcze większą budzisz chęć do spełnienia mego postanowienia. To moje dawne marzenie, z którym tałam się przed Hanią nawet, o, ona tak zawsze przeciwna była temu.

— Bo tak te rzeczy pojmuję, jak wujaszek — odrzekła Hanka — a kocham cię bardzo, więc pragnęłabym dla ciebie lżejszej trochę doli.

— Ty widziałas, Haniu, jak pragnęłam pracować na równi z tobą — odpowiedziała — ale przy tej właśnie pracy zamęczyłabym się, najdroższa, a nie byłabym wam pomocną. Bóg widzi, jak gorąco modliłam się o wytrwałość, o siłę, a z dniem każdym czułam się więcej zniechęconą.

— Co mateczka na to powie? — rzekła Hanka, spoglądając ze smutkiem na siostrę, bo myśl rozłąki bolesną jej była, a widziała, że nastąpić to musi.

— Wujcio przemówi za mną do mateczki — rzekła Terenia z ożywieniem — a i ja pójdę, uklęknię u jej kolan, i wypowiem wszystkie udręczenia mego biednego serca.

— Będzie więc, jak chcesz — rzekł p. Kazimierz — jutro zaraz biorę kij w rękę i idę do Warszawy, a może starania moje odniosą pożądany skutek.

Terenia rękę wuja do ust przycisnęła, on złożył pocałunek na jej czole i szybko wyszedł z pokoju.

XIII.

Spustoszenie.

Na drugi dzień, ledwie słońce wychyliło się z poza blizkiego lasu, gdy Hanka krzątała się już około małego gospodarstwa. Twarz dziewczęcia, nacechowana głębokim smutkiem, była bledszą niż zwykle, a przy zajęciu swem stawiała co chwila w zamyśleniu, z którego otrząsała się siłą woli, ile razy jedyna dziś służąca zapytywała jej o coś, tyczącego się gospodarstwa.

Załatwiwszy w kuchni wszystko, co było potrzeba, zanim matka i babunia wstaną, Hanka wyszła przed dom a, siadłszy na schodkach frontowej sieni, spojrzała na dawną siedzibę, którą było widać jak na dłoni. Obaczyła, że w małym podwórku panował już ruch dziwny, z obory wypędzano ich krówki, ulubione krówki Hanki, któremi tak się cieszyła, bo z nich to miała ciągnąć owe olbrzymie dochody, wymarzone w Warszawie przez dwa lata. W oczach dziewczyny łzy zadrdzały pod powiekami, załamała ręce i przycisnęła je do czoła. Bydelko, rycząc wesoło, śpieszyło na pole, nie czuło tego, jaki żal szarpał sercem biednej dziewczyny. Teraz z kurników wysypała się rzesza skrzydlata z głośnym krzykiem i świegotem, wszystkie czubate kurki, faworytki wypieszczone Ewci, strzepowały skrzydelka ze snu nocnego, rozbiegając się swoim zwyczajem po wszystkich kąciach i krzaczkach.

Ale cóż to za gromadka ludzi zbiera się na podwórku, przyglądając się budynkom? Obchodzą je w koło, patrzą, rozmawiają coś gestykulując rękami, nareszcie zrzucają z siebie kapoty i zabierają się do pracy. Hance bije czegoś serce niespokojnie, patrzy z wytężeniem, a po chwili okrzyk przerażenia czy żalu wyrывa się z jej piersi. Oczom swym wierzyć nie chce prawie, a jednak to prawda, ci ludzie siekierami rozwalają pierwszy z brzegu budynek, zdzierają dach słomiany, i serce im nie pęka przy tej barbarzyńskiej czynności! Hanka

przysłoniła oczy, ale słyszy każde uderzenie siekiery, które głuchem echem odbija się w jej duszy. Ach! więc już i śladu nie pozostanie z ich kącika ukochanego, w którym tak szczęśliwie, cicho, upływało im życie. Jeszcze i ta boleść, myśli dziewczę, tłumiąc ciche łkanie, więc patrzeć trzeba, jak burza to, co ona kochała prawie od dziecka. Wstrząsnęła się a, wstając ze schodków, rzekła z mocą do siebie:

— Będę się roztkliwiać nad tem, co nie wróci? co nigdy wrócić nie może? Alboż jestem dzieckiem — dodała — nie płakać, ale pracować, pracować póty, aż zdobędziemy lepszą, swobodniejszą przeszłość.

Otworzyła oczy śpiesznie i spojrzała na dworek maleńki, którego okienka błyszczały w promieniach słonecznych. Na ganku stało w tej chwili dwóch mężczyzn, czy ją wzrok myli? jeden z nich to wuj Kazimierz, a ten drugi, to nowy nabywca ich posiadłości, który uważnie słucha, jak wuj Kazimierz mówi coś, wskazując ręką w stronę pracujących ludzi. Hanka ze zdumieniem przygląda się temu, i myśl jej pracuje nad tem, co znaczą te ranne odwiedziny wujaszka w dawnym ich dworku. Nareszcie wujaszek uchylił nieco kapelusza, przyjaznem skinieniem pożegnał gospodarza i śpiesznie szedł w stronę czerwonego domu. Hanka nie ruszyła się z miejsca i p. Kazimierz, zbliżywszy się, zobaczył, jak z ciekawością i niepokojem spoglądała na niego. Uśmiechnął się do niej swobodnie i rzekł dosyć wesoło:

— Dzień dobry ci, Hanko, zawsze najpierwsza na nogach, dzielna z ciebie dziewczyna. Ale i ja wstałem rano, idę dziś do Warszawy, jak wiesz, w interesie naszej Tereni, trzeba się śpieszyć, aby zająć przed upałem. Ale co tak patrzysz na mnie? radabyś pewnie wiedzieć, co robiłem tak rano w dawnym dworku naszym? Oj, kobiety, zawsze muszą być ciekawe. Otóż widzisz kochanko, nowy właściciel prosił mię wczoraj jeszcze, abym mu poradził w kwestji stawiania nowych budynków. Odmawiać nie wypada, bo jak wiesz, mimo pozornej surowości, jest to człowiek dobry w gruncie, porobił nam niektóre

ustępstwa, a że się o swoje upomniął, ha, to trudno, należało mu się słuszenie.

— Czy i stary dworek rozwałą? — zapytała.

— Prawdopodobnie — odpowiedział p. Kazimierz. — Ale daj mi, Haniu, przejeść cokolwiek, muszę śpieszyć w drogę, bo czas mi już wielki.

W pół godziny potem p. Kazimierz szedł do Warszawy, pożegnawszy serdecznie posługującą mu Hanke.

Gdy Terenia weszła do pokoju, p. Kazimierza już nie zastała. Dziewczyna zasmuciła się, że nie pożegnała tego dobrego, niezmordowanego wujaszka, gdy szło o spełnienie jej życzeń. Ale po dniu wczorajszym długo zasnąć nie mogła i dziś zasnęła trochę, a Hania ani pomyślała, aby budzić biedaczkę do pracy. Niech śpi, mówiła sobie, sprzątając pokój, w którym pracowały, bo służąca czynić tego nie miała czasu, we śnie zapomni o troskach i cierpieniu, ona taka delikatna i wątła. I na tę myśl pośpieszała z uprzątnięciem, aby dla Tereni, gdy wstanie, nie zostało dużo roboty.

O szóstej ruch dziennej pracy powstał w czerwonym domu, babunia tylko spoczywała jeszcze i Kazio, który sypiał w jej pokoju. Każdy z osobna z okrzykiem żalu i zdziwienia rzucił pierwsze spojrzenie na rozwalone budynki dawnej siedziby. Stare to było, małe, popodpierane w niektórych miejscach, ale jakże miłe ich sercu, ich oku!

— Ach, gdzie te biedne kokoszki spać będą — zawołała Ewcia ze łzami w oczkach — biedne czubutki moje!

— Trawnik poryją prosięta — rzekła ze smutkiem Jadwinia — może i lipę uszkodzą.

— Pewnie rozwałą i budę Warty, a ona biedaczka ze swemi szczeniętami pod gołem niebem spać będzie musiała — mówił Kazio, tuląc Figielka w objęciu, bo już to w nieobecności wujaszka pieścił zwykle psiaka bardzo, jakby chciał mu wynagrodzić tę rozłąkę.

Koło południa Jadwinia wbiegła do pokoju, gdzie siedzieli wszyscy przy robocie, i zawołała radośnie:

— Ogradzają trawnik, Tereniu, kilku ludzi pracuje przy tem, widać doskonale, płotek gęsty i dosyć wysoki. Dzięki Bogu, prosięta nie wejdą, psuć go nie będą, a i lipy nie podkopia.

— A i buda Warty stoi przy płocie, jak stała — rzekł Kazio — widzę ją stąd dobrze, szczeniaczki nie zmokną, choć deszcz będzie padał.

Po skromnem śniadaniu wszyscy zabrali się do pracy, nie było czasu na próżne żale i załamywanie rąk rozpacznie.

Nie wstydzili się dziś zarabiać na utrzymanie życia, a w dużej i ludnej wiosce szlacheckiej roboty zabraknąć nie mogło. Żabin należał do kilku rodzin, największą część jednak posiadała p. Wolska. Z początku krzywiono się trochę na tych przybyszów, którzy z nikim nie zawiązywali stosunków znajomości, nazywano ich panami, hrabiami, księżętami nawet, ale powoli, gdy wszyscy zobaczyli, jak ci sąsiedzi siedzą cicho i spokojnie, jak nikomu nie wchodzą w drogę, jak strzegą pilnie, aby ich inwentarz nikomu nigdy nie wszedł w szkodę, zaprzestano się zajmować starym dworkiem, jak nazywano siedzibę pp. Wolskich.

Często zdarzało się, że przychodził ten i ów po jaką radę w chorobie, na którą p. Wolska zawsze znalazła lekarstwo a przytem grzecznie interesanta przyjęto i rozmawiano z nim uprzejmie, tak, że ludzie przestali i urazę mieć do nich o to, że po dawnemu siedzieli cicho w swym domku. W miejsce poprzednich uszczypliwych tytułów nazywano ich teraz dobrymi ludźmi.

Gdy wieść o stracie majątkowej p. Wolskiej gruchnęła po Żabinie, z początku wierzyć jej prawie nie chciano, tak wszystkim zdawało się to rzeczą niepodobną. Dlaczego mieliby stracić wszystko? pytano się wzajemnie, śpiesząc z tą wieścią od dworku do dworku. Gorączka ciekawości ogarnęła mieszkańców Żabina, a przez pierwszy dzień niepewności, co było przyczyną ruiny mieszkańców starego dworku, nie szła robota najsłynniejszym nawet gospodyniom. Gdy wreszcie do-

wiedziano się, za jaki to dług rodzina p. Wolskiej wyzutą została ze swego skromnego mienia, ubolewaniom nie było końca. O robotę więc nie było kłopotu, gdyż postanowiono sobie zgodnie w całym Żabinie, aby takowej nie oddawać do pobliskiego miasteczka, jak to dotąd czyniono, ale wszystko dawać do biednej wdowy. Skoro pierwszą robotę odebrano z rąk Hanki, wszyscy byli zachwyceni starannem wykończeniem i sumienną umiarkowaną zapłatą, jakiej zażądała.

Ale czyż praca ta mogła zabezpieczyć byt dość licznej rodziny? Czyż można było ciągnąć z niej takie korzyści, aby i Janka utrzymać w szkołach, i o Kaziu myśleć, bo chłopczyk już się uczył i niedługo musiał wyjść z domu matki. Na razie nie zaznali jeszcze niedostatku, mieli zapasy spiżarniane, które należały do nich i te zabrali z sobą, o kupnie myśleć nie było jeszcze potrzeby, ale przyszłość trwożyła odważną nawet Hankę, która tego jednak nigdy pokazać po sobie nie chciała. Wobec matki i sędziwej babuni, starała się o dawną swobodę i wesołość, lekceważyła wszelkie trudy, a przyszłość potrafiła malować w tak świetnych barwach, że wywoływała uśmiech na usta ukochanych.

I teraz, stojąc z nożyczkami przy dużym stole, krajała jakiś materyał w czerwone kwiaty i opowiadała coś zajmującego z pobytu swego w Warszawie, aby odwrócić myśl wszystkich od dworku, który burzono poza nimi.

— Jestem pewna — mówiła, zwracając się do Tereni — że jak tę suknię uszyjesz, zachwycisz cały Żabin, tylko uważaj, najdroższa, abys rękawy uszyła dobrze.

— Bądź spokojna — odpowiedziała z uśmiechem — ten błąd już się drugi raz nie powtórzy.

— Proszę pani — rzekła, wchodząc Magdusia — jakiś człowiek przyniósł list z Warszawy.

— Z Warszawy? — zapytały razem panienki, i Hanka, wzięwszy list z rąk Magdusi, podała go matce.

Pani Krystyna rozdarła śpiesznie kopertę, w której były dwa listy.

— Jeden do ciebie, Tereniu — rzekła podając córce list dość gruby — poznaję pismo Lenki.

Terenia zarumieniała się mocno, a serce biło jej niespokojnie.

Pani Krystyna list swój czytała w milczeniu, na twarzy jej znać było silne wzruszenie a, skończywszy, podała go babuni, mówiąc:

— Już ludzie wiedzą o naszym nieszczęściu, szlachetna i dobra p. Z. ofiaruje nam się z pomocą. Chce wziąć naszą Terenię i Jadwinię, aby chodziły na pensję.

Babunia przecząco wstrząsnęła głową i rzekła stanowczo:

— Jadwinia jeszcze w domu uczyć się może, ja i wujaszek pracować nad nią będziemy. Co do Tereni...

— Ja, babuniu, sama na siebie pracować będę — zawołała młoda dziewczyna z zapalem — już choćby dlatego samego, że wy, najdrożsi, w ciężkiej pracy żyć będziecie, nie mogłabym używać wygod i dostatku spokojnie. Matuchno droga, ja tej szlachetnej pomocy nie powinnam przyjąć, czy prawda?

— Czy jednak podolasz temu? — zapytała p. Krystyna.

— A doktorowa Z. czy nie była w moim wieku, gdy nietylko o sobie myśleć musiała, ale wychowywała jeszcze dwie siostry młodsze? — rzekła Terenia — a ja przed nią wstydziłabym się więcej, niż przed każdym innym, gdybym się okazać miała tak niedołężną i zapracować na chleb nie umiała.

— Praca, to rzecz ciężka, dziecko — rzekła matka — przekonałaś się o tem sama.

Terenia zarumieniała się.

— Prawda, matuchno, masz prawo mówić tak do mnie — rzekła, całując ręce matki — ale tem więcej czuję się w obowiązku przekonać cię, że darmo chleba jeść nie potrafię. Zapracuję na niego, matuchno, chociaż nie igłą, a zobaczysz, że i ja wytrwać potrafię.

— Ale przez lat parę mogłabyś się kształcić spokojnie — mówiła p. Krystyna tonem nalegającym.

— A jakby mi się podarła suknia lub trzewiki, musiałabym o nie prosić — odpowiedziała, z dumą podnosząc głowę.

Pani Krystyna przycisnęła dziewczę do piersi.

— Niech cię Bóg błogosławi, dziecko moje — rzekła z rozrzewnieniem — idź i pracuj, bo praca podnosi i uszlachetnia.

Babunia wyciągnęła ręce do ukochanej wnuczki.

— Wytrwaj, kochanko, nie oglądając się na niczyją pomoc, bo tę w ostateczności tylko przyjąć nam się godzi. Nie jesteś dzieckiem, masz rok siedemnasty, choć z trudem i walką, ale o własnych siłach iść możesz.

— O! ja wiedziałam, że Terenia tak robi — zawołała Hanka, która dotąd w milczeniu przysłuchiwała się tej rozmowie, ja czułam, że ona tak robi.

— Bo tak zrobić powinnam — odpowiedziała z prostotą.

— Pani Z. odmowa nasza będzie przykrą — rzekła po chwili p. Krystyna.

— Ona to zrozumie lepiej, niż kto inny — rzekła Hanka z ożywieniem — ona, która za nic i nikomu nie byłaby powierzyła swych małych siostrzyczek, i wytrwała, chociaż wiele, wiele trudów przenieść musiała.

Terenia zbliżyła się do okna i zaczęła głośno czytać list Lenki. Dzieweczka pisała tak serdecznie, tak nalegająco prosiła, błagała, aby Terenia dom ich za swój uważać chciała, upewniała, że robi tem im największą łaskę, aż Tereni przy czytaniu łzy strumieniem z oczu się puściły. List był długi, bardzo, długi, zawierał wiele różnych wiadomości, między innymi pisała Lenka:

»Tak zdaje się niedawno wyjechałyście z Warszawy po dług rachunku kalendarza, bo dla mnie to doprawdy wiek cały, a tyle różnych zaszło wypadków. Najsmutniejszą wiadomość schowałam na sam koniec, bo na zmartwienie zawsze

dosyć jeszcze czasu, jak powiada matenka, a wiem, że ta wiadomość zmartwi was obie bardzo serdecznie. Nie mogę jednak pominąć jej milczeniem».

»Nie mam prawie odwagi pisać o tem, bo mi samej lży idą zaraz do oczu. Na trzeci dzień po waszym wyjeździe pani Wrześniewska umarła nagle, była to choroba sercowa, i biedaczka skończyła w jednej chwili. Moja ukochana p. Jadwiga i biedna Tola zostały same na świecie, bo jak wiesz, brat ich od roku zamieszkał we Francji i tam się już ożenił nawet. Ale to jeszcze nie wszystko. P. Jadwiga wyjedzie na Wołyń, gdyż jak ci to wiadomo, traci zdrowie, chodząc po mieście dla dawania lekcji, i tatuś mój powiedział, że jeżeli tak jeszcze choć rok pracować będzie, to nabawi się bardzo niebezpiecznej choroby. O! bo też to ciężko prawdziwie, deszcz czy mróz, iść trzeba, a ona taka delikatna, już od czasu, jak ja ją poznałam, zmizerniała i wyszczuplała bardzo. Tola dostała na tej pensji, gdzie kończyła nauki, miejsce korepetytorki, będzie się przysposabiać na nauczycielkę. Biedna Tola! Panna Jadwiga wyjeżdża za miesiąc, będzie miała trzy panienki do nauki muzyki, dostaje pensyi rs. 600, ma to być dom bardzo zamójny, są trzy nauczycielki, a p. Jadwiga będzie czwartą. Po tem strasznem nieszczęściu jeszcze więcej zmizerniała moja ukochana, i tatuś zalecił jej konieczny wypoczynek, przyjęła więc to miejsce, bo tylko trzy godziny dziennie pracować będzie. Jak ja tu się bez niej obejść, ale cóż tam ja, biedna Tola zostanie tak osamotniona. Ach! jakież to są różne nieszczęścia na świecie, a ja taka szczęśliwa, tak bardzo szczęśliwa, Ile razy o tem mojem szczęściu mówię, to tatuś powiada, że za mnie już odcierpiała matenka. Moja droga matenka, czemuż mnie wtenczas nie było, gdy ona cierpiała, byłabym połowę wzięła na siebie, a tego najdroższego mego anioła chociaż pocieszałabym w smutku».

List kończył się ponowieniem prośby, ale Terenia już prawie tego nie czytała, bo na wieść o ciosie, jaki dotknął ukochane ich przyjaciółki, Hanka wybuchnęła głośnym płak-

czem, a Terenia, blada i drżąca, ledwie czytać mogła, tak lży głos jej tłumili.

— Biedna Tola! — powtarzały na przemiany — któż ją teraz ukoi, upieści, matkę straciła, a ta dobra, ukochana siostra wyjechać musi.

Nad nią bolały najwięcej, bo Jadwinia, aby tylko odzyskała zdrowie, wszędzie znajdzie miłość i uznanie.

— Smutny dziś dzień — myślała Hanka, zabierając się do napisania listu do Jadwigi — och! bardzo smutny.

Na drugi dzień przed wieczorem wbiegł Kazio z radosnym okrzykiem, że wujcio wraca, ale wieść ta nie rozjaśniła dziś niczyjego czoła, przeciwnie zdawało się, że jeszcze większy cień smutku je przysłonił. Pan Kazimierz wszedł do pokoju, prowadzony głośnem szczekaniem Figielka, który pojąć tego nie mógł, dlaczego nie otrzymał jeszcze zwykłego od pana pogłaskania. Pan Kazimierz był bardzo smutny i bardzo poważny, zdawało się, że te dwa dni wyrwały duże ślady cierpienia na jego czole. Powitał wszystkich bez uśmiechu, z jakim zawsze wracał z podróży, a, spojrzawszy dokoła, poznał, że wiedzą o nieszczęściu przyjaciół, siadając więc na krześle, które mu podała Terenia, rzekł:

— Wiecie już, spotkałem wczoraj posłańca.

— Biedna Jadwinia — wyrzekła Hanka — powiedz mi, wujciu, jak ona znosi to nieszczęście?

— Jak chrześcijanka i mężna niewiasta — odpowiedział p. Kazimierz.

— A Tola? — dodała Terenia.

— Biedna — wyrzekł p. Kazimierz i umilkł, był silnie wzruszony, i dopiero po chwili rzekł:

— Tola jest istotą szlachetną i dobrą, serce to pełne poświęcenia i miłości.

— O tak! — zawołała Hanka, ucieszona pochwałą przyjaciółki — wszak mówiłam to zawsze wujciowi.

— Dała tego dowód czynem — rzekł p. Kazimierz — jak się o tem przekonacie. Byłem dziś przed odejściem u pp. Z.

zmarzwieni są bardzo odmową Tereni, Lenka płakała nawet, skarżąc się przedemną, nazwała ją dumną i bez serca, ale matka powiedziała: Nietylko kochać, ale i szanować musisz Terenię, moja Lenko, ja nie nalegam więcej. Zobaczymy, jak wyjdzie z tej walki, czuć tylko nad nią będziemy, bo tego nikt nam przecie nie wzbroni. Powtarzam ci, Tereniu, słowa zacnej kobiety, która niech ci będzie wzorem wytrwania i poświęcenia.

— Tak mówisz, wujciu, jakby rzecz była skończona co do wyjazdu Tereni — rzekła ze smutkiem Hanka.

— Tak, rzecz ta skończona — odpowiedział krótko.

— Niech wujcio wpierw odpocznie i posili się — rzekła Terenia — a potem nam wszystko opowie.

Dziewczyna obawiała się teraz usłyszeć tego, co było aż do-
tąd jej tajemnem marzeniem, rzeczą pożądaną od lat wielu, bo przy zajęciu tem nie potrzebowała rozstawać się z ulubionymi książkami, ucząc, i sama kształcić się będzie, i może tak wiele, tak wiele czytać! W teczce jej uzbierała się dosyć duża wiązanka wierszy, pisanych w wolnych chwilach, ale była to tak wielka tajemnica, że tylko jedna Hanka wiedziała o tem, i musiała przyrzec, że tego nikomu nie powie. Więc Hanka milczała, Terenia marzyła i pisała, a myśl jej nieustannie w inne ulatała gdzieś światy. Dusza jej rwała się do rzeczy pięknych i wzniosłych, kochała ludzi, którzy poświęcali się dla ludzkości, serce jej biło zapalem, gdy usłyszała o jakim szlachetnym czynie, chociaż w głębi duszy budził się żal nieraz, że ona nie dla nikogo uczynić nie może. Aż raz wśród marzeń takich powstała w niej myśl, by zostać nauczycielką. Na tem polu może wiele dobrego zdziałać, bo na innem walczyć nie potrafi. Wiedziała jednak, że to rzecz nie tak łatwa, o zawodzie tym nasłuchiwała się tyle, mówiono o nim zawsze, jako o wysokiem posłannictwie, o powołaniu, zaparciu się siebie, więc zamiarów swych nie miała odwagi wyjawić, nawet Hance.

Och! bo ta Hania, taka niby realistka, a tak na niektóre rzeczy zapatrywała się idealnie. Raz jeden tylko, i to na wpół

żartem Terenia wspomniała o tem, że zostanie nauczycielką, a siostra wzruszyła ramionami, przyczem rzuciła na nią tak wymowne spojrzenie, że drugi raz już przed nikim się nie zwie-rzyła. A jednak myśl ta nigdy jej nie opuszczała, bo miała tajemne przeczucie, że z czasem rzeczy tak się pokierują, iż nastąpić to musi koniecznie. I nastąpiło, chociaż w okolicznościach smutnych bardzo, wcale nieprzewidzianych przez dziewczynę. Ten wuj ukochany zawsze spełniał wszystkie jej marzenia, i teraz dopomógł do osiągnięcia zamierzonego celu. Pragnęła wiedzieć jak najprędzej, co ją czeka i lękała się, czy nie nazbyt śpiesznie zmuszona będzie opuścić wszystkich ukochanych. Na myśl o chwili rozstania głęboki smutek napelniał jej serce.

Gdy Hanka podała wujowi podwieczorek i bez chwili wytchnienia zabrała się znów do przerwanej roboty, p. Krystyna, z żalem spojrzawszy na brata, rzekła:

— Kiedyż Terenia opuści nas znowu, zaledwie wróciwszy po dwuletniej niebytności?

— Za tydzień musi być na miejscu — odpowiedział.

Pani Krystyna spuściła szybko oczy na robotę, aby nie dostrzeżono łez, których powstrzymać nie mogła. Babunia westchnęła z cicha a, zwracając się do p. Kazimierza, który pił mleko, zającując suchym chlebem, zapytała:

— Z Jankiem widziałeś się zapewne, kochany p. Kazimierzu; jakże tam chłopczyzna, nie bardzo boleje nad tem, że nie przyjechał na wakacje?

— O, Janek jest rozsądny nad wiek — odpowiedział wuj — sam nie chciał na tak długo przyjechać, ażeby nie tracić czasu, bo chce koniecznie dostać się do wyższej klasy i dokazać swego. Jak odwieziemy Terenię, Janek będzie już wtedy po egzaminie i na resztę wakacji przyjedzie ze swobodną myślą.

— Biedny dzieciak — westchnęła p. Krystyna — jak on rozumie nasze położenie, że nam teraz tak trudno utrzymywać go w mieście.

— Janek dostanie stypendjum — rzekł p. Kazimierz — zapewnił mię profesor, iż niema o tem najmniejszej wątpliwości. A teraz posłuchajcie sprawozdania z mej podróży — dodał po chwili — odsuwając tackę, na której stał dzbanuszek i szklanka. — Przybywszy do Warszawy, udałem się najpierw do p. Wrześniewskiej, niestety! już jej nie zastałem. Leż i wybuchu żalu, jakim mnie przejęły sieroty, opowiadać wam nie będę, rozumiecie to wszyscy. Po godzinie rozmowy o zmarłej i ja im opowiedziałem, z czem przyszedłem do Warszawy. Nie robiły mi jednak nadziei, aby na takich warunkach mogła Terenia umieścić się na której pensji. Przyrzekły mi swą pomoc, i mieliśmy wszystko troje zwiedzić znaczniejsze pensje, w celu wyszukania miejsca korepetytorki. Dziś na 11 umówiliśmy się zejść w mieszkaniu panien Wrześniewskich. Przybyłem o oznaczonej godzinie, ja z niczem, tylko z nadzieją, że może one były szczęśliwsze. Przywitały mię taką samą wieścią, wszystkie miejsca były już zajęte. Na jednej pensji możnaby się było umieścić, ale warunki były zbyt uciążliwe, a mianowicie, ani jednej godziny wolnej nie pozostawiono korepetytorce. Wymówiłem się wtedy przed nimi, ile ten zawód będzie bolesnym dla Tereni i.. no... powiedziałem wszystko, jak rzeczy stoją. Tola zamyśliła się głęboko, a po chwili rzekła:

— Gdybym wiedziała, że propozycja moja przyjętą zostanie, powiedziałabym rzecz jedną, ale...

— Ale co, Tolu? — zapytała p. Jadwiga.

— Ach! jakąż to dla mnie byłoby wielką łaską — mówiła szlachetna dziewczyna — gdyby Terenia zajęła moje miejsce; jabym wówczas pojechała do jej matki. Dla mnie taki cichy kątek wśród życzliwej rodziny to dobrodziejstwo, pracowałabym razem z Hanką; ja tak lubię roboty ręczne, starałabym się zyskać waszą życzliwość, bo serca Hanki jestem pewną, i byłoby nam wszystkim dobrze.

Widziałem, że p. Jadwiga w pierwszej chwili spoglądała na siostrę ze zdziwieniem, ale w miarę, jak ta mówiła, twarz

jej rozjaśniała się zadowoleniem, a gdy Tola mówić przestała, przytuliła ją w serdecznym uścisku do siebie:

— Byłabym spokojniejszą o ciebie, Tolu moja — rzekła — gdybym cię zostawić mogła pod opieką pani Wolskiej, ale... zastanów się dobrze.

— Tu nic niema do zastanawiania się z mej strony — zawołała żywo — gdybyście tylko państwo przystać chcieli na tę zmianę, uczynilibyście mnie szczęśliwą, o ile nią być mogę w mojem położeniu. Ty wiesz, Jadwiniu, jak życie między ludźmi było dla mnie zawsze uciążliwe, jak pragnęłam pracy cichej i w odosobnieniu.

— Tak, dawniej, to prawda — odpowiedziała tamta — ale się zmieniłaś w ostatnich latach.

— A komuż to zawdzięczam? — zapytała, patrząc na siostrę poważnie.

— O nie myśl, najmiłsza — mówiła jej p. Jadwiga — że ja cię odwodzę od tego zamiaru, mówię to, co mówić powinienam, ale w duszy pragnę, aby się stało, jak ty chcesz, jedyna. Uniknęłabyś tyłu przykrości, wrażliwa zawsze, mimo męztwa i rozumu, siostrzyczko.

— Potem jak zaczęły mię obiedwie prosić, aby Terenia wzięła miejsce Toli na tej pensji, gdzie ona przyjętą została, jak mię zaczęły przekonywać, że tylko Tola na tem skorzysta, jak do serdecznej prośby dołączyły lży prawdziwego bólu, gdym się wahać począł, aż wkońcu przekonały mię zupełnie, że tak wszystkim będzie lepiej, i przystałem, Terenię za tydzień przywieść obiecałem, a Tola, po wyjeździe siostry na Wołyń, przybędzie do nas.

— Czy tylko, mój wujciu drogi, należało korzystać z poświęcenia Toli? — zapytała Terenia.

— Biedną Tolę wziąć teraz do naszego domu, gdy nawet wygody jej nie jesteśmy dać w stanie — rzekła p. Krystyna — czy to nie bęłzie, mój bracie, zbyt dla niej przykre?

— Mówilem to wszystko, nie tając nic — rzekł p. Kazimierz — ale odpowiedziały mi obie, że przyzwyczajone są do

życia bardzo skromnego, i że w dobrem jedzeniu i wygodnem posłaniu nie upatrują szczęścia. Jednem słowem przekonały mię zupełnie; gdybyś, Krysiu, widziała radość Toli, wyciągnęłabyś do niej ręce z serdecznością matki. Przyjaźń więc nie jest na świecie czczem słowem, będziemy wspólną mieć dolę, Krysiu kochana, tak widać zapisano w wyrokach Przedwiecznego. Zastanowiłem się nad tem dobrze, a że przyjąłem to poświęcenie Toli, to dlatego jedynie, aby i jej i nam było z tem dobrze. Czy myślicie jednak, że w tym razie głównie Terenię miałem na myśli? Nie, nawet dla niej nie przyjąłbym ofiary, gdyby... ale dajmy tej kwestyi pokój, połóżcie we mnie ufność zupełną, nie żądajcie tłumaczenia, bo daję wam słowo, że Terenia z czystem sumieniem miejsce Toli zająć może.

— Zawsze ufaliśmy ci, p. Kazimierzu — rzekła babunia — i teraz niech będzie, jak postanowiłeś.

W tej chwili Kazio wbiegł do pokoju, a za nim weszła Ewcia.

— Czy wiesz, wujciu — rzekł chłopczyk — że te budynki nasze rozwalają i rozwalają, aby tylko stajnia i szopa została.

— Stodołę rozwalili — mówiła Ewcia — i spichrz rozwalili, i doprawdy już nie wiem, co oni wyrabiają.

— A, żebyś wiedział, wujciu, co tam leży kamieni za stodołą, co drzewa, co zwożą i zwożą cegiel, to okropność; ale nie w te nasze koniki, tylko mają takie duże kasztanowate i siwe, narachowałem trzy fornalki.

— Wcale nie było widać tych kamieni i tych cegieł, co nazwozili — mówiła Ewcia — tylko uciekła moja czubata kurka, ta żółta, wie wujaszek, a matusia pozwoliła nam z Magdusią iść po nią, i dopiero zobaczyliśmy to wszystko za budynkami i ogrodem. Tamtą drogą widać wożą; ale na co im tyle tego wszystkiego?

— Przecież na budynki — odezwiała się Jadwinia, która szyla coś, siedząc przy babuni — toż się łatwo tego demysleć.

— Ten pan to bardzo musi być bogaty — mówiła Ewcia, opierając się o stół i stając przy wuju — Magdusia powiadała,

że kupił już tę część, co to z naszą graniczyła, powiadała jej dziś służąca od Średockich, że jej państwo bardzo zadowoleni ze sprzedaży, bo zapłacił więcej, niż to warto.

— Magdusia tyle się na tem zna, moje dziecko, co i służąca Średockich — rzekł p. Kazimierz — nabywca naszego folwarku, to bardzo rachunkowy człowiek.

— Czy istotnie Średoccy sprzedali część swoją? — zapytała p. Krystyna.

— Mówił mi wczoraj o tem, że traktuje z nimi o nabycie tego kawałka ziemi — odrzekł p. Kazimierz — ale nie wiem czy skończył.

— Skończył, wujciu — zawołała Ewcia — dziś bardzo rano pojechali do miasta. Magdusia mówiła, że do rejenta.

Pan Kazimierz uśmiechnął się lekceważąco.

— Powinienby jeszcze kupić folwarczek Winnickich i Kotowskich dla zaokrąglenia, później dalej i dalej a, skupiwszy cały Żabin, miałby wieś co się zowie.

— Czy to istotnie tak bogaty człowiek? — zapytała Hanka — wcale nie wygląda na miljonera.

Przy gawędce tej słońce zaszło, wszyscy poskładali robotę, była to chwila wypoczynku i przechadzki przymusowej niemal. Obie panienki, zabrawszy dzieci, wychodziły na pole między zboża i łąki. Wychodzili w stronę, gdzie jak najmniej ludzi spotkać mogli, przykro im bowiem było widzieć, jak Franek w swoje szpaczki wiózł furę, naładowaną pszenicą, jak Michał i Kuba ścigali się, śpiesząc po snopy na pole. Dawniej, gdy to było ich własnością, to co innego, ale teraz... dziewczęta nie mogły jeszcze oswoić się zupełnie z tą myślą, że to wszystko już do nich nie należy. Po godzinnej zwykle przechadzce wracano do domu a, zjadłszy skromną kolację i przy szykowawszy robotę na dzień następny, udawano się na spoczynek, aby jutro od rana zasiąść do pracy, bo trwoga napęlała ich serca, aby czasem nie zabrakło chleba.

XIV.

Nowe przedsięwzięcie.

— Taka praca, moja Haniu, nie doprowadzi nas do niczego nigdy — mówiła Tola, układając falbanki — mozolny to zarobek, który dziś wystarcza nam jeszcze, ale nic nie daje na przyszłość.

— O, ja to widzę, moja droga — rzekła Hanka — i nie myślę poprzestać na takim zarobkowaniu. Wierzaj mi, całe nocy nieraz nie śpię, myśląc, jakimby sposobem urzeczywistnić me zamiary, ale nie mam jeszcze po temu środków.

— Czy będziesz je miała za rok? — zapytała Tola.

— To prawda, ale widzisz, najdroższa, w naszym położeniu trzeba się dobrze zastanowić, zanim się na jaki krok stanowczy zdecyduje — odpowiedziała Hanka. — Posłuchaj, co ja zamyślam, dopomożesz mi radą; boć między nami praca dziś wspólna.

— I pracą tą wspólną dźwigniemy się, zobaczysz, Haniu, ale co mamy czynić, to czynimy, nie odkładając długo, bo zbytecznie namyślanie się czasem sprowadza z dobrej drogi. Powiedz mi więc, jaki to masz projekt.

— Kiedy to najtrudniejsza rzecz, że do spełnienia mego projektu potrzebuję koniecznie mieć trochę chociaż pieniędzy, a na nieszczęście nie mam ani jednego rubla, którego bym mogła włożyć w spekulację.

— Ale koniec końcem, ów projekt, Hanko.

— Oto, gdyby można założyć rodzaj magazynu czyli sklepu, w którym byłyby gotowe ubrania, jako to: kaftany, fartuchy, czepki, czepeczki, nawet suknie i bielizny trochę, gdyby przytem założyć szkołę robót dla dziewcząt, które za naukę płaciłyby przez czas jakiś pracą. Zdaje mi się, że szkoła koronek przynosiłaby nam w krótkim czasie dość znaczne dochody, ale jak widzisz, na to trzeba nakładu, a niema funduszu.

— Projekt twój dobry jest — rzekła Tola, nie przerywając roboty, a układana falbanka ślicznie i szybko wychodziła z jej ręki — mnie także coś podobnego przebiegało po głowie, ale masz słuszość, gotówki nam trzeba.

— Kilkadziesiąt rubli mogłabym mieć — rzekła Hanka — tylko nie wiem, jak sobie z tem poradzić, może ty jakoś wymyślisz, co zrobić. Mam dwa pierścionki dosyć ładne, jeden dostałam od babci na imieniny, drugi od wujcia, jakoteż złoty medalion. Gdyby to można spieniężyć, byłoby kilkadziesiąt rubli, a chociaż co prawda żałby mi trochę było tych moich pamiąteczek, lecz gdy idzie o zabezpieczenie przyszłości jakiej takiej dla ukochanych, wahać się nie godzi ani chwili. To byłoby samolubstwo.

— Wybornie! — zawołała Tola — i ja mam od Julka medalion, broszkę i kolczyki, w które się przecie nie ustroję nigdy; otóż, gdy spieniężymy nasze kosztowności, będziemy miały sporo grosza.

— Jakto, Tolu? i ty sprzedalabyś swoje kosztowności — zapytała Hanka.

— Jakto, Hanko? i ty robisz mi takie zapytanie — rzekła Tola, spoglądając na przyjaciółkę i uśmiechając się pocziwie przy powtarzaniu słów Hanki. — Dotknęłaś mię, kochana, twem zdziwieniem, zabolalo mię nawet serce w pierwszej chwili, bo zdziwienie twe wykluczało mnie z waszej rodziny i przypominało, że jestem obcą. Ale nie gniewam się na ciebie, ty, Haniu, nie chciałabyś mi zrobić przykrości, bo wierzę, że mnie kochasz prawdziwie, ty nie zrobiłabyś mi tej krzywdy, abyś miała nie czuć, że między nami dziś wszystko wspólne być powinno.

— Zawstydzasz mię, Tolu, swą dobrocią, ale ty zawsze taka jesteś, ufająca szlachetnie i wierząca.

— Ty, Hanko, uczyniłaś mnie taką, twoja to zasługa — odparła Tola — gdyby nie przyjaśń wasza, byłabym może po dawnemu nieufną, i... nieszczęśliwą.

— Więc dobrze, Tolu moja — rzekła Hanka, pomijając

ostatnie słowa przyjaciółki — sprzedamy nasze kosztowności i będziemy miały gotówkę na pierwsze potrzeby, ale gdzie sprzedamy? kto nam w tem dopomoże?

— Dzień dobry — rzekł, wchodząc p. Kazimierz — cóż to za żwawa rozmowa się tu prowadzi? słyszałem przez okno, sadząc drzewka w nowym klombie, ostatnie słowa Hanki: „Kto nam w tem dopomoże?” i o cóż to idzie?

— Ach, wujciu, zjawiasz się zawsze tak w porę — zawołała Hanka — że chyba jesteś jasnowidzącym i wiesz, kiedy nam potrzebny jesteś.

Pan Kazimierz usiadł na krzeselku i, oglądając robotę Toli, rzekł:

— Nasza Terenia nigdy sobie z tem rady dać nie mogła, a w rączkach Toli szybko to jakoś idzie.

— Terenia, wujciu — rzekła dziewczyna, podnosząc z wdzięcznością swe oczy na p. Kazimierza za nazwanie jej po imieniu — do wyższej stworzona jest pracy.

— Każda uczciwa praca jest wyższą, bo każda uzacnia człowieka — odpowiedział p. Kazimierz — a że nie wszyscy jesteśmy jednakowo uzdolnieni, że nie wszyscy w jednym zakresie pracować możemy, to rzecz zupełnie naturalna; bo coby się stało w takim razie, gdyby świat cały chciał np. poświęcić się malarstwu? Zatem, gdy każdy pracuje jak umie, robi to, czego miał sposobność się nauczyć, spełnia swe zadanie, i praca jego jest wyższą dla niego, bo on tylko na taką zdobyć się potrafi. No, ale o cóż to szło Hance, jakiej potrzebujecie pomocy?

— Tobie, wujciu, muszę zawsze wszystko powiedzieć — i Hanka ze szczegółami opowiedziała, jakie miały zamiary i co uczynić postanowiły.

Pan Kazimierz słuchał, kręcił wąsy, i czasem uśmiechał się nieznacznie na to, że dziewczęta w spełnieniu swych zamiarów widziały przed sobą przyszłość spokojną i dostatnią. Z czasem postanowiły nawet kupić ten czerwony dom szkaradny, jak mówiła Hanka, bo był duży, posiadał dwa ogromne pokoje, w których właśnie można było urządzić pracownię dla dziewcząt

— Tylko teraz, wujciu, idzie o rzecz najważniejszą, ani wiemy, kto nam sprzeda nasze medaliony i pierścionki — mówiła Hanka — bo to rzecz wcale nie łatwa.

— O, ja wiem, kto to uczyni — zawołała Tola, biorąc rękę p. Kazimierza, i patrząc mu w oczy z przymileniem.

— Tak, tak, pewnie znów mnie macie na myśli, już to widzę, że rad nie rad muszę zawsze spełniać wasze życzenia i zachcianki — odparł z uśmiechem.

Tola zerwała się z miejsca, wyszła do drugiego pokoju a po chwili wróciła, niosąc spore pudełko i włożyła je w ręce p. Kazimierza, który spojrzał na nią z nieopisanym wyrazem tliłości.

Hanka przyniosła również swoje klejnociki a, składając je na kolanach wuja, rzekła:

— Ach! gdyby to mogło być jak najprędzej.

— Naturalnie — rzekł p. Kazimierz — zabieraj się, wuju, w drogę, bierz kij w rękę i jutro do dnia ruszaj do Warszawy. Ha! jak trzeba, to trzeba.

Nie otwierając pudełek, schował je do kieszenie.

— Pewnie i listy jakie będą do zabrania? — zapytał.

— Koniecznie, mój wujciu — rzekła Hanka, zarzucając mu ręce na szyję — o jakiż ty jesteś dobry, jaki dobry!

— Pamiętaj, abyś przekonania tego nigdy nie zmieniła — wyrzekł poważnie, całując czoło dziewczyny — pamiętaj, że tylko wasze szczęście zawsze mam na celu.

— Czyż można o tem wątpić, mój wuju? — odpowiedziała Hanka.

Na drugi dzień równo ze wschodem słońca p. Kazimierz pieszo, jak zwykle, puścił się do Warszawy, wyprowadzony przez dziewczęta, które, mimo że późno w noc pisały listy, nie zaspaly jednak, aby pożegnać kochanego wujaszka i pomyśleć dla niego o śniadaniu.

Hanka zwyczajem swoim zabrała się do krzątania koło maleńkiego gospodarstwa, a Tola sprzątała pokój, w którym pracowały. Praca ta dla nieprzywykłej do niej dziewczyny była dość uciążliwa i męcząca, nieraz ocierała pot z czoła, ale

na twarzy jej nieznac było najmniejszego niezadowolenia. Od kilku już tygodni, jak przyjechała do domu p. Wolskiej, pracowała tak codziennie, chociaż z początku pozwolić na to nie chciano. Ale dziewczyna, całując ręce p. Krystyny i babuni, rzekła:

— Przyjęliście mnie do domu, jak córkę, serdecznie i z otwartemi rękoma, i córką wam będę, dzieląc z wami wszystko, złe i dobre. O! nie odsuwajcie mnie od wspólnej pracy, mniej czuć to będę, żem sierotą na świecie. Przygarnijcie mnie sercem, z jakim ja do was się garnę.

Słowom tym towarzyszyło tak błagalne spojrzenie ślicznych oczu dziewczęcia, w których łzy błyszczały, że p. Krystyna i babunia przycisnęły sierotę serdecznie do piersi, utuliły, ucałowały i, prawie razem, rzekły:

— Naszą jesteś, dziewczeczko kochana, od dzisiaj masz prawa córki w naszym domu.

Dziewczę nie poprzestało na tem, zwróciło się w stronę p. Kazimierza, ale ten uprzedził ją, wziął obie jej ręce w swe dłonie i rzekł:

— Wujem twym jestem, Tolu, proszę, uważaj mnie jak gdybym nim był rzeczywiście.

I od tego dnia nie broniono Toli żadnej roboty, do której się brała, obie z Hanką pracowały szczerze, i z czoła sieroty zniknął z wolna smutek po stracie tak ciężkiej, i uśmiech coraz częściej jawił się na jej ustach. Czas łagodzi najstraszniejsze bóle, a wiara ukoić potrafi każdą troskę i cierpienie. Biedna Tola nie czuła tak bardzo swego sieroctwa, znalazła rodzinę, która ją ukochać i ocenić umiała, znalazła przyjaciółkę, a ta jej słodziła rozstanie z ukochaną siostrą.

Po dwóch dniach p. Kazimierz wrócił z Warszawy, witany serdecznie, a dziewczętom serca były z niecierpliwości, aby jak najprędzej dowiedzieć się, jaki też kapitał będą miały do rozporządzenia. Och! co to projektów namnożyło się przez te dwa dni niebytności wujaszka, co one marzeń nasnuły we wspólnej gawędce. Pan Kazimierz z podróźnej torebki wyjął

kilka listów i oddawał je podług adresu. Tola otrzymała dwa, jeden od Jadwigi, którego oczekiwała z utęsknieniem, drugi od Lenki. Od Tereni były listy do wszystkich prawie z osobna. Na ostatku wyjął wujaszek dość grubą kopertę i, oddając ją dziewczętom, rzekł:

— Oto są wasze pieniądze, możecie być pewne, że targowałem się dobrze, chodziłem do kilku jubilerów, aby się o prawdziwej wartości powierzonych mi klejnocików dowiedzieć. W kopercie znajduje się i szczegółowy rachunek.

— Nie mam prawie odwagi otworzyć — rzekła Hanka, biorąc do rąk kopertę — Tolu, zgadnij, ile tam jest tych pieniędzy?

— Sto rubli może — rzekła Tola wahająco.

— Niepodobna — zawołała Hanka — tak dużo niema.

— Więc daj, przerachuję — rzekła niecierpliwie Tola i, wzięwszy z rąk Hanki kopertę, zaczęła liczyć pieniądze. — Sto pięćdziesiąt siedm rubli! — wykrzyknęła radośnie.

Hanka schwyciła rękę wuja, do ust ją przyciskając:

— Ależ to skarb, wujaszku, ani myślałam, że my tyle pieniędzy mieć możemy — mówiła zarumieniona od wzruszenia.

— Co my to ślicznych rzeczy nakupimy do naszego magazynu — mówiła Tola — za miesiąc otworzymy pracownię, a później, później, założymy dwa sklepy, bławatny i galanteryjny.

Na tem tle byłaby się rozmowa ciągnęła długo bardzo, gdyby nie listy, które dziewczęta trzymały, spoglądając na nie niecierpliwie i ciekawie, mimo zajęcia się przyniesionymi przez wujaszka pieniędzmi. Babunia już swój kończyła, ręce sędziwej niewiasty drżały, trzymając pismo ukochanej wnuczki, a dla otarcia łez często okulary zdejmować musiała. Hanka z Tolą poszły do swego pokoiku, i każda śpiesznie zabrała się do czytania. I my przeczytamy te listy kolejno, aby się dowiedzieć o losach Tereni i Jadwigi.

List Tereni do Hanki.

Warszawa d. 18 października 187...

Najmilsza, najukochańsza moja siostrzyczko! Ani potrafię opisać radości, jakiej doznałam wczoraj, ujrawszy wujcia Kazimierza. Dobry, kochany wujcio, tak często robi piesze wy-cieczki, aby mi przynieść pożądane zawsze wieści o was, uko-chani, i nawzajem listy moje, i wszystkie słowa serdecznej tęsknoty odnieść do domku drogiego. Hanko moja droga, ani wiem, od czego mam zacząć, zdaje mi się, że tak wiele, tak bardzo wiele przez te parę tygodni od ostatniego mego listu uzbierało się do powiedzenia, że zastanawiam się i myślę, chcąc myśli te do pewnego ładu przyprowadzić, aby wszystko miało jakiś związek z sobą. Ale pokazuje się, że nic ważnego, nic nowego nie zaszło, to tylko serce moje pragnie podzielić się z wami wszystkimi, najdrobniejszymi szczegółami mego życia.

Wujcio opowiedział mi o waszych zamiarach i o ofercie, jaką uczyniliście w pozbyciu się swych pamiąteczek, aby ze-brać początkowy kapitałik na utworzenie pracowni i sklepiku. Zazdroszczę dobrej, szlachetnej Toli, która mnie w domu wa-szym zastępuje; ja nie umiałam, jak ona, być pożyteczną w pracy wspólnej, dającej nam chleba kawałek. Ale nie wiem dziś, jak nie wiedziałam wczoraj, czy moja w tem winna? Ty widziałas, Hanko, że pragnęłam naśladować ciebie, bo być taką, jaką ty jesteś, nie potrafiłabym nigdy, lecz i naśladować nie umiałam pracowitej i mądrej mojej siostrzyczki. Może, gdybyście byli mniej dla mnie pobłażliwi, mniej wyrozumiali, byłabym się w końcu musiała wciągnąć do pracy, do której co prawda nie miałam nigdy zamiłowania, ale ty pierwsza, Hanko, spostrze-głaś przygnębiecie moje, i ty, najmilsza, przez wujcia, który, jak anioł opiekuńczy, czuwa nad nami, wprowadziłaś mnie na ulubioną i wypieszczoną w snach mych drogę zdobywania nauki i wiedzy. Mogę się więc kształcić dalej i dalej, bo obo-wiązki me nauczycielskie zajmują mi tylko pięć godzin dzien-

nie, zresztą czas cały obracam na własną korzyść. Że pracuję nieraz do późnej nocy, o tem ci i mówić nie potrzebuję, bo nietylko zamięłowanie w naukach, ale i myśl, abym jak najprędzej mogła być pomocną mateczce drogiej, daje mi moc i siłę. Ach! kiedyż ja grosz mój dołożę, aby mateczka i babunia choć trochę miały wygody i mniej troski o młodsze rodzeństwo. Dziś mam wprawdzie dwie godziny dziennie korepetycji, płatnych osobno, ale to zaledwie starczy na me potrzeby, bo muszę być zawsze choć bardzo skromnie, lecz przyzwoicie ubraną.

Kilka dni temu Lenka badała mię delikatnie i zdaleka, czy nie potrzebuję pieniędzy na jaki sprawunek dla siebie, gdyż trochę zniszczone me okrycie nasunęło jej tę troskę o mnie. Ale nie pozwoliłam jej wypowiedzieć wszystkiego, czułam, że rumieniec twarzy mi pali na samą myśl korzystania z jałmużny niejako, do której tyle tysięcy ludzi większe ma prawo. Widziałam, że Lenka zasmuciła się bardzo, ona taka dobra, tak kochająca, i przykro mi było przez chwilę, że to zacne serdu-szko zmartwiłam, ale spostrzegłam w spojrzeniu jej matki, jakie na mnie rzuciła, wyraźną pochwałę mej dumy. Jeszcze tej ostateczności niema, abym przyjmowała wsparcie, prawda, Haniu, że tybyś zrobiła tak samo?

Zapytujesz mnie, najmiłsza, czy obowiązki me nie są zbyt dla mnie ciężkie i utrudzające. Praca nie jest ciężka, mogłabym ją nazwać największą przyjemnością, gdyby... gdyby te dzieci rozumieć chciały, jak trudnem czynią zadanie nauczycielki brakiem pilności i postępowaniem czasami więcej, niż niegrzecznem. Między memi uczennicami mam cztery tak nieznośne, że użyję tego wyrażenia, iż opisać tego nie potrafię, jak nieraz jestem zmęczoną po przebyciu lekcji z niemi. Nie tracę jednak nadziei, że nadejdzie chwila, w której poznają, jaką krzywdę wyrządzają sobie, ile cierpień tajonych, ile chwil gorzkich przynoszą tym, którzy pragną ich szczęścia i dobra. O! nieraz jest mi bardzo boleśnie, czuję się zniechęconą, ale to tylko na krótko, otrząsam się czempředziej z niemilego uczucia i zwracam do tych kochanych dziewczątek, które są moją ra-

dością i dumą. Dobrze, pocziwe dziewczeczki, pilne, posłuszne, i pełne delikatnej grzeczności, kocham je serdecznie.

Wyznam ci jednak, Hanko moja, że mi tęskno, o, bardzo tęskno za wami, najdrożsi moi i nieraz zdaje mi się, że porzuciłabym wszystko, aby tylko być z wami, aby choć raz na dzień ucałować ręce matki i babuni, choć pół godziny dziennie porozmawiać z wujciem, a z tobą, siostryczko, dzielić prace i trudy krzątania domowego. Jadwinę i Ewcię widzę ciągle przed sobą w postaci dziewczątek ich wieku na całej pensji. A Kazio, czy też choć czasem mówi o mnie? Kiedy ja się zobaczę z wami? Boże, poco to rozłączać się trzeba, gdy nas dotknie cierpienie, o ileż ono lżejszem jest we wspólnej pracy i miłości. Czy wiesz, że nieraz zadaję sobie pytanie, czy dobrze zrobiłam, porzucając dom i rodzinę dla szukania chleba w świecie, kiedy go i między wami mieć mogłam. Ach, Hanko moja, ja jeszcze nie jestem w zgodzie sama z sobą, mam dwie wole sprzeczne, dwa pragnienia odmienne. Nie wspominałam ci nigdy o tem jeszcze, wstydziłam się, a jednak, dziś tak serce moje rwie się do was, że prawie żałuję postanowienia, jakie uczyniłam, aby się oddać tylko nauce. Dlaczego ten wujcio dobry i rozumny, nie powie nigdy stanowczo: tak będzie lepiej, tak uczyni. Czy ty zauważyłaś to, Hanko, że wola nasza nigdy krępowaną nie była, ani mateczka, ani babunia nie przymuszały nas do niczego, czuwano nad nami, to prawda, ale kierowano tak zawsze, abyśmy same stanowiły o pracy swej i obowiązkach. Mnie teraz dopiero przychodzi to na myśl, gdy przebiegam krótkie jeszcze, a jednak pełne zdarzeń życie nasze. Pamiętam, jak mateczka nakłaniała mnie do pracy ręcznej, ale z jakąż to czyniła łagodnością, czy prawda, Hanko?

I teraz, to wyrwanie się moje z kółka rodzinnego uwzględnione zostało, spełniły się me najgorętsze życzenia, a jednak, nie zawsze jestem zadowolona ze swego wyboru. Pierwszy raz przyznaję się przed tobą do tego, nawet co prawda zasiadając do listu nie miałam zamiaru pisać o tem, nie chciałam cię niepokoić, ale tak jakoś niechcąc wypowiadałam ci we-

wewnętrzny stan mej duszy, nie mów tylko nic mateczce ani wujciowi. Smutno mi w tej chwili, smutno i tak tęskno do was, że łyżę cisną się do oczu. Ale jakże jestem niedobra, zasnućam twe serce, będziesz się znów martwiła o mnie, moja dobra, kochana siostrzyczko. Więc proszę się, nie uważaj na tych kilka słów skargi, która dzieciom tylko przystoi, my powinniśmy być silne i wytrwałe, to twoje słowa, Hanko, mam je zawsze w pamięci, choć czasem zdaje się, jakobym o nich zapomniała. Niepokój ten wyradza się pewno w mej duszy z żalu, że jeszcze niczem pomocną matce i rodzinie być nie mogę, podczas gdy ty, Hanko, jesteś podporą domu, i pracą swą zapewniasz byt niezależny tym, którym wszystko winni jesteśmy. Wujcio opowiada mi zawsze, jak jesteś czynną, jak niezmordowaną, a przytem swobodną i wesołą nawet, a wyraża się o tobie nietylko z miłością, ale i z szacunkiem. Tola wyrównywa ci podobno, i wszyszy tam pracujecie i krzátacie się, nawet młodsze siostrzyczki i Kazio dzielnie pomagają wujciowi przy zakładaniu ogródka i sadzeniu drzewek, tylko ja jedna zdala od was jestem...

Ale dość tego, daruj mi, Haniu, słowa niebaczne, zapewniam cię, że to tylko chwilowe jakieś rozdrażnienie, które nie powtórzy się więcej.

Serdeczne ślę ci uściśnienie.

Twoja zawsze Terenia.

Po przeczytaniu tego listu, Hanka zamyśliła się smutnie, i łyżę błynęła w ciemnem jej oku. Spojrzała na Tolę, na twarzy dziewczęcia malowała się radość niewysłowiona, na ustach ukazał się uśmiech zadowolenia. Składała list swój, przycisnąwszy go czule do ust a, zwracając się do Hanki, rzekła wesoło:

— Jadwinia przysyła ci tysiąc całusów, czy chcesz przeczytać list jej?

Lecz w tej chwili spostrzegła smutną twarz Hanki, zbliżyła się więc do niej szybko i zapytała z niepokojem:

— Co się stało, Hanko?

— Nic, moja droga, masz, przeczytaj list Tereni — rzekła Hanka, podając Toli list siostry — a ja przeczytam, co pisze Jadwiina.

Zamieniły listy i znów pograżyły się w czytaniu.

List Jadwigi do siostry.

Sobota d. 11 października.

Najmilszy mój dzieciaku! List twój ostatni nappełnił mię niewysłowioną radością, jesteś zadowolona, szczęśliwa niemal pośród nowej rodziny, z którą cię losy złączyły, o ile szczęśliwą być można w naszym położeniu. Wiadomość ta jest dla mnie wielkiem ukojeniem przy tem pierwszem rozstaniu w naszym życiu i sierotwie, w jakim pograżyła nas śmierć matki ukochanej. Rozpaczy jednak oddawać się nie możemy, przed nami życie pracy i obowiązku, a wiara, że duch tej, która nas opuściła zbyt wczesnie, czuwa nad nami, powinna nam dodawać siły i łagodzić smutek. Ale najcięższy żal wiecznym być nie może, czas uśmierza najsroższe cierpienia, więc i Tola moja coraz rzadziej płakać będzie, mając przy sobie tyle serc zacnych i kochających i przyjaźń takiej istoty, jak Hanka. Bóg jest Ojcem sierot i po ojcowsku zaopiekował się i sierotką moją.

W każdym prawie liście donosisz mi, że na zamianie miejsca z Terenią zyskałaś dużo, bo posiadałaś spokój serca i trochę odosobnienia, a to, bądź co bądź, zawsze dla ciebie miało dużo uroku. Chwilowy smutek, jakiego doznawałaś, iż wyżej nie możesz się kształcić, minął bezpowrotnie, cieszy mię to, że wszystko tak się dobrze układa, i że Tola moja kochana zadowolona z tego, co ma i nie goni za tem, czego się raz dobrowolnie wyrzekła. Jesteś dosyć wykształcona, kochanko, posiadasz dużo rozumu i jasnego poglądu, a tyle pięknych dzieł, jakimi was zawsze zaopatruje p. Kazimierz, dopełni wiele

i nie potrzebuję cię zachęcać, abyś z nich korzystała. Jedno ci jednak zalecę, wsłuchuj się pilnie, gdy mówi wujcio, kiedy i ty tak go już nazywasz, bo jest to człowiek wielkiej nauki i wielkiego rozumu.

Od Tereni miałam list niedawno, nie powiem jednak, że-
bym z niego była zadowolona, widzę, że biedaczka nie jest zupełnie szczęśliwa. O ile mnie się zdaje, Terenia nie jest na właściwej sobie drodze. Nuży się i męczy, choć stara się ukryć to, sama przed sobą nieledwie. Wmawia we wszystkich i w siebie, że zawód nauczycielski to jej powołanie, zdaje jej się, że o tem marzyła oddawna, i że to było jedyne, gorące pragnienie jej serca. Ale pocóż ja to piszę, alboż nie czuwa nad nią wuj Kazimierz? on to widzi z pewnością, a jeżeli miczy dotąd, to znaczy, że nic jeszcze nie grozi Tereni.

Zapytujesz, kiedy się zobaczymy? O! dziecko drogie, to jeszcze tak prędko nastąpić nie może, przestrzeń nas dzieląca jest dosyć znaczna, podróż kosztowna, a my rachować się musimy, gdyż nie możemy robić wydatków jedynie tylko dla swej przyjemności. Serce i dusza moja rwie się do ciebie, sierotko moja kochana, ale rozum musi wziąć górę, a i obowiązki, jakie przyjął, nie pozwalają mi wydalać się często. Wspomniawszy o obowiązkach, przyszła mi na myśl pieszczotka moja Lenka, która, jak powiada, czuje wstręt do samego tego wyrazu. Szczęśliwa istota, ale i warta tego, namskrós szlachetne i dobre dziewczątko, złe zna chyba tylko z imienia. Wiesz, Tolu, sama teraz, czy nie miałam słuszości, namawiając się do zaznajomienia się z nią? Byłabyś może dotąd czuła się zniechęconą i nieufną do ludzi, a dziś jakże odmienne uczucie panuje w twem sercu, a przemiana ta twoja, ani wiesz, jaką napęlnia mnie radością.

Zdrowie moje znacznie się polepszyło, jestem silniejsza i zaczynam wyglądać wcale nieźle, jak się zobaczymy, to mnie może nie poznasz. A niemało wpływa na to i otoczenie, w jakim się znajduję, bo jacyż to ludzie zacni i dobrzy! Sama pani macierzyńską otacza mnie troskliwością, a dziewczątka

tak miłe, grzeczne i serdeczne, że chociaż nie tak jeszcze dawno jestem z niemi, kocham je duszą całą. Dla takich dzieci nie żal pracy, a i najcięższą osłodzić potrafią swem postępowaniem.

Pisz do mnie jak najczęściej, Tolu moja droga, opowiadaj mi najdrobniejsze szczegóły waszego życia, bo to zajmuje mię bardzo a, wtajemniczona we wszystko, co porabiacie, doznaję czasem złudzenia, że jestem z wami. Do Hanki dziś nie piszę, uściskaj ją serdecznie odemnie, za tydzień do niej znów list wyprawię. Wiem, że między wami wszystko wspólne, więc i tak list mój czytać będzie.

Do p. Wolskiej piszę dziś także, nie mam dość wyrazów na wypowiedzenie mej wdzięczności, że ukochaną siostrzyczkę moją za córkę, prawie, uważają. A teraz, Tolu moja droga, polecając cię Bogu, przytulam choć w myśli do stęsknionego za tobą serca i ściskam i całuję cię po tysiąc razy,

twoja *Jadwiga.*

— Jakże to dobrze — rzekła Hanka, odcinając list Toli — jak dobrze, że Jadwinia zadowolona z miejsca i że przychodzi do zdrowia; powinnaś, Tolu, być już teraz spokojna i nie martwić się o siostrę.

— To też jestem nad wszelki wyraz szczęśliwa, że kochana moja Jadwinia zdrowa i nie męczy się tem bezustannem chodzeniem po mieście. Ale radość moją zatruli myśl o Tereni; jakież to męczące, ta ciągła walka z sobą, ten wewnętrzny niepokój i pragnienie czegoś niedoścignionego. O! to stan bardzo przykry. Doświadczałam tego na sobie, dusza moja rwała się ciągle w jakieś wyżyny, a życzeń swych nie umiałam nawet określić. Czem ja być nie chciałam, moja Hanko, a dziś, gdy sobie przypomnę te marzenia, śmiech mnie ogarnia. Wprawdzie moje wszystkie zamiary paraliżowało nie-szczęsne kalectwo, to też gdy sobie to przypominałam, zdawało mi się, że zanurzam się w zimnej wodzie. Kąpiele te dobrze działały na mą wyobraźnię, przychodziłam do równo-

wagi umysłowej, a dziś spokoju mego i zadowolenia nie miałabym za nic.

— O! z Terenią tak łatwo to nie pójdzie — rzekła Hanka z westchnieniem — musi przejść przez ciężkie próby, zanim dojdzie do takiego spokoju umysłu, jaki my posiadamy. Biedna moja siostrzyczka, zawsze była marzycielką, idealistką; zawsze spoglądała w niebiosa, nigdy na ziemię.

— Jako, Hanko — zapytał wuj Kazimierz, który pośpieszył tu za panienkami, chcąc im jeszcze oddać jakiś pakiecik z Warszawy — więc ty potępiasz usposobienie i poglądy Tereni? miałażbyś być realistką w całym znaczeniu tego wyrazu?

— Oho, będzie bura — rzekła Hanka, wsuwając list Tereni do szufladki — wujcio wysłuchał naszej rozmowy, ale to dobrze się stało, będzie przedmiot do dłuższej gawędki, a ja to bardzo lubię.

— Niechże wujcio siada — rzekła Tola, przysuwając panu Kazimierzowi krzesło — ot tu, przy tym stoliku, to będzie jak z katedry.

— Nie jestem przysposobiony dziś na katedrę — odrzekł z uśmiechem, przysuwając krzesło do Toli — nie będzie więc żadnych poważnych rozpraw, ale krótka gawędka. Więc jakże to było, Hanko? aha: *biedna Terenia jest marzycielką i spogląda w niebiosa, a nigdy na ziemię*, zdaje mi się, że takie słyszałem słowa? Dobrze, powiedz mi jednak, dlaczego mówisz: biedna Terenia? Cóż w niej tak bardzo godnego politowania?

— Jak widzę, zasiadam na ławie oskarżonych, używając urzędowego wyrażenia — rzekła Hanka wesoło — tłumaczenie doprawdy wcale niełatwe, i chyba pomoże mi Tola, abym wybrnąć jako tako zdołała. Zanim jednak przystąpię do wyjaśnienia, dlaczego powiedziałam „biedna Terenia“, zapytam wpierw wujcia, tylko proszę o szczerą odpowiedź, czy wujcio istotnie, serdecznie zadowolony z Tereni? czy wujcio o nią spokojny, czy tak jak jest obecnie, daje rękojmię, że da sobie

radę w życiu? Bo co do mnie, to bardzo się niepokoję o tę ukochaną moją siostrzyczkę.

Pan Kazimierz gładził wąsy i spoglądał w okno, a gdy Hanka mówić przestała, spojrzął na nią i, pokiwawszy głową, rzekł:

— Więc mam odpowiadać szczerze? ha, gdy tego żądasz, Hanko, dobrze, chociaż nie myślałem jeszcze wyjawiać mego zdania tak wcześnie. Powiadam zatem szczerze, że nie jestem spokojny o Terenię tak, jak o ciebie, która odrazu stanęłaś silna i wiedząca, czego chcesz, i gdzie idziesz. Ale mogę cię zapewnić, Hanko, że niepokój mój jest tylko chwilowy, ja wiem, że Terenia znajdzie grunt pod stopami i będzie szczęśliwa, musi nią być — dodał z mocą.

— Ach! wujciu, mówisz o tem z takim przekonaniem rzekła Hanka z odcieniem gorczy w głosie — jakbyś był czarodziejem i mógł usunąć od nas wszystkie troski i zmartwieńia. Do tego bardzo jeszcze daleko, jeszcze niejednen rok ciężkiej pracy upłynąć musi, aby to szczęście zajaśniało dla nas.

— Twojeż to słowa, Hanko? — zapytał p. Kazimierz — ty, wierząca w przyszłość i ufna w swe siły, mówisz z rodzajem zwątpienia; czyżbyś twą cierpliwość i wytrwałość wyczerpała na początku drogi pracy i trudu?

Ciemna brew Hanki ściągnęła się chmurnie.

— Czyż o mnie tu idzie, wujciu? — rzekła ze smutkiem — och, najcięższa praca byłaby mi lekką, gdybym nią okupić mogła spokój matki drogiej i sędziwej babuni, która już tyle nieszczęść przeszła w swem życiu. A Janek i Kazio? pomijam już Jadwinę i Ewcię, które i w domu uczyć się mogą, ale chłopcy, wuju, co z nich będzie, jeżeli żadnej nauki osiąść nie będą mogli? Prawda, że dziś pracujemy wszyscy od rana do nocy, ale z pracy naszej nie mamy nic jeszcze.

— Hanko — zawołała, milcząca dotąd, Tola — co ci się dziś stało? jeszcze przed godziną byłaś pełna otuchy i wiary, czyż zapomniałaś o naszych pieniądzach, które mamy w kieszeni,

a te pieniądze, przecież to kamień węgielny naszej świetnej przyszłości.

— Naszej świetnej przyszłości — szepnęła Hanka, a po chwili milczenia dodała z ożywieniem. — Zapomnijcie, co mówiłam przed chwilą, sama nie wiem, co mi przyszło do głowy, Tola ma słuszość, kamień węgielny zakładamy jutro.

— Już jutro? — zapytał wuj — dlaczego tak prędko?

— A pocóż odkładać — odrzekła — każdy dzień to kapitał, musi procentować; tak, tak, od jutra do dzieła, Tolu.

— To dobrze — rzekł p. Kazimierz — ale wracam do początku naszej rozmowy, odbiegliśmy od niej, i już, już było blisko tego, że zamiast powiedzieć: biedna Terenia, można było zawołać: biedna Hanka!

— Masz słuszość, wuju, wstydzę się słów moich, doprawdy gotowa jestem zawołać na głos cały, że do szczęścia naszego bardzo blisko. Przyszłość zdobędziemy, ale te lata zdobywania, jakże ciężkie będą dla mateczki!

— Otóż raz jeszcze muszę powiedzieć, że odbiegamy od początku rozmowy — powiedział p. Kazimierz, zwracając się do Hanksi — powiedz mi, o co już raz pytałem, dlaczego Terenię nazywasz biedną?

— Dlatego wuju, że ona sama za taką się uważa — odpowiedziała z pewną niechęcią — a czyż nie jest biednym ten, kto niezadowolony ze swego losu, kto w duszy ma pragnienia, które spełnić się nie mogą?

— Ach! więc Terenia nie jest zadowolona z obecnego położenia — zapytał p. Kazimierz, patrząc badawczo na Hankę — nie mówiła mi nic jednak o tem sama, nie nadmieniła ani słowa.

— Nie chciała wujcia martwić — rzekła Tola — a może i wstydziła się trochę, prosi bowiem, aby nie wspominać o jej smutku i tęsknocie.

— Wujciu, udajesz zdziwionego — rzekła Hanka, wzruszając ramionami — a w tej chwili rozjaśnia mi się w głowie, że dawno wiész o tem, gdyż te twoje wycieczki do Warszawy nie były daremne. Jak widzę, Jadwinia zna cię, wuju, lepiej

aniżeli ja, gdyż pisała, że nie mamy potrzeby martwić się o Terenię, skoro nad nią czuwa wuj Kazimierz.

Na ostatnie słowa Hanki, uśmiech nieznaczny pojawił się na ustach p. Kazimierza, ale, nie odpowiadając na to, rzekł:

— Powiadasz, Hanko, że biednym jest, kto ma pragnienia, które spełnione być nie mogą, to prawda, ale ty nazwałaś Terenię biedną dlatego, że jest idealistką i marzycielką. Otóż na to odpowiem ci, Hanko, że biednym prawdziwie jest ten, kto w duszy nie piastuje żadnych ideałów. Ideał, dziewczyno, to coś doskonałego, wyższego, szlachetnego, to cel jakiś wzniosły, do którego dążyć powinniśmy wszyscy. Alboż ty, Hanko, w pracy swej, poświęceniu i miłości dla matki i rodziny, nie jesteś idealistką? Marzycielstwo to rzecz inna, marząc bezczynnie, nie dojdziemy nigdy do niczego, marzeniem nazywamy rzeczy, które nigdy spełnić się nie mogą, zdaje mi się więc, że Terenię niesłusznie marzycielką nazywasz. Prawda, Terenia nie weszła odrazu na drogę pracy i obowiązku, jak to ty uczyniłaś, Hanko, nie otrząsnęła się z chęci, która ją ciągnęła do zajęć i pracy innej natury, jak ta, która na razie chleba daje, ale i Tereni dążności są te same, co twoje, Hanko, aby stać się podporą rodziny, i dla niej jedynie poświęcić swe siły i pracę.

— Ach, wujciu, mówisz to takim tonem, jak gdybym ja chociaż na jedną chwilę wątpiła o sercu Tereni — zawołała Hanka z rumieńcem na twarzy — a przecież ja umiem ją ocenić, wiem, że ona lepsza jest ode mnie, sto razy więcej warta, Tereni nikt chyba więcej ukochać nie może, jak ja ją kocham. To, co mówiłam, było trochę i niepokojem o nią, i żalem chwilowym, że wyrwała się nam w świat, gdzie jej nikt ani tak ocenić, ani ukochać nie potrafi. Mam wyrzut sumienia, czy nie dopomogłam jej do tego jedynie z miłości i chęci dogodzenia. Powiedz, wuju, czy nie należało zatrzymać jej w domu, czyśmy dobrze zrobili, puszczając ją w świat tak młodziutką i niedoświadczoną?

— Możnaż było niewolniczo ją krępować? — zapytał poważnie p. Kazimierz — życie, Hanko, jest szkołą doświadczenia,

Terenia przejdzie przez tę szkołę, i gdy wróci do nas, będzie się czuła szczęśliwą i zadowoloną, bo pozna, że niema może większego szczęścia, jak szczęście rodzinnego ogniska. — Niech walczy i próbuje sił swoich, co zdobędzie pracą, będzie to jej własną zasługą. Pozwól jej Hanko, spoglądać w niebiosa, bo z tej wyżyny nic brudnego nie przylgnie do jej duszy, i nie troszcz się o nią zbyt, bo...

— Bo czuwa nad nią wuj Kazimierz, jak słusznie powiada Jadwinia — przerwała Hanka, rękę wuja do ust przyciskając. — Jestem już spokojna, nie troszczę się o przyszłość mam nawet przecucie, że pracą naszą zdobędziemy bogactwo wielkie.

— Bogactwo, Hanko, to nie pieniądz, który pozwala nam pędzić życie w zbytkach i wygodach, to nie brylanty, którymi obwiesić się możemy, to nie karety i uprząże, złotem kapiące, bogactwo, Hanko, to nie możność błyszczenia i wywyższania się nad innych. *Prawdziwe bogactwo*, dziewczeczko moja, to przeświadczenie, żeśmy godnie spełnili wysokie posłannictwo człowieka na ziemi, że życie nasze upłynęło w pracy uczciwej i poświęceniu dla braci, żeśmy nie zmarnowali ani jednego z darów, które Bóg złożył w sercach naszych. Spokój serca i sumienia, jaki wynika z pożytecznie pędzonego żywota, to wielkie i prawdziwe bogactwo człowieka.

— Prawda, wuju, prawda — zawołała Hanka — wracając do swej zwykłej energii i swobody, a więc do pracy, pozostawimy za sobą wszystko, co minęło. Tolu moja... — lecz nagle urwała, spostrzegłszy, jak z oczu dziewczyny łzy spływały po twarzy.

— Och, to nic — rzekła Tola — nie zważaj na to, Hanko, to nie łzy smutku i bólu, nie, zapewniam cię. — A ocierając oczy chusteczką, dodała — zabierajmy się więc do pracy, Hanko, budujmy przyszłość naszą, która, oby była dla nas prawdziwem bogactwem.

— Amen — rzekł p. Kazimierz, podnosząc się, a popatrzywszy przez chwilę na dziewczęta, wyszedł z wyrazem spokoju na twarzy.

XV.

Spełnienie zamiarów Hanki.

— Proszę cię, Tolu, złóż tę robotę — mówiła p. Krystyna wyjmując z rąk dziewczęcia jakiś haft biały — zmierzch już zapada, popsujesz sobie wzrok, który ci nie na dziś tylko potrzebny.

— Taka pilna robota — rzekła Tola, niechętnie zabierając się do złożenia cienkiego batystu — już tylko tydzień mamy do wykończenia wszystkiego, a słowa dotrzymać musimy, to rzecz konieczna.

— To też, przyjmując robotę, należy sobie zawsze dłuższy czas wymówić, gdyż lepiej wcześniej wykończyć, niż narażać się na niesłowność — rzekła p. Krystyna, pomagając Toli do uporządkowania na małym stoliku, przy którym ta ostatnia pracowała zawsze — Hanka już dawno złożyła swe koronki, chociaż także jest w obawie, czy je wykończy na czas umówiony.

— Prawda, ciociu — rzekła Tola, gdyż tak nazywaa p. Krystynę, aby mieć choć pozorny związek z rodziną, do której weszła — ale Hanka, złożywszy koronki, wzięła się do prasowania bielizny, czego mnie nigdy robić nie pozwoliła, a zdaje mi się, że potrafiłabym to tak dobrze, jak i ona.

— Nie ulega wątpliwości, żebyś potrafiła — odpowiedziała p. Krystyna, całując czoło dziewczęcia — ale nie jesteś tak silna i zdrowa, jak Hanka.

— Tolu — zawołała Ewcia, wbiegając do pokoju — babunia prosi cię do sklepu, bo nie może sobie dać rady, tak dużo przyszło naraz ludzi.

— W tej chwili — rzekła Tola, kładąc śpiesznie do koszyka zawiniętą w papier robotę, co uczyniwszy, wyszła bocznymi drzwiami. Ewcia pobiegła za nią, a p. Krystyna ustawiała krzeselka, zbierała różne ścinki od roboty, rozrzucone po podłodze, starła kurze i, obrzuciwszy wzrokiem cały pokój, opuściła go.

— Tolu droga — rzekła babunia do wchodzącej dziewczyny — zapal lampę w sklepie, bo prawie już ciemno i zaspokój gości, którym ja sama zadosyć uczynić nie mogę.

W chwilę lampa zapłonęła jasno, oświecając sklep duży dosyć, a Tola, zwróciwszy się do stojącej najbliżej wiejskiej kobiety, zapytała grzecznie:

— Czy po ów niebieski tybet na sukienkę dla Justysi przyszłiscie znowu? o, widzę, że zgadłam, bo Justysia zarumieniała się, jak wisienka, na samą myśl posiadania tak pięknej sukienki.

— A Bogać, panienko kochana — odrzekła kobieta, zbliżając się — toć ona mi spokoju nie daje, ino prosi: kupcie matulu, i kupcie, coby się na Wielkanoc ustroić można.

— Więc tak lubisz się stroić? — zapytała Tola, zwracając się do młodej, ładnej dziewczyny, która ze wstydem przysłała sobie oczy fartuchem.

— Oj, ona do ustrojenia to jedyna — wyręczyła matka zapytaną — ale do roboty się leni, wszystko jej się widzi ciężkie; taki to świat teraz, mój Jezu kochany, a czy to tak bywało, jak ja byłam dziewczuchą? Kupili ojcowie płócienną drukówkę do roboty, na święto merynusu zielonego, chusteczkę na głowę i tyła, gorsecik czarny ściągany na tasiemkę, fartuch czerwony, to i człek myślał, co niewiem jak ubrany. A teraz ta lichota — dodała, wskazując na zapaloną dziewczuchę — to wymyśla sobie halegancye, o jakich się dawniej i nie śniło.

— To wszystko dobrze — rzekła Tola, rozkładając żądany materiał — że młoda dziewczyna ubrać się lubi, to może i nic dziwnego, tylko, że jak mówicie do roboty się leni, to jakoś niebardzo mi się podoba.

— Taki jednak prawda, panienko — rzekła matka, oglądając jasny niebieski tybet — już my ta z tej dziewczuchy wielkiej uciechy mieć nie będziemy, bo ona się tylko ogląda za delikatną robotą.

Tola spojrzała bacznie na młodą dziewczynę i zamyśliła się chwilę, a potem rzekła do niej łagodnie:

— Chodźże, Justysiu, zobacz dobrze to, co ci się tak bardzo podobało; jednakże, gdybyś chciała posłuchać mej rady, nie kupiłabyś tego na sukienkę.

Dziewczyna niechętnym wzrokiem spojrzała na mówiącą, a kobieta zapytała ciekawie:

— A to dlaczego, panienko?

— Bo to jest materiał nietrwały, kolor prędko na słońcu zmieni się na siny z niebieskiego, i pokaże się, że z pięknej sukienki krótka będzie radość — mówiła Tola z uśmiechem.

— O mój Jezu — rzekła wieśniaczka ze zdumieniem — a toż to panienka gani swój towar, zamiast zachwalać; a dyć jak byłam w miasteczku i oglądałam takusieńkie same, to Mośkowa mówiła, że to suknia choćby ukropem parzyć i na bielniku rozkładać, nie zmieni się ani odrobiny.

— Mośkowa mogła to mówić — odrzekła Tola — ale ja nie mogę; po tem, co wam powiedziałam, jeżeli chcecie kupić, to sprzedam, ale ostrzedz was było moim obowiązkiem.

— A po co to panienka ma w sklepie? — zapytała kobieta, w której zrodziło się podejrzenie, że dla niej nie chcą może tego pięknego tybetu sprzedać.

— Dlatego, że się o taki tybet pytają ciągle — odpowiedziała Tola — gdyby więc nie było w sklepie, omówionoby nas, że nic pięknego nie trzymamy. Każdemu jednak odradzamy to kupno, i oto prawie cała sztuka leży, gdyż tylko na fartuch na wesele kupiła jakaś kobieta. A teraz posłuchajcie mnie, zrobię wam jedno pytanie: czy nie oddalibyście Justysi na naukę do nas, skoro jak mówicie, do ciężkiej roboty nie ma chęci?

Wieśniaczka roześmiała się.

— Pewnikiem panienka żartuje, bo i czegożby ta dziewczucha nauczyć się tu mogła? — rzekła lekceważąco, gdyż dla niej niepojęte były wszelkie prace, oprócz tych, które zwykle koło gospodarstwa robiła.

— Nauczy się różnych robót pięknych — rzekła niezrażona uwagą wieśniaczki Tola — mamy tu już trzy takie dziewczuszki,

wasza byłaby czwarta. Możecie zapytać sołtyski w Żabinie, której córka uczy się u nas od trzech miesięcy, kowała dziewczynka także przychodzi na robotę, i z Wólki od włodarza trzecia. Idźcie do tych domów, przepytajcie się bo wielką mam ochotę na waszą dziewczuszkę, choć się stroić lubi, i powiadacie, że leniwa. A tego niebieskiego nie kupujcie jej na sukienkę, jeszcze raz wam to odradzam.

Podczas całej tej rozmowy, dziewczyna nie spuszczała oczu z Toli, policzki jej gorzały, a gdy matka kiwała głową niedowierzająco, dziewczucha przypadła jej do kolan i zawołała radośnie:

— Dajcie mi tu przyjść, matulu kochana, już nie chcę i sukienki niebieskiej, już nie chcę nic od was, tylo pozwólcie uczyć się tego, co i tamte dziewczuchy się uczą. Toć macie jeszcze w chałupie Antoškę i Marychnę, to bezemnie się ta obejdzie łącno.

— Jezusie kochany, czy panienka urok rzuciła na tę dziewczuchę! — rzekła kobieta, składając ręce — a toż ona i sukienki nie chce, no, no, istne dziwy! Ale myślisz, że to tak zaraz można? Trza się dobrze z ojcem naradzić, co powie, zobaczymy, przepytamy, żeby dziecka na zatracenie, bez urazy nie dać.

Tola uśmiechnęła się z obawy wieśniaczki, i na tem się kupno skończyło, że niebieski tybet poszedł na swoje miejsce nietknięty, a kobieta, pożegnawszy babunię i Tolę, odeszła z córką, która ręce Toli całowała serdecznie.

Wkrótce w sklepie nie było już kupujących, Tola prosiła, aby babunia poszła wypocząć po trudzie dziennej pracy i męczącym gwarze, a sama, zostawszy w sklepie, zaczęła składać niektóre towary, wyjęte dla ostatnich gości. Na twarzy dziewczęcia był uśmiech zadowolenia, rozglądała się po sklepie z rodzajem dumy, tyle tam pięknych było rzeczy, jak na krótki czas od założenia, gdyż zaledwie upłynęło cztery miesiące, gdy dziewczęta po raz pierwszy wzięły łokieć do ręki. A nie same tylko towary znajdowały się tu, były i piękne gotowe czepeczki i fartuchy, haftowane kolorowemi włóczkami, robota Ja-

dwini i Ewci, były gotowe koszule kobiece i męskie, ładne pończochy w różnych kolorach, praca babuni, i wiele, wiele innych rzeczy, których wymieniać niepodobna. W jednym kącie sklepu stało ze dawdzieścia koszyków pięknie wyplatanych, których dostarczał wuj Kazimierz, jakoteż i kapeluszy słomianych, a tych dopiero wisiało parę, gdyż do lata było jeszcze daleko, i jedynie dla pokazania, że ich tu dostanie, gdy będą potrzebne, umieszczono je w miejscu widocznem.

Zamiary zatem dziewcząt przyprowadzone zostały do skutku, i nadspodziewanie wiodło im się dobrze. Z początku było trochę nieufności ze strony wieśniaków, a raczej wieśniaczek, gdyż sklep przeważnie dla kobiet był założony, nie było w niem bowiem ani sukna, ani kapot i t. p. rzeczy. Ale powoli, gdy jedna i druga odważyła się na kupno towaru od *pań takich* i przekonała się, że dobrze na tem wyszła, zaczęto po wszystkim udawać się do czerwonego domu, gdyż tak powszechnie prawie nazywano sklep nowy, o którym wiedzano już niemal w całej okolicy.

Sąsiednie dwory, dowiedziawszy się o upadku majątkowym p. Wolskiej, o pracy i zapobiegliwości jej córek, jednomyślnie postanowiły, aby o ile możności popierać ich pracę i przyczyniać się, nietylko do utrzymania, ale i powiększenia założonego sklepiku. Nie znano osobiście tej rodziny w okolicy, widywano ją tylko w kościele, ale tam nie zwracała na siebie niczem ogólnej uwagi; z wielką jednak, sympatyczną życzliwością spoglądano na taką nowość, jak sklep na wsi założony przez kobiety wykształcone, gdyż i o tem dowiedziano się ze szczegółami. Poczęły się więc sypać zamówienia na koronki i hafty, oddawano do roboty suknie i bieliznę, żądano sprowadzenia różnych towarów, tak, że wkrótce sklep lokciowy zaczął się łączyć z galanteryjnym. Naraz we wszystkich prawie dworach okazała się gwałtowna potrzeba koszyków, koszyczków i słomianek do sieni, więc i praca p. Kazimierza miała zbyt ogromny, a przysparzała dochodu. Babunia z robotą pończoch nadążyć nie mogła, w czym i p. Krystyna dopoma-

gała dzielnie w godzinach, w których inną pracą zajęta być nie mogła.

Namawiano do nauki koronek i innych robót dziewczęta zręczniejsze, i *leniwe* do cięższej pracy, jak to mieliśmy przykład z Justysią, i tym sposobem już cztery uczennice miała Tola, cierpliwa i łagodna nad wyraz przy wykładaniu nauki, o której dziewczęta dotąd najmniejszego nie miały wyobrażenia. Trudności te jednak nie zrażały i nie przykrzyły się szlachetnej dziewczynie, bo w sercu jej zostały słowa wuja Kazimierza o spełnieniu wysokiego posłannictwa człowieka na ziemi, a które to posłannictwo nietylko w wielkich i bohaterskich leży czynach, lecz i w cichej, wytrwałej pracy, w szerzeniu światła i wiedzy w małym kółku, które nas otacza. Wujcio mówił, że większą bohaterką jest ta kobieta, która wśród pracy na kawałek chleba dzień jednak każdy zaznaczy względem swych bliźnich jakąś zasługą, aniżeli ta, która raz w życiu zdobędzie się na czyn wielki i heroiczny. Tola o tem pamięta przy nauce wszystkich dziewcząt, którym zawsze potrafi powiedzieć coś takiego, co rozjaśnia ich umysł, i budzi lepsze, szlachetniejsze uczucia w tych sercach, do których dotąd nikt nie pukał w imię wielkiej, bratniej miłości.

XVI.

Owoce wytrwałej pracy.

Dwa lata upłynęły od powyżej opisanych wypadków, przed czerwonym domkiem zieleni się śliczny trawnik, mnóstwem kwiatów obsadzony, w pośrodku, tak samo jak przed starym dworkiem, stoi młoda lipa, która sporem już zasadzona drzewkiem, przyjęła się jednak, ku wielkiej radości dzieci a, szczególnie, Jadwini. Lipa szumi wesoło szerokimi liśćmi, przekomarza się może z pszczołami, których całe roje obsiadło jej kwiaty. Na trawniku leży Figielek, korzystając z ostatnich promieni słońca, które już, już ma się skryć poza brzozowym

laskiem. Przed domem, pod młodymi kasztanami, przechadza się kilka pięknych czubatych kokoszek, czatujących na chrabąszcze, które wiatr strząsa od czasu do czasu. Do wejścia na trawnik nie bierze ich nawet pokusa, wiedzą dobrze, że Figielek nie darmo na nim leży dzień cały, a choć ma niby przymknięte oczy, widzi doskonale, jeżeli która na żarty tylko posunie się ku kwiatom. Figielek, choć się podstarzał i utył, biega jeszcze dobrze, a zęby jego nie straciły ani na białości, ani na chęci chwytania i wyrywania po parę piórek psotnym i nieposłusznym kurkom.

Po lewej stronie czerwonego domu założony ogródek wcale pokaźnie wygląda ze swemi młodziutkimi drzewkami. W ogródku jest kilka ulic, wysadzonych agrestem i porzeczkami, trochę to po staroświecku, ale widocznie nie tracą tu zbytecznie czasu na modne upiększenia, lecz mają na celu wygodę i korzyść, a może i zbyt mało jest miejsca na kwiaty zbyt kosztowne. Ciszę przed domem przerwała kłótnia dwóch kur czubatych, które wcale niegrzecznie wydzierały sobie biednego chrabąszcza, a sprawiały się tak hałaśliwie, że obudziły śpiącego Figielka, który podniósł się, ziewnął szeroko, spojrzał obojętnie na bijące się kury i zwrócił wzrok na słońce, jakby chcąc wiedzieć, czy długo też jeszcze chodzić będą po dworze te uprzykrzone kokoszki? Wtem szmer jakiś na drodze zwrócił jego uwagę, obejrzał się i w radosnych susach, poszczekując wesoło, pobiegł na gościniec, zostawiając za sobą trawnik i kury, które w tej chwili zdawały się nie obchodzić go wcale.

Drogą szedł chłopczyk w niewarowem ubraniu, słomkowym kapeluszu na głowie, niosąc książki pod pachą. To Kazio, który w tej chwili schyla się do łaszącego mu się psiaka i głaszcze go pieszczotliwie, co Figielek przyjmuje radosnem skowyczeniem.

Chłopczyk urósł bardzo przez te dwa lata, a twarzyczka jego miała wyraz rozumny i poważny. Dochodził właśnie do domu, gdy w progu stanęła dziewczynka lat trzynastu może, blada i wysmukła, istny portret Tereni.

— Jadwiniu — rzekł chłopczyk, zbliżywszy się do niej — p. Grubski kazał ci powiedzieć, że ta biała róża zakwitła dziś rano, pyta się, czy i twoja już ma kwiaty.

— Czemużeś nie powiedział, że moja już przed dwoma dniami zakwitła — rzekła, zadowolona widocznie tem pierwszeństwem.

— Bo nie wiedziałem o tem, tyle mam innych rzeczy na głowie, czy podobna, abym myślał o różach — rzekł z powagą. — Przecież od wakacji mam iść do szkół, muszę się przysposabiać, aby zdać dobrze egzamin.

— Nie bój się, zdasz z pewnością — odezwał się za Jadwinię Janek, który nadszedł na ostatnie słowa chłopczyka.

— Łatwo ci to mówić, Janku, gdyś dostał promocję do piątej klasy, ale ja się boję jednak, chociaż mnie i pan Grubski zapewnia, że pójdzie mi dobrze ten straszny egzamin.

Janek wysunął się przed Jadwinię i usiadł na schodkach przed domem, biorąc na kolana Figielka, ucieszonego bardzo tym zaszczytem.

Janek przez te cztery lata, odkąd straciliśmy go z oczu, tak wyrósł i zmężniał, że trudno byłoby w nim poznać owego małego chłopaka; piękne tylko rozumne oczy, oczy matki, przypominały dawnego Janka. Twarz chłopca wyrażała energię silną wolę, ruchy miał swobodne i pewne siebie, chociaż nie bez pewnego wdzięku i szlachetności. Nie było w nim nic z tej rubasznej śmiałości, którą to przybiera niektóra młodzież w tym wieku, sądząc, że to dodaje powagi i dojrzałości. Głaszcząc psa jedną ręką, drugą wyciągnął ku Jadwini, prosząc, aby zajęła przy nim miejsce, a potem zwrócił się do brata i rzekł:

— Nie martw się, mój Kaziu, przedwcześnie, pracujesz i uczysz się pilnie, więc w każdym razie nie będziesz sobie miał nic do wyrzucenia. A teraz idź na podwieczorek, który Ewcia na dziesięć zamków zamknęła przed mojem łakomstwem, albowiem przysmak to nielada poziomki z mlekiem.

Natura dziecięca, skłonna zawsze uganiać się za łakotkami,

przemogła i w Kaziu, zapomniał na chwilę o egzaminach i, przeskoczywszy dwa schodki na raz, znikł w korytarzu.

— Zabawny malec — rzekł Janek — zląkł się o swoje poziomki. Wiesz, Jadwiniu, że to ogromnych zdolności chłopiec, a przytem pilny, co rzadko w parze idzie. No, siadaj, siostrzyczko, pogawędzimy trochę.

— Nie mogę, mój drogi, wyszłam tylko na chwilkę zobaczyć, czy niema szkodników na moim trawniku, bo ani sobie wyobrazisz, jak pragnę, aby był piękny, gdy Terenia przyjedzie.

— Cóż tam jeszcze tak pilnego masz do roboty? patrz, słońca już tylko kawałek widać, a ja tak jestem stęskniony do rozmowy z wami, że z każdej chwili radbym korzystać.

— Jutro niedziela, będziemy cały dzień mieli wolny — rzekła dziewczynka, odchodząc niby, a widocznem było, jak chętnie gawędziłaby z ukochanym braciszkiem, który dopiero od trzech dni przybył na wakacje.

— Ha, trudno, idź, idź, moja Jadwiniu, ja wiem, że spełnienie obowiązku musi iść przed przyjemnością — rzekł chłopak, podnosząc się z miejsca — i ja pójdę do ogrodu zobaczyć, czy niema szkody w truskawkach; podobno większych łakomców i ciekawców, jak czubatki Ewci nie znajdzie na całym świecie.

Rodzeństwo rozeszło się; Jadwinia udała się do dużego pokoju, w którym kilkanaście dziewcząt zajętych było pracą. Przy jednym podłużnym stoliku, stojącym przy oknie, sześć z nich robiło koronki, wprowadzie niezbyt cienkie i delikatne, ale gustowne i trwałe. Przy nich stała w tej chwili Tola, oglądając robotę i robiąc uwagi, gdzie należało. Przy drugim oknie dwie dziewczyny zajęte były białem szyciem, przyczem opowiadały sobie coś półgłosem, śmiejąc się wesoło. Inne dziewczęta haftowały na muslinie czepeczki, a szło im to tak wprawnie, że miło było patrzeć, jak igły migały w ich rękach.

Przy dużym stole, który stał na środku, Hanka, przy

pomocy znajomej nam Justysi, upinała jakąś wełnianą suknię. Na twarzy dziewczęcia był rumieniec zmęczenia, widocznie śpieszyła się, aby przed zupełnym zmierzchem wykończyć, gdyż właśnie w tej chwili Tola kazała dziewczętom składać robotę i chować ją na jutrzejsze święto. Ruch i gwar powstał w pokoju, jakkolwiek pilne to były pracownice, ale wszystkie młode i pełne życia, nie dały więc sobie dwa razy powtórzyć tego rozkazu. Tylko Justysia stała wiernie przy Hance i ani się obejrzała na wesole swe towarzyszki, przypatrywała się pilnie robocie, poświęcając jej całą uwagę. Gdy wszystko było już pochowane i posprzątane, dziewczęta uciszyły się i stanęły jedna przy drugiej, jakby oczekując na coś. Tola zbliżyła się do Hanki.

— Czy prędko skończysz? — zapytała — może zwolnisz Justysię, a ja ci przy lampie pomogę do wykończenia.

— W tej chwili — odpowiedziała Hanka, nie odrywając się od roboty — Justysia ciekawa właśnie, jak się robi to podpięcie, ale za minutę będzie już wszystko skończone.

Jakoż istotnie w chwil parę Hanka strząsnęła wykończoną suknię, a dziewczęta jednogłośnie pochwaliły, że zrobiona jest ślicznie i zgrabnie, Justysia powiesiła ją na wieszadle, z niemym podziwem przyglądając się robocie swej pani. Teraz Hanka i Tola uklękły, a za ich przykładem wszystkie dziewczęta, i odmówiono z przejęciem modlitwy wieczorne i pacierz, poczem wszystkie wybiegły przed dom, gwarząc wesoło. Jedne poszły do domu rodziców, których miały w Żabinie, po drugie z dalszych wiosek przyjechał ojciec lub brat, aby je zabrać na niedzielę, trzy tylko pozostały, gdyż były to sieroty i te stale mieszkwały w domu p. Wolskiej. Babunia i p. Krystyna były w sklepie, Jadwinia i Ewcia w swoim pokoiku składały kajety i książki, ukończywszy lekcje na poniedziałek.

— Teraz idę do kuchni — rzekła Jadwinia — trzeba pomówić z Magdusią o kolacji, a potem pójdę poszukać Janka, który się pewnie nudzi gdzie w kąciuku.

— Nudzą się tylko próżniaki — rzekła z powagą Ewcia, zadowolona, że mogła wypowiedzieć to, co mówił niedawno wuj Kazimierz — więc Janek nudzić się nie może. Ja też muszę iść do gospodarstwa, moje kochane kurki używają pewnie jeszcze przechadzki, trzeba je namówić do spania.

— Naturalnie, bo jutro wyglądałyby mizernie — rzekła Jadwinia, biorąc klucze z koszyka.

— Tobie bo się zdaje, że kury to mają żelazne zdrowie, i wszystko im jedno, choćby nie spały — odpowiedziała Ewcia, idąc za starszą siostrą.

I dwie gosposie wyszły z pokoju.

Hanka z Tolą udały się do sklepu. Było tu teraz na co spojrzeć; cały sklep założony i zastawiony towarami, a chociaż największy pokój obrócono na niego, okazało się za mało jeszcze miejsca, i musiano po roku przybrać drugi, w którym znajdowały się gotowe do ubrania rzeczy. Gdy dziewczęta weszły, nie było z kupujących nikogo, babunia robiła pończoszkę, siedząc na swym wygodnym fotelu, a p. Krystyna czytała głośno jakiś dziennik, widocznie napotkała ważną wiadomość, zbliżyła się do okna, gdyż zmrok zaczynał już przyćmiewać światło dzienne.

— Och, mateczko, niewolno — zawołała Hanka, podbiegając do matki — słyszałam od matusi może tysiąc razy, że oczy się psują, gdy się czyta o zmierzchu.

— I ja to słyszałam od cioci — rzekła Tola — i dlatego przerywamy dalsze czytanie.

— A właśnie też skończyłam, moje opiekunki kochane — rzekła z uśmiechem p. Krystyna — wstydzę się jednak, żeście mnie na gorącym uczynku złapały. Czego się innym wzbrania, tego się samej nie czyni, ale parę wierszy tylko było do dokończenia, a przy oknie można to było przeczytać bez szkody dla oczu.

— Niechże mateczka i babunia wyjdą teraz trochę na świeże powietrze — rzekła Hanka, całując ręce matki — na dworze cudownie pięknie, to konieczne dla zdrowia.

— Dobrze, panie doktorze — rzekła babunia, składając pończoszkę i podnosząc się z miejsca — idziemy natychmiast za radą tak zbawienną.

— My zostaniemy teraz w sklepie — rzekła Tola.

— Nic z tego, kochanko — odpowiedziała babunia — pójdziemy wszyscy, możemy chodzić koło klombu i w bliskości domu, zobaczymy więc, gdyby kto przyszedł z kupujących.

— I tak dobrze, babuniu; a więc idźmy, nie tracąc czasu, bo myślę, że dziś, jako przy sobocie, będzie jeszcze dużo zająca w sklepie, tylko trochę później.

— O, niezawodnie, ale będą to dość nudne sprzedaże — rzekła Hanka — jedna będzie chciała łokieć tasiemki, druga dwa guziki, a już co mydła, to sprzedamy najwięcej. Każdy się przecie umyć musi w niedzielę.

— Nie obmawiajże, Hanko, sąsiadów — rzekła Tola, otwierając drzwi przed idącą babunią — bo przecież w Żabinie myją się ludzie codzień, nie widziałam nigdy zasmolonego nikogo.

Gdy na drugi dzień przed wieczorem zasiedli wszyscy przed domem na ławkach, które były dziełem rąk wujcia i małego Kazia, Hanka, spojrzawszy w stronę starego dworku, rzekła z tajonem westchnieniem.

— Już naszego dworku ani śladu niema, ktoby dziś poznał w tych okazałych budynkach, w tym dworze ogromnym, naszą skromną dawną siedzibę.

— Jabyłm zawsze poznała — rzekła Jadwinia — bo chociaż zmienili wszystko, wszystko przewrócili, został jednakże trawnik zielony i lipa Tereni.

— I ogród został — rzekł Kazio — a przy ogrodzie buda Warty, ale jaka piękna, istny pałacyk.

— A jakie też prześliczne postawili kurniki, mateczko, to doprawdy, jak żyję takich nie widziałam — mówiła Ewcia, oglądając się mimowolnie w stronę swoich niziutkich, słomą krytych, drewnianych budynków.

— Kurniki te są ładne, to prawda — rzekła Jadwinia,

widząc, że starsze towarzystwo pograżyło się w zamyśleniu — tylko, jak mnie się zdaje, zablizko są dworu, czy nieprawda, wujciu?

— Może i prawda — odrzekł zapytany — ale kto wie, dlaczego tak uczyniono, kto wie, czy pani tego domu nie jest wielką gospożą i lubowniczką tych skrzydlatych psotników, chciała więc mieć je tuż przy boku.

— Zdaje mi się, wujciu — rzekła Hanka — że właściciel naszego dawnego folwarku nie ma żony, mówiłeś podobno o tem.

— A czy nie może się ożenić? — rzekł p. Kazimierz, spoglądając z uśmiechem na dziewczynę — ja myślę, że on tak robi a, zwracając się do p. Krystyny, dodał: — Bardzo ważną rzecz mam ci, siostró, oświadczyć, właściciel nowego dworu zaprosił nas wszystkich, nie wyłączając ani jednej osoby, na poświęcenie domu, która to uroczystość ma się odbyć za dwa tygodnie.

— Jakto! — wykrzyknął Kazio — i ja zaproszony, i Figielek, kiedy nie wyłączył ani jednej osoby?

Wszyscy rozśmiali się z chłopczyka, a Ewcia nie mogła powstrzymać się od uwagi:

— Alboż twój Figielek osoba? — zapytała.

— Podobniejszy do osoby, niż twoje kury — odpowiedział dawnym tonem obrażonego.

— I cóż odpowiedziałeś, bracie? — zapytała p. Krystyna.

— Prawie, że przyrzekłem w imieniu wszystkich — mówił p. Kazimierz — ale w każdym razie poleciłem mu udać się z tem osobiście do babuni i ciebie.

— Mógłby mieć więcej szlachetnej delikatności — rzekła Hanka, ściągając chmurnie brew ciemną — czy on tego nie rozumie, że poświęcenie nowego budynku, wzniesionego na gruzach naszego cichego, drogiego domku, nie może być dla nas miłem i wesołem? czy ten człowiek ma serce i uczucie?

— Alboż to zabrał niesłusznie? — zapytał p. Kazimierz.

Hanka, zawstydzona wypowiedzeniem słów gorzkich, spu-

ściła głowę i milczała chwilę, ale trwało to krótko bardzo, spojrziała na wuja i rzekła:

— Słusznie, mój wuju, i ja mu nie mam za złe, że się o swoje dopominał, tylko, że prosi nas na tę ceremonię.

— Jemu się zdaje, że spełnia czyn sąsiedzkiej grzeczności — odpowiedział p. Kazimierz.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Jak dobrze, że to wypada za dwa tygodnie — rzekła babunia — za tydzień wraca Terenia, będziemy więc wszyscy, kiedy już mamy być całą rodziną.

— Wujciu, jak myślisz, czy Terenia będzie już za tydzień? — zapytała Tola.

— Z największą pewnością, chyba żeby nastąpił jaki nieprzewidziany wypadek, od czego uchowaj ich Boże — odrzekł p. Kazimierz.

— Już dziesięć miesięcy, jak Terenia jeździ i jeździ — rzekła Ewcia.

— Tymczasem, Krysiu kochana — rzekł p. Kazimierz — trzeba, żeby nasze panienki pomyślały o ubraniu na tę fetę do sąsiada, bo przecież, prawda, babuniu — dodał, zwracając się do sędziwej niewiasty — że odmówić nie wypada. Mógłby pomyśleć, że istotnie mamy żal do niego za to, że wziął, co mu się słusznie należało. Zresztą, jużśmy wszyscy odboleli tę stratę, a dziś, dzięki wspólnej pracy i wytrwałości o byt, nie potrzebujemy troszczyć się zbytecznie.

— Bez wątpienia, kochany p. Kazimierzu, odmówić nie wypada — odpowiedziała babunia — może nam nie być miłą ta wizyta, ale przecież dobrowolnie zgodziły się dzieci na oddanie długu po ś. p. ojcu.

— Babciu, to był nasz najświętszy obowiązek — zawołała Hanka — tego ani na jedną chwilę nie żałowałam nigdy, nigdy, nawet wtedy, gdy praca nasza była ciężka, i początkowo ledwie wystarczającą na najkonieczniejsze potrzeby. Tembardziej też dziś, gdy babunia droga i mateczka mogą mieć jakie takie wygody, i nie potrzebują zbytecznie troszczyć się o jutro.

— Tobie, Hanko i Toli za zasługę poczytać to należy — rzekła p. Krystyna ze wzruszeniem — wasza wytrwała praca, wasze trudy i mozoly w doprowadzeniu do skutku zamiarów, które w wykonaniu okazały się tak bardzo dla nas korzystnymi, zabezpieczyły byt, a jak mam nadzieję, i przyszłość naszą. Te dwa lata zaznaczyły się w życiu waszem pracą, walką i poświęceniem.

— Och, mateczko droga, słowa twoje przejmują mnie niewysłowionem szczęściem — rzekła Hanka, zbliżając się do matki — czyż doznałabym tego uczucia, gdybym nie miała sposobności okazania tego czynem, że miłość moja dla was jest prawdziwą i świętą?

Pani Krystyna jedną ręką przycisnęła córkę do piersi, drugą z wyrazem serdecznej miłości wyciągnęła do Toli, a sieroć ze łzami rzuciła się w jej objęcia.

— Niech wam Bóg błogosławi — mówiła przez łzy pani Krystyna — niech wam da tyle szczęścia, na ile zasłużyliście, dzieci moje drogie.

— Pójdziemy, mateczko, na poświęcenie nowego dworu — rzekła Hanka, uśmiechając się wesoło — pójdziemy wszyscy, a nowy dziedzic zobaczy, że nie majątek daje szczęście.

— Cieszy mnie to, niewymownie cieszy, że jesteście zadowolone z mierności, w jakiej się znajdujemy — rzekł pan Kazimierz — że pracę uważacie za obowiązek, którego spełnienie daje wam wewnętrzne przeświadczenie, iż nie jesteście pasorzytami na świecie. Pójdziemy więc na poświęcenie nowego dworu, który, jak Hanka powiada, wznosił się na gruzach naszego szczęścia, a mam nadzieję, pewność niejako, że będziemy wszyscy weseli, zadowoleni i szczęśliwi.

— Pójdziemy, pójdziemy — zawołali wszyscy prawie razem.

— A czy prawda, wujciu, że ten pan zakupił cały Żabin — zapytała Jadwinia.

— Podobno — odrzekł p. Kazimierz — o ile wiem jednak nabywał to uczciwie, i z dobrą wolą sprzedających.

— Bogacz — szepnęła Hanka.

— Mówią ludzie — rzekła Tola — że mają tu zakładać jakąś ogromną fabrykę, widocznie jest to przemysłowiec, który ma swój interes na celu.

— I to być może — odpowiedział p. Kazimierz, a taki przy tych słowach uśmiech wesoły twarz mu rozjaśnił, że wszystkich zwróciło to uwagę.

— Wujcio widocznie bardzo jest życzliwym dla tego pana, i wszystko pochwała, co tamtem robi — rzekła Hanka głosem, w którym bądź co bądź ukryta była maleńka jakaś niechęć — wujcia widocznie los pomyślny tego przemysłowca obchodzi bardzo.

— Ani myślę zaprzeczać — odrzekł żartobliwie — więcej obchodzić mnie już nie może.

XVII.

Powrót Tereni.

Widzieliśmy, co przez te dwa lata zrobiono w Żabinie w czerwonym domu, musimy więc wrócić do Tereni, którą od ostatniego jej listu straciliśmy z oczu. Życie dziewczęcia nie upływało wesoło, gdyż myśl, że wyrwała się z kółka rodzinnego i uchyliła od wspólnej pracy, która była mozolną pracą na kawałek chleba, zatruwała jej coraz bardziej wszystkie niemal chwile. Pragnęła nauki i dalszego kształcenia się, sądziła, że w krótkim czasie będzie miała możność przyjscia z pomocą rodzinie, tymczasem nie zdobyła po roku bytności na pensji p. N. nic, coby mogła dołożyć do grosza zapracowanego przez Hankę i Tolę. Miała ledwie tyle, co na jej konieczne wystarczało potrzeby.

Wuj Kazimierz bywał u niej najregularniej co tydzień, wyciągał ją nieraz na słówka, ale mu się nigdy nie zwierzała ze swych cierpień, wstydziła się, że to, czego tak gorąco pragnęła przed rokiem, dziś już ją znużyło i zmęczyło nadmier-

nie. Nie kształcenie się własne wyczerpywało siły dziewczęcia, ale omyłka, jaką popełniła, sądząc, że ma powołanie do zawodu nauczycielskiego. Omyliła się, po roku pokazało się, że dobra i łagodna nad wyraz Terenia nie miała tyle cierpliwości, ile jej przy lekcji z uczennicami, nie zawsze pojętnymi, potrzeba było i zrozumiała, że musi dużo jeszcze pracować nad sobą, aby mogła z korzyścią uczyć innych. I myśl dziewczyny wypowiadała jej nieraz posłuszeństwo, odbiegając w czasie wykładu gdzieś w dalekie strony, i musiała siłą woli zapanować nad sobą, aby zadosyć uczynić obowiązkom, jakie przyjęła na siebie.

Przytem spotkało ją bolesne rozczarowanie. Odważyła się na krok bardzo śmiały, jak jej się zdawało, posłała do jednego z pism kilka utworów swego pióra; były tam wiersze, była i jakaś nowelka, nad którą strawiła kilka bezsennych nocy; ale z redakcji odpisano, że jakkolwiek widać w tem wszystkim trochę talentu, ale dla tej trochy szkoda czasu marnować, który wiele pożyteczniej może być zużytkowany. Odpowiedź ta przejęła ją takim zniechęceniem w pierwszej chwili, że straciła chęć do wszelkiej pracy. Więc co ja warta jestem? pytała sama siebie, jaki ze mnie pożytek rodzinie i społeczeństwu, względem którego bądź co bądź czuję, że mam obowiązki.

W tej chwili rozmyślań i smutku dziewczęcia zjawił się wuj Kazimierz. Przyszedł jak zwykle pieszo, nie znając na nim jednak było zmęczenia, a na ubraniu ani jednego pyłku kurzu. Spojrzał na nią, i odcień smutku przemknął mu po twarzy, siedział dłużej, niż zwykle, był wesół i opowiadał różne anegdotki o Kaziu i Ewci, o Figielku i czubatych kurkach; Terenia uśmiechała się, dopytywała niby o szczegóły, ale p. Kazimierz dostrzegł w tem wszystkim przymus i tajone cierpienie. Opowiadała wujowi, że wczoraj była u Lenki, że państwo Z. wyjeżdżają na kilka miesięcy, a może na rok cały do Włoch, bo dla zdrowia doktorowej okazało się to potrzebnem, i że mają zwiedzić całą niemal Europę. Wyjazd miał nastą-

pić za cztery tygodnie. Na drugi dzień przyszedł wujaszek na chwilkę tylko, zabrał listy, uściskał serdecznie siostrzenicę, i odszedł.

W niedzielę zaraz przyjechała zrana doktorowa z Lenką, i zabrały Terenię na cały dzień do siebie. Tam zrobiono jej propozycję, żeby pojechała z nimi jako towarzyszka Lenki, która zmuszona była przerwać nauki z powodu tego wyjazdu. Propozycja ta olśniła zrazu Terenię, lecz, sądząc, że chcą to zrobić tylko dla niej, bez korzyści dla Lenki, na żaden sposób zgodzić się na to nie chciała. Po długich wreszcie przekonywaniach obojga państwa Z. i usilnych prośbach Lenki, przystała, odwołując się ostatecznie do pozwolenia matki. Przyszedł znów wujaszek, przynosząc listy i błogosławieństwo babuni na drogę.

Przełożona pensji robiła niejakię trudności w zwolnieniu Tereni; za wdaniem się jednak doktorowej Z. w tydzień znalaziono inną nauczycielkę, a Terenia przeniosła się do rodziców Lenki, z wielką tejże radością. Ale o poważnej nauce nie było teraz mowy, wybieranie się na tak długo i w tak daleką podróż pochłaniało czas cały. Zresztą Terenia była towarzyszką rozpieszczoną jedynaczki, która chociaż kochała rodziców najwyższą miłością, pragnęła jednak odpowiedniej sobie wiekiem przyjaźni.

Wyjechano w październiku, a że czas był prześliczny, postanowiono przed zimą zwiedzić Kraków i jego okolice, co dziewczęta przyjęły okrzykiem radości. Że umiano korzystać z podróży, to rzecz łatwa do zrozumienia, skoro przewodnikiem był człowiek tak światły i wykształcony, jak doktor Z.

Przez zimę panienki wyuczyły się wybornie języka włoskiego, biorąc lekcje od najpierwszych nauczycieli, przyczem Lenka nie zaniedbywała muzyki, w której bardzo wysoko była już posunięta.

Z wiosną wyruszone na dalszą wędrowkę, a jak się wzbogaczał umysł dziewcząt, szczególnie Tereni, która pragnęła z podróży tej odnieść jak najwięcej korzyści, o tem i mówić

nie trzeba. Kilka zapisanych kajetów świadczyło, że Terenia bezmyślnie tego czasu nie spędzała, lecz skrzętnie zbierała wszystko, co pamięci godne i w przyszłości przydatnem jej być mogło. Przytem czytano dużo i umiejętnie, a czytano razem, co o wiele jest korzystniejszem dla osób młodych.

Dziesięć miesięcy minęło szybko, i ani spostrzeżono, że wracać czas było do domu, do którego matka Lenki bardzo już była stęskniona. A i panienki rade były temu, chociaż jako młode i wrażliwe miały więcej od starszych przyjemności na obczyźnie. Szczególniej Terenia ucieszyła się tym powrotem i serce jej biło radośnie, że ujrzy wkrótce wszystkich, których tak serdecznie kochała.

Ale wśród tej radości, pochylała czoło smutnie, bo oni tam wszyscy w pracy i trudzie zdobywali kawałek chleba, a ona jakże odmienne prowadziła życie! Prawda, miała zawsze jak najlepsze chęci, ale, nie posiadała wytrwałości ani tej silnej woli, jaką się odznaczała Hanka. A jednak zdawało jej się, była nawet najsilniej przekonaną, że dla matki, dla babuni ukochanej, poświęciłaby szczęście całego życia. Gdy przyszła wszakże chwila, wymagająca tego poświęcenia, ona, która na razie okazała więcej siły i woli do pracy i walki, aniżeli Hanka, straciła wkrótce moc ducha, opuściła ręce zniechęcona, podczas gdy siostra jej, otrząsnąwszy się z pierwszego bolesnego wrażenia, stanęła do pracy silna, z uśmiechem na ustach, bez słowa skargi na los ciężki.

Przy obrachunku tym samej z sobą, czuła się zawsze upokorzoną, i zawsze pochylała czoło ku ziemi, chociaż nigdy najlżejszem słowem nie uczynił jej nikt wyrzutu, nie dał jej uczuć, że wyłączyła się od wspólnej mozolnej pracy. Listy ich, tych ukochanych, były zawsze takie serdeczne, tak pełne miłości, opisywali jej wszystkie szczegóły domowego życia, ale nigdy żadnej skargi na pracę lub niedostatek. Listy Hanki były wesołe i swobodne, Tola pisywała z takim humorem i dowcipem, że czytającym zdawać się musiało, iż piszą to osoby szczęśliwe, swobodne, pędzące życie swobodne i dostatnie. I to wła-

śnie usypiało wyrzuty sumienia, jakie niejednokrotnie budziły się w duszy Tereni.

— Ach, więc to już jutro poświęcenie nowego dworu — mówiła Hanka, zwracając się do Tereni, która od dwóch dni wróciła już do domu z dalekiej swej podróży — radabym zbyć już jak najprędzej tę uroczystość, z której sobie nie obiecuję zbyt wielkiej przyjemności.

— Ani ja — rzekła Tola, wzruszając ramionami — wołałabym nawet zostać w domu, na co wujcio, nie wiem dla jakich powodów, przystać nie chce.

— Już ty mi dziś nie mów o wujciu — zawołała Hanka — doprawdy pojąć tego nie mogę, dlaczego dzień jutrzejszy przejmie go taką radością. Doprawdy ma taką minę, jakby ten wspaniały dwór i ogromne budynki, co błyszczą nam w oczy dachami krytymi blachą, należały do wujcia.

— I mnie to dziwi — rzekła Terenia — wujcio tak zajęty dniem jutrzejszym, jakby dzień ten stanowił jaką ważną epokę w jego życiu.

— Wielkie dla nas szczęście — rzekła Hanka lekceważąco — że bogacz jakiś zakupił cały Żabin prawie, że pobudował dwór, jakby pałac, i nas zaprosił na poświęcenie tego domu, który rozsiadł się pysznie w miejscu, gdzie stał niegdyś nasz milutki dworek. I wujcio tem uszczęśliwiony.

— I oczy mu się śmieją, i wąsy pokręca — dodała Tola.

— I dowcipkuje od samego rana — wtrąciła Terenia.

— Już się zmierzcha chwala Bogu — rzekła Hanka, podnosząc się z miejsca — a jutro o tym czasie będzie po całej paradyzie.

— Jeszcze nie wykończona sukienka Ewci — rzekła Tola, szyjąc pilnie biały muślin — występujemy jutro w strojach prawdziwie balowych.

— Albo i to — rzekła Hanka — moził się wujcio, abyśmy się biało ubrały; no, niema rady, czego chce wujaszek, tego wszyscy chcieć musimy.

— Musimy chyba sklep zamknąć na jutro — rzekła Tola —

a będzie to dla nas ze stratą, bo w sobotę mamy zawsze dużo kupujących. Czy nie prawda, Tereniu, że w naszym magazynie wcale piękne są stroje? Ale ty jeszcze nie miałaś czasu zobaczyć wszystkiego.

— Widziałam już tyle, że mogę podziwiać wszystko, co przez te dwa lata potrafiłyście zrobić — rzekła Terenia ze smętnym trochę uśmiechem.

— Za dwa lata jeszcze zrobimy wiele więcej — rzekła Hanka wesoło — założymy szkołę dla dziewcząt, ale to będzie taki zakład, o jakim się dotąd nikomu nie śniło.

— Terenia będzie przełożoną — mówiła Tola z ożywieniem.

— Naturalnie — rzekła Hanka — Terenia będzie przełożoną pensji, a Tola nauczycielką.

— E, jednej za mało — rzekła Tola — ale ponieważ to będzie zakład wyższy, w którym wszystkiego uczyć będą, sprowadzimy i Jadwinę, jako nauczycielkę muzyki.

— Założymy potem ochronkę i szpital — dokończył wujaszek Kazimierz, który wszedł przed chwilą do pokoju otwartymi drzwiami — bo przy fabryce, którą ma założyć *ten przemysłowiec, ten bogacz* — dodał z naciskiem — takie zakłady będą bardzo potrzebne.

— Ochronkę i szpital — powtórzyła Hanka, oglądając się na p. Kazimierza — wujcia projekt nie da się tak łatwo uskutecznić, jak nasz, który wujcio musiał pewnie usłyszeć.

— Hm, przy dobrych chęciach — mruknął p. Kazimierz z uśmiechem — wielkich rzeczy dokonać możemy; co do mnie, powiem wam otwarcie, że dawno o tem już myślę.

— Powinien to zrobić ten bogacz — rzekła Hanka — dla niego byłoby to rzeczą możebną.

— Ja też myślę, że on to robi — odpowiedział p. Kazimierz — a teraz pójdźmy się przejść trochę, zbyt długo dziś pracujecie.

— Bo jutro próżnować będziemy — rzekła Tola, składając robotę — jutro dzień zarnujemy i sklep chyba będziemy musiały zamknąć.

— W sklepie bez nas się obejdzie, Justysia potrafi nas zastąpić doskonale na te kilka godzin — rzekła Hanka, porządkując roboty w pokoju. — Pierwsza to uczta w mem życiu, na którą jestem zaproszona — dodała z uśmiechem.

— I ja pierwszy raz będę na większym zgromadzeniu — rzekła Tola — będziemy więc pewnie olśnione jutrzejszym przepychem.

— Zobaczmy — rzekł p. Kazimierz — tylko, moje panienki, pamiętajcie o tem, że na godzinę drugą mamy się stawić punktualnie w nowym dworze.

Na drugi dzień, t. j. w sobotę o godzinie pierwszej po południu, w dużym pokoju w czerwonym domu zgromadziła się cała rodzina p. Wolskiej, przybrana stosownie do nastąpić mającej uroczystości. Pan Kazimierz był bardzo wesół, czem trochę niecierpliwił Hanke, babunia miała taki pogodny wyraz twarzy, pani Krystyna była tak niezwykle swobodna i ożywiona, że dziewczęta spoglądały na siebie ze zdziwieniem, nie mogąc pojąć tej radości z poświęcenia cudzego domu.

Wszystkie panienki miały na sobie białe suknie, bo takie było życzenie wujaszka, więc chociaż starsze nie bardzo rade były temu, spełniły jednak jego wolę bez szemrenia. Oczekiwano już tylko na powóz, który nowy dziedzic miał przysłać, a tymczasem poprawiano sobie wzajemnie, to kwiatek, to kokardkę, ot tak poprostu dla skrócenia czasu.

— Wujciu! — zawołał, wbiegając do pokoju Kazio — dwa powozy zajechały teraz przed nowy dwór, i biegł także przy powozach taki duży pies czarny, zupełnie podobny do tego Kruka, co to był tu u nas dwa lata temu. Pamięta wujcio, ten Kruk, przyjaciel naszego Figielka.

— Pamiętam, ale musiało ci się przywidzieć, bo coby tu Kruk robił — odrzekł p. Kazimierz.

— Wujciu, czy Figielek pojedzie z nami? — zapytał chłopczyk nieśmiało.

— I owszem, możesz go zabrać, przecież to nasz wierny

przyjaciół we wszystkich przygodach, niechże się więc cieszy razem z nami — odpowiedział wuj Kazimierz poważnie.

— Jadą już powozy! jadą! — krzyknęła Ewcia, która stała przy oknie i wyglądała ciekawie w stronę nowego dworu — jadą dwa powozy i wolant — dziewczynka klasnęła w rączki.

Gorący rumieniec wystąpił na twarz Hanki, ścisnęła silnie za rękę stojącą przy niej Tolę i cichym szepnęła głosem:

— Ach, Tolu moja, gdybym ja mogła uchylić się od tej bytności w nowym dworze.

— Alboż to rzecz możebna? — odrzekła krótko Tola.

Powozy pozajeżdżały, babunia, Tola i Terenia wsiadły do pierwszego, p. Krystyna z Hanką, Jadwinią i Ewcią do drugiego, p. Kazimierz z chłopcami do wolantu i ruszono do nowego dworu.

XVIII.

Poświęcenie nowego dworu.

Gdy powozy przejeżdżały koło trawnika, który, jak dawniej, obłożony był białymi kamieniami z lipą pośrodku, podrosła znacznie przez te dwa lata, serca wszystkich dawnych mieszkańców zabiły mocno na widok miejsc ukochanych. Ale nie było czasu na rozczulanie się, bo zajęchano przed werandę domu, a po schodach marmurowych zbiegł szybko mężczyzna w sile wieku jeszcze i podał rękę babuni, prowadząc ją z oznakami wysokiego uszanowania.

Wszystkich nowo-przybyłych wprowadzono do dużego pokoju po lewej stronie, którego umeblowanie wskazywało dostatek bez zbytku, p. Kazimierz podał rękę przyjmującemu ich mężczyźnie a, zbliżywszy się z nim do babuni i siostry, rzekł:

— Pan Karol Czarkowski, mój kolega i przyjaciel.

Panienki ze zdumieniem spojrzały na siebie, a Terenia szepnęła do Hanki:

— Więc to jeszcze nie p. Szymon Siarski? myślałam, że gospodarz domu przyjmować nas powinien.

— Byłby to zbytek grzeczności ze strony milionera — odrzekła cicho Hanka.

W tej chwili we drzwiach bocznych ukazał się proboszcz miejscowy a, zbliżając się do pań, które właśnie zmierzały do tych samych drzwi, prowadzone przez p. Czarkowskiego i wujcia Kazimierza, rzekł serdecznym głosem:

— Witamy, witamy i czekamy niecierpliwie na państwa, ale to pewnie panienki tak marudziły — dodał, zwracając się do dziewcząt.

— Byłyśmy proszone na drugą godzinę — rzekła Hanka — i oto jesteśmy punktualnie na czas oznaczony.

— Dobrze, dobrze — odrzekł proboszcz, uśmiechając się życzliwie — wiem ja, że z ciebie, kochana panienko, dzielna kobieta, i nigdy w niczem nie chybisz.

— O, księżu proboszczu — i Hanka zarumienona umilkła.

— No, no, są i raki, to dobrze — mówił dalej wesoły staruszek — ale chodźmy dalej, bo tam na nas czekają.

P. Czarkowski pchnął lekko drzwi, któremi wszedł ks. proboszcz, i te rozwarły się na dwie strony, a oczom przybyłych ukazała się ogromna sala, przystrojona mnóstwem kwiatów, w głębi której znajdowało się kilkanaście osób.

Panienki, idąc za babunią i matką, miały oczy ku ziemi spuszczone, nie widziały więc nikogo, serca były im niespokojnie, a Hanka miała jedno życzenie, aby jak najprędzej wracać do czerwonego domu. Naraz okrzyk Toli rozległ się po sali, a zdziwione dziewczęta ujrzały ją w objęciu Jadwigi. Ale i na nie przyszła kolej radosnego zdziwienia, bo oto Lenka przyskoczyła do Tereni, a Henia witała się serdecznie z Hanką.

W pierwszej chwili nie umiały sobie zdać sprawy z tej niespodzianki, błyszczącemi od radości oczyma rozejrzały się po sali, i ujrzały samych znajomych, a raczej samych serdecznych przyjaciół.

— Wujciu — rzekła Hanka, zbliżając się do p. Kazimierza — co to wszystko ma znaczyć? poco taka tajemnica przed nami?

— Niespodzianka zawsze jest miłą — odrzekł zapytany — alboż się nie ucieszyłaś?

— O tak, ucieszyłam się — odpowiedziała, oglądając się niespokojnie po sali — ale gdzież jest p. Szymon Siarski?

— Cierpliwości, wszystko chciałabyś wiedzieć odrazu — rzekł p. Kazimierz z uśmiechem.

— Hanko moja — zawołała Jadwiga, zbliżając się — o jakąż to radość po dwóch latach niewidzenia ujrzeć was znów wszystkich zdrowych i szczęśliwych.

Uścisk serdeczny połączył dwie przyjaciółki. Radości wszystkich opisać niepodobna, całowano się, witano, nawet na pytania porządne nie było w pierwszej chwili czasu, bo każdy był odurzony, nie umiając sobie zdać sprawy z tego, co się stało tak niespodzianie.

Ksiądz proboszcz stał na boku, spoglądał, ręce zacierał z zadowoleniem, i uśmiechał się dobroliwie. Zbliżył się po chwili do niego p. Kazimierz i cicho chwil kilka mówili z sobą, ksiądz kiwał głową na znak potwierdzenia, a potem, postępując na środek sali, rzekł:

— Pozwólcie, szanowni goście i domowi, że przerwę już wasze witania i rozmowy, zostawić to musimy na później, mając teraz ważniejsze rzeczy do załatwienia.

Wszyscy zwrócili się w stronę sędziwego kapłana i zastąpili się w milczeniu, a on, powiódłszy wzrokiem dokoła, mówił:

— Zebraliśmy się dziś w tem miejscu, aby uczestniczyć w uroczystości poświęcenia tego oto nowego domu. I z daleka i z bliska przyjaciele i znajomi pośpieszyli zadosyć uczynić serdecznemu zaproszeniu gospodarza — przy tych słowach ksiądz skłonił głowę ku p. Kazimierzowi, a wszystkie spojrzenia zwróciły się w tę stronę.

Hanka, Terenia i Tola stały nieruchome, zatrzymując oddech w piersiach, nie mogąc zrozumieć nic, co się przy nich

działo. Napróżno upatrywały p. Szymona Siarskiego, nie było go w pośród zgromadzonych gości. Kilku panów, stojących przy sobie pod oknem, to wszystko znajomi, dr. Z., p. Zygmunt B., p. Czarkowski, p. Stanisław Grubski, miejscowy nauczyciel, i ów profesor literatury J., na którego to lekcji Tola tak wielkiej doznała przykrości. Ale gospodarza domu, przemysłowca, milionera, nie było między nimi. Hanka zatrzymała wzrok na wuju Kazimierzu, on w tej właśnie chwili spojrzał na nią i uśmiechnął się tak swobodnie, wesoło, jakby to nie było nic nadzwyczajnego, że goście poczynają jakieś sprawy bez pana domu. Spojrzała na matkę, na babunię, nie były tem nic zdziwione, jakby to była rzecz zupełnie naturalna. Wszyscy byli spokojni i weseli, nikt się nie kłopotał tem niestosownem znalezieniem się p. Siarskiego, który, sprosiwszy gości, nie raczył do tej pory powitać ich w swym domu. Gdybyż choć Jadwiga była blisko, aby mogła podzielić się z nią swemi uwagami, ale ta stała po drugiej stronie sali, wsparta jedną ręką o kosz pełen kwiatów, wpatrzona w Tolę, której blada zwykle cera kwitła teraz rumieńcem zdrowia i ożywienia.

Nastąpiła chwila milczenia, proboszcz pukał palcami po tabakierce, którą trzymał w ręce, nareszcie, zatrzymawszy dłużej wzrok na młodych dziewczętach, znów mówić zaczął:

— Nim przystąpimy do ceremonii poświęcenia, musimy wyjaśnić niektóre tajemnice, ciążyące na tym domu, na czem nam wszystkim bardzo wiele zależy. Ponieważ to jednak zajmie nam sporą chwilę czasu, chciejcie państwo usiąść, bo i mnie staremu nogi tak długo nie dopiszą, i państwu byłoby to z utrudzeniem.

To mówiąc, staruszek zajął miejsce przy stole, siadłszy na wygodnym fotelu, który mu p. Kazimierz podsunął, a za jego przykładem wszyscy posiadali, wyczekując w poważnem milczeniu dalszych słów sędziwego kapłana. Hanka umieściła się przy Jadwidze a, biorąc jej rękę, szepnęła cichym głosem:

— Ach, moja Jadwinio, serce mi bije czegoś niespokojnie, czuję, że coś ważnego się stanie.

— Ja też tak myślę — odpowiedziała również cicho — chociaż nic a nic z tego nie rozumiem, i dla mnie jest to do tej pory tajemnica. Wezwała mnie pani Z., przyjechałam wczoraj do Warszawy, dziś przywieziono mię tu bez żadnych bliższych objaśnień, no, i jestem, oczekując końca.

— Zechcecie państwo posłuchać, co wam najpierw przeczytać muszę — rzekł proboszcz, wyjmując z za sukni spory pakiet papierów — gdyż to koniecznem jest do zrozumienia niejednej, nie dość jasnej na pozór rzeczy.

To mówiąc, rozłożył papiery na stole, przewrócił kilka arkuszy, jakby szukał czegoś ważniejszego, aż p. Kazimierz przysunął się, wziął w rękę papiery i wskazując miejsce, rzekł:

— To właśnie, szanowny proboszczu, ale sam nie potrzebujesz męczyć się czytaniem, p. Czarkowski będzie łaskaw to uczynić. Wszak prawda, Karolu?

Pan Karol zajął miejsce przy proboszczu, położył papiery przed sobą, a ksiądz mówił dalej:

— Nim p. Karol zacznie czytać, ja muszę państwa objaśnić, co to będzie takiego. Otóż jest to testament pewnego angielskiego kupca i fabrykanta, p. Edwarda Dilke.

— Co nas też może obchodzić testament angielskiego kupca — szepnęła Hanka do Jadwigi, która na to pytanie wzruszyła nieznacznie ramionami.

— Całego testamentu czytać nie będziemy — mówił proboszcz po chwilowym przestanku — są tam różne zapisy na cele dobroczynne, dla krewnych i sług zasłużonych, a przejdziemy odrazu do punktu, który nas obchodzi, jak się o tem zaraz przekonamy. Zacznij pan, panie Karolu, bo widzę, że wszyscy trochę ciekawi, no i nic dziwnego — mówił staruszek, zażywając tabaczkę, od której i tak zbyt długo się wstrzymali

Pan Karol pochylił się nad papierem i zaczął czytać donośnym głosem, a wszystkich oczy zwrócone były na niego z ciekawością.

Testament Edwarda Dilke.

„... Że ostatnia wola moja spełnioną będzie w najdrobniejszych szczegółach, o tem nie wątpię, bo ty, zięciu mój, jesteś szlachetnym i prawym człowiekiem. Zanim jednak oddam w twe ręce wszystko, co posiadam, zrobię jedno zastrzeżenie, na które nie kładę silnego zbyt nacisku, gdyż raczej jest to prośba, którą jeżeli spełnisz, przybrany mój synu, uradowiesz ducha mego w krainie wieczności.“

„Majątek, jaki posiadam, zdobyłem pracą całego żywota, który Bóg błogosławił, bo widział, że praca ta była wytrwała i ciężką aż do uznojenia. Żona moja nie wniosła w dom mój posagu w monecie, ale posagiem jej było poświęcenie, z jakim dzieliła wszystkie trudy początkowego naszego życia.“

„Wiesz, jakim sposobem dorobiliśmy się mienia, opowiadałem ci to nieraz, a opowiadać mogłem śmiało, bo na majątku naszym nie ciąży krzywda ludzka. Czterdzieści lat uczciwej pracy zrobiło mnie człowiekiem bardzo bogatym, miljonerem, majątku tego było nawet za wiele dla tej jednej córki, która nam z czworga dzieci pozostała. Naszą ukochaną jedynaczkę oddaliśmy tobie, mimo tego, że nie chciałeś starać się o miljonową pannę; ale Dora oceniła cię należycie, wiedziała, że z tobą będzie szczęśliwą, i my nie sprzeciwialiśmy się jej woli. Ale Bóg zabierał nam dzieci jedno po drugim, i nasza ukochana córka po trzech latach pożycia z tobą, mój synu, odeszła od nas. Biedna matka pośpieszyła za nią, my dwaj tylko zostaliśmy, aby oplakiwać naszego anioła. Bo wiesz, mój synu, że Dora była dobrą, jak anioł.“

„Ale i ja idę za moimi ukochanymi, Bóg dobry pozwala już starcowi połączyć się z nimi; ty jesteś młody, i żyć będziesz jeszcze długo. Bądź szczęśliwym, mój synu, bo wart jesteś tego. Lecz odbiegłem od rzeczy, wspomnienia mię uniosły, wracam więc do mej prośby, do mego życzenia, dziwaczne może. Oddając ci majątek, tak ciężką zdobyty pracą, nie

chciałbym, aby on poszedł w ręce, któreby go szanować nie umiały, aby ci, którzy go otrzymają w przyszłości, zdobywszy łatwo, spożywali beczynn timer, trwoniąc to, co w znoju zbierałem. Znam cię dobrze i wiem, że ty nie zmarnujesz mej pracy, ale wiem także, że po mej śmierci wrócisz w rodzinne strony, aby odszukać siostrę, którą tam pozostawiłeś, a o której nie mogłeś powziąć żadnych wiadomości. Cieszę się w ostatniej chwili tą myślą, że ty, drogi mój synu, znajdziesz jeszcze rodzinę, i będziesz pocieszony, ale proszę cię, zrób to dla starego dziwaka, nie oddawaj majątku zbyt wcześnie tym, którzy na niego własną pracą nie zasłużą. Nawet — jeżeli to możebne, nie wydawaj się z tem, że jesteś bogatym, chyba, że będziesz ostatecznością do tego zmuszony, t. j. gdyby koniecznie rodzinę ratować było trzeba. Poddaj próbie tych, których swym majątkiem będziesz chciał zbogacić, przypatrz się, jak będą sobie radzić, gdy na życie zapracować będą zmuszeni, a wierzaj mi, że ci, którzy wyjdą zwycięzko z walki o byt, będą szczęśliwsi, niż gdyby bez trudu posiadli bogactwo. Bo prawdziwe bogactwo, to wewnętrzne zadowolenie, że wywiązujemy się z obowiązków względem społeczeństwa, to ta szlachetna дума, z którą człowiek może podnieść czoło i powiedzieć sobie, że nie żył darmo na świecie.“

„A teraz, ostatniem słowem zapisuję wszystko, co tylko posiadam, cały mój majątek ruchomy i nieruchomy, zięciowi memu, Kazimierzowi Dołędze, Polakowi rodem.“

Wrażenia, jakie ostatnie słowa czytającego wywarły na słuchających, opisać trudno. Pominiemy osoby starsze, bo te prawie wszystkie znały już tajemnicę p. Kazimierza, a zwróćmy uwagę na panny, dla których zdawało się to snem lub bajką, co usłyszały przed chwilą.

Na słowa: „Kazimierzowi Dołędze, Polakowi rodem,“ Hanka zbladła, wlepiając wzrok w wuja, a Terenia krzyknęła głośno, zasłaniając sobie oczy rękami, jakby chciała myśli zebrać w cichości, czy to, co usłyszała, może być prawdą i rzeczywistością.

Tola przytuliła się do siostry, z pięknych oczu dziewczęcia płynęły łzy radości. Jadwiga wieść tę przyjęła w milczeniu, stała ze spuszczonei oczami, znać było na niej wielkie wzruszenie, nad którem starała się zapanować siłą woli. Milczenie wssystkich trwało krótką chwilę. Proboszcz podniósł się z miejsca i głosem drżącym z rozrzewnienia rzekł:

— Bogu niech będą dzięki, żeście, dzieci moje drogie, wyszły zwycięsko z chwilowego nieszczęścia, w jakim was postawił dług po ś.p. ojcu waszym. Sądzę, że nie macie żalu do zacnego wuja waszego, iż, mogąc was ratować, pozwolił wam płakać nieraz nad niedolą, pozwolił pracować aż do trudu i uznojenia, jak tego żądał teść jego, dziwak może, ale w gruncie szlachetny i rozumny. Stało się zadość jego ostatniej woli, i duch starca raduje się widząc, że w zacne i pracowite ręce pójdzie majątek, ciężką pracą zebrany.

— Czy mogłem zrobić inaczej, dzieci moje? — zapytał p. Kazimierz, pierwszy raz podnosząc głos, i zwracając się do siostrzenic — powiedzcie, czy mogłem zrobić inaczej?

— Biedny nasz drogi ojciec — rzekła przez łzy Hanka — umierał z niepokojem, wiedząc, że dług ten zacięży kiedyś nad nami.

— Pocziwe, dobre dziecko moje — rzekła p. Krystyna, podnosząc się i wyciągając ręce do Hanki — najpierwsza myśl twoja w szczęściu i smutku zawsze o rodzicach. Niech ci Bóg błogosławi, córko moja — i p. Krystyna mówić więcej od wzruszenia nie mogła.

— Nie, Hanko, twój ojciec umierał spokojny o byt wasz i o dług ten, bo wiedział, że ja go zapłacę — rzekł p. Kazimierz — a że nie szukałem wierzyciela, lecz czekałem aż się zgłosi, to jedynie dlatego, żebym miał sposobność spełnić wolę ojca mej żony.

— A więc otrząśnijmy się z tego uroczystego nastroju — rzekł doktor Z. — gdyż istotnie mamy wszyscy miny, jak przy czytaniu testamentu, a przecież radość on nam wszystkim przynosi, nie łzy i smutek.

— Dobrze, dobrze, będziemy się radowali — rzekł proboszcz — tylko pozwólcie staremu powiedzieć jeszcze słów kilka od siebie. Oto, że gdyby takich kobiet, jak Hanka, i zacna jej przyjaciółka Tola, było u nas więcej, to może znikłoby niejedno złe, wypływające z braku zamiłowania pracy i złe rozumianej dumy. Każda uczciwa praca jest szlachetną, żadna nas nie poniża, i wy, moje dzieci, choć macie pokłóte palce od igły, choć miałyście do czynienia z wagą i łokciem, więcej warte jesteście od tych lalek, co całe życie spędzają na strojach i zabawach. Niech wam Bóg błogosławi.

— Amen — rzekł doktor — tylko, szanowny księże do-brodzieju, takich lalek nie tak znów wiele już u nas.

Pan Kazimierz spojrział na Terenię, i żal mu się zrobiło dziewczyny, która ze spuszczoną głową stała milcząca i smutna. Zrozumiał on przyczynę tego, ona rachowała się w duszy z sobą, i czuła, że nie zasłużyła przez te dwa lata na używanie majątku wujaszka. Wszyscy pracowali ciężko, wszyscy, nawet małe jej rodzeństwo wedle sił i możliwości przyczyniało się do pracy na chleb powszedni, ona tylko jedna nic nie robiła. Wujaszek zbliżył się do niej i, całując białe czoło dziewczęcia, rzekł:

— Pracowaliśmy tak, jakeśmy umieli, bądź spokojna, Tereniu, bo co do ciebie, grzech na mnie spoczywa. W przyszłości będziesz i ty dokładała cegiełki do wspólnej budowy, znam cię, nadto jesteś szlachetną, abys bezczynne życie wieść chciała.

— Wujciu — zawołał Kazio, wychodząc z kącika, gdzie się ulokował ze swoim Figielkiem — co to się stało, bo ja ja-koś nie mogę zrozumieć.

— A ja zrozumiałam — odezwała się Ewcia z rozpromienioną buzią — ten dom jest wujaszka, i te kurniki wujaszka, i wszystko a wszystko wujaszka.

— Jakto? — zapytał chłopczyk — i ogród, i buda, i wszystkie psy są wujaszka?

— Są nasze — odrzekł p. Kazimierz — i moje, i twoje, i Ewci, i wszystko nasze wspólne, jak dotąd było.

— Figielku! skacz pod sufit z radości — zawołał malec, chwytając psiaka za łapki, a ty, Ewciu, każ swoim kurom pisać — kukuryku! aż się rozlegać będzie po całym Żabinie.

— Ale wujciu, co zrobimy z tamtą lipą przed czerwonym domem? — zapytała Jadwinia.

— Będzie rosła przed naszym sklepem — odpowiedział z uśmiechem p. Kazimierz.

— Zrobicie mnie zarządzającą sklepem — rzekła wesoło Tola — i ja tam mieszkać będę z Jadwinią, która znów będzie nauczycielką w szkole pod dyрекcyą Tereni.

— A ja będę wizytatorką waszej szkoły — zawołała Lenka — i zobaczycie z jaką powagą potrafię występować.

— A dla mnie, czy nic nie zostanie do zrobienia? — zapytała Henia.

— I owszem, możesz być przyjęta na pensję Tereni, jeżeli zdasz dobrze egzamin — rzekła Lenka.

Hanka przysunęła się do p. Kazimierza.

— Wujciu, czy to sen, czy rzeczywistość? — szepnęła niepewna — nie wiem, czy w to uwierzyć można.

— Dostyć już było udawania — odpowiedział poważnie — kosztowało mię ono bardzo wiele, wierzaj mi, Hanko.

— Wierzę, bo wiem, jak nas wujcio kocha. Doprawdy, nie umiem się jeszcze cieszyć tem wszystkiem, jestem jak odurzona — mówiła Hanka, zwracając się do Jadwigi — czy ty, Jadwiniu, naprawdę nie wiedziałaś także o niczem?

— Jakim sposobem wiedzieć o tem mogłam — odpowiedziała — p. Dołęga nie dowierzał gadatliwości kobiety, nie odważył się więc na powierzenie mi tak wielkiej tajemnicy.

— Która była tajemnicą nawet dla rodzonej siostry aż do chwili, gdy p. Szymon Siarski zgłosił się z rewersem — powiedział, jakby się tłómacząc, p. Kazimierz.

— Ale, moi państwo — podniósł znów głos proboszcz — zostawmy te wszystkie wyjaśnienia na później, a teraz przy

stąpmy do ceremonii poświęcenia tej nowej siedziby, poczem będziemy się już swobodnie bawili.

Zrobił się ruch w sali, teraz dopiero zaczęto głośno rozmawiać, otrząsano się z pierwszego wrażenia, rozjaśniały się twarze prawdziwą radością i weselem, nieokreślone uczucie szczęścia i zadowolenia przepełniało wszystkie serca.

Odbyło się nareszcie uroczyste poświęcenie domu i wszystkich zabudowań, poczem p. Krystyna zajęła się przyjęciem swych gości.

Jak wesoło bawiono się w młodem gronie, to i opowiadać tego nie trzeba. Profesor literatury wpraszał się na posadę do naukowego zakładu Tereni, i p. Grubski rad byłby się tam dostał, p. Czarkowski, chociaż nie tak już młody, należał także jednak do tej wesołej gromadki, i chciał koniecznie zostać choćby tylko subjektem w sklepie Hanki i Toli.

Ze wszystkich najweselszą była Lenka, śmiała się ciągle, rozmawiała, dokazywała z dziećmi, urządziła z Kaziem gonitwę do mety, w czem im dzielnie pomagał Figielek z Krukiem.

Henia, wbrew swemu uprzedzeniu, zaprzyjaźniła się serdecznie z Terenią, i teraz chodziły z sobą najczęściej, mając sobie mnóstwo ciekawych rzeczy do powiedzenia.

Gdy wstawano od kolacji, p. Kazimierz zbliżył się do Hanki i Toli, niosąc w ręku małe pudełeczko, które im wręczył z uśmiechem. Otworzyły zdziwione, i z okrzykiem radości ujrzały kosztowności swoje, które to wujaszek miał sprzedać na założenie sklepu. Ucieszyły się tymi pamiąteczkami więcej, aniżeli gdyby natomiast najdroższe otrzymały upominki.

Tak więc szczęśliwie zakończył się dzień poświęcenia nowego dworu, ten dzień, którego tak obawiała się Hanka, bawiono się wesoło i swobodnie, a gości nie puszczono jeszcze i dnia następnego; p. Kazimierz zapytywał nieraz Hanki, czy nie pozbyła się swej niechęci do miljonera, przemysłowca, a dziewczyna rękę wuja do ust swych serdecznie tuliła.

Zakończenie.

I znów upłynęły dwa lata, wrzesień zbliża się ku końcowi, w Żabinie, w nowym dworze, gwarno i wesoło, widocznie jakaś uroczystość familijna, bo wszyscy wyglądają bardzo świętecznie. Istotnie, wielka to uroczystość, bo dzień ślubu Hanki z p. Stanisławem Grubskim. Nie poznaliśmy się z nim bliżej w ciągu tego opowiadania, tu więc tylko w krótkości nadmienić wypada, że p. Stanisław, choć na skromnej posadzie wiejskiego nauczyciela, był jednakże człowiekiem bardzo wykształconym i zacnym. Trochę poeta, marzyciel, pragnął w życiu cichej pracy i cichej zasługi, pragnął szerzyć światło i wiedzę tam, gdzie jej najmniej niestety, i to go skłoniło do starania się o miejsce nauczyciela. Z początku przyjaciele i koledzy chcieli go odwieść od tego, ale widzieli, że darmo nad tem pracują, uśmiechał się dobroduszenie, a swoje przeprowadził, miał bowiem żelazną wolę i silny charakter.

Na rok przed wyjaśnieniem tajemnicy oświadczył się o Hankę, nie odmówiono mu wprawdzie, ale odłożono to na później, aż Hanka rozszerzy swój sklep i pracownię i dobije się trochę lepszego bytu, a i p. Stanisław miał sobie powoli urządzić domek dla przyszłej pani.

Gdy jednakże wydały się miliony wujaszka, p. Stanisław się cofnął, przestał prawie bywać, ale nie pozwolono na to, i uszczęśliwiony wrócił, ale termin ślubu odłożono na dwa lata, czego znów żądała matka p. Stanisława, mieszkająca przy nim. Zaczyna staruszka obawiała się, aby Hanka nie żałowała z czasem, że poszła za popędem swego szlachetnego serca.

Przez te dwa lata duże zmiany zaszły w Żabinie, a mianowicie, wujaszek Kazimierz ożenił się z p. Jadwigą Wrześniewską.

Mieszkają wszyscy w ogromnym nowym dworze, a Jadwina i Ewcia uważają za największe szczęście, gdy im pozwolą pokołysać maleńkiego braciszka, który leżąc w kolebeczce, za-

winięty w poduszkę, śmieje się już do nich, spoglądając ślicznymi szafirowemi oczkami.

Tola uszczęśliwiona jest ze swego siostrzeńca, i utrzymuje zupełnie poważnie, że małeńki Kazio, który już liczy aż trzy miesiące, jest bardzo mądry i wróży na przyszłość niepospolitego człowieka.

Profesor literatury bywa dość często w Żabinie, rozmawia bardzo wiele z Tolą, a wujaszek Kazimierz śmieje się, że pewnie znów będzie wesele.

Terenia pracuje ciągle, zakupana w księgach i papierach, myśli na serjo o założeniu szkoły dla dziewcząt, do czego przysposabia się, robiąc plany, i zasięgając zdania uczonych i pedagogów.

Jadwinia i Ewcia uczą się w domu, przy nauczycielce bardzo wykształconej, a kochana wujenka uczy dziewczątka muzyki, do której mają wiele chęci i zdolności.

Babunia, zawsze przez wszystkich otoczona szacunkiem i miłością, czuje się bardzo szczęśliwą, po tylu smutnych przejściach w życiu.

Pani Krystyna kocha bardzo młodą swą bratową, uczy ją gospodarstwa, zgadzają się wybornie, i zadowolone ze wspólnego pożycia.

Ochronka i szpital od roku już istnieją w Żabinie, a na fabrykę wożą materiały, budują nowe domki dla robotników, stawiają piękny dom na mieszkanie dla lekarza i na aptekę, słowem panuje tam ruch wielki, a pan Kazimierz sam jest wszędzie, i wszystkiem zarządza.

Janek i Kazio są w Warszawie, uczą się dobrze, a Figielek zawsze przeczuje ich przyjazd, wybiega aż za bramę, i pierwszy wita swego małego przyjaciela. Ale Figielek postarzał się znacznie, i już mu się figlować nie chce.

Sklep Hanki i Toli rozwija się ciągle bardzo pomyślnie, jest w nim sklepową Justysia, którejby dziś nikt nie poznał, że to ta sama wiejska dziewczuszka, która parę lat temu zasłaniała sobie oczy fartuszkiem.

I pracownia dziewcząt istnieje, sprowadzono z Warszawy uzdolnioną, nie pierwszej już młodości wdowę, ta oddaje się nauce dziewcząt z zamięłowaniem, chociaż początkowo nudziło jej się trochę. Nad pracownią główny nadzór ma Tola.

Ślub Hanki odbył się w kółku rodziny i przyjaciół, nie trzeba więc mówić, że byli na nim państwo Z. z Lenką, przywieźli z sobą Henię i małą gadatliwą Bronisję. Dziewczynka bardzo się zmieniła, już nie głosi wielkich nieszczęść i okropnych wypadków, nie wyrosła jeszcze ze swej dziecięcej gadatliwości, lecz chcąc coś powiedzieć, zaczyna zawsze od słów: „jaka też zabawna rzecz się stała“, choć znów ta rzecz wcale nieraz nie jest zabawną.

I na tem kończy się powiastka, a sędziwy ksiądz proboszcz, grając nieraz z babunią w marjasza, gdy go doleci wesoły gwar pracujących i zawsze czynnych mieszkańców nowego dworu, kładzie karty, zażywa tabaczkę i mówi:

— Tak, tak, pani dobrodziejko, miljony was nie zmieniły, o zbytkach wam się nie śni, pracujecie, choćbyście mogli próżnować, jesteście więc wszyscy weseli, swobodni, bo godnie spełniacie posłannictwo człowieka na ziemi. Oj tak, pani dobrodziejko, takie przeświadczenie i spokój sumienia, to na świecie prawdziwe bogactwo.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

CZEŚĆ I. REGINKA.

	Str.
I. Ostatnia prośba umierającej matki	I
II. Sieroty	9
III. Nieznajoma sąsiadka	16
IV. Aśaś znajduje opiekunkę	19
V. Na nowem mieszkaniu	29
VI. Po sześciu latach	42
VII. Młody adwokat	46
VIII. Edmund w Orlinku	51
IX. Po całorocznej pracy	58
X. Choroba Reginki	74
XI. Spotkanie Edmunda z rodziną	79
XII. Prośba Edmunda i jej skutek	87
XIII. Imieniny w Wirówce	97
XIV. niespodzianka	101
XV. Zakończenie	110

CZEŚĆ II. PRAWDZIWE BOGACTWO.

I. Oczekiwanie	116
II. Powrót wujaszka	129
III. Lenka	134
IV. Garbusek	144
V. Goście w małym dworku	153
VI. Pobyt w Warszawie	162
VII. Wesoła nowina	174
VIII. Tajemnica p. Zygmunta i posag jego żony	187
IX. Po skończeniu nauk	199

	Str.
X. Powrót do domu	204
XI. Smutna nowina	214
XII. Na nowem mieszkaniu	229
XIII. Spuśtoszenie	240
XIV. Nowe przedsięwzięcie	255
XV. Spełnienie zamiarów Hanki	273
XVI. Owoc wytrwałej pracy	278
XVII. Powrót Tereni	288
XVIII. Poświęcenie nowego dworu	295

